

ELI MAKOWER

POWIEŚĆ

PRZEZ

ELIZĘ URZĘSKOWĄ

TOM II.

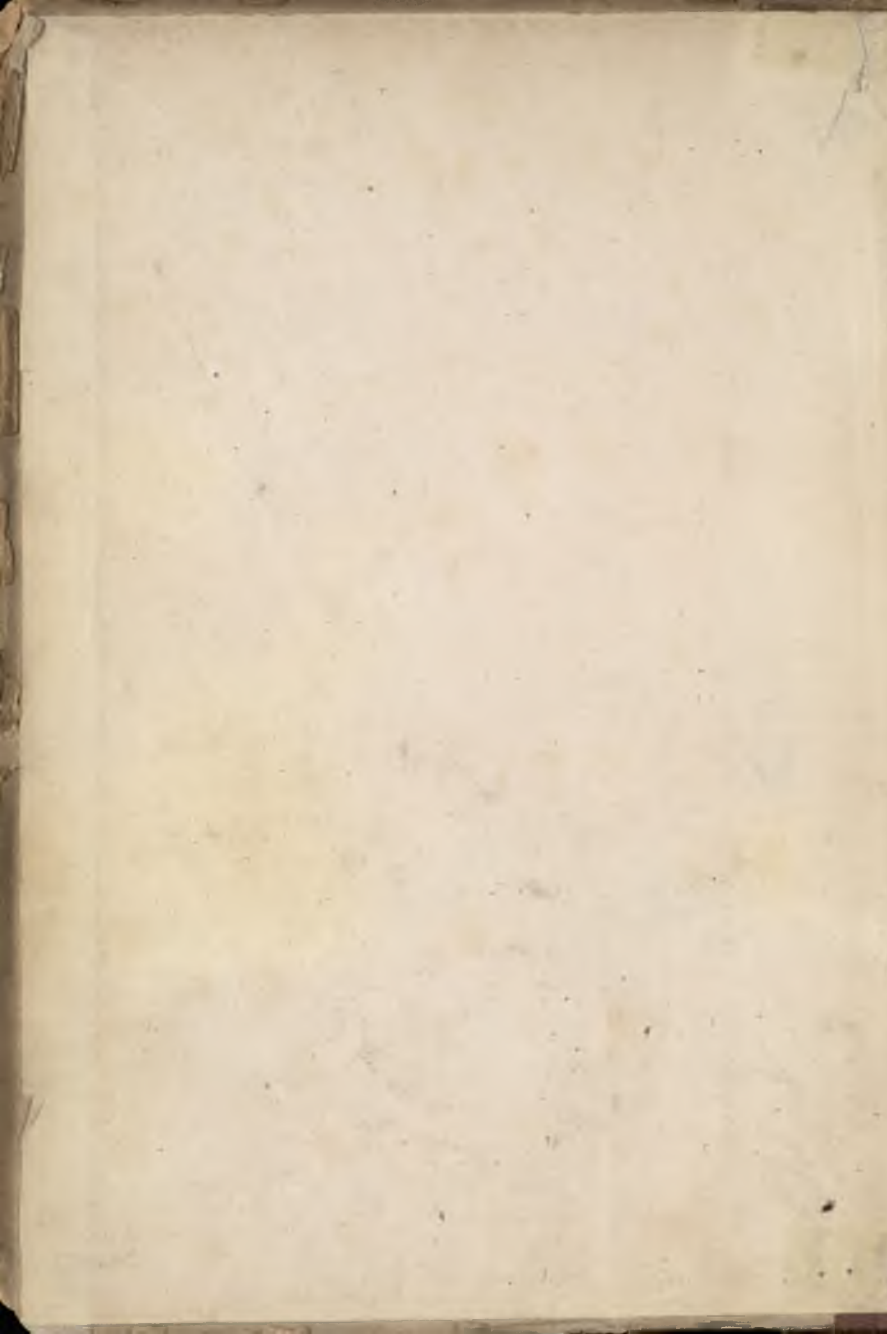
O ZIEMIĘ.

WARSZAWA.

SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI GEBETHNERA I WOLFFA

Nakład i druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 23.

1876



ELI MAKOWER.

ELI MAKOWER

POWIEŚĆ

PRZEZ

ELIZĘ ORZESZKOWĄ.

TOM II.

O Z I E M I E.

**INSTYTUT
BADAŃ LITERACKICH PAN
BIBLIOTEKA**

00-330 Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63

WARSZAWA.

Nakład i druk K. Kowalewskiego, ulica Królewska N. 23.

1876

Дозволено Цензурою.— Варшава, 6 Ноября 1875 года.



22.379/2

I.

Od śmierci Kajetana Orchowskiego siedem lat minęło.

W porze, w której do miasta N. przybywał ze stron północnych pociąg kolei żelaznej przed głównym i najzdobniejszym w mieście hotelem wysiadał z doróżki mężczyzna po podróżnemu ubrany i podróżne tłumoki ze sobą wiozący.

Przybyły nie musiał już być bardzo młodym człowiekiem, bo gęste, ciemne włosy siewały mu przy skroniach, a na wysokim czole jego rysowało się kilka zmarszczek. Postać miał wysoką, szczupłą i kształtną, twarz o prawidłowych rysach, a żółtawej cerze, starannie wygoloną, usta wąskie, oczy szafirowemi okularami przykryte. Wysiadając z doróżki i wchodząc na schody, głowę podnosił wysoko, a do służby hotelowej przemawiał głośniej może i z impozycją, wyraźniejszą, niżby, wedle miejsca i okoliczności, wypadło.

W hotelu znajdowało się właśnie kilka mieszkań niezajętych, ale jakkolwiek wszystkie one posiadały pozór bardzo przyzwoity, do pewnego nawet stopnia wytworay, żadne z nich nie przypadło do smaku przybyłemu. Jedno było

według niego zamale, drugie zaskromnie umeblowane; tu wytykał brak kobierców na posadzce, owdzie niezgrabną formę sprzętów. Z wielką nakoniec biedą, zdołano umieścić go w dwóch pokojach najparadniejszych z pomiędzy wszystkich, które znajdowały się w obszernej i starannie urządzonej budowie.

Pomiędzy ludnością hotelową wielka zapanowała ciekawość, kimby mógł być gość tak imponujący i wybredny. Służący niższych stopni domyślali się w nim bogatego i utytułowanego pana; ale rządca hotelu i szwajcar, który niegdyś służywał po możnych dworach szlacheckich, dowodził że *prawdziwi panowie* bywają zazwyczaj grzeczniejsi i mniej z kaprysami swemi popisywać się lubiący. Nie upłynęła jednak godzina czasu, a zagadka bardziej się jeszcze skomplikowała. Przybyły rozkazał przywołać do siebie komisyонера. Gdy pełniący ten urząd miejscowy faktor Żydek stanął we drzwiach pokoju, gość, który przechadzał się wolnym krokiem, z zamysloną bardzo twarzą i wybornym wonnym cygarem w ustach, zwrócił się ku niemu z pytaniem, czy zna starozakonnego, nazywającego się Eli Makower.

— Czemu ja jego mam nie znać, kiedy on w naszym mieście trzy lata już mieszka? odparł faktor.

— I wiesz gdzie mieszka?

— Dlaczego nie mam wiedzieć? *Największe* panowie i *najbiedniejsze* Żydki wiedzą, gdzie Makower mieszka.

— Czy ten pan Makower jest tu tak wielką figurą, że wszyscy go znać muszą i wiedzieć gdzie mieszka?

Zdawało się że z za lekkiego, pozornego szyderstwa

w słowach tych gościa przebijała się żywa, lubo ukrywana ciekawość.

— On nie jest żadną wielką figurą, rzekł faktor, on sobie prosty Żyd; ale wielkie panowie znają go dla tego, że on bardzo rozumny, a biedne Żydki dlatego, że on dla nich taki dobry... no, taki dobry!...

Przy ostatnich wyrazach Żydek-faktor aż zachłysnął się z wielkiego zapału, oczy mu błysnęły i frazes swój dokończył podniesieniem do góry dwóch palców prawej ręki i głosem cmoknięciem. Gość na widok zapału tego uśmiechnął się zrazu jakby lekceważąco, a potem ściągnął brwi w zamyśleniu i odwracając się ku stołowi na środku pokoju umieszczonemu, szepnął:

— Tém lepiój! tém lepiój!

Na stole, pomiędzy różnemi podróżnemi gratami, leżały rozrzucone bilety wizytowe. Gość wziął jeden z biletów tych i dając go Żydkowi, rzekł:

— Zanieś to zaraz Makowerowi i powiedz mu, że będąc zmęczony podróżą, sam do niego przyjść nie mogę, lecz proszę aby on dziś jeszcze koniecznie przyszedł do mnie.

Faktor nie spojrział na bilet i kłaniając się, zapytał.

— Z przeproszeniem jasnego pana, czy jasny pan ma majątek do sprzedania? Makower majątkami handluje, i jak ja jemu powiem...

— Nie potrzeba abyś mówił cokolwiek Makowerowi. Jak zobaczy ten bilet, to już sam będzie wiedział kto jestem i czego chcę od niego. Ruszaj prędzej!

Ostatnie wyrazy powiedziane były w sposób niezupełnie grzeczny; to też faktor zniknął wnet za drzwiami od korytarza. U dołu schodów zobaczył stojących rządzącę, szwajcara i parę innych osób do składu służby hotelowej

należących. Zbliżył się ku ludziom tym i pokazując im bilet gościa, rzekł:

— Proszę zobaczyć co tu *stoi*.

Na bilecie dużych, zbyt dużych rozmiarów *stało* pośrodku wielkimi literami wylitografowane imię i nazwisko; *Ildefons Porycki*, poniżej zaś znajdowały się wyrazy: *Agent główny Domu pośrednictwa w sprzedaży majątków ziemskich*.

— Hörste! zawołał faktor, gdy rządzca przeczytał głośno wszystko co *stało* na bilecie; agent domu pośrednictwa! No, i Makower taki sam agent...

Wąsaty i dumnie wyglądający szwajcar zmarszczył czoło, jakby sobie co przypominał. Po chwili wymówił:

— Na Wołyniu są hrabiowie Porycecy, panowie z panów... jeden z nich był podobno bardzo sławnym...

— Któż o tém nie wie? podjął rządzca. Tedeusz Porycki, ten co szkoły zakładał. Ojciec mój miał portret jego, bo go podobno znał i w Porycku u niego bywał.

— Ciekawa rzecz czy ten pan z tych samych Poryckich pochodzi? zagadnął ktoś z boku.

— Jeżeli pochodzi z tych samych, to musi być hrabią, zauważył szwajcar.

Rządzca patrzył wciąż na bilet, zadumał się i smutnie czegoś głową, wstrząsał.

— Do czego to przyszło! mruknął pod wąsem; Porycki, jak Makower, handluje majątkami!

— A czemu nie ma handlować, kiedy to dobry interes? podchwycił faktor. Eli zarobił już na tém może jakie dwadzieścia *tysięców rublów!* A dlaczego Porycki nie ma także zarabiać?

Z temi słowami faktor wybiegł z hotelu.

Gość z imieniem głośném i świetném, a tytułem ciemnym i dwuznacznym, siedział tymczasem w pokoju swoim i popijając herbatę, przeglądał liczne papiéry w wielkiej tece podróźnej zawarte, a w urzędowe stemple zaopatrzone. Gdy tak papiéry te odczytywał, gatunkując je, składając i rozkładając, postawa jego stała się sztywną i fizyognomia niespokojną. Miał on teraz pozór nawpół urzędnika, który prostuje się, ilekroć końcami palców dotknie urzędowego papiéru, nawpół spekulanta, który oblicza w myśli szanse przypuszczalnych zysków. Z za szkieleć szafirowych oczy jego błyskały żywo i od chwili do chwili zwracały się ku drzwiom.

Nie czekał długo. Drzwi otworzyły się niebawem i wszedł przez nie do hotelowego pokoju Eli Makower. W powierzchowności byłego dzierżawcy Orchowa i Łozowój, współdzierżawcy Ręczyna i wielu innych majątków szlacheckich, zaszyły przez czas ubiegły niejaki zmiany. Wprawdzie mały, rudawy zarost okalał mu, jak dawniej, twarz ściągłych rysów i czerstwój cery; postawa jego była poważna, krok powolny, oczy pełne w głębi gorących blasków, o spojrzeniu spokojném i obojętném; ale na czole powstało zmarszczek kilka, niby na świadectwo wielu przez czas ten poniesionych trudów i starań, a zamiast dawnego, długiego aż po ziemię, przybrudnego zawsze chałata, Eli miał teraz na sobie rodzaj surduta, który sięgając zawsze jeszcze poniżej kolan, sporządzonym był z dość cennój, błyszczącej materyi, a roztwarty od góry do dołu, ukazywał znajdujące się pod nim sukienne ubranie i atłasową czarną kamizelkę, na którą opuszczał się gruby złoty łańcuch od zegarka i opadały końce jedwabnego, porządnie pod szyją związanego krawata. Był-to ubiór w połowie jeszcze żydowski, ale już znacznie wedle ogólnie-europejskiego wzoru zmodyfikowany.

Na widok wchodzącego, Porycki powstał z krzesła z grzeźnym pośpiechem, a kiedy Eli z powagą i spokojem zbliżył się ku stołowi, podał mu rękę i wskazał obok stojący fotel.

Po pierwszych krótkich słowach powitania, chwilowe milczenie zapanowało pomiędzy dwoma tymi ludźmi. Żaden z nich nie chciał znać pierwszy rozpocząć rozmowy. Oczy Poryckiego z za ciemnych okularów badawczo tkwiły w twarzy Żyda, Eli obojętne spojrzenie wodził po papierach stół okrywających. Nakoniec gość hotelowy, mniej cierpliwy może, lub bardziej zainteresowany w skutkach mającej się toczyć rozmowy, przemówił pierwszy:

— Pan od dwóch lat już jesteś agentem naszego Domu pośrednictwa?

Eli potwierdzająco głową skinął.

— Od dwóch lat, rzekł z powagą, to jest od pierwszego miesiąca, kiedy ci panowie do nas przyjechali i Dom założyli. A pan?

Polszczyzna Eliego była teraz nierównie czystsza i poprawniejszą niż dawniej. Człowiek ten, który był z kolei ulicznikiem, faktorem, kupcem, dzierżawcą i agentem jakiegoś handlowo-przemysłowego towarzystwa, uczył się znać z łatwością wielką wszystkiego, czego nauczyć się chciał lub potrzebował.

— A pan? zapytał; bo ja nie miałem dotąd honoru słyszeć w naszej kompanii o nazwisku pańskim.

Porycki rozparł się w fotelu i z wielką żywością mówić zaczął:

— Nic dziwnego, nic dziwnego, panie Makower, żeś o mojem nazwisku nie słyszał jeszcze. Zaledwo dwa miesiące temu przybyłem do Wilna z Wołynia, no. niezupełnie z Wołynia, bo podróżowałem wprzód po Niemczech

Austrii, Wołoszczyźnie, Besarabii, byłem w Konstantynopolu, merzem azowskiem dobrałem się do Astrachania, ztamtąd na Moskwę przybyłem do Petersburga, a potem dopiero wyjechałem na Wołyń, gdzie mam familią. Musiałeś pan słyszeć o zamieszkującej Wołyń rodzinie Poryckich.

Żyd, który z niezwruszoną obojętnością słuchał rozwijanej przed nim nomenklatury geograficznej, również obojętnie odpowiedział:

— Dlaczego nie? ja o rodzinie Poryckich wiem i dużo słyszałem.

Na pozór słowa te wymówione były zupełnie obojętnie, a jednak w głosie Eliego był ton jakiś szczególny, który przykro znać uderzył hotelowego gościa, bo spuścił nagle śmiałe dotąd oczy i przez chwilę milczał, jakby o coś samego siebie z lekkim niepokojem zapytywał. Zmieszanie to jednak i zaniepokojenie trwało krótko, poczem gość, odzyskując zwykły sobie sposób obejścia się śmiały, ożywiony i trochę imponujący, zaczął znowu:

— W długich podróżach moich zapoznałem się z najróżniejszymi gałęziami europejskiej administracji i europejskiego przemysłu. W Austrii, w Mołdawii, w południowych stronach Rosyi prowadziłem interesa na wielką skalę i miałem przed sobą pole otwarte do wszelkiego rodzaju przedsięwzięć i spekulacyj. To też nie byłbym nigdy ani pomyślał o przyjeździe do tego biédnego, ciemnego kraju i przyjęciu podrzędnej roli, w jakiej widzisz mię pan obecnie, gdyby nie osobiste, naglące prośby barona von R... który stoi na czele Domu pośrednictwa i w imię przyjaźni pomocy mojej w tém przedsięwzięciu żądał...

— Za pozwoleniem pana, przerwał Makower, dlaczego ta rola ma być podrzędna? Kiedy ona panu dużo pieniądze

dzy dać może, to ona nie jest podrzędna. Albo to pan baron von R... dla czego innego Dom pośrednictwa założył, jak dlatego, żeby zarobić dużo pieniędzy?

Gość hotelowy wydał zlekka wygolone policzki i rzucając spojrzenie w sufit, rzekł:

— Baron von R... jest człowiekiem idei.

Żyd z wolną ręką machnął.

— Tak się to mówi dla honoru... Czy pan baron nie chce przypadkiem majątku jakiego tu nabyć i czy pan nie przyjechał tu z jego plenipotencyą?

— Właśnie, właśnie, odparł Porycki, mam plenipotencyą barona i nietylko jego...

Tu rozkładać i rozwijać począł z kolei przed oczami Żyda wyjęte z teki papiéry, przyczem w kształcie komentarzy mówił:

— Oto plenipotencya, na imię moje wydana przez barona von R., a to druga podobna, którą otrzymałem od grafa K...; tę mam od generała L., a tę od radcy stanu W... Przywiozłem jeszcze i inne pomniejsze, ale te cztery, a najbardziej już barona, są główne i powinny obchodzić najżywiiej tak mnie, jak pana.

— Mnie? przeglądając z uwagą papiéry zagadnął Żyd.

— Tak mnie, jak pana. powtórzył gość hotelowy. Osoby których nazwiska widzisz pan wypisane u dołu tych papiérów, życzą sobie nabyć tu dobra ziemskie. Pan, jako osiadły w tych stronach agent Domu pośrednictwa, najtrafniejszych udzielić nam wskazówek i najlepiej w danym celu współdziałać z nami możesz. Czy dobrze pan rozumiałeś ten interes?

Żyd nie odpowiedział zaraz. Czytał i czytał przedstawione sobie przez hotelowego gościa urzędowe papiéry.

oglądał je ze stron wszystkich, przypatrywał się po razy kilkanaście znajdującym się na nich podpisom, aż nakoniec podniósł głowę i z nieokreślonym uśmiechem na cienkich wargach, z oczami uważnie utkwionemi w twarz towarzysza, rzekł:

— Pan masz wiele i dobrych stosunków...

Porycki rzucił się znowu w głąb fotelu i z nietajonem zadowoleniem odrzekł:

— Zostaję w stosunkach osobistój znajomości i przyjaźni z najdosłojniejszymi osobami w kraju.

Żyd nie spuszczał z niego oczów; zdawało się, że odpowiedzi jego, samochwalstwem i blagierstwem tchnącój, wcale nie słyszał. Po chwili milczenia, myślenia i przypatrywania odezwał się znowu:

— Pan masz wiele i dobrych stosunków... z rybakami.

Porycki wyprostował się i długo w twarz Żyda popatrzył, jakby myśl w słowach jego zawartą dobrze wyrozumieć usiłował. Nagle śmiechem parsknął.

— Rozumiem! zawołał, ja mam stosunki z rybakami, a pan... z rybami.

Eli potwierdzająco głową skinął i rzekł znowu:

— Pan trzymasz w ręku wędki, a ja mogę pokazać w które miejsca stawu zapuszczać je trzeba, aby szczupaki łapać.

Porycki śmiać się przestał. Oczy jego z takim natężeniem w twarz Żyda patrzyły, że blask ich przedziérał się przez szkła ciemne i grube. Eli przenikliwy wzrok towarzysza spotykał wzrokiem również badawczym, ale spokojnym. Porycki nakoniec pochylił się nieco ku Eliemu i zniżając głos, rzekł z większą niż dotąd powagą:

— Wyraziłeś się pan niezupełnie dokładnie. Jeżeli ja i pan działać będziemy wspólnie i zgodnie, wtedy tak rybacy, jak i ryby zamienią się w naszych rękach—w prze wyborne dojne krówki.

— Jak to być może? zgadnął Eli.

— Tak jak bywa zwykle. Głupi ludzie stworzeni są na to, aby służyć rozumnym za drabinę, po której idą oni ku celom swoim, a jakież może być cel inny życia mego i twego, panie Makower, prócz ciągnięcia zysków?

Wymawiając ostatnie wyrazy, gość ze świetnym nazwiskiem miał na twarzy wyraz bezświadomego, wesołego cynizmu i białą ręką, zdobną w wielki pierścień z herbem, uderzył się po kieszeni.

— Niech pan mówi o sobie, ale nie o mnie, z powagą ozwał się Eli; u każdego z nas inne mogą być cele. Ale kiedy my z panem mamy robić interes, to celem interesu tego naturalnie musi być zarobek. A dla czego nie zarobić, jeżeli można? każdy chce zarobić.

— Otóż to, rzekł gość, podajmy sobie ręce, panie Makower, i działajmy wspólnie.

Podali sobie dłonie. Porycki uczynił to z pewnym, ruchy jego cechującym, niespokojnym, nerwowym jakby pośpiechem. Eli, z obojętnością, a nawet z rodzajem chwiloowego ociągania się. Porycki zwrócił się ku drzwiom od korytarza.

— Héj! służba! zawołał.

Eli powolnym gestem zatrzymał rękę jego, sięgającą ku taśmie od dzwonka.

— A czego to pan chce? zapytał.

— Rozkażę podać buteleczkę szampana. Wypijemy

za pomyślność interesów naszych i trwałość przyjaźni naszej z tobą, panie Makower.

— A na co to wszystko? wyrzekł Żyd z flegmą. Na co tu szampan i na co tu przyjaźń? Kiedy mam o interesach gadać, nie lubię wina pić, i od niego w głowie robi się ciemno, a interesa to taka rzecz, że najlepiej *ich* robić, kiedy w głowie widno, a naokoło cicho.

Porycki zmieszał się trochę tём odrzuceniem przez Żyda propozycji, jaką uczynił w przystępie zadowolenia i dobrego humoru. Po wązkich wargach jego przebiegł szybko uśmiech wzgardliwy, tłumaczyć się mogący słowami: i poco to ludziom takim zarobki i pieniądze?

— Może więc przynajmniej cygaro zapalić zechcesz, panie Makower?

— Dlaczego nie? Cygaro nie szumi i w głowie ciemno nie robi, to można *go* palić, o interesach gadając.

Zapalili obaj cygara, które Porycki wyjął z cygarnicy kosztownej, i usiedli znowu obok siebie przy stole. Eli nie zaczynał rozmowy; oczekiwać na pierwsze słowo tego, z kim miał rozmawiać, było znać jego zasadą. Nie spieszył się zresztą i nie niepokoił, a jakimikolwiek były tajemne zamiary i żądania jego, czuł się na dobrze znanym sobie gruncie działania.

Porycki więc pierwszy znowu głos zabrał.

— Od dwóch lat, to jest od czasu, w którym zostałeś pan agentem towarzystwa pośredniczącego w sprzedażach majątków, rozwijałeś pan działalność swą w bliższych okolicach miasta N., gdzie przez pośrednictwo pana kilkanaście większych i mniejszych posiadłości ziemskich właścicieli swych zmieniło. Dalsze jednak strony tutejszego powiatu są dotąd, o ile nam wiadomo, zupełnie nienaruszonymi,

a z dóbr położonych dokoła miasteczka Orchowa na obszarze mil sześciu lub ósmiu mniej więcej, żadne nie przyniosło jeszcze w zysku domowi pośrednictwa ani jednego rubla.

— To prawda, potwierdził Eli, ale widzi pan, ja nigdy nie zrywam owocu, kiedy widzę, że on jeszcze nie dojrzał. Takie owoce jak te, o których my gadamy, najprędzej dojrzewają blisko jakiegokolwiek, choć trochę większego miasta. Ja też zerwałem je, a tamte były jeszcze niedojrzałe, więc ja ich zrywać nie próbowałem. Teraz co innego, teraz może już i na tamte pora...

— Wybornie! zawołał Porycki, trafnie więc czas wybrałem do eksploatawania gruntu jeszcze niewyeksplloatowanego. Jeżeli jednak, panie Makower, mniemasz, że my z naszej strony żadnych nie mamy wiadomości o tém co się tu dzieje, to mylisz się wielce. I my także posiadamy naszą małą kartę geograficzną, ze skróślonemi na niej niektórymi drogami i zaznaczonemi punktami.

Tu rozwinął duży arkusz papieru, który nie był dotąd w ręku Eliego, i tym samym tonem dobrego humoru, jakim mówił słowa poprzedzające, przeczytał:

— *Numer 1-szy*: dobra Orchów, wraz z miasteczkiem tegoż nazwania. Grunta dobre, lasy wielkie, łąk poddostatkiem, dwór obszerny, z ogromnemi i starożytnemi ogrodami. Własność Mieczysława Orchowskiego. *Numer-2gi*: folwark Rydlówka. Obszar mały, gospodarstwo we wzorowym stanie, dogodności gospodarskie wszelkie, dom mieszkalny świetnie zbudowany i pozór małego, bardzo gustownego pałacyku mający. Własność Kamila Orchowskiego. *Numer 3-ci*: Ręczyn. Rozległość księżtewka udziałnego, grunta mierne, gospodarstwo w stanie opłakanym, pałac murywany nad brzegiem Niemna, w położeniu malowniczym.

Dziedzic Konrad Ręczyc. *Numer 4-ty*: Łozowa, ziemia wyborna, pszena, rozległość znaczna. Dziedzic Łozowicz. *Numer 5-ty*. Białowola. Folfark nieduży, grunt wyborny, położenie piękne, nad wielkim stawem i między sosnowymi lasami. Dziedziczka wdowa po Kajetanie Orchowskim, Leontyna z Ręczyców Orchowska.

Przeczytawszy to wszystko, odłożył papier na stronę i z wyrazem tryumfu zapytał:

— I cóż, panie Makower? nie dziwi cię to, że siedząc o mil kilkadziesiąt, członkowie Domu pośrednictwa tyle o stronach tych wiadomości posiadają?

Eli zlekka ramionami wzruszył.

— Dlaczego ja mam dziwić się, kiedy to ja sam wiadomości te im posłałem?

— No proszę! nie powiedzieli mi nic o tém, rzekł Porycki, zbity trochę z toru odpowiedzią Żyda. Powinienem był jednak domyśleć się tego, bo jak honor kocham, sprytnym był człowiek, co spis ten wykonał. Żadnej cyfry, żadnego pewnego określenia ani ilości ziemi, ani intrat, ani stanu dworu i inwentarzy. Chcecie wiedzieć o czém napewno? to przyjeźdźcie i zobaczcie. Nie macie czasu na oglądanie? nie chcecie odbywać dalekich podróży? to spuście się na mnie i wierzcie mi na słowo, albo przyslijcie tu do mnie plenipotentą, Ildefonsa Poryckiego naprzykład, a my już z nim wspólnie porachujemy, wymierzmy i przed ostatecznym aktem nabycia wizerunki przysłych dóbr waszych wam złożymy. Czy wizerunki te podobne będą do swych oryginałów? to już wasza rzecz, nie moja.... Wybornie! wybornie! jak honor kocham! Cieszę się całym sercem, cieszę niewypowiedzianie i poczytuję to sobie za prawdziwy zaszczyt, że poznaję pana, panie Makower.

Śmiał się gość hotelowy, mówiąc to, śmiał się jeszcze i potem przez chwilę i zwyczajem swym rozpiérając się w fotelu, rzucał pod sufit kłęby cygarowego dymu. Z twarzy Elego można było poznać zadowolenie z tego, że został zrozumianym, ale zadowolenie to cichszém było nierównie i objawiło się tylko przelotnym uśmiechem.

— Niech się pan nie cieszy tak z góry, rzekł Eli. Nie mówmy: hoc! póki nie przeskoczym. Jeszcze ja z panem o pańskich ludziach nie mówił i nie wiem dobrze co to za jedni, co z nimi można a czego nie można.

Głośna wesołość Poryckiego zniknęła nagle, jakby na rozkaz hamującej ją woli.

— Później, rzekł z powagą, pomówimy obszernie o *moiach*, a teraz powiedz mi pan cokolwiek o *swoich*. Znać ludzi z którymi będzie się miało do czynienia—to rzecz główna.

— Dobrze pan mówi, to rzecz główna, potwierdził Żyd, a ponieważ my już z panem razem do téj roboty brać się musimy, więc pan powinienesz wiedzieć wszystko co ja wiem, żeby czasem krzywą drogą do kogo z nich nie pójść i roboty przez to nie zepsuć. Ja panu powiem o nich wszystkich kto oni są i *jakie*.

— Czy tylko pewnym pan jesteś, że znasz ich dobrze?

Dziwny uśmiech, wyrażający szyderstwo, wzgardę i dumę zarazem, przeleciał po twarzy Elego.

— Ja miałbym ich nie znać? Chybabym oczu i uszu nie miał. Ja, kiedy byłem małym chłopcem jeszcze, widziałem ich ojców, jak do zajezdnych domów w miasteczku naszym przyjeżdżali, kupowali, sprzedawali, stękali i hulali; a potem ja im kupców stręczył i sam kupcem byłem; a potem ja u nich albo sam majątki w posesyi trzymałem, albo trzymali

moje bracia, i szwagry, i krewni.... Ja miałbym ich nie znać? Ot, niech pan słucha!

Porycki obu łokciami oparł się o stół, twarz na dłoni złożoną przybliżył do twarzy Żyda i patrząc na niego z wytężoną uwagą, rzekł:

— Słucham! Zaczynaj pan od początku.

Eli siedział na krześle wyprostowany, z dłońmi złożonemi na kolanach, ze schyloną nieco w zamyśleniu głową. Przez chwilę milczał, a potem powoli i z namysłem mówić zaczął:

— Z przeproszeniem pańskim, ja zacznę od końca.

— Więc od *numeru 5-go?*

— Od *numeru 5-go?* A jakie tam nazwisko stoi przy tym numerze? Białowola, własność pani Orchowskiéj wdowy. Nu, ta pani Orchowska, to była kiedyś kobiéta bardzo wesoła, ale potem zrobiła się bardzo smutna. Ten smutek przyszedł na nią od tego, że już między ludźmi nie tak dobrze szło jak dawniej, na balach nikt na nią patrzyć nie chciał, tylko wszyscy patrzyli na młodsze i piękniejsze od niej. Ona miała męża i dwóch synów, i jedną córkę, śliczną córkę! i wielki majątek i duże ludzi we dworze; ale to jéj nic nie pomagało. W czarnej sukni chodziła i mówiła, że ona nikomu niepotrzebna i nie do robienia na świecie nie ma. A jak na nią taki wielki smutek przyszedł, to ona zrobiła się bardzo nabożna. Kiedy stary pan Orchowski umarł, synowie.... to jest jeden syn.... dał jéj Białowolę, jabłuszko małe, ale złote. Nu, ona i tam nie miała co robić i była bardzo smutna, a żeby ludzie wiedzieli o jéj wielkim smutku, ona w całym swoim białowolskim dworze zrobiła wszystko czarne. Firanki u niej przy oknach czarne, i pokrycie na meblach czarne, i służba

chodzi czarno. Ale była przy niej córka, młoda panna, co nie chciała być smutna i przeszkadzała modlić się; więc ona oddała ją do miasta do jakiejś pani, Ręczycowój, o której później powiem. Ta pani Ręczycowa wozila ją na bale i robiła jej różne rozrywki, bo ona rozrywki bardzo lubi, a potem ją za syna swego za mąż wydała. Pani Orchowska zaś, jak tylko jej córka za mąż poszła, urządziła sobie w swoim domu jeden pokój cały czarnym sukniem obity i w trupie głowy pomalowany. W tym pokoju okiennice zawsze zamknięte, i świece woskowe palą się, i ona tam siedzi i modli się, a mówią ludzie że bardzo płacze. Z nią w naszym interesie biedy nie będzie, bo ona nic nie lubi i ją nic nie obchodzi, a żeby jej powiedzieli że w Australii jest dla niej przygotowany taki sam pokój z czarnym sukniem i trupiemi głowami, to ona, sprzeda Białowolę i tylko ją trzeba będzie na ręce wziąć i do Australii zanieść, bo sama z własnej woli i własnego rozumu trzech kroków nie zrobi.... Ot i wszystko o numerze 5-tym.

— Numer 4 ty, zaczął Porycki, patrząc w papier, Fabian Łozowicz. Zasłyszałem ja coś tu i owdzie o tym Łozowiczu. Ma on nawet podobno rodzaj sławy parafialnej, czy gubernialnej jako człowiek zadziwiająco dobry.

Eli skinął głową, na znak potwierdzenia.

— To prawda, rzekł, dobry on bardzo dla wszystkich, tylko nie dla swoich własnych dzieci i nie dla tych, co jemu pieniądze pożyczają. On kupę rezydentów u siebie trzyma i jak zobaczy biednego, to gotów surdut z siebie zdjąć, a jemu oddać, ale jego własne dzieci w podartych sukniach chodzą i niczego nie uczą się, a kto jemu pieniądze pożyczycy, albo co na kredyt da, to jakby w wodę wrzucił; nie dlatego, żeby on był niepoczciwy, broń Boże! ale dlatego, że

wszystko zawsze rozda, a czego nie rozda to mu rozkradną, bo on nic nie widzi i na nic nie patrzy, co wkoło niego dzieje się, tylko wiersze pisze i maluje. Dobry on, to prawda, ale nie człowiek.

Porycki parsknął śmiechem.

— Pocziwota jakiś! zawołał. No, mam nadzieję że z piękną jego Łozową wielkiego kłopotu nie będzie; musi on już ją trzymać na włosku. Teraz więc *numer 3-ci*: Konrad Ręczyc.

— O tym niema co długo gadać. On człowiek niezły, grzeczny i gospodarz byłby może z niego jaki taki, gdyby go nie zjadały i od wszystkiego dobrego nie odpróżdzały trzy rzeczy; konie, matka i żona.

— Czy to nie jego właśnie żoną jest owa piękna córka tej pani z Białoweli, bardzo smutnej i bardzo nabożnej?

— Zgadł pan. On ożenił się z panną Lilą Orchowską, a raczej ożeniła go z nią matka, bo on matkę bardzo kocha i robi wszystko co ona chce, a ona niczego więcej nigdy nie chce jak pieniędzy, rozrywek, pięknych mebli i drogich sukien. Myślała że panna Lila Orchowska mieć będzie duży posag...

— Pan Konrad tedy musi żony nie kochać, skoro ożenił się z nią tylko przez uległość dla woli matki. Rozumiem więc... obojętność pomiędzy małżonkami, niezgody rodzinne, ztąd częste wyjazdy, podróże, bezład w domu, długi, ruina..

— Z przeproszeniem pańskim, pan Konrad, czy jak go tu wszyscy nazywają, pan Konio, ożeniwszy się, zaczął żonę kochać, bo on miękkiego serca, a jego żona bardzo piękna. Ale ona jego nie kocha i mówią ludzie, że suchot prędko dostanie z wielkiego smutku..

— Zajmująca istota! półgłosem rzekł do siebie Porycki i dodał głośniej: wszak to być musi siostra panów Kamila i Mieczysława Orchowskich? Jakież to człowiek ten pan Kamil z Rydlówki?

— Ten pan Kamil to bardzo pyszny i bardzo uczony pan. On taki pyszny, że kiedy stąpa po kamieniach, to jemu zdaje się, że on tym kamieniom wielki honor robi, a taki uczony, że jak kto jego poprosi o kawałek chleba, to on, zamiast dać, zaraz opowie zkąd wzięło się to żyto, z którego chleb zrobiony, i z czego ono składa się, i kto je pierwszy na świecie posiał. On jedną tylko osobę bardzo kocha, a ta osoba to on sam, i o jedną rzecz bardzo dba, a ta rzecz to jego własna wygoda.

— Rozumiem, rzekł Porycki; epikurejczyk, kosmopolita, niewdający się w żadne sentymentalizmy i ideały... Mądry jakiś człowiek, lubię go już, nie znając. Czy brat jego Mieczysław podobny do niego?

Na pytanie to Eli Makower długo nie odpowiadał, brwi jego zsunęły się z wyrazem głębokiego zamyślenia, oczy nieruchomie utkwily w ziemi. Szyderski i przenikliwy umysł ten, który bez najlżejszego wachania się z tłoczącą wzgardą i niemilosierzną obojętnością rysował przed badawczym wzrokiem *głównego agenta* moralne wizerunki osób innych, tym razem znaleźć się musiał wobec zagadki nierozstrzygniętej jeszcze i własną jego ciekawość budzącej. Milczał długo i myślał, a potem, nie podnosząc oczu i nie rozchmurzając czoła, powolniej niż dotąd i z większym namysłem mówić zaczął:

— O tym panu Mieczysławie najdłuższe teraz będzie między nami gadanie, a kiedy już przystąpię do naszego interesu, to z nim najtrudniejsza będzie robota. Jest to

owoc, który dla nas nie dojrzał jeszcze i nigdy może nie dojrzeje, a zerwać go nie będziemy mogli inaczej, jak z wielkim gwałtem.

— A jednak, z widocznym niezadowoleniem przerwał Porycki, zerwać go trzeba koniecznie; bo orchowskie właśnie dobra stać muszą u nas na pierwszym planie. Nabyć je pragnie baron von R. Rozumiész pan?

Zdawało się, że w zamyśleniu swém Eli przerwy tej nie zauważył.

— Jest-to człowiek, mówił dalej, o którym ja sam nie wiem dobrze co myśleć. Dawniej on był taki jak inni, hulaka, wesoły i trochę rozrzutny. Zawsze tylko ojca bardzo kochał. Nie było dnia, żeby do starego nie przyjechał i długo z nim nie gadał, a czasem to i całe dnie u niego siedział i książki mu czytał. Kiedy pan Kajetan Orchowski umierał nie było przy nim nikogo z rodziny, prócz pana Mieczysława. Opowiadają ludzie, że pan Kajetan całą noc przed śmiercią mówił synowi o jakichś ważnych rzeczach i płacząc bardzo, prosił go o coś i napominał, a on jemu przyrzekał i przysięgał. Jakie to były przyrzeczenia i przysięgi, może ja i domyślam się—ale o tém co umierający ojciec mówi ze swoim synem, cudzym ludziom gadać nie trzeba. Ja sam mam starego ojca i wiem co to znaczy, kiedy on mnie o co prosi albo napomina.

Po ustach Poryckiego przebiegł szybko powściągnięty uśmiech szyderski. Znać miłość synowska, głęboko wrosła w serce Elego, nie znajdowała w piersi i umyśle głównego agenta sympatycznego oddźwięku.

Po chwili milczenia Żyd mówił dalej:

— Ja wtedy był posesorem Orchowa i myślał zawsze że po śmierci starego pan Kamil, jako bardzo pyszny,

zechce sobie wziąć wielki Orchów a brata uczonym swym rozumem przekona, że jemu dość będzie małej Rydlówki. Ale wielki Orchów obciążony był długami, a mała Rydlówka czysta jak łąza; pan Kamil tedy powiedział: „Ja wezmę Rydlówkę. Małe to ale spokojne i bezpieczne. Ty, Mieczysławie, zginiesz w tych długach i w tej ruinie!” A co pan myśli, że on jemu na to odrzekł? On odrzekł: „Będę czarny chleb jadał i w siermiędze chodził, będę od rana do wieczora pracował, a Orchów wyratuję.” Potém on stanął przy oknie i patrzył na pola, co tam dokoła dworu leżą, a twarz jego była bardzo blada i usta jego trzęsły się. Mnie zdawało się, że on podobny był wtedy do człowieka co na wojnę idzie.

I znowu Żyd umilkł na chwilę i patrzył w ziemię, a towarzysz jego uśmiechał się lekceważąco i rzucał pod sufit kłęby dymu.

— Oni wtedy dzielili się majątkiem, opowiadał dalej Eli, a z nimi był prawnik, ich plenipotent i ja byłem, bo mi się od nich trochę pieniędzy należało. Ja wszystko widział i słyszał jak było. Pan Kamil chciał żeby brat dał mu dużo pieniędzy w dodatku do Rydlówki i bardzo długo dowodził, że przy wielkim Orchowie jest honor, a przy małej Rydlówce powinny być za to pieniądze. Ale pan Mieczysław powiedział, że on nie dla honoru Orchów bierze i jak zaczął liczyć, tak wyliczył, że pan Kamil żadnej prentensyi do niego mieć nie może.

Potém była mowa o siostrze. Pan Kamil powiedział, że jej trzeba dać tylko czternastą część ojcowskiego majątku, to jest tyle ile prawo każe, i znowu długo prawił o tém, że jeszcze w Rzymie kobiety mniej brały majątku niż mężczyźni, że mężczyzna zachowuje blask familii i robi honor

nazwisku, więc powinien być bogatszy od kobiety, która idzie za mąż i z mężowskiego bogactwa żyje. Wtedy pan Mieczysław powiedział: „Jak sobie chcesz, tak zrobisz: ale ja dam siostrze 20,000 rubli. Jak powiedział, tak zrobił: wydał siostrze oblig na 20,000 rubli. Ot jaki on człowiek i niech pan z tego miarkuje, czy łatwy z nim będzie interes.

Porycki, który od czasu gdy mowa zaczęła być o cyfrach i podziale majątków, ze zdwojoną uwagą słuchał opowiadania i szczegóły jego z widoczną starannością w pamięci swój notował, zapytał:

— Czy summę tę pan Mieczysław spłacił już siostrze?

— Jak mógł zapłacić, kiedy tam różnych cudzych długów kupa wielka była? Siostra, zwyczajnie jak siostra, czeka i tylko procent bierze, który pan Mieczysław regularnie płaci.

— Siostra jak siostra, czeka, powtórzył Porycki, ale że szwagier nie dopominał się dotąd, to mię bardzo dziwi.

— Ja panu mówię, że ten pan Konrad ma nie złe serce, a zresztą on i niebardzo potrzebował tych pieniędzy.

— Ale gdyby potrzebował, toby szwagierka przycisnął i do sprzedania Orchowa zmusił, ze znaczącem mrugnięciem zagadnął Porycki.

Żyd głową wstrząsnął.

— To może być i może nie być. Żeby on tak zrobił, toby szwagra zgubił. a dotąd on jeszcze nikogo nie zgubił, i na to bardzo liczyć nie trzeba. Co się tyczy pana Mieczysława, on w kilka miesięcy po śmierci ojca ożenił się...

— A! przerwał Porycki z widocznem niezadowoleniem, ożenił się pewno z bogatą panną, posag wziął albo weźmie, i z naszej roboty nic nie będzie.

— Przepraszam pana, on ożenił się nie z bogatą panną, ale z biedną dziewczyną, z guwernantką.

Schmurzone czoło głównego agenta rozjaśniło się.

— O poczciwy głupiec! zawołał ze śmiechem. Przez całe życie pracował nad tem, abyśmy teraz łatwiej do jego Orchowa dobrać się mogli.

— Jak widzę, rzekł Żyd powoli, to pan lubi na każdą rzecz z jednej tylko strony patrzeć. No, to od gustu zależy; ale ja lubię rzeczy ze wszystkich stron obejrzeć.

Filuterny uśmiech przewijał się po ustach Elego, gdy słowa te wymawiał.

— Pan mówi, że on zrobił głupio, żeniąc się z biedną guwernantką, a ja mówię że on zrobił rozumnie. Żeby on ożenił się z bogatą panną, toby ją musiał do ślubu powieść w pięknej karęcie, a w domu miałyby zbytki, i bale, i meble z Warszawy, i suknie z Paryża. Posag djabliby wzięli, a bięda byłaby jeszcze większa. Ale panna Michalina Szyłłówna nie potrzebuje od niego ani karety, ani balów, i w domu z założonymi rękami nie siedzi, bo kiedy ona była biedną guwernantką, to przywykła pracować, i w jednej włnianej sukience chodzić, i kaprysów żadnych nie mieć. On żeniąc się, nietylko karęty nie kupił i mebli z Warszawy nie sprowadził, ale wszystkie pojazdy, piękne konie, drogie meble, srebro i klejnoty, które w Orchowie jeszcze były, sprzedał, a pieniądze które za nie wziął mnie oddał, bo mój dług był najpilniejszy. Ja, przyznam się panu, pieniędzy tych brać nie chciałem, bo wolałbym Orchów nadal w posesyą wziąć. Ale on zaśmiał się i powiedział: „A co ja będę robił, panie Makower, jeśli pan tu u mnie gospodarować będziesz?” I ja z Orchowa wyjechać musiałem. Teraz to oni tam żyją w tym Orchowie nie jak panowie, ale

jak ekonomy, nu, co ja mówię, ich ekonomy dawniej żyli lepiej i pracowali mniej, jak oni teraz żyją i pracują.

— A więc, rzekł Porycki w pół z niezadowolaniem, w pół z szyderstwem: bogacz już być musi teraz z tego pana Mieczysława. Długi pospłacał kapitały zbiera.

— Długi to rzeczywiście wszystkie prawie pospłacał, prócz tego co siostrze się należy; ale co do kapitałów, to jeszcze tam o nich ani słyhać.

— Ani słyhać? proszę! A jednak pracują oboje.

— W naszym terażniejszym gospodarstwie, widzi pan, pracować bez pieniędzy, to wszystko jedno co wodę do dziurawego naczynia lać. Co wleje się, to i wyleje.

Porycki zaśmiał się.

— Aha! zawołał, więc ten rycerz twój, panie Eli, od stóp do głowy w pancierz żelazny zakuty, ma jednak Achillesową piętę jakąś, w którą trafić można, aby go powalić na ziemię.

— Ja nie wiem co to za pięta, o której pan mówi, z przebiegłym uśmiechem odparł Żyd. Ja tylko to wiem, że jeżeli który z nich nie ma dziś pieniędzy na gospodarstwo, to siedzi on na majątku swoim jak na lodzie. Jak słońce przygrzeje, lód stopi się i on utonie.

— Szczególniej jeżeli bawi się w wydawanie siostrom obligów.

Po wymówieniu słów ostatnich agent główny milczał chwilę i z rozjaśnioną zadowoleniem twarzą białe ręce zacierał.

— No, rzekł, jest tam jeszcze na spisie moim niemało imion innych ludzi i miejscowości, ale o nich pogadamy później, te bowiem o których mówiliśmy przed chwilą, są dla nas najważniejszymi, idzie teraz o to, jak zrobić znajo-

mość z ludźmi tymi, jak przyciągnąć ich i w int eres z nami wprowadzić. Plan z którym tu przyjechałem jest następujący. Najmuję w N. piękny jaki, obszerny lokal, w pokaznym i uczęszczanym miejscu położony, urządzą parę wielkich salonów z lustrami, firankami i eleganckimi meblami, a nad wejściem od ulicy zawieszam wielką tablicę, na której połączeniem literami stać będzie napis *Filia Domu pośrednictwa*. Być może, iż kupię sobie ładny powóz i będę nim jeździł po mieście, aby widziano jak występuje główny agent Domu i prezes filii. Jednym słowem, trzeba nam wiele blasku, szumu, elegancyi, tytułów, a oni się na to wszystko złapać dadzą, jak sroki na błyszczące blaszki. Cóż, czy nie dobry projekt?

Śmiał się, mówiąc to, Porycki i znowu ręce zacięrał. Ale Żyd nie podzielał uniesień jego.

— Z przeproszeniem, rzekł po chwili milczenia, projekt pański niedobry. Oni lubią wszystko co błyszczy i brzęczy—to prawda, ale oni i inne jeszcze rzeczy lubią i z tem liczyć się koniecznie trzeba. Jak oni zobaczą te wszystkie napisy i salony, o których pan mówi, to oni zaraz pytać się będą jedni drugich: a co to znacz y? a na co to. I zejdą się do kupy, zaczną myśleć i będzie gwałt, strach, wielkie gadanie o tém, że ich chcą wywłaszczyć, zgubić. Każdy z nich schowa się przed temi salonami, przed tą tablicą i przed panem agentem, który powozem jeździ, i zrobi się tak, że ten co był hultaj, weźmie się do roboty, a ten co pieniądze rozrzucał, będzie je w kieszeni dusił, a ten co milczał, krzyknie; ostrożnie! Wtedy interes nasz z pewnością źle pójdzie i pan baron von R.. i pan generał L... i wszyscy inni pańscy ludzie kontenci nie będą .. Ja panu po-

wiem. To jest interes taki, który lepiej rośnie pod ziemią, jak na ziemi.

— Każdego z nich trzeba brać osobno i zaczynać pocichu, zdaleka, ale ze wszystkich stron razem. Fajerwerków żadnych nie wyprawiać, *strachów nie wypuszczać*, nikogo nie budzić i tak zrobić, żeby ptaki były w klatce, nim się jeszcze spostrzegą, że ta klatka nie na jednego z nich postawiona, ale na wszystkich. Ot jaki mój projekt.

Porycki z niezadowoleniem słuchał słów tych Elego. Miał on sam widać wielki pociąg do wszystkiego co błyszczy i brzęczy, i z trudnością przychodziło mu wyrzec się perspektywy świetnych salonów. Ze jednak zachcianki wytworności i przyzwyczajenia bliższych łączyły się w nim z chciwymi popędami spekulacyi, wywody cichego, w żydowski hałas ubranego, lecz przebiegłego i wytrawnego spekulanta nie mogły nie trafić do jego przekonania. Eli zresztą był mu potrzebnym i bez jego pomocy planów swych w żaden sposób ziścić nie mógł. Po chwili więc milezenia, w czasie której zęgnął z przykrością wymarzony przez się obraz, rzekł:

— Niech i tak będzie! Każdego z nich weźmiemy osobno i obejdziemy dokoła—pocichu. Jutro zaraz jadę do Orchowa. Ciekawym, doprawdy, zobaczyć tego rycerza.

Eli uczynił żywe poruszenie.

— Niech pan do niego nie jedzie, bo pan nie zrobi i interes do reszty zepsuje.

— A to dlaczego?

— Nu, już ja wiem dlaczego. Pan jedź do Ręczyna, a do Orchowa ja sam pojedę. Pan Mieczysław z panem i gadać nie zechce... ze mną to co innego.

— Ciekawym dlaczego?



Eli odpowiedział:

— Ja — Żyd, Makower, a pan — Porycki!

— Głupstwo! wymówił agent główny.

— Dla pana i dla mnie to głupstwo, ale pan Orchowski inaczej o tem myśli. No, a teraz może trochę o pańskich ludziach pogadamy.

Zapalili nowe cygara, popróbowali drzwi czy dobrze zamknięte, umieścili krzesła swe ściśle jedno przy drugim i z głowami opartymi na dłoniach, z twarzami zbliżka ku sobie pochyleni, szeptali długo. Porycki opowiadał i śmiał się często, Eli słuchał uważnie i od czasu do czasu tylko uśmiechał się zlekka. Było już po północy, gdy wzięli obaj ołówki i na kartkach papieru kreślić zaczęli i przekreślać długie cyfr szeregi. Przy końcu rozmowy w szepcie tych dwóch ludzi czuć było sprzeczkę lekką. Porycki parę razy głos podniósł i powtórzyły się w ustach jego wyrazy: procent, podział, zysk. Ale Eli nie sprzeczał się, nie gniewał, głosu nie podnosił. Powstał i biorąc do ręki jeden z leżących na stole wizytowych biletów, zwolna wymówił:

— Z przeproszeniem pańskim, ja jeszcze coś powiem. Pan nie nazywasz się *Porycki*, tylko *Pirucki*. Odmienić w nazwisku swoim dwie litery, to zdaje się mała rzecz, ale przez to ludzie zaraz myślą o pana, że pan jesteś hrabia, z wielkiej rodziny pochodzisz, a ztąd honory dla pana wielkie, a jak u kogo, to i wiara w pańską poczciwość większa. Ja nie mówię, że pan źle zrobił, ja nie mówię... ja to powiedziałem dlatego tylko, żeby pan wiedział, że ja o tem wiem.

Przy pierwszych zaraz słowach Żyda Porycki zarumienił się gwałtownie, potem zbladł bardzo, ręce i usta mu zadrżały i gniewnie zawołał:

— Zkąd pan wiész o tem?

— Dlaczego ja mam nie wiedzieć? odparł Eli. Nas było rodzeństwa osób piętnaście. Kiedy my wszyscy pożenili się i powychodzili za mąż, to nas zrobiło się trzydzieści. Żebyśmy tylko po dwoje dzieci mieli, to byłoby w naszej rodzinie osób 60, ale u nas dzieci rodzi się więcej. Widzi pan jaką ja mam wielką rodzinę, a ta rodzina wszędzie jest, i na Wołyniu także jest, i jak pan wyjeżdżał z tamąd na agenta Domu pośrednictwa, to już ja wiedział kto pan, z kąd i jak. Ot i wszystko. Niech pan ani dziwi się, ani lęka, ja nie czarownik i nie denuncyant. Ja to tylko powiedziałem dlatego, ażeby między nami zawsze zgoda była. Dobranoc panu. Jutro jadę do Orchowa, a pan jedź do Ręczyna. Wszystko będzie dobrze.

Z temi słowami Eli opuścił hotelowy pokój. Po odejściu jego Porycki stał długo jak skamieniały przy stole.

— Niegodziwe żydzisko! szepnął przez zaciśnięte zęby, trzyma mię teraz w ręku!

Po chwili dodał:

— Chciałbym bardzo wiedzieć, czy też on wieco i o Julii.

Widocznie przecież lekkomyślność była jedną z składowych cech charakteru człowieka tego, bardzo prędko bowiem ochłonął z gniewu swego i przerażenia, uczynił ręką gest lekceważący i rzekł:

— A! co tam, strachy na Lachy! Interesa zapowiadają się pięknie i... ciekawie. Ciekawym jest, jak honor kocham, ten pan Mieczysław Orchowski sentymentalny głupiec, który konającemu ojcu swemu składał przysięgi jakiegoś, ożenił się z guwernantką i żyje jak ekonom. Ciekawą jest siostra jego, piękna Lila, która męża swego nie kocha, a w ślicznej łapce swój trzyma losy brata. pod postacią dwudziestotysięcznego obligu.

II.

Ciekawość, którą Porycki w monologu swym objawiał, żywo musiała być zaostrzoną; interes nad którym rozpocząć miał starania obiecywał mu się znać bardzo poętnie i korzystnie, bo nazajutrz zaraz po rozmowie swój z Makowerem wyjeżdżał on z N. wynajętym naprędce koczkiem, czwórką koni zaprzężonym. Na kozle, obok najemnego woźnicy, siedział świeżo, bo przed godziną zaledwie przyjęty do służby lokaj.

Pomimo przeciwnych zaleceń Ellego, Ildelfons Porycki jechał do Orchowa. Pragnął może na własne oczy przekonać się o trudnościach, które przebiegły Żyd zapowiadał mu z téj strony, albo też poprostu lekkomyślny tam nawet, gdzie szło o rzeczy ważne dlań i upragnione, folgował zachęcanie podrażnionej ciekawości. W pośpiechu i uporze, z którymi dążył do osobistego zapoznania się z Mieczysławem Orchowskim, było też zapewne wiele ufności w spryt własny, w umiejętność zawiązywania stosunków, wydających się dlań razu prawie niepodobnemi.

To też siedząc, a raczej z wielką swobodą postawy nawpół leżąc w koczku i paląc cygaro, miał on minę czło-

wieka, który mówi sobie: przyjadę, spojrzę, zwyciężę! Od czasu do czasu rozglądał się po przebywanych okolicach i uśmiechał się wzgardliwie.

Widoki to były smutne, krajobrazy po których, mimo słońca jaśniejącego w pełnym blasku letnim, błądziły tajemnicze, głębokie cienie. Nad szerokimi, okiem nieścignionemi rozłogami unosiła się cisza martwoty i bezładności; wśród pól odlogujących, albo w pierwotny sposób uprawianych, słychać było tylko świergot ptactwa; dzikie zielska porastały obszerne przestrzenie dzikiej przyrody; bezładna bujność mieszała się z okrwawiającą miejscami inną żółtą, nagą jałowością. Tu i owdzie widniały z oddali siedziby ludzkie, samotne i milczące, domostwa których ściany z za opadającego tynku świeciły kruszącą się cegłą czerwoną, lub ciemniały próchniejącym drzewem zczerniałym. Niekiedy, z dwóch stron ścieżki, sterczały w nieprzeliczonych szeregach odziomki po ściętych drzewach pozostałe, a w rzadkich odległościach, na tle pustej przestrzeni, wznosiły się kalekie niedobitki sosen i jodeł. Nigdzie w okolicy tej całej nie można było dostrzedz tego krzątania się, ruchu, życia, tych robót różnorodnych, które gdzieindziej objawiają zwawe bicie serc ludzkich, działalność rąk i myśli, nateżenie i walkę sił człowieka z przyrodą. Tu serca zmęczone lub nierozbudzone, uderzały znać powoli i trwożnie, ręce leniwe były lub nienzbrojone, myśli i siły ludzkie rozbijały się o skałę fatalnej niemożności jakiegós. Nie była to pustynia niemniej przecież czułeś tu nadsciąganie ciężkich, duszących oddechów pustyni.

Kto inny, jadąc tędy, miałby westchnienie w piersi— Ildefons Porycki uśmiechał się wzgardliwie, lub obojętnie, znadzone spojrzenie tocząc po pustych przestrzeniach... Przeszedł jednak uśmiechać się i obojętny wyraz twarzy

zmienił na zaciekawiony, gdy powóz jego wjechał na szeroką drogę, dwoma gęstymi rzędami starych kasztanów osadzona, a wiodącą do otwartej na oścież bramy orchowskiego dworu.

— Czy to Orchów?

— Orchów, panie!

Porycki podniósł się z siedzenia i położył dłoń na ramieniu woźnicy.

— Słuchaj-no! rzekł, trzy ruble dostaniesz, jeśli przed dom ten zajedziesz zrećcznie, z szykiem, po pańsku, rozumiesz?

Woźnica zrozumiał. Cztery rosłe i dobrze utrzymane konie ruszyły tak żwawo, że aż tumany kurzu podniosły się z pod kół koczyska i pełnym klusem, podzwaniając uprzężą, wbiegły na wielki podwórzec, gdzie kolista droga, niegdyś gracowana znać i zwiem usypywana, dziś czysto wymieciona tylko, wiodła ku nizkiemu, długiemu domowi.

Rozglądając się dokoła, Porycki spostrzegł, iż szykowność ekwipażu jego i zapłata woźnicy przyobiecana zupełnie były stracone. W oknach domu nie ukazała się twarz żadna i na ganek nie wyszedł nikt. Nie miano tu znać czasu ani zwyczaju wyglądać gości, nie trzymano służby licznój, w każdej chwili gotowej wybiedz na spotkanie przybywających.

Porycki wyskoczył z powozu, rozkazał woźnicy z powozem i końmi zatrzymać się na uboczu i stanął na ganku. Od dachu podtrzymywanego sześciu grubemi słupami i od dzikich powojów, pnących się po zielonój kracie, był tam cień chłodny i orzeźwiający; z obu stron stały drewniane ławki z poręczami, a przed jedną z nich znajdował się stół obszerny. Siedziano tu widać niedawno, spożywano śniada-

nie, czytano i rozmawiano, gdyż na białej serwecie stół przykrywającą leżała książka nawpół roztwarta, stał k. szyk z robotą kobięcą i inny, napełniony pięknymi ogrodowymi owocami. Na ławce drobne jakieś ręce dziecinne pozostały zabawek parę.

Osoby które w cieniśm miejscu tēm przepędziły wczesne godziny poranku, rozproszyły się teraz po różnych stronach dworu. Szerokie gałęzie drzew kasztanowych rzucały na ganek ruchome swe cienie. Rozkwitające wśród gęstej zieleni białe kielichy powojów wydawały woń lekką. Pod gzymsem dachu świergotały w gniazdach jaskółki, a za oknami domu, które wychodziły na ganek i na oścież były otwarte, panowała cisza głęboka i wznosiły się ściany obszernych pokoi, czyste, lecz poprostu pobielone i nieprzyozdobione niczēm. Zieloność, cień chłodny, zapach kwiatów, świergot ptaków, ciche, prostotą obyczajn technące wnętrze starego wiejskiego domu, nie były to rzeczy zdolne poruszyć struny wrażeń i uczuć w organizacyi głównego agenta, który widocznie daleko więcej lubować się musiał w beładnych hałasach tłumów i pstrych objawach zgiełkowego życia. A jednak wyraz twarzy jego nie objawiał niecierpliwości i znużenia, owszem, z zajęciem żywem z badawczością ciekawą przyglądał się różnym częściom dworu, nad wszystkiēm co tam widział uważne czyniąc wnioski, ze wszystkiego wyciągając dla siebie wróżby powodzenia dobrego lub złego.

Orchów nie miał już teraz tak zaniedbanego i upadającego pozoru, jak przed siedmiu laty, niemniej przecież, obok staranności, usiłowań, uporczywej pracy i umiejętnej myśli ludzkiej, znać tu było na każdym miejscu walkę, potrzebę, łataninę, troskę. Dwór ten przebudowany, podpięra-

ny, oczyszczony z ruin, na zupełne usunięcie których niedostawało czasu i pomocniczych środków, podobnym był do wszelkiego dzieła, którego logiczny rozwój spotyka się z mnogimi przeszkodami.

Wzrok Poryckiego obiegł dokoła wielkie podwórze zawierające w sobie tylko dom mieszkalny z przyległemi oficynami i zatrzymał się długo, ze zdwojoną ciekawością na dziedzińcu folwarcznym. Tam dopiero byli ludzie i wrzał dość ożywiony ruch gospodarski. Przez szerokie wrota stodoły, na oścież roztwarte, słychać było głucho warczenie maszyny jakiejś, białe płócienne ubiory robotników. Przed szarą oficyną, służącą niegdyś za pomieszkanie żydowskim dzierżawcom Orchowa, kilka kobiet w wiejskich ubraniach dokonywało nad drewnianemi naczyniami robót jakichś około nabiątu czy prania; od strony zaś śpichrza szła szybkim krokiem dość wysoka, bardzo kształtna postać kobięca w perkalowój sukni, którą blask letniego słońca czynił jasną i połocistą, w słomianym kapeluszu o szerokich brzegach na głowie.

Kobięta ta spostrzegła znać powóz w pobliżu ganku, bo stanęła, popatrzyła chwilę, a potem ze zdwojonym pośpiechem iść zaczęła ku domowi.

— A! szepnął Porycki, pani domu zapewne, guwernanteczka owa, która tak zręcznie oplątać umiała serce młodego dziedzica, że wyrzekł się dla niej żony z posagiem, mogącym mu dziury w dachach połatać. Ciekawym czy ładna przynajmniej.

W chwili gdy to mówił, kobięta w perkalowój, od słońca jaśniejącej sukni, znajdowała się już w połowie dworskiego dziedzińca, gdy nagle zatrzymały ją w drodze głośne śmiechy i wołania dwojga dzieci, które wysunawszy

się z za gęstych krzewów, osłaniających boczną ogrodową furtkę, biegły na jęj spotkanie. Tuż za niemi w otwartej furcie, w cieniu rosnącej tam lipy rozłożystej, stanęła kobięta stara, w białym czępcu i czarnej sukni, z bladą, pomarszczoną, lecz łagodną twarzą. Naglądała znać dzieci, które bawiły się w ogrodzie, a teraz, ujrzawszy matkę, uczepiły się rąk jęj i z głośnym szczebiotem podniosły ku nięj drobne swe, rumiane twarze. Kobięta w perkalowej sukni stanęła na chwilę i pochyłona, zamieniła z niemi słów kilka, poczem, przesławszy staruszcze uśmięch i skinienie głowy, a młodszą pięcioletnią dziewczynkę wzięwszy za rękę, szła dalej ku domowi.

Gdy znajdowała się już w bliskości ganku zdjęła słomiany kapelusz, a blask słońca, który dotąd złościł tylko jęj suknię, oblał teraz i ukazał w pełni kształtną jęj głowę, z wieńczoną dwoma grubemi warkoczami ciemnych, lśniących włosów.

— No! szepnął Porycki, niczego sobie! ale żeby to było znowu coś tak bardzo osobliwego—nie powiem. Dużnie jakoś i zimno wygląda ta ex-guwentantka.

Powierzchnowość ex-guwentantki nie była w istocie taką, któraby uczynić mogła wrażenie przyjazne na ludziach Poryckiemu podobnych. W cerze twarzy jęj śniadawęj, ogorzałęj nieco, w oczach pełnych blasku i spokoju w zarysie ust, których słodycz nie wyłączała energii, w kształtach, postawie i poruszeniach jęj kibici znać było pełną i jędrną dojrzałość sił fizycznych i moralnych, powagę naczelniczki domu, dumę i spokojną radość szczęśliwęj żony i matki. Była-to postać niewieścia na pięrszy rzut oka surowa i nieco zimna, bo pozbawiona wszystkich owych drobniutkich powabów i przystrojów, które wokoło wielu

innych kobiet tworzą atmosferę sztucznej miękkości i fałszywego ciepła; trzeba było w istocie długo na nią popatrzeć, z oczów jej wyczytać myśli, w uśmiechu ust pochwyć uderzenia serca, aby nazwać ją piękną.

Oddała gościowi grzeczny, choć lekki ukłon i widząc przed sobą nieznanego, stanęła w wyczekującej postawie. Porycki, po złożeniu ze swjej strony wytwornego ukłonu, wyjął z kieszeni kamizelki bilet wizytowy, a oddając go pani domu, z pełnym przymilenia uśmiechem oświadczył, iż przybył tu w celu zabrania osobistej znajomości z panem Mieczysławem Orchowskim i pomówienia z nim o interesach, które, jak sądzi, mieć będą dla dziedzica Orchowa wagę niemałą.

— Wszakże nie mylę się, dodał agent główny z nowym i głębszym jeszcze niż wprzód ukłonem, mniemając że stoję przed żoną pana Mieczysława Orchowskiego, panią tego domu? Prawdziwe to dla mnie szczęście że poznać mogę osobę, o cnotach i piękności której...

Nie dokończył zaczętego frazesu, bo twarz Michaliny, który schmurzyła się już była zlekka przy odczytywaniu tytułu wypisanego na wizytowej kartce, stała się wobec prawionego jej pochlebstwa zimną i nieruchomą.

— Nie mylisz się pan, rzekła, jestem żoną Mieczysława Orchowskiego i gospodynią tego domu. Mąż mój zajęty jest w tej chwili gospodarstwem, ale wnet poszę po niego. Chciej pan wejść.

Rzekłszy to, weszła w głąb domu i gestem zaprosiła gościa, aby szedł za nią.

Po chwili Porycki znajdował się sam jeden w obszernym pokoju, trzema oknami na dziedziniec wychodzącym. Był to ten sam pokój, w którym Kajetan Orchowski pędził

ostatnie, smutne lata swego życia, w którym umierał i prowadził z synem uroczystą przedśmiertną rozmowę. Też same szafy ksiąg pełne stały tu pomiędzy oknami, też same wizerunki ludzi mających droższą i czynem wielkich okazywały jedną ze ścian bocznych. Zachowano tu nawet stare obicie błękitne z wypłowiałymi złoceniami, a niedostawało tylko łoża, na którym tak długo spoczywał chorobą doń przykutym starzec przedczesny, na wielkim zaś stole u komina leżały niewidywane tu dawniej księgi gospodarskie i rachunkowe, przeróżne rejestra i notatki. Parę kanepek tanim perkalim obitych i kilka krzesel okrągłych stojących przed kominem, dopełniały umeblowania pokoju tego, który miał pozór poważny i wesoły zarazem.

Na twarz Poryckiego, gdy został znowu samotnym, spadł wyraz niepokoju i niezadowolnienia. Przybycie jego odbyło się w istocie pod wróżbą nie dobrą. Nikt tu nie wybiegł na jego spotkanie, nikt ostrzeżeniem i odrazu nie odbitym nie został przez szyk ekwipażu i całej osoby jego. Gospodyni domu, zrazu uprzejma, stała się po przeczytaniu nazwiska jego i tytułu zimną, dumną prawie, a jakkolwiek nie odmówiła się względem niego z prawidłami grzeczności, odchodząc jednak i pozostawiając go samotnym, okazała mu aż nadto jawnie, iż zabieranie z nim bliższej znajomości nie jest wcale dla niej pożytecznym.

To też zachmurzona twarz jego rozjaśniła się wtedy dopiero, gdy w głębi domu ozwały się śpieszne męskie kroki i do pokoju wszedł mężczyzna w płóciennym letnim ubraniu, z twarzą ogorzałą od skwarów słonecznych, i w tej chwili przynajmniej, bardzo poważnie wyglądającą.

Mieczysław Ochocki w jednej ręce trzymał oddaną mu znać przez żonę kartkę wizytową gościa, drugą zlek-

ka bardzo dotknął podanej sobie dłoni przybysza. Wskazał Poryckiemu krzesło przy stole i bez śladu uśmiechu na twarzy, po której znać jednak było że uśmiechać się serdecznie umiała i lubiła, rzekł:

— Żona moja mówiła mi, iż przybyłeś pan tu z interesem, mającym dla mnie i dla pana wagę wielką. Czy mogę zapytać jaki jest ten interes?

Chłodna ceremonialność wiała od tego doraźnego przystępowania do interesu; ale Porycki postanowił nie zrażać się byle czem i śmiało zapuszczać sondę w usposobienie i położenie człowieka, którego miał przed sobą. To też z fizyognomią rozjaśnioną, z pełną swobody i ugrzecznienia postawą odpowiedział:

— Wątpię abym się mylił, mniemając że państwo wiedzą coś o powodach, które mię w strony te sprowadziły..

— Nie mylisz się pan, przerwał Orchowski, powody te łatwe są do odgadnienia z tytułu, umieszczonego na wizytowej karcie pana. Jesteś pan wysłannikiem Domu pośrednictwa, a może i członkiem stowarzyszenia, które dom ten założyło.

Porycki skłonił się potwierdzająco.

— W istocie, jestem wysłannikiem i członkiem stowarzyszenia tego, rzekł uprzejmie. Pragnąc też z zadania swego wywiązać się ku jak największej korzyści i zadowoleniu stron obu, postanowiłem osobistą zabrac znajomość z mieszkańcami okolicy tutejszej, a uczyniłem to tén śmielój, że okolica ta słynie z wykonywania na szeroką skalę starosłowiańskiej cnoty gościnności.

Słowa ostatnie, w mniemaniu gościa, zobowiązać zapewne miały gospodarza domu do wykonywania i wzglę-

dem niego cnoty wspomnianej. Ale Orchowski nie uczuł się znać zobowiązany do niczego.

— W imieniu okolicy mojej, odparł zimno, dziękuję panu za dobre o niej wyobrażenie; zastrzedz przecież winniem, iż różne zmiany i okoliczności zmusiły nas obecnie do praktykowania gościnności na daleko mniejszą niż dawniej skalę.

— O! śmiejąc się lekko, zawołał Porycki, przebacz pan, ale słów jego zastosować nie mogę do tego przynajmniej miejsca. Ten dwór starożytny, wspaniały, te pokoje widne i przestronne—wszakże to typ naszych dawnych szlacheckich siedzib, w których...

— Dwór ten wspaniały, zwolna i jakby powściągnąjąc się przerwał Orchowski, dwór ten wspaniały w części dopiero wydzwignięty został z ruiny, a połowa jego zamkniętą jest na klucz, gdyż dla skromnego życia, jakie prowadzę tu ze swą rodziną, kilka pokoiów wystarcza zupełnie.

Agent główny westchnął i uczynił ręką gest pożalowania.

— Tak, tak, zawołał, jesteście dziś panowie ścieśnieni, skłopotani, podobni do załogi oblężonego miasta, którego prowizye wyczerpywać się zaczynają. Przebacz pan jednak, jeśli wyrażę zdanie, że położeniu swemu sami winni jesteście.

— Czy mówiąc to, myślisz pan o przeszłości, czy o terażniejszości? zapytał gospodarz domu.

— O przeszłości?.. odparł żywo gość; któż o niej mówić może? Wartoż myśleć o tém co już minęło? Wszak dla wszystkich ludzi nowych idei, do których i pan zapewne należysz, trądyca jest niezém więcej, jak pustym i przestarzałym przesądem!

Zamilkli na chwilę. Oczy ich spotkały się długim, ze stron obu upartym spojrzeniem. Natury dwóch tych ludzi odtrącały się wzajem, w sposób dla obu nieprzewyciężony a dręczący. Wszystko co wiedzieli o sobie, czém byli i być pragnęli, wlewało w rozmowę ich tę ostrą ucinkowość, za pozornym chłodem której wre płomień powstrzymywanego z trudnością oburzenia. Porycki jednak nierad był z siebie. W życiu jego były przejścia i płataniny, które utwierdziły w nim wiarę głęboką we własny zmysł dyplomatyczny, w giętkość własnego obejścia się i charakteru. Tu spostrzegać zaczął, iż uległ mimo woli wrażeniu wywartemu nań przez przyjęcie, które go spotkało, przez cały pozór domu w którym się znajdował, a nawet przez powierchowność pana domu tego, piękną, wyniosłą nieco lubo prostą, ziarną dla niego, a jednak pełną ognia i życia. Zamiast badać, zdradzał się, zamiast pochlebiać, obrażał. Był pewnym, że posiadał do gruntu sztukę obłudy, a przecież oręż ten, używany przezeń wiele już razy z powodzeniem, wypadł mu z ręki, pod wpływem ugodzonej przykro miłości własnej i instynktowo budzącego się w nim nieprzyjaznego uczucia.

Wszystkie uwagi te nasunęły się znać myśli głównego agenta, twarz bowiem jego szydereza już i niechętna przez chwilę, stała się na rozkaz woli uprzejmą, przymilonną, żartobliwą.

— Spostrzegam, zawołał z dobrodusznym śmiechem, spostrzegam że nie rozmawiamy z panem tak, jak pozytywnym ludziom rozmawiać przystoi. Sądzę bowiem, że pan zaliczasz się do rzędu ludzi pozytywnych?

— W istocie, odparł Orchowski, uważam siebie za

człowieka pozytywnego, nie wiem tylko czy jednostajne znaczenie ja i pan do wyrazu tego przywiązujemy.

— O, ani wątpię że jednostajne. Pomiędzy dwoma ucywilizowanymi ludźmi, którzy obaj wysoko cenią nowe, humanitarne idee naszego czasu, różnica zdań może być tylko pozorną. W każdym razie przyznaj pan, że rozmowę prowadziliśmy dotąd w sposób nieco zagadkowy, a to nie doprowadzi nas do żadnego pozytywnego celu. Jeżeli więc pan pozwoli, przystąpię do interesu.

— I owszem, słucham pana, rzekł Orchowski.

Agent główny wygodniejsi zasiadł w staroświeckim krześle i z jednostajnym zawsze uśmiechem przymilenia, obok wyrazu głębokiej rozwagi i powagi, mówić zaczął:

— O ile domyślam się, jesteście tu panowie niezupełnie trafnie poinformowani o celu, dla którego Dom pośrednictwa założonym został i o ludziach którzy na czele przedsiębiorstwa tego stanęli. Ludzie ci, jako kapitaliści, mają zapewne prawo żądania, aby obroty piędźne przez nich dokonywane przynosiły im odpowiednie zyski; ale głównym ich celem jest—idea, idea przyniesienia korzyści krajowi temu, przez uwolnienie kapitałów nieruchomości dotąd w ziemi uwięzionych. Szlachta tutejsza, ogołocona z zasobów materyalnych, nie jest w stanie powiększyć produktyjnej siły posiadanych przez się gruntów, trzeba więc dać jej w ręce kapitał i pełnąć ją na nowe tory przemysłu, handlu, zarobkowych profesyj; ziemią zaś owładną ci, którzy będą mieli czém żywić ją i ulepszać. Tym tylko sposobem odświeżą się siły i zasoby kraju tego, a rolnictwo z upadku podźwigniętém zostanie. Są to prawdy i pewniki ekonomiczne, które zachęciły członków Domu pośrednictwa do rozpoczęcia działalności trudnej, ale szlachetnej i w skutkach

swych dla stron tutejszych dobroczynnej. Oto jest szczere przekonanie moje o Domu pośrednictwa i jego działalności.

Słowa te wymówione zostały z nieudaną mocą i prawdą. Niepodobna było mylić się: Porycki miał w istocie swoje przekonania, a niektóre z nich wyraził teraz zupełnie szczerze. To też Orchowski, po chwili namysłu, odpowiedział:

— Nie pozwalam sobie wątpić o szczerości przekonań pańskich we względzie celów i zamiarów Domu pośrednictwa. Jakiemi zaś są moje w tym względzie przekonania, będzie to dla pana i jego spółtowarzyszonych rzeczą zupełnie obojętną, gdyż o sprzedaży majątku mego nie myślę wcale.

Porycki skinął parę razy głową na znak pobłażliwego przyzwolenia.

— Wiem, wiem, odparł, nie myślałeś pan dotąd, ale gdyby się zdarzyła okazja dobra, pewna, korzystna... może byś pan i pomyślał. Ja tu do pana z gotową już propozycją przyjechałem. Dobry znajomy mój, mogę powiedzieć przyjaciel, baron von R..., życzy sobie nabyć w tych stronach obszerne dobra. Baron jest wielkim kapitalistą, a położenie jego nie pozwoli mu z pewnością targować się o niedzny tysiąc, a choćby i dziesięć tysięcy rubli.

Porycki mówił to z lekkim tryumfem. Wierzył znać w moc niezbity pierwszego argumentu, z którym wystąpił. Argument ten nie uczynił jednak na młodym dziedzicu Orchowa ani ujemnego, ani dodatniego wrażenia. Nie uczuł on nawet potrzeby odpowiadania nań. Milezał... Agent milczenie to korzystnym dla siebie wahaniem się wytłumaczył, bo wnet, i śmieliej jeszcze niż wprzódy, mówić znowu zaczął:

— Ponieważ już tak szczerze i otwarcie ze sobą mówimy, powiem panu, że nie wiem doprawdy jakim sposobem i od kogo baron otrzymał mniej więcej dokładny opis znajdujących się w tych stronach majątków. Orchów podobał mu się z opisu nadzwyczajnie. Ogromne dziedzińce, jego starożytne ogrody, malowniczość tutejszego położenia uczyniły na wyobraźni barona jaknajlepsze wrażenie. Marzy już tylko o zbudowaniu tu pałacyku i przyjeżdżaniu do Orchowa każdego lata ze stolicy. Jest-to zapewne kaprys kapitalisty i człowieka możnego, ale... rozumiesz pan... gdy jedni ludzie mają kaprysy swe i gwałtowne zachcianki, drudzy z kaprysów ich i zachcianek korzystać mogą.

Umilkł i zupełnie już tryumfująco patrzył na gospodarza domu. Orchowski milczał jeszcze chwilę, a potem odparł:

— Bardzo żałuję, że nie będę mógł zadowolić kaprysu tak sławnego kapitalisty, jakim jest baron von R... Orchowa nie sprzedam.

W mowie Mieczysława brzmiała zrazu lekka, bo siłą woli powstrzymana ironia; ostatnie przecież trzy wyrazy wymówił z taką stanowczością, powagą i chłodem, że plenipotent barona uczuł się na chwilę zbitym z toru i do przytaczania argumentów dalszych onieśmielonym. Krótka to jednak trwało. Podniósł wnet głowę i z wyrazem twarzy wpół zdumionym, wpół przyjaźnie doradzającym, zawołał:

— Ależ dlaczego? panie szanowny! dlaczego? Państwo tu rdzewiejecie na wsi, odmawiacie sobie wszelkich przyjemności i rozrywek, które stanowią, że tak powiem, życie życia ucywilizowanego człowieka. Mam tu na myśli przyjemności i rozrywki szlachetne, kształczące smak i umysł. Gdybyście państwo posiadali w ręku kapitał, który

więzicie w ziemi wymagającej dziś wiele, a produkującej mało, moglibyście zamieszkać w wielkiem mieście, otworzyć salony swe dla wyborowego towarzystwa, otoczyć się komfortem... Doprawdy, czyliż egzystencya taka nie byłaby weselszą, szczęśliwszą od téj, którą prowadzicie tu państwo, od świata oddaleni?

Mówił to znowu z wyrazem szczerego i silnego przekonania. Widać było w istocie że sam, postawiony między dwoma rodzajami istnień, o których wspominał, ani na chwilę nie wahałby się z wyborem.

— Różne są pojęcia o szczęściu, zwolna i obojętnie odparł Orchowski. Co do mnie, sądzę że człowiek na każdym miejscu szczęśliwym być może, jeśli posiada przed sobą cel życia, który wydaje mu się pięknym i trudów jego godnym, a wkoło siebie tych, których kocha i szacuje.

— Bardzo pięknie pan powiedziałeś. Zgadzaam się na to że... przy pewnych osobistych gustach i usposobieniach, czuć się tu można szczęśliwym i zadowolonym. Ale, przebac pan uwagę, którą uczynię, zbyt poufałą może, masz pan rodzinę, żonę... dzieci, które przed chwilą widziałem. Czy nie sądzisz pan że dla interesów., dla bezpieczeństwa przyszłości téj jego rodziny...

Tym razem oczy Orchowskiego, spokojne i zimne dotąd, błysnęły uczuciem ostrém, przemocą nazewnątrż wydzierającym się, bo długo powstrzymywaném.

— Chciéj pan pozwolić, przerwał z odcieniem porywezości w głosie, abym troskę i starania o byt i przyszłość méj rodziny pozostawił najzupełniéj samemu sobie. Mniemam, dodał, topiąc znaczące spojrzenie w twarzy głównego agenta, mniemam że najdroższym spadkiem, który rodzina

jakakolwiek po naczelniku swym otrzymać może, jest przykład wiernego trwania przy pracy i obowiązku.

Lekkie rumieńce rozdrażnienia wybijać się zaczęły na żółtawe policzki głównego agenta. Tracił on znowu panowanie nad sobą. Chłód i stanowczość Orchowskiego, za którym niedobrze kryć się umiała milcząca wzgarda, wyczerpywały cierpliwość jego, podniecały żądze i wyrachowania z którymi tu przybył.

— Rozumiem, rzekł po chwili milczenia i jakby walki wewnętrznej, rozumiem myśl pańską. Ha, może to bardzo piękne, tkliwe, poetyczne; ale my, ludzie nowych idei, jesteśmy bardziej prozaicy i realiści..

— Pozwól pan, przerwał Orchowski, abym stanął tu w obronie tego, co pan nowemi ideami nazywasz. Według słusznych i rozumnych pojęć czasu naszego, spokojna, na prawych i prawnych drogach dokonywana, a ku celom sprawiedliwym wiodąca praca: potrzebą i powinnością być nie przestała.

Wymawiając ostatnie słowa. Mieczysław Orchowski powstał. Było to poruszenie niedwuznaczne wcale, na znaczeniu którego gość pomylić się nie mógł. Z za ciemnych szkieł oczy jego błysnęły nietajoną już, gniewną obrazą; ciemny rumieniec, szybki jak błyskawica, opłynął mu policzki i podniósł się na czoło, aż ku krótko przyszczyżonym włosom. Wstał z krzesła, z ironicznym uśmiechem na wąskich wargach.

— Postanowienie więc pana jest stałem i niecofnionem?

— Stałem i niecofnionem, powtórzył dziedzie Orchowa.

Skłonili się obaj w milczeniu, rąk sobie nie podając. Porycki z kapeluszem w ręku zwolna przechodził pokój. Orchowski, nie ruszając się, ogarniał spojrzeniem postać jego

zmierzającą ku drzwiom. O kilka kroków od drzwi gość zatrzymał się i twarz odwrócił. Oczy dwóch tych ludzi spotkały się raz jeszcze, ale tym razem ciemne oko Mieczysława gorzało pośpynym blaskiem, we wzroku zaś głównego agenta była ostra, jawna, wyzywająca groźba.

— Jeżeli jednak namyślisz się pan kiedy... zaczął plenipotent barona von R...

— Nie rachuj pan na to, przerwał mu głos Orchowskiego, stłumiony nieco, lecz groźbą dźwięku odpowiadający na groźbę spojrzenia.

— Niech mi wolno będzie przynajmniej rachować na okoliczności nieprzewidziane..

— A mnie przewidywać je i im zapobiegać.

W parę minut potem na dziedzińcu orchowskiego dworu turkotały koła szybko odjeżdżającego powozu. Za bramą, w połowie alei wspaniałej, staremi kasztanami ocienioną, agent główny podniósł się nieco z siedzenia, odwrócił głowę, palającą spojrzeniem objął wysoki dach starego domu i wyrzekł zeicha:

— Chyba żyć nie będę, jeśli ty ztąd nie wylecisz, dumny szlachcicu, rycerzu z papierowym mieczem!

Wyrazy plątały się i syczały mu w ustach. Przyjeżdżał tu z rachubą i chytremi planami w głowie, odjeżdżał ze śmiertelną obrazą i żądzą zemsty w sercu.

O parę wiorst od Orchowa powóz Poryckiego skrzyżował się w drodze z bardzo skromną, parokonną bryczką, na której siedział Eli Makower. Obaj zawołali na woźniców, aby zatrzymali konie; wysiedli i zeszli się na drodze.

— A z kąd to pan jedzie? zapytał Żyd.

— Z Orchowa, odpowiedział agent. Chciało mi się bardzo na własne oczy zobaczyć majątek i tego dziwaka

który jest jego właścicielem. Ale teraz żałuję że pojechał...

— A czy ja pannę nie mówił, że to będzie strata czasu tylko?

— Nie! z mocą rzekł Porycki, nie uważam bytności tam swojej za stratę czasu. Podwoi ona we mnie energią działania.

Tu zniżył głos i dodał:

— Słuchaj, panie Makower! jeżeli zrobisz tak, aby Orchów sprzedanym został baronowi von R..., otrzymasz nie dziesięć od sta, ale piętnaście... Porachuj pan dobrze, ile to wypadnie.

Makowera twarz drgnęła i oczy błysnęły. Była to jednak chwila przelotna, po której wrócił do zwykłego spokoju.

— Co o tem mówić, kiedy to jeszcze takie niepewne, rzekł. Pan dużo już zepsuł przez to, że tam pojechał. No, ale ja pojedę także i może naprawię. On zemną inaczéj gadać będzie jak z panem. Teraz jedź pan do Ręczyna.

W kwadrans po téj rozmowie bryczka Elego skręciła na boczną drożynę, która przez uprawne pole i kawał łąki wiodła ku młynowi, świeżo na ruinach dawnego, nad wązką lecz bystrą rzeczką zbudowanemu. W drzwiach budowy spotkał przybywającego Izraelita w chałacie mąką ubielonym, wyraźnie młynarz. Powitali się skinieniem głowy i kilku krótkimi wyrazami.

— Co słysząc u ciebie, Lejbo? zapytał Eli.

— Źle słysząc, markotnie odrzekł Lejba. Orchowski wydzierzawiać młyna już nie chce, mówi że *puścił* mi go z biędzy tylko, bo pieniędzy bardzo potrzebował, a teraz, kiedy kontrakt skończony, chce go mieć w ręku, żeby większe korzyści ciągnąć.

— To źle, bardzo źle dla ciebie, Lejbo! ty tu dużo zarabiał. A co będzie z temi pieniędzmi, co ja ci na wzięcie młyna dałem?

— Ty już, Eli o swoich pieniądźów bądź spokojny. Kiedy ty był taki dobry, że mnie ich pożyczył, to ja ich pewno nie skręcę i chwalić Boga mam oddać z czego. Żeby mi on tylko jeszcze choć na trzy lata młyn puścić!

Mówiąc ostatnie słowa, Lejba młynarz drżącą trochę ręką, gładził kędzierzawe pejsy i błagającemi oczami w twarz Elego patrzył. Po chwili odezwał się znowu:

— *Hörst*, Eli, zrób ty tak, żeby on mnie tego młyna nadal puścić. Ja wiem, że jak ty chcesz czego, to tak być musi. Moja Małka to przecież twoja siostra: zrób to dla niej!

— Zobaczymy, rzekł Eli. Ja tu dziś przyjechał, żeby z *nim* o ważnych interesach gadać. Czy on jest w domu?

— On zawsze w domu, odparł Lejba. Dziś on cały dzień w stodole, bo tam żyto nióca. Idź do niego zaraz i o moim interesie pogadaj.

Z miejsca na którym stali dwaj Izraelici widzieć mogli ogrody orchowskie, pokrywające małe wzgórze i szerokim szlakiem spuszczone na równinę. Śród zieleni ogrodów, w perspektywie wspaniałej, długiej alei, błyszczało pod promieniami słońca kilka okien mieszkalnego domu. Eli patrzył na okna te, jakby namyślając się i wahając.

— Nie, rzekł po chwili, teraz ja do niego nie pójdę. Człowiekowi zajętemu przeszkadzać nie trzeba, bo on zaraz w zły humor wpadnie, a wtedy o interesach gadać najgorzej. Ja do do niego pójdę wtedy, gdy stodołę zamkną i w oknach dworu zapalą świece. A gdzie Małka? niech ona

mi jeść da, bo ja dziś przed wyjazdem z N. wypił tylko szklankę herbaty.

Wieczór nadszedł. W orchowskim dworze ruch i gwar dzienny ustawał zwolna; okna domu, iskrzące się długo rubinowemi połyski, zagasły; szary mrok wisiał nad gęstemi ogrodami i przylegającą do nich łąką, wśród której, za wysoką ścianą młyna, szemrała i połyskiwała kręta wstęga strumienia. Na pogodne sierpniowe niebo występowały gwiazdy; nad ziemią wilgotną od mgieł wieczornych, unosiła się cisza głęboka, przerywana tylko głuchym turkotem oddalających się wozów wieśniaczych, brzęczeniem owadów i głosami żab skrzeczących w ogrodowym stawie.

Eli wstał z ławy, na której przed drzwiami młyna siedział i przed którą stał jeszcze stół z resztkami zsiadłego mleka na wyszczerbionym talérzu, z okruszynami razowego chleba i trochę niedopitego piwa w zielonawej butelce; wstał, skinął na pożegnanie głową Lejbie i Małce, siedząc z dwojgiem dzieci na niskim progu, i zwolna poszedł ścieżyną wydeptaną wśród łąki i wiodącą wprost ku dworskiemu ogrodzeniu.

Ogrodzenie to składało się teraz, nie jak dawniej, ze sztachet kosztownych, lecz w większej połowie nadgniłych i ku ziemi pochylonych, ale z prostego, mocnego płotu, utworzonego z kołów grubych i wysokich, wiązadłami z giętkiej łoży silnie ze sobą spojonych. Z za płotu strzelała wysoko, w nierozwikłaną zda się gąszcz spleciona leszczyzna i cienisto, poważnie rozpościęrały się liściaste gałęzie starych lip i klonów.

Eli obszedł dokoła ogrodzenie, minął folwarczny dziedziniec, na którym słyhać było gwar wieczerzającej w oficynie czeladzi, i drogą przeżynającą podwórze zmierzał ku mieszkalnemu domowi. Szedł powolnym, lecz śmiałym krokiem, jak człowiek który namyśliwszy się dostatecznie co i jak ma czynić, bez najlżejszych już wahań się, z zupełnym spokojem i pewnością siebie przystępuje do wykonywania planu, logicznie ułożonego i stanowczo przyjętego.

Wkoło domu panowała najzupełniejsza cisza; była to znać dla mieszkańców jego pora spoczynku, żadnemi zajęciami obowiązkowemi, żadnem głośnem krzątaniem się nieprzerywanego. Drzwi od sieni były zamknięte, a okna domu nieoświetlone, z wyjątkiem trzech, należących do pokoju, w którym przed kilku godzinami Orchowski przyjmował niezbyt miłego sobie gościa. Trzy te okna były otwarte. Wypływał z nich blask lampy palącej się w pokoju i strugą bladego srebra oblęwał rosnące za oknami wysokie, gęste krzewy bżów, róż i jaśminów.

Eli chciał zrazu wejść do domu przez sieni główną; wszedł już był nawet pod ciemne sklepienie gankowe i dotknął ręką klamki szerokich drzwi, na których fantastycznemi zarysami odznaczały się wśród zmroku staroświeckie rzeźbienia. Rozmyślił się jednak. Przyzwyczajony do wchodzenia w domy szlacheckie bocznemi wejściami, zstąpił cicho i bez szelestu z gankowych schodów i szedł wzdłuż dworu, zmierzając do małej, oszklonej sieni, znajdującej się u jednego z jego końców. Idąc w kierunku tym, minął już dwa świetlone, otwarte okna—gdy nagle stanął i przez gałęzie wysokiego bżowego krzaku utkwił oczy w przedmiocie jakimś, który wzbudził w nim widocznie żywą ciekawość. Po chwili uczynił poruszenie takie, jakby iść miał dalej. Nie

poszedł jednak, tylko wsunął się głębiej w cień drzew i krzewów.

— Nu! a co to szkodzi, że ja posłyszę co *oni* między sobą gadają? szepnął sam do siebie.

Słowa te odnosiły się do dwojga ludzi u otwartego okna stojących. Przed chwilą był tam tylko jeden mężczyzna, z ramionami skrzyżowanymi na piersi i głową w zamyśleniu schyloną. Teraz, z głębi łagodnie oświetlonej komnaty, wyszła i ku niemu zbliżyła się poważna, a jednak kształtna i wdzięczna postać kobiety. Stała także u okna i drobną dłoń miękko złożyła na ramieniu zamyślnego mężczyzny.

— Mieczysławie! rzekła półgłosem, smutny dziś jesteś.

Była to właśnie chwila, w której Eli stanął za krzakiem bżowym, z głową nieco naprzód wysuniętą, z wyrazem twarzy wyczekującym i ciekawym.

Na dźwięk głosu kobiety Orchowski podniósł głowę. Półuśmiech przesunął się mu po ustach, a w oczach błysnęła głębia serdecznego przywiązania i... ciężkiego smutku.

— Tak, Michasiu moja, odpowiedział zeicha, smutny dziś jestem i przed tobą, jak przed własnem sumieniem mojem, wyznaję, że strwożony także. Ten nasz gość dzisiejszy, charakter w którym przybył on tutaj, propozycye jakie mi czynił wzburzyły mię do głębi, przypomniały mi żywiej niż kiedykolwiek niepewność położenia naszego, trudności i niebezpieczeństwa dróg, któremi do celu wytkniętego dążymy. Dotąd walczyliśmy tylko z materyjalnemi przeszkodami i niedostatkami, teraz na drodze naszej staną ludzie.

Słowa te nie okryły twarzy słuchającej ich kobiety wyrazem przestachu; owszém, zdwoiły one energią jej spoj-

zenia, a zarys ust jęj uczyniły słodszy. Wzięła rękę mę-
ża w obie dłonie i zapytała znowu:

— Czego obawiasz się, Mieczysławie? czy grozi nam
dziś coś więcej niż zwykle.

— Obawiam się, odparł mężczyzna, czy tyle trosk
przeniesionych i podjętych trudów nie obróci się w niwecz;
czy jutro, pojutrze, za rok lub dwa lata nie będziemy zmu-
szeni porzucić tego miejsca tak nam drogiego i puścić się
w świat, pod dach cudzy, z dziećmi naszymi i tą gorzką
myślą, żeśmy znaczną część życia i sił naszych zużyli... da-
remnie.

— Mieczysławie! rzekła kobieta, przypomnij sobie
ileśmy już zrobili, ileśmy ciężarów z siebie rzucili, ile
ruin podźwignęli, ilu groźbom zapobiegali skutecznie. Dla-
czegoż przypuszczać mamy, że przyszłość trudniejszą jeszcze
będzie i mniej pomyślną, niż była przeszłość?

— Dlatego, z bolesną porywcznością zawołał Orchow-
ski, że jeden cios, z kądkolwiek pochodzący, obalić może
długie i mozolne budowanie nasze. Niech nam przez rok
jeden ziemia nieurodzajną będzie, niech omyli mię wyra-
chowanie jedno, niech jeden człowiek zły woli stanie mi
w drodze, niech Lila...

— Lila jest siostrą twoją! szeptała Michalina.

— Znasz Lilę., odparł zeicha i smutnie.

Na czole kobiety i w oczach jęj ku ziemi spuszczo-
nych odbiła się zaduma, nie trwożna, nie samolubna, ale
z całych sił umysłu i serca szukająca słów i środków ku
wsparciu zachwianej na chwilę odwagi, ku uspokojeniu
zmaconej myśli i wzburzonych uczuć ukochanego człowieka.
On okiem pełnym miłości i smutku ogarniał pochyloną ku
sobie jęj głowę.

— Czy wiesz, Michasiu, rzekł po chwili, w imię czego człowiek ten skłaniał mię dziś do opuszczenia stanowiska mego, do oddania w ręce obce ścian tych, wśród których przysiągłem sobie żyć, pracować i walczyć? Oto w imię dobra, szczęścia i przyszłości rodziny mojej, w imię twoje, droga moja, i dzieci naszych! Odpowiedziałem mu naturalnie, tak jak odpowiedzieć należało; ale... zrodziła się we mnie wątpliwość, czy naprawdę nie popełniam szaleństwa, narażając byt twój i tworząc ci terażniejszość tak surową a trudną. Oto już siedem lat, najpiękniejszych lat młodości naszej, zeszło nam na pracy i wyrzekaniu się wszystkiego. Jesteśmy niewolnikami gleby, przykuci do niej, wszelkich pomocniczych środków pozbawieni; nie rozporządzamy dowolnie żadną chwilą czasu naszego, żadnym groszem ciężko jednak zapracowanym. Czy masz ty kiedykolwiek choć jedną z tych przyjemności szlachetnych, których słusznie młodość twa i wykształcenie wymagaćby mogły? czy otacza cię choć drobna cząstka tych wygód i ozdób życia, w które opływają kobiety tysiąc razy mniej warte od ciebie? Wprowadziłem cię w dom pusty i nagi; w ręce twe złożyłem połowę trudnej roboty swojej; a jednak dziś, mniej może niż kiedykolwiek, zaręczyć ci mogę, czy obronić cię zdołam od twardszego jeszcze losu, od tułaczki po świecie, od śmiertelnej trwogi o przyszłość naszych dzieci!...

Mówił to z bolesnym uniesieniem. Znać było że pragnąłby wszystkie bogactwa i rozkosze ziemi roztoczyć w koło kobiety tej, którą kochał nad życie, że przyzwyczajenia i wyobrażenia dawne buntowały się w nim niekiedy przeciw woli i postanowieniom, krępującym mu ogólny plan życia. Ale kobieta do której mówił, dla której cierpiał, o los której drżał, słuchała go z uśmiechem na ustach i twarz

jego ogarniała coraz jaśniejszém, gorętszém spojrzeniem. Nikt dawniej spodziewałyby się nie mógł, aby te ciemne, nieśmiałe oczy biédnej guwernantki posiadać mogły tyle mocy.

— O mój drogi! zawołała, przebacz że śmieję się śród tak poważnej rozmowy. Kimże byłam? Czy bogatą dziedziczką? czy wypieszczoném, kapryśném dzieckiem pałaców?

Spoważniała znowu i bez uśmiechu już mówiła dalej:

— Biéda, twarda biéda była piastunką i nauczycielką moją: tułaczka po cudzych, zimnych dla mnie domach, moim losem. Za jedyny promień szczęścia miałam uścisk stariej matki mojej, za jedyną pociechę spokój sumienia, które mówiło mi że robiłam wszystko co mogłam, aby materialnie—cudzego chleba nie żebrać, moralnie—kształcić się i wzrastać. Więcej nie miałam nic, coby należało do mnie, a uroczystej chwili połączenia się naszego nie uprzedziłam przygotowaniami żadnemi, bo mię nawet na parę nowych sukien nie stało. Tyś mi dał wszystko.... miłość bez granic, ciepło rodzinne i spokój własnego ogniska. Kiedy poraz pierwszy weszłam do domu twego, uczułam się bogatą i dumną jak królowa; kiedyś po raz pierwszy opowiedział mi zamiary swe i postanowienia, pokochałam cię dwa razy więcej niż wprzódy.... Pokochałam także cel do którego dążysz, bom znaczenie jego zrozumiała, i teraz iść z tobą ręką w rękę, choćby wśród największych trudności, być towarzyszką twoją i pomocnicą, matką i nauczycielką dzieci naszych.... to dla mnie takie szczęście i takie źródło codziennych, cochwilowych uciech, że losu swego nie zamieniłabym na żaden inny w świecie.

Nie skończyła jeszcze mówić, gdy Mieczysław otoczył kibić jej ramieniem i silnie przycisnął ją do piersi.

— O ty mocy, odwago, pociecho moja! rzekł zeicha i długi pocałunek złożył na jój czole, które podnosiło się ku niemu, zrumienione siłą uczucia i zapału. Przebacz mi, mówił dalej, przebacz mi zwątpienia i trwogi, które oblegają mię niekiedy!

Słowa te wyrzekł ze szczerym, nieklamany zapałem. Znać było że zamiłowanie w przedsięwziętém dziele, uczucie potrzeby jego i obowiązku dosięgało w nim do stopnia namiętności; a jednak pod wpływem spojrzenia i słów kobiety, która obok niego stojąc, trzymała rękę jego w swęj dłoni i ramieniem otaczała mu szyję, z oczu jego znikwały gorączkowe blaski smutku i trwogi, a zastępował je spokój woli silnej, rozumu znającego dobrze cele swe i środki.

Jednostajne miłości paliły się w ich sercach, jedno pojęcia przenikały ich umysły. Rozumieli się... Czuli że dłonie ich nie rozłączą się nigdy i wspierać się będą wzajem w doli i niedoli, w trudzie i walkach, w każdym serca uderzeniu, w każdym porywie myśli i wysileniu ku wyższemu szczeblom męztwa, doskonałości, pożytku. Wiedzieli dobrze iż ze związku, który ich łączy nie słabość i rozdarcie, lecz moc i zgodę czerpać zawsze będą. To też doskonałe to zrozumienie się wzajemne, to uczucie bezgranicznej ufności, to wspólne zawieszenie wzroku na punktach wysokich, nie tylko potęgowało miłość ich ku sobie, ale zdwajało żywotną ich dzielność i siłę.

— Michasiu! po dłuższej chwili milczenia, lecz całkiem spokojnie już rzekł Mieczysław. Mam w głowie plan, który jeżeli spełnię, w tym roku jeszcze spłacę połowę długu Lili, za rok lub dwa najdalej oddamy jój resztę, a wtedy będę mógł powiedzieć sobie, że do pewnego stopnia przynajmniej stałem się panem położenia.

— Jakież to jest plan? mój drogi. Nie mówiłeś mi o nim jeszcze.

— Chciałem aby, zanim podzielę się nim z tobą, dojrzał on wprzód w własnej głowie mojej. Pójdź, pokażę ci to na papierze; ale pamiętaj że będą to cyfry.. same cyfry.....

Mówił to prawie już wesoło, Michalina zaśmiała się także.

— Wiész dobrze, rzekła, że cyfr się nie lękam. Kiedy byłam nauczycielką, nie usuwałam wcale arytmetyki z programu nauczania swego...

— I był to, o ile pamiętam, jeden z powodów, dla których przestałaś być nauczycielką, mojej siostry.

— Nie wspominajmy o tém, rzekła żywo Michalina.

Lekka i wesoła, poskoczyła w głąb pokoju, przysunęła dwa krzesła do stołu, na którym paliła się lampa i na jednym z nich siadając, zawołała:

— Rachujmy!

— Rachujmy! powtórzył Mieczysław, siadając obok żony i porządkując rozrzucone na stole papiery.

Oboje więc odeszli od otwartego okna, a jednak ciemna postać, stojąca z pochyloną naprzód głową za gęstym krzakiem bżowym, nie opuściła swego ukrycia.

Eli na inne teraz okno domu spoglądał. Było ono zamknięte i przed chwilą ciemne; ale teraz błysnęło w niém światło świecy i widać było jak przez długą salę kroczyła zwolna stara kobieta, w czarnej wełnianej sukni, ze srebrnymi włosami, wymykającemi się z pod białego czépka na twarz bladą i łagodną, na płócienny kołnierzyk, otaczający pomarszczoną szyję.

Kobięta ta niosła na rękę dwuletnie dziecko, do snu już znać idące, bo w bieluchną tylko koszulkę przyodziane, różowe, złotowłose, śmiejące się, z główką opartą o pierś babki. Z obu stron jęj szły dzieci starsze: chłopczyk z minką poważną i dziewczynka szczebiocząca jak ptaszę. Grupa ta, oświetlona słabym blaskiem świecy, którą stara babka wchodząc wniosła do sali, przesunęła się zwolna za szybami kilku okien i stanęła na progu pokoju, w którym pochylona nad stołem i papierami, zcicha i poważnie rozmawiała para małżonków. Miało to być zapewne pożegnanie codzienne przed snem nocnym, codzien udzielany i odbierany uścisk rodzinny; ale stara kobięta, ujrawszy dwoje młodych ludzi pogrążonych w pracy i cichęj naradzie, zatrzymała się w progu, przyłożyła palec do ust, gestem tym nakazując dzieciom milczenie, a po chwili niemego przypatrywania się tym dwom młodym i pięknym głowom, schylnym ku sobie z wyrazem zamyślenia na twarzach, odeszła.

Po chwili świeca z sali zniknęła; natomiast otworzyło się jedno z jęj okien i z ciemnej komnaty wychyliła się pod światło gwiazd głowa staręj matki, bez czępa już teraz, całkiem opłynięta długimi, srebrnymi włosy, z modlitewnym wyrazem w zagasłych, ku niebu wzniesionych oczach.

Przez kilka minut usta jęj poruszały się zcicha i zwolna; ale uczucie z jakięm modliła się wzbierało w piersi jęj falą tak gorącą i błagalną, że szept jęj cichy przemienił się w nawpół głośną modlitwę.

— Panie! mówiła, patrząc w gwiazdy, daj *im* spokój cichy, szczęście uczeiwe i cnotę wytrwałą! Zsyłałeś mi w życiu męm krzyżów wiele—niosłam je w pokorze i cierpliwości; ale to co przecierpiałam i to com kiedykolwiek do-

brego uczynić mogła, niech w oczach Twych, Boże, nie będzie moją zasługą, ale niech się stanie ofiarą błagalną i korną, za którą opiekę Swą i błogosławieństwo roztoocz nad dziećmi mojemu!

Lekki szum starych kasztanowych gałęzi, poruszanych chłodnym wietrzykiem nocnym, zagłuszył szelest kroków Elego, gdy wysunąwszy się ze swego ukrycia, powoli i z pochyloną w zamyśleniu głową oddalał się od orchowskiego domu. Po kilku minutach można go już było widziéć na ścieżce, przez łąkę ku młynowi wiodącój.

Lejba młynarz siedział sam jeden nad grubą jakąś księgą modlitewną, przy której paliła się żółta łojówka, gdy otworzyły się drzwi izby i wszedł Eli. Młynarz, po kilku minutach kiwania się i szeptania, złożył księgę.

— Nu, Eli, rzekł, czy ty z *nim* gadał o moim interesie?

Eli nie odpowiedział. Przechadzał się zwolna po izbie, z rękami w tył założonemi, patrzył w ziemię i zamyślonym był tak głęboko, że zdawało się iż zapytania szwagra nie słyszał.

— Eli! czy ty z *nim* gadał o młynie, i żeby *un* mnie jego choć na trzy lata jeszcze w posesyą puścił?

Tym razem Eli, nie przerywając przechadzki swój, odpowiedział:

— Ja z nim dziś wcale nie gadał.

— Jakto, ty *jego* nie widział?

— Ja jego widział, ale z nim nie gadał.

— A dlaczego?

Na ostatnie pytanie to Eli żadnej nie dał odpowiedzi. Zaręczyć nie można, czy sam zdawał on sobie dokładną z tego sprawę, dlaczego, znajdując się tuż przed progiem orchowskiego domu, progu tego nie przekroczył, dlaczego nie dokonał czynu, nad którym długo myślał, dla dokonania którego przybył tu o mil kilka, porzucając dlań inne korzystne sprawy i zabiegi. Na twarzy agenta Domu pośrednictwa i spółnika Ildefonsa Poryckiego malował się namysł głęboki, z wewnętrznych wahań się i wątpliwości złożony.

Lejba oddawna już za drewnianém przepierzeniem usnął snem twardym. Godzina była już późna, popółnocna, gdy Małka, zbudzona krzykiem dziecka złożonego w kołysce na sznurach do sufitu przytwierdzonej, wstała z pościeli i zapaliwszy łuczywo, przez wązkie drzwi w głąb pierwszej izby zajrzała. Zobaczyła tam Elega, który w zupełném jeszcze dzienném ubraniu, przy świetle jaskrawo dopalającej się w lichtarzu łójówki, siedział na stołku, z obu dłońmi na kolanach złożonemi, z głową pochyloną i wzrokiem wbitym w ziemię.

— Eli! zawołała Małka, czemu ty spać nie idziesz? Ja dla ciebie tak łóżko posłałam, że aj! aj! Sprobój tylko położyć się na niém.

Eli podniósł głowę.

— Czego ty chcesz odemnie, Małko? Idź do swego bachura, który tam krzyczy.

W głosie jego było tak niezwykle mu zniecierpliwienie, że onieśmielona Żydówka usunęła się szybko za przepierzenie i słyhać ją było jak poruszając kołyską, cichym szeptem i głośném cmokaniem uspakajała wrzeszczącego dzieciaka.

Eli pozostał w uprzedniej postawie. Od chwili do chwili przechylał głowę z jednej strony na drugą, zsuwał brwi i dłonią głaskał rudawą brodę, jakby dziwił się czemuś i własne zdziwienie sceptycznym odpięrał rozumem. Wątpił i wahał się, wątpliwości te i wahania, nagle we wnętrzu jego zrodzone, pokonać usiłował, a nie mógł.

Nazajutrz około godziny siódmej zrana Eli, tylko co znać przebudzony, wyszedł przede dwumłyna. W tej samej chwili, od strony dworu, śpiesznym krokiem zbliżał się Lejba. Twarz dzierżawcy młyna rozjaśnioną była i widocznie uradowaną. Zapomniał o przywitaniu się ze szwagrem i z zadowoleniem zawołał:

— Ny! już ja sam jego widział i z nim gadał. Młyn będzie znów na trzy lata moim!

Eli nie okazał najlżejszego zdziwienia.

— Jak to było? zapytał.

— On przysłał po mnie jeszcze przed szóstą godziną, on zawsze tak rano wstaje. Jemu widać na gwałt pieniędzy potrzeba, bo powiedział, że mi młyn puści, jeżeli tylko ja jemu za trzy lata arendę z góry dam.

Eli głaskał brodę, patrzył w ziemię i chwilę milczał.

— A żebym ja ciebie poprosił: nie bierz ty w posesję tego młyna i pieniędzy z góry nie dawaj, póki ja o tym interesie nie pomyślę, czy ty jego masz zrobić, czy nie?

Lejba przenikliwie wpatrzył się w twarz szwagra.

— A dlaczego ty mnie masz o to prosić?

— No, już ja wiem dlaczego co robię, a ty także wiesz, że jeżeli ja tobie jeden dobry interes odbiorę, to z pewnością dam inny, jeszcze lepszy.

— Ny, to prawda. Jabym i tego młyna nie trzymał, żeby nie ty i twoje pieniądze.

— Może być rzekł Eli, siadając na ławie, że ja zechcę abyś ty jemu dał pieniądze, a może być że nie zechcę. Ja tu za parę tygodni będę znowu i powiem co zrobić trzeba. Kontrakt na dwa miesiące jeszcze wystarczy, a przez ten czas dużo wody w tej rzeczce przepłynie i dużo myśli przez moją głowę przejdzie.

Lejba zmarkotniał trochę, ale oporu najmniejszego nie stawiał.

— Niech tak będzie, jak ty chcesz Eli, rzekł. Ja wiem że ty nikomu źle nie życzysz. Kiedy ja przez ciebie tutejszego młyna nie wezmę, to ty tak zrobisz, żebym ja, w posesyą wziął ten, co na białowolskim stawie stoi..

— Wiem, wiem, dokończył Eli. Powiedz teraz memu *człowiaku*, żeby konie do bryczki założył. Pora mi już jechać.

— A dokąd ty pojedziesz?

— Niedaleko: do Rydlówki, do pana Kamila Orcho-wskiego.

III.

Czy rzeczywiście istnieć mógł gdziekolwiek człowiek taki jak Ildefons Porycki? Jakich wpływów i okoliczności był on dziecięciem i wynikiem? Jakie żywioły, przeszłością jego rządzące, złożyły się na moralną istotę jego? jaki był najgłębszy, najtajniejszy grunt téj istoty? Pytania te najsuną się zapewne myśli czytelników.

Kiedy długa, silna burza wstrząsa nurtami wód szerokich, powierzchnię ich pokrywają zarówno dyamentowe blaski łamiących się fal słonecznych, smętne kielichy lilij białych, wichrem poszarpanych, jak brudne szmaty pian mętnych i odrażających. Gmachy wielkie, walące się albo już obalone, wspaniały i melancholijno-poetyczny przedstawiają widok, gdy księżyc je osrębrzy i bluszcz dziki owije, tu i owdzie jednak sterczy cegła jakaś, deska, głaz, które w ogólnym rozruchu i bezładzie padania, z właściwych miejsc swych wytracone przygniatane, popychane, leciały coraz niżej pod uderzeniami sił fatalnych, aż stanęły w dole wyszczerbione, nadgniłe, oczom ludzi ku obrazie, krokom ich ku szkodzie.

Ildefons Porycki urodził się na Wołyniu, w dość skromnej lubo dostatniej szlacheckiej zagrodzie. Napozór przyszłość jego rysowała się jasno i wyraźnie. Syn uczciwego rolnika, mógłby być otrzymać w spadku, wraz z rolą, przez ojców uprawianą, obyczaje ich, uczucia i spokojny tryb życia. Bystrością pojęcia i rzutnością charakteru obdarzony, byłby przy sprzyjających okolicznościach pod wielu zapewne względami prześcignął tych, co w ojczystych kątach poprzedzili go bezpośrednio, ale w latach jeszcze młodzieńczych, dziecinnych prawie, pusty jakiś wyskok studencki, ze spółtowarzyszami nauk podzielony, pchnął go wprost ze szkoły, której nie ukończył nawet całkiem, w strony odległe i obce. Pierwsze lata w stronach tych przepędzone spłynęły mu mozolnie a jałowo, wśród szamotań się po miejscach różnych, wśród zajęć rozlicznych, niczém do siebie nie przywiązujących, bo dorywczych. W porze tej niedostatek, osierocenie, niepewność jutra były pierwszymi bodźcami, które, pod wpływem samozachowawczego instynktu, wywołały z głębi młodzieńczej, niedokształconej istoty jego wszystko, co tylko było w niej sprytem, przebiegłością, giętkością i obłudą. Nauczył się wybadywać twarze ludzi, szperać w usposobieniach ich i nawyknieniach, kłaniać się nisko, przybiierać na się, według potrzeby, postać pedanta lub wietrznika, dworaka, niewolnika, lub wyższość swą znającego i narzucającego władzcy.

Wszystko to dało mu w zysku wiele stosunków zjednanych, które zaprowadziły go wkrótce ku jakiemu takiemu życiowemu portowi, mającemu postać jednego ze znajdujących się w stolicy biur rządowych. Z dziesiątka lat, w ciągu których był urzędnikiem, Ildefons Porycki wyniósł

jako korzyść umysłową: poznanie dokładne wszystkich form i formułek prawnych.

Dokoła ścian kancelaryi, w której pracował na byt skromny bardzo i nieznany, wielka stolica szalała przepychami blasku, rozkoszami wszelakiego użycia, gonitwami za wysokim znaczeniem i złotodajnym zyskiem, burzami i walkami najrozmaitszych społecznych pojęć i namiętności teoryj i mrzonek. Obcy zrazu otaczającym go żywiołom, im dłuższe upływały miesiące i lata, im bardziej w sercu jego gasły wspomnienia dzieciństwa, tém ściślej spajał się ze wszystkiem, co bezpośrednio wkoło niego istniało, tém więcej porywały go z sobą gorączkowe ruchy, gwary, gonitwy i pożądania tłumów. Jak wprzód obłuda, przebiegłość, giętkość karku i obrotność języka—tak teraz zrodziły się w nim żądza wyniesienia się, zysków, blasków, środków dających użycie wszelakie. Z wrzących dokoła niego teoryj i mrzonek, z wywieszonych chorągwi i wykrzykiwanych hasel wybrał i za swoje przyjął te, które najlepiej odpowiadały moralnej istocie jego, wykształconej tułactwem, w dzieciństwie jeszcze rozpoczętym, osiéroceniem zawczesnem, biędą, pokorą zewnętrzną i buntujące się przeciwniej pychą wewnętrzną, złemi przykładami, gorączką umysłu, którego siły rozwijały się w poskokach bezładnych, po liniach krzywych.

Wkrótce przestał być urzędnikiem. Zabrakło mu cierpliwości do dłuższego zginania się pod jarzmem pracy, uczciwej, lecz ciężkiej i zmuśnionej; wszystko co praca ta przyrzekać mogła w przyszłości, wydawało mu się zbyt drobnem, poziomem, szarém i odległym. Rzucił się w przedsiębiorstwa, rachunki, pożyczki, w kupowanie akcyj, grę na giełdach i targach. Podróże o których opowiadał Elemu

nie były zmyśleniem. Znał on, niby dom własny, wszystkie place targowe miast, na północy i południu państwa położonych. Różne strony zwiedzał w charakterach najrozmaitszych. Tu handlarzem był, owdzie fabrykantem, gdzieindziej dostarczycielem materiałów ku jakiejś publicznej potrzebie, tam znowu usłużnym pośrednikiem pomiędzy prawującymi się stronami, a owdzie jeszcze pełnomocnikiem wielkiego jakiego pana, albo agentem przemysłowej spółki jakiejś. W miejscach jednych mianował się jurystą, w innych przemysłowcem; tu w czarnym fraku i białych rękawiczkach wchodził na salony błyszczące bogactwem i wytwornością, gdzieindziej przywdziewał kożuszek barani i w palonych butach obchodził dokoła wozy i namioty wielkich jarmarków. Bogacił się i ubożał, zarabiał i trwonił. W życiu swém miał punkta ciemne; o których nikt, prócz niego samego, nie wiedział nic. Agentem domu pośrednictwa został niedawno, w skutek protekcyi i żądania barona von R..., który znał go w stolicy i za biurowych jeszcze czasów jego zaliczał do grona swych pochlebców i dworaków.

Ogólnie rzecz określając, był-to awanturnik podszyty spekulantem, spekulant z zachciankami i zdolnościami oszusta, oszust z odcieniem krańcowego socyalisty.

.

Takim był człowiek, który rozparty w ładnym powozie, unoszony czterema dzielnymi końmi, zbliżał się teraz ku ręczyńskiemu pałacykowi, za białymi ścianami i szkarłatnym dachem którego wznosiła się wysoka, długa, ciemna ściana sosnowych lasów, u stóp którego płynął w skalistej oprawie poważny, cichy, błękitny Niemen.

W ręczyńskim pałacyku, w pokoju który niegdyś, za bytności i gospodarowania tu pani Malwiny, miał

pozór składu wszelakich drobiazgów, na tém samém nawet miejscu, na którem zwykła była siadywać matka Konrada, siedziała i teraz kobiéta. O ile przecież terazniejszy przystrój pokoju różnił się od uprzedniego, o tyle nowa jego właścicielka niepodobną była do dawnéj. Ściany pokoju tego okryte były obiciem białem, usianém wielkimi bukietami z róż i zielonych liści; takąż materya, barwna i kwiecista, oblekała sprzęty zgrabne a lekkie: na etażerkach leżało kilkadziesiąt książeczek małych, z tytułami słynnych romansów na pozłocistych okładkach; u okien kwitły wazonowe rośliny. Głównym jednak, najwidoczniejszym i najwytworniejszym sprzętem była w pokoju tym gotownia kobiéca, kształt prześlicznie rzeźbionéj komódki mająca i dźwigająca na sobie ogromne lustro, szufladkami i podstawkami różnéj wielkości otoczone. Na komódce i na umieszczonych powyżéj podstawkach znajdowało się mnóstwo sprzączków, gracików i narzędzi toaletowych. Pokój ten cały, wraz z urządzeniem swém, tchnął miłą oku zgodnością i żywością barw, woniał lotnemi wyziewami perfum, śmiał się mnogością kwiecica, rozrzuconego po ścianach i sprzętach.

Przedziwnie téż harmonijne, łagodne były linie, zakreślające kształty kibici i rysy twarzy siedzącéj na kanapie kobiéty. Kibić-to była wysmukła, cienka w pasie, spadzista w ramionach, posiadająca w sobie coś polotnego i giętkiego, coś może słabowitego trochę, ale dziwnie delikatnego. Śród twarzy białéj, otoczonéj splotami włosów hebanowéj czarności, paliło się pod powieką podłużnie wykrojoną dwoje czarnych oczu, o wielkich źrenicach i błękitnych białkach, przypominających ogniste lazury południowego nieba. Usta młodéj kobiéty wydatne, lecz kształtne

i drobne, bladawe były i w krew ubogie; z za przezroczy-
stéj tkanki jéj cery nie przebijał się także rumieniec naj-
lżejszy. W twarzy téj prześlicznój, zarówno jak w kibici,
panującą cechą była delikatność wytworna i widocznie sła-
bowita, wdzięczna, pociągająca, lecz smętna, więc, obok
zachwytu, budząca uczucie do litości podobne.

Ubranie kobiety téj... o! ubranie to było rzeczą, nie-
słychanie skomplikowaną, czémś nakształt mozaiki, łami-
główki, lub...wystawy sklepowej. A jednak rzecz ta błaha
napozór, podrzędna, przyoblekała właścicielkę swą w cha-
rakterystrykę bardzo odrębną i niepospolitą, rzucała na nią
całą pod względem tak zewnętrznym, jak wewnętrznym,
światło szczególnie jaskrawe. Suknia jéj była biała, gładka,
jednolita, za ozdobę i bogactwo całe mająca obfitość i po-
włóczystość fałd ułożonych ze smakiem. Ale powyżéj, od
cienkiego stanu opasanego wstęgą barwistą, aż do szczytu
misternój i wysokiéj budowy, ułożonój z włosów na głowie,
znajdowała się moc wielka nagromadzonych tam przedmio-
tów. Od szyi do pasa spływały mnogie sznury bujnych,
szkarłatnych koralu; pomiędzy nimi połyskiwał medalion
złoty, przytwierdzony zapinką z tegoż metalu; długie, złote
kolce spuszczały się od uszu młodéj kobiety aż prawie na
jéj ramiona; we włosach tkwiły nad czołem szpilki,
w kształcie złotych gwiazd urobione; z tyłu głowy przepaska
z czarnéj lawy przytrzymała kolorowego motyla: na ra-
mionach śnieżnéj białości, wyłaniających się z szerokich
rękawów sukni, wiły się bransolety ze złota, lawy i koralu.
Wszystko to świeciło, połyskiwało i przy najlżejszém poru-
szeniu uderzając o siebie, wydawało leciuchne, metaliczne
brzęczenie. A jednak nagromadzenie to barw i błyskotek
nie przywodziło na myśl, jak w podobnych razach zdarza

się najczęściej, ducha parafianśszczyzny, nieumiejętnej, niezgrabnej próżności. Owszem, wszystko to było wytworne, harmonijne, dobrane i ułożone z przedziwną zręcznością. Łatwo w tém było dostrzedz nie próżnostkę ulotną, ale zamiłowanie głębokie, nie słabostkę niedorzeczną, ale namiętność pochłaniającą, nie naśladownictwo niezgrabne, ale oryginalność gustu. Patrząc jak popiersie to kobiece, delikatne i kształtne, pod ślizgającym się po niem wązkim promieniem słońca lśniło, migotało, drżało całe w iskrach niby i błyskawicach, anibyś zdołał pomyśleć o śmiesznej parafiance, strojącój się w papuzie barwy i błyskotki. Na pamięć raczej przyjsćby ci mogła zalotna i królująca postać kobiety do pierwotnego świata jakiegoś należącej, dzikięj Indyanki może, w chwili gdy wychylając się z pod przenośnego namiotu, staje śród światła słonecznych, przyobleczo-
na od stóp do głowy w barwiste wzory, w błyszczące i podzwaniające rzędy blaszek na sznury nanizanych—jedynych podarunków, wziętych przez nią od sąsiedniej cywilizacji.

Takiem było, po siedmiu leciech, dziewczę owo, w czarną, surową suknię niegdyś przyodziewane, rankami modlące się z matką przed krucyfiksem i trupią czaszką, a nocami czytające romanse, dziewczę zamykane przed światem, a rwące się do świata całą siłą ognistęj swęj wyobraźni i przed czasem rozstrojonych nerwów. Taką była teraz Lila z Orchowskich Ręczycowa, siostra Mieczysława Orchowskiego, od czterech lat żona Konrada Ręczycy i pani domu tego, a od trzech lat matka ślicznej małej dzieciny, chowanej przez piastunkę i bonę na najwyższem piętrze pałacu.

Pomimo wesołego przybrania pokoju i błyskotliwości stroju, który ją okrywał, młoda kobieta nie wydawała się wcale wesołą. Siedziała na kanapce, w postawie niedbałej,

z kibicią, naprzód nieco pochyłoną, ramionami otaczając stojącą na kolanach jej szkatułkę znacznej wielkości, lecz lekką i bardzo ładną. Szkatułka była otwarta, Lila od chwili do chwili zanurzała w niej białą rękę i wyjmując z kolei różne zapisane éwiartki papieru, wstążeczki, zasuszone kwiatki, zatrzymywała na nich długie, zadumane spojrzenia.

Przed ósmiu mniej więcej laty przeglądała ona w ten sposób zbiór pamiątek matczynych; teraz były to własne jej wspomnienia, w przedmiotach napełniających szkatułkę upostaciowane. A jakże wiele, wiele już wspomnień tych napełniało owe lat kilka, które pozostawiła ona za sobą, wspomnień leciuchnych jak éwiartki cieniutkiego papieru, drobniutek i kruchych jak zasuszone róże i niezapominajkowe listki. We wspomnieniach tych przecież zakłętą mieściła się historia całej jej przeszłości; przeglądała ją kartka po kartce, wyczytywała z niej tryumfy swe nieustanne, uniesienia ogniste a nietrwałe, zawody wieczne, tęsknoty i pragnienia, których dotąd nie ugasiło.

A najprzód, z samego dna szkatułki wydobyte, w palcach jej ukazały się ody, sonety, akrostychy, na cześć jej układane przez Fabiana Łozowicza. On dał jej uczuć słodycz tryumfów światowych, wtedy gdy zaczynała zaledwie marzyć o świecie, on pierwszy począł składać jej hołdy, gdy czarna jeszcze okrywała ją suknia.

Lila odczytała parę utworów tego romantycznego a platonicznego wielbiciela, któremu uwielbienie ku niej nie przeszkadzało uznawać „złotego serca” w gospodarniej swjej żonie, ani kochać nad życie siedmiu domowych aniołków, i—uśmiechnęła się przyjaźnie, łagodnie. Lubiała panna Fabiana, tak jak ambitna królowa, której poddanych

zawsze zamało, lubi najdawniejszego i najwierniejszego ze swych dworaków.

Potém ukazały się w rękach Lili dwa papierki różowe, podpisane splątany i misternym wielce monogramem. Było-to coś ważniejszego już niż ody i akrostychy pana Fabiana, były-to błagalne i ogniste pisma pewnego młodzieńca, z którym po raz piérwszy zamieniła słowo: *kocham!* Wtedy, po śmierci ojca, mieszkała z matką w żałobnej Białowoli, za jedyną towarzyszkę mając nudną, acz pobłażliwą Francuzkę, *dame de compagnie*, za jedyną rozrywkę codzienne przechadzki po miasteczku Orchowie. Młodzieniec piszący listy na różowych papierkach mieszkał w miasteczku, gdzie piastował skromny bardzo urzędnik jakiś; miał on oczy nieśmiałe, lecz wcale ładne, drobny wąsik płowy, głos miękki i ezuly. Spotykali się w miasteczku, przechadzali się razem po łąkach, zrywali kwiaty w polu, a raz, zszedłszy się wieczorem u brzegu stawu, pod białowolskimi płaczącymi brzozami, gdy *dame de compagnie* poszła do pokoju swego czytać książkę, powiedzieli sobie, że się kochają. Na nieszczęście pani Leontyna, o której myśleli że, jak zwykle, znajduje się zanurzoną w modlitwie i samotnej melancholii, wyszła tym razem melancholię swą podzielić z pięknym wieczorem letnim, i szept dwojga młodych posłyszała. Zaszła wtedy pomiędzy matką i córką scena burzliwa. Pani Leontyna zawodziła skargi nowe na swą niedolę, a Lila płakała spazmatycznie i przysięgała namiętnie, że nikogo, prócz młodzieńca z misternym monogramem, kochać nie będzie.

W chwili przecież najgwałtowniejszój burzy zjechała do Białowoli pani Malwina. Uwiadomiona o wszystkiém, zadecydowała, że Lili trzeba rozrywek, niczego więcéj tylko

rozrywek, i prosiła panią Leontynę, aby pozwoliła jęj zabrać młode dziewczę do domu swego w N. Pani Leontyna zgodziła się na propozycyą, oddając córkę pani Malwinie, dla dokończenia edukacyi i poprawy charakteru.

Wtedy dla szesnastoletniej dziewczyny rozpoczęła się nowa era życia. Z ery tej Lila posiadała sporą garść pamiątek. Był tam kwiatek zasuszony od metra muzyki, czarnowłosego Włocha pochodzący. Lila przez kilka tygodni śniła i marzyła o pięknym Włochu, lecz gdy marzenia przechodzić zaczęły w ciche rozmowy, zamiany spojrzeń ognistych i pamiątkowych kwiatów, pani Malwina spostrzegła wszystko i cicho a zręcznie wzięła się do rzeczy. Włoch zniknął z domu, a Lila—po nowych, kilka dni trwających burzach, płaczach, przysięgach—z uśmiechem przyjęła z ręki jednego z młodych sąsiadów Orchowa pyszny bukiet, z którego jeden kwiat schowany i uschły kruszył się teraz w jęj dłoni. Z sąsiadem tym przecież historia była krótka. Pani Malwina, mająca w tém szczególny interes, aby wszystkie historie podobne szybko przerywać, uczyniła tak, iż herbowy i zamożny sąsiad, podobnie jak metr ubogi, zniknął z domu jęj i więcej nie wrócił.

Natomiast Konrad Ręczyc coraz częściej bywać zaczął w domu swęj matki. Dla Lili był on dotąd obojętnym zupełnie; gnięwała się nań nawet zcicha, że wprzadz się nie chciał do tryumfального jęj wozu i będąc z nią razem, więcej zda się myślał o dzielności i rasie koni świeżo na jarmarku nabytych, niż o piękności młodej swęj kuzynki. Pewnego dnia jednak Konrad zbliżał się do niej częściej niż zwykle, zatrzymywał na twarzy jęj długie spojrzenia, ani razu nie wspomniął o koniach, a parę razy westchnął. Zmiana ta zaszła w nim po długiej, tajemnej rozmowie, któ-

ra miał z matką, a po której wyszedł markotny i zamyślony. Wieczorem dnia tego pani Malwina, całując Lilę na dobranoc, rzekła do niej ze zwykłą, sobie żywością ruchów i mowy:

— Figuruj sobie, moja duszo, że Konio zakochany w tobie *à la folie!* Jest-to dla mnie prawdziwa siurpryza, bo byłam zawsze pewną, że chłopiec ten spokojny ma temperament i pasyj żadnych doświadczać nie może. Ale twoje oczy, kochaneczko, lody topić mogą!

Nazajutrz Flora Ręczycówna, siedząca z Lilą przy oknie, od niechcienia niby rzekła:

— Konrad smutny był wczoraj bardzo. Czemuż okazywałaś się dla niego tak obojętną, Lilo?

W tój samój chwili przed oknami mieszkania przechodził młody człowiek, o którym mówiono. Lila po raz pierwszy w życiu uważniej na kuzyna swego spojrzała i głośną uczyniła uwagę, że w szafirowej aksamitnej czapeczce hardzo mu jest do twarzy. Flora uwagę tę kuzynki wypowiedziała wchodzącemu bratu. Konrad objął śliczne dziewczę gorącym spojrzeniem swych bezmyślnych trochę lecz pięknych, błyszczących oczu i zawołał z zapalem:

— Jabym, jak Boga kocham, żeby podobać się kuzynce Lili, nietylko szafirową czapkę, ale osłe uszy na głowę włożył i chodził w nich po ulicy.

Oślich uszu jednak nie włożył i więcój nawet o nich nie mówił, bo mu siostra z wyrzutem powiedziała, że powinien był poetyczniej wyrazić się i zamiast tego brzydkiego szkolnego wyrażenia, wspomnieć raczój o koronie cierniowej; lecz aksamitnej czapeczki stale odtąd używał i odegrała ona w życiu Lili rolę wielką, bo była pierwszszym zadziernięciem węzła, który już potem w żwawej i zręcznej dło-

ni pani Malwiny przemienił się pomiędzy synem jęj i po-
sazną krewniczka w węzeł małżeński.

Kilka tygodni przed ślubem i kilka miesięcy po ślubie
Lila kochała Konrada ogniście, głośno, z uniesieniem,
z przysięgami, z przystępami spazmatycznych płaczów
i szalonej zazdrości—kochała go słowem po swojemu—tak
jak niegdyś młodzieńca z misternym monogramem, Wło-
cha z czarnemi oczami, sąsiada z bukietem i kilku jeszcze
ludzi innych... A potem.... potem zjawiły się w szkatułce
pamiętki nowe, mniej lub więcej cenne, parotygodniowe za-
pały i parodniowe łyzy przypominające.

Tym razem młoda kobieta zamknąć już miała tajem-
niczą swą skarbnicę i powstać z kanapki, gdy z pośród
drobiazgów napełniających szkatułkę wymknął się i na ko-
lana jęj upadł papier kobiecóm nakręślony pismem, dawny
znać, bo żółtkły, zestarzały. Na widok *pamiętki* tęg Lila
uśmiechnęła się z zadowoleniem.

— Kochana moja panna Julia! gdzież ona jest teraz?
szepnęła i stary, żółtkły list roztworzyła.

Było to pismo przez była nauczycielkę Lili, pannę
Julia Grejs, przesłane dawno, bo więcej niż przed sześciu
laty. Lila przebiegła oczami pierwsze więrsze listu, zawię-
rające te wyrazy: „Droga Lilo! donoszę ci że jestem szczę-
śliwą! Pozazdrość mi. Znalazłam swój ideał, znalazłam czło-
wieka którego obraz przedstawiały mi zawsze najpiękniej-
sze rojenia męj wyobraźni i—od wczoraj jestem jego narze-
czoną. Narzeczony mój ma imię: Ildefons. Ildefons! ach,
imię to wymawiać trzeba, patrząc na gwiazdy lub kwiaty,
słuchając szmeru wietrzyków i sębrnego strumienia! Cudne
imię, nieprawdaż? Zażadasz może, abym ci opisała twarz,
postać, całą słowem powierzchowność *jego*. Więć powiem

ci: podobnym do niego musiał być *le jeune pauvre* naszego kochanego Feuillet'a; niekiedy przypomina mi on też Raula z *historyi Sybili*, lub naszego nieszczęśliwego a sympatycznego pana de Camors. Mniejsza zresztą o to jak on wygląda, ale gdybyś znała jego piękną, wielką duszę, jego umysł szeroki i silny, gdybyś słyszała jak opowiada o swych nieszczęściach, walkach z losem!... Nie myśl jednak, proszę cię, abym była narzeczoną nędzarza, człowieka nic niemającego i nic nieznaczącego. Przeciwnie, mój Ildefons posiada świetną pozycyą i perspektywę świetniejszej jeszcze przyszłości... Jaką jest pozycya ta i na czém zasadza się perspektywa, nie umiem ci tego dokładnie wytłumaczyć, a zresztą czyliż zajmować mię mogą tak błache, prozaiczne szczegóły?.. Bogatym być musi, bo do domu, w którym zostaje przyjechał ślicznym powozem i zdaje się, że w sąsiedztwie majątek ma kupować. Z kilku wielkimi panami zostaje w stosunkach najściślejszój przyjaźni... Wszystko to jednak nic mię nie obchodzi. Ale oczy jego wymowne, dusza piękna, miłość jego dla mnie, mająca w sobie coś rycerskiego i t. d. i t. d." W liście znajdowało się jeszcze kilkanaście wierszy, równie obficie jak poprzedzające w wykrzykniki zaopatrzonych, ale Lila nie czytała już dalej.

— Szczęśliwa Julia! szepnęła; po chwili zaś dodała: Jakbym chciała wiedzieć gdzie ona jest teraz? co robi? czy o mnie choć trochę pamięta? O! niezawodnie zapomnieć musiała. Wszak list ten był ostatnim jaki miałam od niej. Tak, przyjaźń, miłość, radość, szczęście, wszystko przemija, wszystko zawodzi na świecie.

Wyrzekłszy to w zamyśleniu głębokiém, podniosła się zwolna, postawiła na stole szkatułkę, a podnosząc nad głowę śliczne ramiona i ręce na czarnych krzyżując splo-

tach, z oczami szklisto w przestrzeń patrzącemi, wymówiła rozpaczne francuzkie przysłowie: „*Tout passe, tout casse, tout lasse!*”

W głębi domu ozwały się akordy na fortepianie wygrywane, a zarazem do pokoju weszła służąca, z pękiem kluczy u pasa. Była to ta sama ładna i fertyczna Brygisia, która niegdyś w Orchowie usługiwała Lili i jej nauczycielce. Postarzała ona trochę przez czas ubiegły, spowaźniała, a na twarzy jej malowała się poufałość sługi dawniej, będącej powiernicą, nieledwie przyjaciółką swęj pani.

— A! zawołała wchodząc, pani nie wyszła jeszcze do bawialnych pokojow? A tam goście oddawna już zjedli śniadanie i nudzą się bez pani.

Lila wzruszyła ramionami.

— Któż tam jest taki? zapytała niedbale.

— A któżby był? Ci sami którzy zawsze prawie są w Ręczynie. Pan Paweł Szyłto z synowcem swym panem Klemensem, pan Łozowicz z synem, teorbaniście ten co z naszym panem na jarmark wczorajszy jeździł... więcej niema nikogo. Ale pan Apolinary Łozowicz, po chwili milczenia z filuternym uśmiechem dodała służąca,—pan Apolinary przez cały ranek błąkał się po ogrodzie, jak Marek po piekle, i ciągle na okna tego pokoju spoglądał..

— Doprawdy? przeciągle wymówiła Lila.

Stała przed lustrem i czarne włosy swe zdobiła rzędem kryształowych, w złoto oprawnych szpilek. Uśmiech lekki zaigrał na bladawych jej ustach.

Akordy fortepianowe dochodziły do uszu jej coraz silniej i jakby niecierpliwiej wygrywane.

— Poukładaj mi tu wszystko w szufladach, Brygisiu. rzekła Lila. Pójdę już do salonu.

Zwróciła się ku drzwiom.

— Niech pani zaczeka jeszcze chwilkę, rzekła służąca, ja przyszedłam tu, aby zapytać się pani co będzie z dzisiejszym obiadem. Posyłałam dziś do miasteczka po mięso, ale na kredyt nie dali...

— Moja Brygisiu! nie nudź-że mnie, proszę, tém gospodarstwem. Cóż ja na to poradzę? Wiiesz że z takimi rzeczami udawać się trzeba do Konrada.

Wyrzekwszy to niechętnie i ze znudzeniem, opuściła pokój.

W dość obszernym, ładnym saloniku siedział przy fortepianie dwudziestoletni młody człowiek, szczerpy, z bladawą twarzą, ozdobioną małym czarnym wąsikiem, i z miną nawpół nadąsaną, nawpół melancholijną wygrywał z wolna jakiś utwór muzyczny. Przy stole, umieszczonym przed kanapą, Fabian Łozowicz, z twarzą, jak dawniej rumianą i dobroduszną, pochylał się nad kawałkiem papieru, na którym rysował widoczek, przedstawiający jakąś chatkę w lesie. U okna Paweł Szyłło, podnosząc zwisłe swe, posiwiałe już nieco wąsy, dopijał szklanki herbaty i dojadał porcyi chleba z masłem. Naprzeciw niego stał Klemens Szyłło i patrząc przez szyby na dziedziniec, gdzie widać było chodzącego tu i owdzie Konrada, poziwiał szeroko.

— Diabelna nuda na wsi! ozwał się po chwili starszy syn Augustyna Szyłły. Nie rozumiem doprawdy, dlaczego ojciec sam nie pojechał tu dopominać się o swoje pieniądze, tylko mnie przysłał.

— Czy mówiłeś już z panem Konradem? zeicha zapytał Paweł.

— Kiedyż miałem mówić? wczoraj był na jarmarku, a dziś późno jakoś wstałem...

— Kto rano wstaje, temu Pan Bóg daje—ze zwykłą sobie, na trefnisiostwo zakrawającą rubasznością, rzekł Paweł; ja rano wstałem i z panem Konradem mówiłem.

— I cóż? ciekawie zapytał Klemes. Pieniążki będą?

— Przynręka... wymówił Paweł.

— Pi! obiecanka cacanka, a wiesz komu radość, zaśmiał się Klemens.

— Fałszywie, Apolku! z nad rysunku swego zawołał do syna pan Fabian; b mol dwa razy i tryl na piątój górnej.. Apolek niecierpliwie rzucił się na krzesło.

— Co mię tam ojciec poprawia, jak studenta jakiego! Już ja wiem dobrze dlaczego tak gram, a nie inaczej.

W tój chwili otworzyły się drzwi do dalszych pokojów prowadzące i w progu stanęła Lila, opłynięta malowniczymi fałdami sukni, połyskująca cała od paciorek, szpilek, koleców i bransolet. Dwudziestoletni Apolek poczerwieniał nagle jak piwonia i porwał się z krzesła; żwawo téż, z rysunkiem swym w ręku, powstał pan Fabian; Klemens Szyłło poziéwać przestał i z galanterią wåtpliwego smaku w ukłonach cały, zbliżał się do posuwającój się zwolna ku towarzystwu pani domu. Uprzedził przecież wszystkich Paweł Szyłło, który szybko otarłszy z ust resztki masła i wiechcie wąsów założywszy za uszy, dwoma krokami długich nóg swych znalazł się obok Lili i wielką ręką swą, po drobnią, delikatną rączkę jój sięgnął.

— Pani nasza! zawołał, schylając się i rączkę całując—dobrodziéjko nasza! królowo!

— Ciekawam dlaczego nazywasz mię pan królową? z powabnym uśmiechem i kłaniając się lekko wszystkim dokoła, zapytała Lila.

— Słusznie! słusznie! zawołał pan Fabian rozradowany. Lilia jest królową kwiatów, a pani nosisz jęj imię.

— Słyszałam zawsze, że królową kwiatów jest róża.

— Zdetronizowaliśmy ją, a panowanie nad wszystkimi kwiatami tęg ziemi oddaliśmy lilii, rumieniąc się znowu i z iskrzącym wzrokiem szepnął Apolek.

— Odziedzyczył pan po ojcu swem zamiłowanie w kwiatach i poetycznych przenośniach—odpowiedziała kobięta, topiąc w twarzy rozkochanego widocznie młodzieńszka wymowne spojrzenie.

— Ja tam, zawołał Klemens, z pewnością daru do poezyi po ojcu nie odziedzyczyłem, a jednak, dalibóg, gdyby mi dali kawałek papięru, tobym może w tęg chwili więrsze jakie i napisał.

— Spróbuj pan! no, spróbuj! z serdecznem rozradowaniem wykrzyknął Łozowicz i posunął ku synowi ubogiego prawnika papięru i ołówek.

Lila opuściła się zwolna na kanapę i usiadła tam w pozie ponętnęj bardzo, malowniczęj, z ramionami niedbale na piersi skrzyżowanemi.

— Pan Klemens, rzekła, ukaże nam późnięj swe poetyczne talenta.

— Pani wię, że posiadam ich trochę, szepnął młody Szyłło. Pamięta pani tam na wzgórzcu, pod sosnami... w przeszłym roku...

Zdawało się, że kobięta wyrazów tych nie dosłyszała.

— A teraz, ciągnęła niech pan Apolinary kończy to *Nocturno*, które grał gdym weszła. Jest-to moja ulubiona kompozycya, a pan grasz ją tak pięknie!

— Jak pani rozkaże—zawołał uszczęśliwiony młodzieniec, i z pośpiechem usiadłszy przed fortepianem, roz-

począł na nowo minorowe akordy z *b* moli i smętne tryle na piątą górnej.

Pan Fabian pokazywał tymczasem Lili wyrysowany przed chwilą widoczek.

— Chciałabyś pani mieszkać w takiej chatce, wśród lasu, nad strumieniem?...

Kobieta z rozmarzeniem na rysunek patrzyła.

— Alboż ja wiem czego chcę naprawdę? szepnęła, głowę na piersi pochylając. Chcę ciszy i gwaru, takiej chatki leśnej i pięknego pałacu miejskiego, szmeru strumyka i orkiestry balowej...chcę, dokończyła z nerwowem, niecierpliwym poruszeniem—chcę wszystkiego czego nie mam, a nie chcę niczego z tego co mam.

— Ani nas, którzy tu wkoło pani jesteśmy? żalósnie zapytał pan Fabian.

Lila podała mu rękę.

— Pan wiesz, rzekła z nieudaną serdecznością, że uważam pana za najlepszego przyjaciela mego.

— Będę nim do grobu! z rycerskim zapalem i łzami rozrzewnienia w oczach, zawołał pięćdziesięcioletni romantyk.

Apolek grać przestał, Klemens Szyłło przysunął się do rozmawiających.

— Diabelna nuda na wsi! rzekł, nieprawdaż pani? Możeby pan Łozowicz był łaskaw, dla rozweselenia nas tu wszystkich, zadeklować cokolwiek.

— Nie umiem na pamięć żadnych rozweselających wierszy—z lekką urazą w głosie odrzekł zagadnięty.

— Niech pan zadeklowuje! wymówiła Lila, opierając czoło na rękę.

Apolek wzdychając, Klemens uśmiechając się ironicznie nieco, Paweł Szyłło wąsa kręcąc i w sposób żartobli-

wój zachęty na pana Fabiana mrugając, usiedli wkoło stołu w uważnych postawach. W tej samej chwili wsunął się do pokoju Hryhory Oroszczenko, w szaręj świtce swój, z kosmykiem włosów *osełedec* naśladowującym, a miarkując z fizyognomii obecnych, że się na coś uroczystego zanosi, po cichu przemknął przez pokój i usiadł w pobliżu leżącego na fortepianie teorbanu swego. Pan Fabian usunął się nieco z krzesłem od stołu, skrzyżował ręce na piersi, wyprostował się i swemi blado-błękitnemi, mrużącemi się, miodowemi oczami patrząc jak w tęczę w twarz Lili, z nadzwyczajnym wezbraniem zachwyty i melancholii zadeklamował:

O! jój życie piękne było,
 Ach! takie piękne jak ona!
 W sercu jój z bólów korona,
 A w jej twarzy szczęście lśniło!
 I miała takie spojrzenia,
 I tak anielskie uśmiechy,
 Że....

— A, jak Boga Kocham! już też to jest rzecz nie do darowania, abyście państwo w tym dusznym pokoju siedzieli, kiedy pogoda taka piękna.

Słowa te, wymówione basowym, donośnym głosem we drzwiach otwierających się, przerwały panu Fabianowi deklamacyą na punkcie jój najpatetyczniejszym.

Był-to Konrad, który wszedł do salonu ze szpicrutą w rękę, w spencerze myśliwskiego kroju, w butach zabłoconych.

— Nie dziwię się już Lili, mówił dalej— bo wiadomo, że baby lubią zamykać się w pudełkach; ale pan Fabian i pan Klemens i pan Apolinary zrobiliby, jak Boga Kocham, daleko lepiej, gdyby poszli zobaczyć jak tam mój Białonogi popisuje się na linie. Wiész co, Pawle! wiele ko-

ni miałem w życiu, ale takiego nigdy. Ognisty jak sto djabłów...

Mówił tak długo jeszcze, zamaszystym krokiem przechadzając się po pokoju i ślady swe znacząc na posadzce wilgocią przyniesioną z łąki, na której codziennie harce swe odbywały ulubione jego rumaki. Wkoło stołu przed kanapą grobowe zapanowało milczenie. Lila niżej jeszcze głowę na dłoń pochyliła, a na ustach jej lekko wydętych malowała się niechęć i wzgarda. Pan Fabian i Apolek patrzyli na nią wzrokiem takim, jakim wierni spoglądają na święte męczennice; Klemens coraz ironiczniej uśmiechał się; Paweł dowodzeniom głośnym pana domu kiwaniem głowy przytakiwał. Nagle Oroszczenko, który na grupę tę spoglądał swemi filuternemi, południowemi oczami, pochwycił tenorban, brzęknął po strunach i szybkim *tempo* zawiódł swywołną jakąś pieśń ukraińską.

— Otóż to tak zwykle bywa u nas! westchnęła zciacha Lila do pana Fabiana.

— O! pani, jak ja tę samotność duchową pani rozumiem! równie cicho odszepnął mąż pani Adeli. Niezgoda myśli i uczuć... ziemia i niebo... materya i ideał..

Apolek spółczucie dla przedmiotu uwielbień swych objawiał tylko spojrzzeniami, gniewem i wzgardą pałającemi, a w stronę pana domu ciskanemi; ale Klemens swobodniejszym był w wyrażeniu tego co myślał. Pochylił się ku uchu Lili i rzekł bardzo cicho:

— Gdybym ja był na miejscu pani, wypędziłbym ztąd poprostu pana Konrada za jego zabłocone buty i za to, że tak głośno krzyczy.

Lila, nie odpowiadając nic, uśmiechała się boleśnie i wzgardliwie zarazem, przyczem oczy jej stykały się czę-

sto z rzucanemi na nią ognistemi spojrzeniami młodzienia-szka Apolka. Ukrainiec kończył piosenkę swą, z której Konrad śmiał się serdecznie, gdy przez drzwi przymknięte wyjrzała strojna głowa Brygisi, rzuciła pomiędzy zebrane towarzystwo słowa: „goście jadą!” i wnet zniknęła.

Wszyscy, prócz Lili i Apolka, pobiegli do okien. Młodzieniec z czarnym wąsikiem tak wpatrzony był w swe bóstwo, że wątpić należało czy zwiastowaną wiadomość nawet usłyszał, a twarz pani domu, jakkolwiek sama nie poruszyła się z miejsca, błysnęła nagle i drgnęła ożywieniem.

— Ciekawam ktoby to mógł być! zawołała, podnosząc głowę.

— Natręt jakiś! mruknął Apolek.

— Ładny koczyk! ozwał się u okna Fabian Łozowicz.

— W dyszlu kasztany tęgie, ale ten z prawej strony na orczyku z narowem, jak Boga Kocham z narowem, choć teraz nie znać tego—wykrzyknął Konrad.

— Uprząż co się nazywa, na koźle furman i lokaj—zauważył Oroszczenko.

— Któs z szykiem! dokończył Klemens Szyłło.

— Mężczyzna czy kobieta? zapytała Lila.

— Mężczyzna! chórem u okien odpowiedziano.

— Jakaś *figura*, panie! rzekł Paweł. Siedzi rozparty jakby na stu koniach jechał! Ale fizyognomia nieznamoma i w okolicy niewidziana! Któs chyba zdaleka.

— Janek! krzyknął Konrad, przechodząc szybko salę jadalną i otwierając drzwi od przedpokoju—hej, Janek! wyjdź na spotkanie tego pana!

Kozaczek kredensowy Janek zbiegał już ze wschodów głównego balkonu, w parę zaś minut wpadł zdyszany do bawialnego saloniku, niosąc w ręku kartę wizytową.

— Daj! z najwyższą już i nieukrywaną ciekawością, zawołała Lila.

Kozaczek kartę podał. Pani domu przeczytała głośno: Ildefons Porycki, agent główny Domu pośrednictwa.

— Ildefons! zawołała, dziwny zbieg okoliczności! dziś właśnie myślałam, a nawet czytałam o pewnej osobie imię to noszącój.

— Porycki! z zamyśleniem wymówił pan domu. Gdzie ja to słyszałem? Niech jego... przypomnieć sobie nie mogę....

— Słyszałeś pan pewno o Tadeuszu Poryckim, przypomniał pan Fabian. Wielki-to był człowiek, piękna dusza!.. Musi to być krewny jaki!.. syn, wnuk może wielkiego męża tego..

— Wnuk wielkiego człowieka! z iskrzącymi się oczyma powtórzyła Lila.

— Na Wołyniu są hrabiowie Poryccy, zauważył Oroszczenko, ja z Ukrainy, sąsiad tedy Wołynia. Wiem o Poryckich. Grafy to i pany całą gębą.

— Hrabia! szepnęła Lila i dodała, patrząc na wizytową kartę: Ildefons! piękne imię!

Tytuł umieszczony na bilecie niczyjój tu nie zwrócił uwagi. Imię zato i nazwisko gościa mnogie wywołało komentarze. Kozaczek ozwał się:

— Ten pan pyta się, czy państwo jego przyjmują.

— Proś! proś! zawołał zgodnie chór głosów.

Porycki wszedł do pokoju, we fraku i jasnych rękawiczkach, z postawą wyprostowaną, z uśmiechem na ustach i kapeluszem w ręku. Z za szkieł szafirowych orzucił szybkim spojrzeniem pokój i znajdujące się w nim osoby, a nie trudno mu było odgadnąć, że atmosfera miejsca tego była

mu ze wszech miar przyjazną. Salonik modnie i błyszcząco przybrany, to grono mężczyzn różnego wieku, bezczynnie zgromadzone dokola młodej kobiety wystrojonej i ze skrzyżowanymi rękami na kanapie siedzącej, przedstawiało z tém wszystkiém co uderzyło go przedtém w Orchowie sprzeczność najzupełniejszą.

— Zapewne gospodarza domu tego mam przyjemność witać, rzekł do Konrada, który postępował ku niemu ze zmieszaniem zwyczajném ludziom niecelującym towarzyską wprawą i ogładą, a niemy ukłon gospodarza domu za twierdzącą biorąc odpowiedź, mówił dalej:

— Raczcie państwo przebaczyć, że tak bez ceremonii dom ich najeżdżam. Jestem w stronach tych obcy, nieznanym, podróźny... Przejeżdżając, ujrzałem ten pałac piękny, tę oazę wśród pustyni stron tutejszych, i oprzeć się nie mogłem chęci zabrania znajomości z jój mieszkańcami.

Słowa te z ust jego wyszły płynnie, dźwięcznie, gładko i słodko.

— O proszę pana! nam bardzo.... bardzo.... miło.... przyjemnie!... bąkał Konrad.

— Postawa wspaniała.... fizyognomia rozumu pełna!.. szepnął do Lili pan Fabian.

— Dystyngowany jakiś człowiek! odszepnęła młoda kobieta.

Konrad, po piérwszej chwili zakłopotania, zdobył się na przytomność umysłu.

— Moja żona! rzekł, prowadząc gościa ku kanapie.

Lila podniosła się lekko. Promień słońca zaiskrzył się w kryształowych szpilkach, zdobiących nakształt korony krucze jój włosy. Gdy poruszeniem pełném wdzięku, uprzejmém a jednak dumném skłaniała przed gościem gło-

wę, nagle rumienieniec ożywił białosc jej twarzy i powolną, przezroczystą falą podniósł się na czoło. Porycki oddał ukłon głęboki i na twarzy młodej kobiety zatrzymał spojrzenie długie, niepostrzeżone przez nikogo, prócz tej, dla której w hołdzie złożonem było.

Usiedli znowu wszyscy dokoła stołu przed kanapą. Łozowicz pierwszy do nowego gościa przemówił;

— Pan dobrodziej z dalekich stron do nas przybywa?

— Nie wiem prawdziwie, jak mam panu na pytanie jego odpowiedzieć, z uprzejmą swobodą odrzekł gość. Przybywam ze stron różnych, albowiem w roku bieżącym odbyłem kilka z rzędu dalekich podróży.

— Kilka dalekich podróży w jednym roku!... bąknął nieśmiało gospodarz domu, który czuł że mówić mu coś wypadło.

— Tak, panie, skłaniając lekko głowę odparł Porycki. Panowie, jako właściciele dóbr ziemskich, przywykliście do spokojnego życia, do jednostajnych widoków i zajęć. Nie takim jest los nas przemysłowców, którzy żyjemy o własnych siłach i fortuny sami po świecie szukać sobie musimy. Jestem przemysłowcem, dom mój to świat szeroki, a drogi wśród świata tego krzyżujące się, to rola na której żnę i zasięwam. Dziś tu, jutro tam, pojutrze gdzieindziej jeszcze, byle użytecznym stać się sobie i drugim, byle celów swych dościgać i idee swe popierać... oto egzystencya nieznaną panom, ale, wierzajcie mi panowie, niepozbawiona powabu i przyjemności.

— I owszem, ozwała się dotąd milcząca pani domu, zdaje mi się, że taka tylko egzystencya, pełna zmian, wrażeń i różnaitości, prawdziwie powabną i przyjemną być może.

— Zależy to od gustu; niemniej przecie uszczęśliwionym się czuję, że pani bez niechęci i wzgardy zapatrujesz się na stan i zajęcia takich jak ja włóczęgów, którzy nie mając szczęścia odziedziczyć po przodkach dóbr ziemskich albo (tu Porycki głos swój niżył nieco) dobra te bez własnej winy utraciwszy....

— A już to pan dobrodziej pewno do drugiej kategorii należysz, przerwał mówiącemu Paweł Szykło. Tylko co właśnie przyjaciel mój, Hryhory Oroszczenko, dziwy opowiadał mi na ucho o bogactwie i wielkości dostojnej rodziny hrabiów Poryckich.

— Z Ukrainy jestem, rubasznie ozwał się Oroszczenko, Poryckich znałem i widywałem. Grafy i pany...

Porycki słów tych słuchał w milczeniu, ze spuszczo-nemi powiekami i niedbałym uśmiechem na ustach.

— Pan dobrodziej zapewne krewnym jesteś naszego wielkiego Tadeusza? zagadnął nareszcie Łozowicz.

— Tak, tak, jakby z niechęcią i ociąganiem się odpowiedział gość; jest pokrewieństwo niejakię... mój dziad i hrabiego Tadeusza ojciec byli...

— Rodzeni bracia? z uszczęśliwieniem na twarzy do-kończył pan Fabian, a więc pokrewieństwo bardzo blizkie.

Powstał z krzesła i rękę ku gościowi wyciągnął.

— Pozwól pan abym uścisnął dłoń tak blizkiego krewnego jednego z wielkich mężów naszych...

Przykład był danym. Konrad, Paweł Szykło, Oroszczenko, a potem i Klemens, wszyscy zatém, z wyjątkiem Apolka, który w kątku, za poręczą kanapy, ale najbliziej Lili siedział, przystępowali ku Poryckiemu i ręce mu podawali. On powstał żywo, kłaniał się na wsze strony i z rodzajem skromnego zakłopotania mówił:

— Dziękuję... pokornie dziękuję... prawdziwie, zawstydzacie mię panowie... nie zasłużyłem...

W oczach Łozowicza kręciła się już łza; na białą twarz Lili, która nieruchomo przypatrywała się téj scenie, wybił się lekki rumieniec ożywienia. Było-to coś niezwykłego, a wszelka niezwykłość wywierała na umysł jój wpływ szybki i wzruszający. Ale i w żyłach Kenrada płynęła krew, nie woda. I w nim wszelkie sceny niezwykłe a zbiorowe animusz budziły. Pozbył się dotychczasowego zakłopotania swego i raźnie zawołał:

— Ależ to, jak Boga kocham, pan hrabią jesteś! Dlaczego pan tytułu tego na bilecie swoim nie wydrukowałeś? Ja żebym był hrabią, tobym sto razy, nie raz, wydrukować kazał, bo choć to głupstwo, ale...

--Skromność, chwalebna skromność pana Poryckiego dobrodzieja! ozwał się Paweł Szyło.

— Nie, panie, zaprzeczył gość, nie skromność wzbrania mi używać tytułu tego, ale przekonanie moje, idee nowożytnie, które równają stany wszelkie, zacierają do szczytu średniowieczne błyskotki i przywileje...

— Najpiękniejszym szlachectwem jest szlachectwo duszy, patetycznie wyrzekł pan Fabian.

Porycki skłonił mu się głęboko.

— Prawdziwie uszczęśliwiony jestem, widząc że postępowe idee i tu już zawitały, a w panach stronników i wyznawców mają. My przemysłowcy, nieprzykuci do jednego kawałka ziemi, idee te czerpiemy z szérokiego świata i rozwozimy je po drogach, na które rzucają nas praca i los.

Ile razy Porycki w rozmowie swéj wymówił: ja przemysłowiec, my przemysłowcy, tyle razy Lila ze zdwojoną ciekawością oczy na twarz jego podnosiła. Zawód wyra-

zem tym określony był jój z imienia tylko i bardzo mglisto znanym, ludzi zawodowi temu oddających się nie widywała nigdy w swém życiu. Była to więc nowość, a nowość jakakolwiek, przez to samo tylko że była nowością, miała moc wstrząsania znudzonym, mnóstwa rzeczy nieświadomym umysłem jój i nerwami wrażeń spragnionemi.

— W jakich krajach podróżowałeś pan? zapytała gospodyni domu.

Porycki opowiadać zaczął o licznych swych podróżach. Pomimo językowych usterek, których dopuszczał się dość często i na które zresztą nikt tu szczególnej nie zwracał uwagi, mówił on płynnie bardzo, używać umiał wyrażeń wytwornych, a niekiedy dowcipnych, w ożywiony i malowniczy sposób opisywał strony, które w różnych okolicznościach awanturniczego życia swego wszędz i wzdłuż zwiedzał. Pobieźnie i najkrócej opowiadał o Niemczech, przy czém dość zręcznie żartował z Niemek, robiących wiecznie pończochy i ubierających się bez smaku, tak wysoko ukształconego w *naszych paniach* (tu skłonił głowę przed Lilą), a także nie omieszkał rzucić kilku słów szydereznych i niechętnych o zaborczym duchu germańskiego plemienia, o nieprzyjaźni które ono żywi względem Słowian i t. d. Nie równie jednak dłużej zatrzymał się na krajach mniej ogólnie znanych, odznaczających się wyraźniejszém piętnem oryginalności rasy i urzędzeń. Opowiadał chwilę o żyznych i szerokich równinach Besarabii, zachwycał się skalistą przyrodą Kaukazu i nieźrównaną pięknnością Czerkiesek, wspominał nawiasowo o olbrzymich lasach i dzikich wąwozach Wołoszczyzny, zatrzymał się chwilę nad modrym Dunajem. wjechał do Węgier, gdzie spotkał się z Kossutem, z wypadkami 1848-go roku z Honwedami, Słowakami

z czardaszem i malowniczym strojem czarnookich Węgierek.

Towarzystwo zebrane wkoło stołu słuchało go z wyjątkową uwagą i niezmiernym zaciekawieniem, od czasu do czasu tylko wydając głośne wykrzykniki, lub ciche bardzo czyniąc komentarze.

— Ach! jak tam pięknie być musi! jakie to ciekawe! jakbym ja tam być pragnęła! wołała co chwila gospodyni domu, której oczy rzucały błyskawice na twarz opowiadającego.

Dalekość, osobliwość miały dla niej powab romantyczny a nieprzewyciężony. Jak wszystkim tym, których życie puste jest i jałowe, których sercu niedostaje uczuć gruntownych, oczom celu trwałego, głowie woli mocnej, zdawało się jęj że wszystkie miejsca świata piękne są, czarujące, szczęścia i świetności pełne, prócz tych które znała już sama, wśród których przebywała. Po wielu latach upłynionych, córka pani Leontyny była jeszcze pod pewnemi względami takim samym dzieckiem, jak wtedy, gdy czytając o wyjeździe przyjaciółki na Wołyń, wołała: o jakbym ja tam chętnie pojechała! to tak daleko!

— Jaka elokwencya, panie! hoho! szepnął na ucho panu Fabionowi Paweł Szyłło.

— A jakie wykształcenie! jaka erudycya! odszepnął Łozowicz.

— Znać zaraz pana z panów, mruknął pod wąsem Oroszczenko.

— Ildefons złotousty! ze zjadliwym przekąsem szepnął do Lili, nierad wymownemu gościowi, młodziutki A polek.

— Proszę bardzo nie żartować z imienia tego! ze zmarszczkami na czole i równie cicho odpowiedziała młoda kobieta. Prześlizne imię!

— Szczęśliwy, westchnął muzykalny potomek pana Fabiana.

Jeden tylko Klemens Szyłło nie mówił nic, a nawet i opowiadań gościa z mniejszą niż inni słuchał uwagą. Obracał zato w ręku bilet wizytowy Poryckiego i wlepił oczy w wydrukowany na nim tytuł. Raz tylko schylił się do ucha ciotecznego brata i rzekł:

— Noszony to ptaszek, ten jegomość! Spekulant i stosunki widać ma.... Będę go prosił, żeby mi powierzył jakie interesa.

W chwili najbardziej zajmującego opowiadania gościa, z za drzwi przykniętych dał się słyszeć brzęk kluczków i wyjrzała głowa Brygisi.

— Panie! proszę pana! półgłosem zawołała służąca, na pana domu patrząc!

Konrad wstał i zcich, nieznacznie, aby rozmów toczących się nie przerywać, wysunął się z pokoju.

Po chwili w przeciwnéj stronie domu, tam gdzie były pokoje służących, garderoba i spiżarnia, toczyły się rozprawy zwawsze jeszcze i innego wcale rodzaju niż te, które brzmiały w salonie śmiechem i podniesionemi głosami. Brygisia, stojąc na środku garderoby, łamała ręce ze zniechęceniem blizkiém rozpaczy, przy drzwiach, nad stosem rzuconych na ziemię rondli, stał kucharz z miną, w pół-zakłopotaną, w pół-szyderską; po pokoju zaś szérokiemi krokami chodził pan domu.

— Nie dają? zawołał po raz dziesiąty już. Nie dają? gałgany! głupcy! Ja ich nauczę! ja im pokażę!

— Ale tymczasem, zanim pan ich nauczy, obiadu nie będzie, zawołała rozrozumieniona od zgryzoty i gniewu

klucznicą. Ani mięsa! ani jaj! ani wina! codzienny jaki taki obiad możnaby jeszcze skleić, ale tu dziś gość jakiś przyjechał... przyjąć go byle czém nie można...

— Nie można! powtórzył Konrad, ale co robić? Czy pytałaś się, Brygisiu, pani co robić?

— Pani mówiła, żeby panu powiedzieć.

Konrad schwycił się rękami za głowę.

Nagle, jakby mu myśl zbawcza do głowy przyszła, zawołał do kucharza:

— Idź po Efroima! a żywo!

— Wiedziałam, że na tém się skończy, mruknęła Brygisia, ze stukiem otwierając nawpół pustą spiżarnianą szafę: nie pierwszy to raz i nie dziesiąty Efroim sprowadzi nam z miasteczka wszystko czego potrzeba. Coby to było, gdyby tego Żyda tu zabrakło?

Kilka minut nie upłynęło, a wysoki, barczysty Efroim stanął w garderobie przed obliczem dziedzica i oddał mu zwykły sobie szybki a niski ukłon. W kwadrans potem kilku pościgów konnych rozleciało się ze dworu, w kierunku sąsiedniego miasteczka i wsi pobliskich.

Zakulisowe te troski i tarapaty znacznie dnia tego opóźniły obiad w Ręczynie. Słońce zachodziło, a w sali jadalnej nie objawiał się ruch żaden. Lila, jakkolwiek gospodarstwu domowemu najzupełniej obca, znała zbyt dobrze zwyczaj najprostszej gościnności, aby jej ta uparcie trwająca zwłoka razić i zawstydząć nie miała. Po kilka razy wysyłała zcicha Klemensa, Apolka i Oroszczenkę, z rozkazami do Brygisi i innych służących, o jaknajprędzszym podaniu obiadu. Podjął się na koniec misy tej Fabian Łozowicz,

a gdy wrócił, Lila, ściskając mu nieznacznie dłoń na podziękowanie, szepnęła:

— Widzi pan jakie jest życie moje! nie mogę nawet gości swych jak należy przyjąć!

Przy tych słowach wzrok jój, z wyrazem niechęci i rozniewania, spoczął na twarzy męża, który od zajścia owego w garderobie zmarkotniał znacznie i siedząc na stronie, a do rozmowy nie mieszając się, w myślach przykrych zatonął. W poruszeniach Lili, w rumieńcach które ognisto wybiły się na jój twarz, znać było gniew, niecierpliwosć, zmieszanie; ukrywała jednak starannie uczucia te i pragnąc ożywioną rozmową pokryć i zrównoważyć niejako niedostatki przyjęcia, mówiła wiele, a zwracała się wciąż do gościa, który uradowanym, wesołym, oczarowanym wydawał się, lub może i był istotnie. Gdy nareszcie o zmroku już oznajmiono podany obiad, Porycki, z gestem pełnym galanteryi zręcznej, i bez zarzutu, podał ramię gospodyni domu, a prowadząc ją przez obszerne i liczne pokoje, rzekł z odcieniem powstrzymywanego uniesienia w głosie:

— Zdumiony jestem i uszczęśliwiony prawdziwie tém, że podróżując w suchych, a po części i przykrych interesach, przepędzam tu chwile, które do najprzyjemniejszych w życiu swém zaliczyć mogę.

— Niech pan będzie pewny, z półuśmiechem odparła kobieta, że w naszym samotném i nudném życiu dzień podobny dzisiejszemu zdarza się bardzo rzadko.

— Pragnąłbym w to wierzyć, szepnął gość.

Blask wielkiej lampy, zwieszonj od sufitu, oblał kibić i głowę Lili, gdy opuściwszy ramię przewodnika swego, stanęła przy swém krześle. Oczy jój płonęły i jaśniały jak

dwa czarne dyamenty; bladuróżowe, delikatne rumieńce podnosiły białość twarzy, rzucając na nią zarazem odblask gorejącego życia. Głowa i popiersie jęj, od błysku i migotań strojących ją klejnotów, wydawały się osypane iskrami, a mnogie rzędy szkarłatnych koralu kołysały się na jęj piersi, poruszanęj przyspieszonym oddechem.

Ale i Porycki wyglądał teraz nieco inaczej niż w hotelowym pokoju, gdy naradzał się z Elim, albo w surowęj orchowskieję komnacie, gdy myślą i słowami toczył z Mieczysławem głuchą, zjadliwą walkę. Nie był on młodym i na pierwszy zaraz rzut oka można było dać mu lat najmniej 40; ale musiał być niegdyś bardzo pięknym mężczyzną, a i teraz, ze względu tylko na kształty postaci i rysy twarzy, był jeszcze takim. W tęg chwili sztywność jego zwykła, przypominająca mocno wyprostowanego w służbowęj mustrze urzędnika--zniknęła, żółtawość cery zmniejszyła się, wysokie i pięknie zarysowane czoło przyobiekło się wyrazem żywo rozbudzonęj inteligencyi i podnosiło się z dumą, napozór szlachetności pełną. W nim także, pod wpływem tajemněj myśli z jaką tu przybył, a może i niespodzianie doznanych wrażeń innęj natury poruszyły się i pełnēm życiem drgnęły wszystkie struny humoru, dowcipu, zręczności i wymowy, zawartęj w dźwiękach głosu lub spojrzeniu oczu.

Po obiedzie, bardzo długo trwającym, bo sporządzonym naprędcę, więc nieporządnie podawanym, towarzystwo przeszło znowu do salonu. Tym razem Klemens Szyłło nastręczył przedmiot do rozmowy.

— Proszę pana, rzekł, zwracając się do gościa, niech pan będzie łaskaw oświeci nas dokładnie i szczegółowo o tym *Domu pośrednictwa*, którego jak z biletu pańskiego

widać, jesteś pan głównym agentem. My tu coś wiemy o tém, ale bardzo mało.

— Z największą przyjemnością uczynię zadość życzeniu pana, odrzekł Porycki.

I z postawą pełną powagi, lecz z uprzejmym uśmiechem na twarzy, począł opowiadać jak, dlaczego i przez kogo założoném zostało stowarzyszenie, któremu służył, i którego był członkiem. Powtórzył tu po wielokroć wyraz: idea, mówił o ekonomii politycznej, o korzyściach jakie przynosi krajowi częste przechodzenie ziemi z rąk do rąk o potrzebie pchnięcia szlacheckiego stanu na nowe tory o kapitałach martwych i czynnych, o różnych skalach procentów i t. d.

— Co za erudycya! uprzednie zdanie swe powtórzył Łozowicz, który jednak całej mowy gościa, nawpół ją tylko rozumiejąc, markotnie trochę słuchał.

Konrad wysilał się téż widocznie, aby dobrze zrozumieć o co chodziło i jedną znać tylko rzecz pojął dokładnie, bo ozwał się z rodzajem smutku:

— Wszystko to prawda co pan mówi, ale wyrzekać się swego majątku, to, jak Boga kocham, rzecz niewesoła.

— Można mieć inny, piękniejszy, rzucił niedbale agent.

I ciągnął dalej rozprawę swą, której wszyscy obecni słuchali z oczami w twarz jego wlepionemi. Apolek nawet, zły i zgryziony przez dzień cały, począł, słuchając, myśleć nad czémś głęboko i pokręcać drobnego wąsa tak, jakby błysnęła mu nagle nadzieja dni lepszych. Jedna tylko Lila słuchała z roztargnieniem, ze znudzeniem widoczném. Przedmiot rozmowy nie obchodził jój widać ani trochę, nie rozumiała go i rozumieć nie usiłowała. Zięwnęła skrycie

parę razy, co spostrzegł Fabian Łozowicz, który często na nią spoglądał, i korzystając z przerwy zaszłej w rozmowie, głosem pokornym i błagalnym poprosił, aby raczyła zaśpiewać. Po pewnych, dość krótkich zresztą ociąganiach się, Lila usiadła przed fortepianem i po wzięciu kilku przedwstępnych, bardzo minorowych akordów, zaśpiewała pieśń melancholii pełną. Głos jej nie posiadał skali rozległej, ale czysty był, miły, dobrze ukształcony i wyrobiony. Przy pierwszych zaraz tonach instrumentu młodziutki Apolek umieścił się w kątku naprzeciw grającej i oczu z niej nie spuszczał; Łozowicz, rozmawiający z Konradem i Pawłem wpadać począł w roztargnienia ciągłe; ale Porycki, którego Klemens z nadzwyczajnym zajęciem o *Dom pośrednictwa* wciąż się rozpytywał, wstał z krzesła i powoli, z uśmiechem, zbliżył się do fortepianu. Zrazu stał chwilę za krzesłem Lili, potem jednak usiadł na stojącym tuż obok taburecie i dopóki śpiewu nie skończyła, siedział nieruchomo, z czołem na dłoni opartym.

— Dlaczego śpiewasz pani tak smutnie? rzekł zeicha gdy Lila, melancholijną pieśń swą odśpiewawszy, roztargnionemi palcami po klawiszach przebieierać zaczęła.

— Alboż świat ten jest wesołym? zaśmiała się kobieta.

Ale gdy z ust jej srebrny śmiech wybiegał, pierś podniosła się westchnieniem i czarne oko zaświeciło boleśnie, prawie posepnie.

— Dla pani świat rajem być powinien.

— Dlaczego?

— Chociażby przez wdzięczność, uśmiechnął się Porycki, przez wdzięczność za to, że jesteś pani jedną z najcudowniejszych ozdób jego.

Lila silniej w klawisze uderzyła.

- Świat nie może dać tego, czego sam nie posiada.
- Czegóż on nie posiada?
- Szczęścia.
- Śmiem pani zaprzeczyć. Szczęście istnieje na ziemi, ale zdobyć je trzeba...

Lila, jakby sobie o czémś przypomniała nagle, dłoń od klawiszów oderwała i do czoła ją poniosła.

— O! tak westchnęła są na ziemi ludzie szczęśliwi. Wiem nawet o kobiecie jednej, która jest bardzo szczęśliwą, bo znalazła swój ideał! Była to moja nauczycielka i serdeczna przyjaciółka. Ale ach! przypominam sobie... pan ją znasz może... wszak mówiłeś pan, że rodzinną stroną jego jest Wołyń... Moja przyjaciółka przed siedmiu laty wyjechała na Wołyń i tam prawdopodobnie za męża poszła.

— Jak nazywa się przyjaciółka pani?

— Imię jój Julia, a nazwisko było Grejs, ale je zmieniła zapewne.

Gdy Lila wymawiała te wyrazy, ręka na której gość czoło swe opierał nagle wdół opadła, a oczy jego za szafirówemi szklami zamigotały ostro i niespokojnie. Przez chwilę milczał. Ciemny jakiś, szybki a jednak głęboki namysł schmurzył mu czoło.

— Julia Grejs! wymówił nakoniec, nie znałem nigdy osoby z tém nazwiskiem.

— Szkoda! powiedziałyby mi pan co o niej. Tak pragnęłabym wiedzieć czy spełniły się jój marzenia, czy w człowieku, którego kochała, znalazła rzeczywiście ideał upragniony!

— Któż to był ten człowiek? jak się nazywał? może go znałem kiedy?

Pytania te rzucone były śpiesznie, jakby w nieładzie

cisnęły się na usta mówiącego. Oczy jego błysnęły parę razy, w sposób niepokój zdradzający.

— O mój Boże! westchnęła Lila, w tém bięda właśnie, że nie wiem zupełnie, kto był owym ukochanym mojej drogiej Julii.

— Jakto! nie znasz pani ani imienia, ani nazwiska męża swój przyjaciółki?

— Nie wiem nawet czy został on jęj mężem.... Wśród pośpiechu i wzruszenia z jakimi list do mnie pisała, zapomniała donieść mi o nazwisku swego narzeczonego.. wiem tylko że imię ma on.... takie jak pan.... Ildefons! Julia kochała go bardzo, każdy wyraz jęj o nim objawiał najgorętsze, prawdziwie idealne uczucie!

Porycki patrzył w ziemię. Trochę boleśny, trochę szyderyczy uśmiał przewinął mu się po milczących ustach: Lila mówiła dalej:

— Siedem lat z górą upłynęło od owego listu, pełnego uniesień, szczęścia, poezyi! Odtąd przestałyśmy pisywać do siebie... ja nie wiedziałem nowego jęj adresu, ona zaś... zapomniała widać o mnie....

Westchnęła. Gość podniósł na nią spojrzenie długie i badawcze.

— Przebacz pani, że jęj zaprzeczę, rzekł. Przyjaciółka pani nie mogła o nięj zapomnieć!

— A jednak.... przerwała Lila.

— Nie mogła, powtórzył Porycki, bo ktokolwiek miał szczęście raz choćby ujrzeć panią, przed tego pamięcią obraz pani wiecznie stać musi.

Lila zaśmiała się zcicha i znowu lekko w klawiszę uderzyła.

— O! rzekła, zapewne to z szerokiego świata tego,

na którym przebywasz pan zwykle, przywiozłeś do naszego zakątka wszystkie te piękne słowa!

— Nie pani, z mocą odparł gość; słowa swoje czerpię zazwyczaj wprost z serca i z myśli, a z szerokiego świata, o którym pani mówisz, wywożę nie dźwięki, lecz idee.

— Jakież są te idee?

O jednej z nich miałem zaszczyt rozmawiać przed chwilą z panią.

— Nie przypominam sobie. Jakże się idea ta nazywa?

Porycki głęboko spojrział w zwróconą ku sobie twarz młodej kobiety i zwolna wyrzekł:

— Nazywa się ona—szczęście!

W téj chwili za rozmawiającą parą, ozwał się głos pana Fabiana.

— Słyszę iż państwo rozmawiacie o szczęściu. Bajka to stara jak ludzkość i nazawsze pozostanie bajką. Ziemia nasza jest padołem smutku i płaczu, a jak powiedział poeta: „tyle życia co jest w pieśni, tyle szczęścia co człek prześni.”

— Przepraszam pana, rzekł Porycki z podniesioną głową i lekkim uśmiechem na ustach, ja nie o senném, ani o śpijącém szczęściu mówiłem. Jest na ziemi szczęście istotne, realne, pełne życia, krwi i ognia...

-- Gdzież je znaleźć można? chórem wykrzyknęli Łozowicz, Konrad, Apolek i Klemens, wkoło fortepianu zgrupowani.

— Zdobyć je trzeba! z mocą i pewnością siebie rzekł gość.

— Rozumiem myśl pańską, zawołał pan Fabian, szlachetna, poetyczna myśl! Jedyném szczęściem na ziemi jest to, które zdobywamy sobie poświęceniem, zaparciem się, dobrymi uczynkami...

Po ustach Poryckiego przeleciał szyderski, szybki jak błyskawica uśmiech. Oczy jego tkwiły nieustannie w twarzy Lili, schylonęj nieco, rozpromienionęj i zarazem zadumanęj.

— Nie o takich orężach, zaczął, mówi nam nowożytna idea, nauczająca sztuki zdobywania szczęścia. Ażeby być szczęśliwym, potrzeba przedewszystkiem być wolnym. Być wolnym nie można inaczej, jak otrząsnawszy się z kajdan, które nakładają na nas przestarzałe pojęcia, przesady, próżne skrupuły średniowiecznej kazuistyki. Jesteśmy po większej części dorosłemi lub starami dziećmi, co to, pragnąc dostać się do zaczarowanego pałacu, lękają się strachów, które na straży jego postawiono, a które noszą najrozmaitsze imiona: porządku społecznego, tradycyi, opinii i t. d. Jeżeli ktokolwiek ma dosyć dojrzałości umysłu, aby wiedzieć dobrze czego pragnie i czego mu potrzeba do szczęścia, dosyć mocy, aby zerwać kajdany swe, dosyć odwagi aby śmiało spojrzeć w oczy wszelkiego rodzaju strachom i nie zląknąć się ich—ten dojdzie z pewnością do celu swego, ten zdobędzie szczęście!

Mowy téj wszyscy, prócz Lili, która pochylała wciąż zadumaną swą głowę, słuchali z oczami szeroko otwartemi i w twarz gościa jak w tęczę wlepionemi.

— Pi! jaki filozof szepnął panu Fabianowi Paweł Szyłło.

Ale pan Fabian markotnie jakoś słuchał wygłaszanęj teoryi.

— Jednakże, ozwał się nieśmiało, nie wiem doprawdy czy z pewnością powiedzieć można, że porządek społeczny, tradycya, opinia są niczém więcej jak tylko strachami, wystawionemi dla odstręczenia od szczęścia dorosłych dzieci.

Mnieby się zdawało, że w każdym ze słów tych mieści się... mieści... ideał, wyrobiony wiekami... Może jednak mylę się... chciałbym bardzo abyś nam pan był łaskaw powiedzieć, z jakiego mianowicie punktu zapatrujesz się na te rzeczy...

Na te słowa Lila podniosła głowę i wzrokiem pełnym ciekawości, niepokoju objęła twarz gościa. „Odpowiedz! wołały oczy jój niecierpliwie, odpowiedz!”

Ale Porycki powstał z krzesła i śmiejąc się lekko, rzekł.

— Widzę że państwo chcecie, abym teorią moję wyłożył im obszérnie i do gruntu. Ja przecież nie uczynię tego, z obawy aby zbyt długą rozprawą nie znudzić i nie utrudzić towarzystwa. Rzucić słowo, myśl, iskrę, a potém umilknąć i oddalić się, pozwolić słuchaczom aby zagadnienie postawione we własnych głowach rozwiązali, aby pieśń zaczęta we własnych duszach dośpiewali—oto co uczynić powinien każdy, kto jak ja pragnąłby towarzystwu, śród którego spędził chwilę szczęśliwą, miłe pozostawić wspomnienie. Powiedziałem państwu że szczęście istnieje na ziemi, że na straży jego stoją strachy podobne tym, których rolnicy używają na odpędzanie wróbli od swych zagonów, że strachy te zwyciężyć trzeba, aby wejść do pięknego gmachu szczęścia. Jak zaś nazywają się strachy te, kto je wystawił i dlaczego, jakiemi orężami zwyciężyć je można? myślcie państwo nad tém już sami... mnie pora w drogę!

Przy ostatnich słowach oddał dokoła ukłon bardzo zręczny i sięgnął po kapelusz.

— Pan jedzie? zawołała Lila.

Wykrzyk ten wydarł się z ust jój nagle i jakby mimowoli.

Konrad pośpieszył do gościa, z prośbami o pozostanie.

— Konie pańskie zmęczone, mówią... Dziesięć mil jednego dnia ujechać, to dosyć...

— Pozostań pań, nalegał Łozowicz, pomówimy jeszcze z panem obszerniej o tém szczęściu i o tych strachach, a potem mam nadzieję, że nie odmówisz pan zaproszeniu memu i pod mój skromny dach wstąpić zechcesz.

Porycki wahał się chwilę, opierał, dziękował i namyślał, ale oczami szukał wciąż spojrzenia Lili jakby od niej oczekiwał rozkazu. Spojrzenie to podniosło się nakoniec ku niemu, smutne a wabne, wzruszone a proszące.

Porycki kapelusz na dawném miejscu postawił.

Ah! rzekł, dom to właśnie państwa nazwaćby można zaczarowanym pałacem szczęścia... Kto raz próg jego przestąpi, nieprędko potrafi się zeń wyrwać. Najmocniejszymi więzami są te, które wkłada na nas nagle zrodzona, niespodziewana a tak długo już może jak życie trwać mająca sympatya!...

— Któż i cóż zaręczyć może za trwałość uczuć ludzkich? zbliżając się ku kanapie, rzekła Lila.

— Serce młode i niezepsute, szepnął idący obok niej Apolek.

— Serce wypróbowane w ognjach różnych kolei życia, idące w parze z rozumem i wolą! odpowiedział Porycki.

Lila, która patrzyła na niego gdy to mówił, spuściła nagle wzrok przed jego spojrzeniem, takie ono było gorące a uporczywe, pełne żaru, namysłu i woli, w obec których uczuła się dziwnie słabą i nieśmiałą.

Rezydent łozowskiego dworu, a w tój chwili gość ręczyńskiego pałacu, Paweł Szyłło, blizkim był zmienienia

stanu, w którym od kilkunastu lat się znajdował i przejścia na eks-rezydenta. Paweł Szyłło żenił się, i to z dziedziczką, wcale niezłą folwarczyną, w bliskości Łozowej położoną. Dziedziczką tą była także rezydentka państwa Fabianostwa owa panna Antonina Łojwiczówna, o czarnych, złośliwych oczkach, wiecznym bólu zębów i mowie szybkiej, której zgłoski zdawały się w ustach jej wyprawiać zaciekle gonitwy i zjadać jedna drugą. Spełniły się gorące prośby, zanoszone przez biedną Antoninę do ołtarzyka przybranego w muszliny, paciorki i pawie pióra. Miała już ona teraz chatynkę własną. Była to chatynka po starym stryju, sknerze wielkim otrzymana, więc zniszczona, wałęsa się, puśta prawie; ale przylegał do niej spory kawał pola dobrego, z odpowiednią ilością łąki i ładnym brzozowym gaikiem. Dziedzictwo to, jakkolwiek skromne, stało się dla biednej dziewczyny, podstarzałej w sieroctwie i upokorzeniach, szczęściem wielkiem, niespodzianem. Nazajutrz zaraz po otrzymaniu wieści o niem odjęła od twarzy ochrończą przybrudną zawsze chusteczkę, i włożyła najlepszą swą czarną sukienkę, dar imieninowy pani Adeli. W stroju tym cera jej wydała się mniej żółtą, a figurka szczupłą i wcale zgrabną. Pani Eustachia, która od chwili dowiedzenia się o szczęściu nienawistnej współtowarzyszki schudła znacznie i zapomniała o cęrowaniu jedwabnych swych sukien, wyrzekła z przekąsem, iż patrzeć tylko jak panna Antonina posażna i odmłodzona, znajdzie sobie dozgonnego towarzysza. Proroctwo to spełniło się niebawem. Paweł Szyłło, którego i dawniej już ogólnie w Łozowej posądzało o pewną sympatyę dla młodziej z rezydentek, wciąż teraz przysiadł do niej; zakładając za uszy olbrzymie swe wąsy, trzymał przed nią moteczki nici i kłębuszki opu-

szczone podnosił, aż nakoniec bardzo uroczyście oświadczył się państwu Fabianostwu o jej rękę. Antosia rozplakała się z radości i wdzięczności, pani Eustachia aż się rozchorowała, na podwójne teraz szczęście patrząc, pan Fabian, ze łzami rozrzewnienia w oczach, błogosławił szkolnego kolegę i daleką swą krewną, a pani Adela poczęła grzebać się w swych kufrach i wyciągać z nich różne przedmioty, wyprawę długoletniej rezydentki składać mające. W kilka dni po oświadczeniach zaręczona para pojechała oglądać nowe, wspólne już swe dziedzictwo. Pusto tam było i nago: ani koła, ani woła, dziury w dachach i ruderry wszędzie.

— Żeby tak mieć do tego kapitalik jaki, rzekła narzeczona, której wraz z powodzeniem, energii i praktycznego rozsądku przybyło wiele, toby to można wszystko jak cacko urządzić!

Paweł przypomniał sobie, że miał kapitalik spory na ręczyńskich dobrach i po siedmiu latach ponownego cierpliwego czekania, wybrał się znowu do Konrada, z prośbą o zwrot swój własności. Za dwa tygodnie ślub miał nastąpić, sprawa więc była pilna, bo do opuszczonego, pustego dworku trzeba było sprzączków, bydełka, całego słowem małego zagospodarowania!

W Ręczynie siedział już od tygodnia przeszło, a niczego jeszcze pewnego o sprawie swój dowiedzieć się nie mógł. Konrad przeproszał, ścisnął, przyrzekał, na ciężkie czasy użalał się, co Pawła mięczyło niestęchanie, oniesmielało i do milczenia zmuszało. Po prawdzie rzadko on pana domu widywał, bo gdy w bawialnym saloniku towarzystwo, z codziennych gości złożone, skupiało się wkoło siedzącej na kanapie Lili i czas pędziło na muzyce, dekla-

macyach i żartobliwych rozmowach, Konrad przebywał z masztalerzem swym i stangretami, albo długimi godzinami przesiadywał w ustronnym pokoju z dzierżawcą Efrogiem, z którym miał zawsze tysiące interesów i interesików, a który przyprowadzał też z sobą niekiedy, niby zastęp pomocniczy, miejscowych pachciarzy, arendarzy i faktorów. Wtedy pan domu leżał na sofie, z cygarem w ustach, albo zwykłym sobie zamaszystym krokiem, z rękami za plecy założonemi, przechadzał się po pokoju, a Izraelici stojący u drzwi opowiadali mu różne różności o sąsiedzkich sprawach i sprawkach, o swych handlowych obrotach i t. p.

Nazajutrz przecież po przybyciu do Ręczyna Poryckiego, Szyłło wstał bardzo wczesnie, z mocnym postanowieniem stanowczego rozmówienia się ze swym dłużnikiem. Po ogrodowej alei przechadzał się Konrad. Wyjątkowym sposobem był on sam jeden, bez zwykłego towarzystwa masztalerza lub Żyda dzierżawcy. Chodził zamyślony bardzo, ze spuszczoną głową i zmarszczką na czole. W ogólności bywał on teraz często markotnym i stroskanym. Nie można było powiedzieć, aby rozumował on o stanie swych majątkowych interesów i o przyszłości która go czeka, ale instynktowa troska o pierwsze i również instynktowy strach przed drugą, pogrążyły go w długie i chmurne acz bezowocne rozmyślenia.

Zamyślonemu człowiekowi zasłzi z dwóch stron drogę Paweł i Klemens Szyłłowie. Konrad obu im rękę bardzo serdecznie podał i długo tak chodzili po cieniściej ogrodowej alei. Widać było, że zrazu głos zabrał Paweł, poczem śmieliej nierównie i natarczywiej przemawiał Klemens. Konrad stawał wśród drogi, rozmachiwał rozpacznie rękami,

chwycił się za głowę, jak człowiek który przeprosza, wstydzi się, boleje, a spełnić żądań czyichś nie może.

W pół godziny potém obu Szyków nie było już w ogrodzie. Paweł, gestem pełnym zgrzyoty pociągając długie swe wąsy, odszedł, bo ujrzał przez otwarte okno sali jadalnej dymiący się samowar; Klemens zaś spostrzegł wychodzącego na jeden z bocznych balkonów Poryckiego i z ukłonami do niego pośpieszył.

Konrad usiadł na ławce i w zamyśleniu cięższém jeszcze niż wprzódę począł końcem nieodstępnej szpicruty kreślić na piasku różne esy i koła. Nagle podniósł głowę bo ujrzał spływający na ziemię cień wysokiej postaci ludzkiej, która stanęła przed nim. Był to Efroim. Konrad poskoczył z ławki ku temu, o którym mniemał że raz jeszcze wybawcą jego będzie.

— Efroimku! zawołał, wystaraj się ty dla mnie zkażkolwiek ośmiu tysięcy rubli! Procent jaki chcesz dam! Jak Boga kocham, nie chybię ani o dzień jeden! Ale teraz oszaleję chyba, jeżeli pieniędzy tych nie dostanę! Ci ludzie spokojności mi nie dają i wiem zresztą dobrze, że im się należy, święcie należy, ale zkażcie im wezmę, kiedy nie mam?

— A ja zkaż wezmę? odparł Żyd, gładząc czarną swą brodę.

Nie złożył on tym razem Konradowi zwykłego ukłonu, a w twarzy i całej postawie jego było coś niezwykłego, coś co Konrada tknęło przecuciem niedobrem.

— Zkaż ja wezmę? powtórzył Żyd. Ja wszystko co miałem, już jasnemu panu dałem, a nikt inny nie da ani grosza. Ja tylko jeden taki głupi był, że *pieniądźów* tyle w Ręczyn wsadził: ale w dziurawe sito lać, to zła robota, bo woda wyleje się, a sito jak próżne, tak próżne!

Na zuchwałę te słowa Konrad osłupiał zrazu; zdziwiły go one i obraziły. Przez chwilę zdawało się, że gniewem wybuchnie, ale postacie dwóch Szyłłów, w towarzystwie wielu innych jeszcze postaci, to same złowrogie dłoń znaczenie mających, w oczach mu stanęły i do pokory go zmuszały. Oblał się gorącym rumieńcem. Cierpiał naprawdę i silnie; pomimo to jednak, a może dlatego właśnie w nowe prośby uderzył. Efroim stał wyprostowany i sztywny, jak słup wiorstowy. Widać było po nim, że skończył już epokę elastycznych ukłonów i uprzejmnych przysłów. Gdyby ktokolwiek zapuścił teraz dłoń za klapę jego chałata, znalazłby tam wczorajszego wieczora odebrany przezeń list Elego, zawierający informacje o przybyłym do Ręczyna panu i ściśle przepisy postępowania z dziedzicem.

— Ny! na co jasnemu panu tych kłopotów i tych lamentów? po dłuższej rozprawie rzekł Żyd. Żebym ja był na jasnego pana miejscu, tobym prosił tego jegomości co wczoraj tu przyjechał, a *on* by mi tak majątek sprzedał, że i kredytyry odebraliby zaraz swoje, i jasny pan byłby jeszcze jaśniejszym panem jak teraz.

Na słowa te Konrad żywo podniósł w smutku pochyloną głowę, szeroko rozwartemi oczami w twarz Żyda spojrział i jakby go kto ukropem oblał, z ławki poskoczył.

— Co? krzyknął, ja, ja miałbym Ręczyn sprzedać? Taki majątek i rodzinne miejsce moje! Jak Boga kocham, zwaryowałaś chyba, Efroimku! Czarny chleb będę jadł i siemięgę włożę, a tego nie zrobię nigdy!

Efroim uśmiechał się, a oczy jego z pod brwi krzaczystych szydersko błysnęły.

— A jasna pani czy także będzie czarny chleb jadła? wyrzekł przeciągle.

Słowa te ostudziły zapal Konrada i pogłębiły zmarszczkę rysującą się mu na czole. Usiadł znowu na ławce i mileżał chwilę.

— Śmieszna myśl! rzekł, wstrząsając głową, jakby z niej ciężar jaki chciał zrzucić. Ja miałbym Ręczyn sprzedać? Nie! nic z tego nie będzie! nikt mię do tego nie zmusi!

— Ny, rzekł Efroim obojętnie, kto ma zmuszać? Ja to tylko tak sobie powiedziałem. Ale ot ten pan idzie tutaj, to ja pójdę już sobie, bo mnie do stodoły trzeba. Ale niech jasny pan o obietnicy pamięta, co mi ją dał.

— O jakiej obietnicy?

— Że ja mam na Nowy rok *moich pięć tysięcy rublów* odebrać. Mnie korzystny interes zdarza się, to ja tych pieniędzy koniecznie mieć muszę!

— W porę wybrałeś się... niechże cię!.. zaczął Konrad; ale nie dokończywszy słów zaczętych, powstał szybko z ławki, aby spotkać idącego ku niemu gościa.

Efroim odszedł, nie tak jednak prędko, żeby nie mógł zamienić z nadchodzącym znaczącego spojrzenia. Jakkolwiek ujrzeni się dziś po raz pierwszy w życiu, wiedzieli wzajem o sobie kim byli i w jakich celach porozumiewać się im ze sobą wypadało.

Porycki zbliżał się wyświeżony, promieniejący z wyprostowaną postawą i z ręką ku gospodarzowi domu wyciągniętą.

— Miłe sny miałem pod gościnnym dachem państwa, zaczął tonem pełnym wesołej swobody.

Nagle jednak, jakby go coś szczególnego w twarzy pana domu uderzyło, ścisnął mu dłoń z przyjacielską serdecznością i z wyrazem twarzy troskliwym a zasmuconym zawołał:

— Spostrzegam, doprawdy, żem się z opowiadaniem o błogich moich marzeniach sennych nie w porę wybrał. Pan wydajesz mi się dziś smutnym, zasepionym, mizerniejszym niż wczoraj. Jakże żałuję, że niedawna znajomość żadnych mi jeszcze praw nie udziela do zapytania o powód troski na twarzy pana wyrytéj!

Konrada słowa gościa i ton serdeczny, jakim je wymawiał, za serce ujęły.

— O! rzekł, wzdychając, zgryziony jestem rzeczywistoście; ale sekretu w tém żadnego niéma. To nasze życie na wsi, to jak Boga kocham piekło czyste. Z kłopotów ani wyléżeć, a tu majątek w dzierzawę puszczonej za bezcen... Żydzi obdzierają i jeszcze naśmiéwają się z nas potem...

Mówił to z płaczem nieledwie. Słaba natura jego i umysł niedołączny gwałtownie w téj chwili powiernika i pociechy jakiejkolwiek potrzebowały.

Porycki fizyognomią wyraził głębokie, dobrodusznego zdziwienia pełne współczucie.

— No proszę! zawołał, ktoby się to spodziéwał, patrząc na to prześliczne miejsce, na ten pałac, na ten ogród do raju podobny, że się tu mieścić mogą jakiegokolwiek troski i zmartwienia!

— Diabelne zmartwienia! wtrącił Konrad.

— Ale czyliżby tak trudno było im zaradzić?

Konradowi myśl jakaś ożyweza w głowie błysnęła. Wahał się chwilę z jéj wypowiedzeniem, ale zachęcony współczuciem malującém się wciąż na twarzy gościa, rzekł proszącym i zarazem porywczym tonem:

— Ot, mam do pana prośbę. Pan interesami zajmujesz się... możebyś... możebyś pan był tak łaskaw wystarać mi się o pożyczkę... jakich ośmiu...dziesięciu tysięcy rubli...

Porycki zdawał się namyślać przez chwilę i czoło dłonią potarł.

— Bardzo, bardzo mię to boli, że żądanej przysługi oddać panu nie mogę... Interesami trudnię się w istocie, ale innéj wcale natury... W stronach tych obcy jestem i kredytu mieć nie mogę... Zdaje mi się... zdaje mi się jednak, że pan nazbyt sobie do serca bierzesz kłopoty chwilowe, przemijające... Nie może być, aby tak piękne dziedzictwo środków jakich nie dostarczyło...

— Jakie tam środki! sarknął Konrad. Wyciśnięte to jak cytryna. Mamie do miasta posyłam a posyłam piędziadze...żona téż potrzebuje na ubranie i wyjazdy z domu...

— O ile wiem, pani posag znaczny miała... poufnym tonem wtrącił gość.

Konrad ręką machnął.

— Na papierze. Kapitału ani tknąłem jeszcze, brat procenta tylko płaci...

— A więc, coraz poufalszy ton mowy przybierając, zauważył gość, możnaby braciszka poprosić aby oddał...

— A kiedy on sam nie ma. Tylko co z długów wyłazł...

— Egzekwować sądownie! ciszej lecz z przyciskiem doradził Porycki.

Konrad spojrział nań wielkimi oczami.

— Jakto egzekwować?

— Ot tak: majątek na sprzedaż wystawić, albo... albo przynajmniej zagrozić egzekucją, to sam z wolnej ręki sprzeda i posag siostry odda.

Konrad patrzył na mówiącego, jakby słowa słyszane długo w umyśle swym ważyć musiał, zanim myśl ich dobrze wyrozumić zdołał.

— Wystawić na sprzedaż Orchów?.. wymówił nakoniec zwolna, wypędzić z Orchowa Mieczysia?..

Wstrząsnął głową ze stanowczością wielką i rzekł:

— Nie, to niepodobna! Ja tego uczynić nie mogę. Mieczys, widzi pan, to mój krewny i mój rówieśnik... chowaliśmy się, a potem po prawdzie i hulaliśmy trochę razem...

Brwi Poryckiego drgnęły i ścisnęły się lekko. Nie spodziwał się znać odpowiedzi takiej. Wyobrażał sobie że ma do czynienia z kimś pozbawionym zupełnie własnej rozwagi i woli, spostrzegł zaś że w człowieku tym, słabym bardzo i nierozsądnym, brzmiała jednak struna serdeczna którą zerwać będzie trudno.

— Ależ to z widoczną korzyścią samego pana Mieczysława... próbował jeszcze nalegać.

Lecz Konrad powtórnie głową wstrząsnął.

— Ja tam nie wiem co z jego korzyścią, a co nie, ale dokuczać mu nie chcę. Niech już ja sam jeden cierpię i biędę klepię... Żeby zresztą nie mama i nie Lila, — tobym się jako tako wykierował; ale kobietom diabelnie wiele potrzeba a moja zasada już od dzieciństwa była taka, że matka to pierwsza w domu mym osoba.

— Niechże już matka, szepnął gość; ale brat, i do tego brat żony....

— Ja Mieczysława lubię, upierał się Konrad, on mój krewny i rówieśnik, a choć pogniéwaliśmy się byli, bo on mi z Lilą żenić się przeszkadzał i mówił że myśmy nie dla siebie stworzeni, to jednak ja teraz myślę sobie, że może on miał trochę racyi... i nie gniewam się na niego.. i w biędę go za nic w świecie nie wprowadzę!..

Porycki zamilkł. Oczy jego, w ziemię utkwione, wyrażały uczucie zawodu i zdziwienia. Tu, gdzie spodziwał

się znaleźć grunt działania ze wszelkich przeszkód oczyszczony, stanęły mu w drodze stosunki, związki, uczucia i skrupuły ważną odgrywające rolę i jak się zdawało dość silnie ugruntowane w organizacyi tego nawet moralnie i umysłowo upośledzonego człowieka. Niedługo jednak dumął. Lekceważący uśmiech przemknął mu wnet po ustach; widoczném było że pomyślał: mniejsza o ciebie, głupcze!

Zarazem zwrócił twarz w stronę, gdzie śród ogrodowej zieleni bieląła w kolumnadę i balkony zdobna ściana pałacu. Na jednym z balkonów błysnęło, zaświeciło, zamigotało. Była to Lila, która w długiej sukni liliowego koloru, ze srebrnymi i kryształowemi ozdobami u szyi, rąk, piersi i głowy, stanęła na balkonie. Porycki wstał z ławki i skierował się ku pałacowi. Po drodze zerwał z klombu parę pysznych białych astrów i zwolna wszedłszy po kręconych schodach, z kwiatami w ręku, stanął obok Lili.

Twarcz młodéj kobiety jaśniała uśmiechem; Ildefons złożył jéj ukłon głęboki i parę sekund dłużej niżby może wypadało rękę jéj w swéj dłoni zatrzymał. Potém, wsparci oboje o żelazną balustradę balkonu, rozmawiali zrazu głośno i śmiejąc się, potém ciszej trochę i ze wzruszeniem w spotykających się co chwila oczach.

Około południa Lila siedziała już na zwykłym swém miejscu, to jest na kanapie w bawialnym saloniku. We włosach jéj, pomiędzy kryształowemi szpilkami, wpięty był jeden z białych astrów, zrana przez Ildefonsa zerwanych. Konrad upatrzył chwilę, w której wyjątkowym sposobem grupa mężczyzn, skupiająca się zazwyczaj wkoło kanapy, rozsiała się po pokojach, i usiadł obok żony.

— Lilciu, rzekł, wiész co? mam dziś z tobą do pomówienia.

— O czém-że takiém? z nietajoném lekceważeniem i nie patrząc na męża, zapytała kobiéta.

— Chciałbym pomówić z tobą, o interesach naszych. Diabelnie złe być zaczynają!

Teraz Lila zwróciła na mówiącego oczy gniewne trochę i z góry już znudzone.

— Mój Konradzie, odparła, nie nudź mię, proszę!... Wiész dobrze że nie znam się na interesach i nic a nic nie rozumiem, a ile razy mówiłeś mi o nich, dostawałam zawsze migreny.

Konrad stęknął, wstał z krzesła, zamasyście przeszedł parę pokojów, drzwi od przedpokoju zamknął za sobą z głośnym stukiem i poszedł ku stajniom. Przeznaczenie człowieka tego było w istocie dość dziwném. Matka jego przy wzmiance o majątkowych interesach, dostawała zwykle poziéwania, żona migreny....

Po sali jadalnej tymczasem Porycki przechadzał się z Klemensem Szyłłą.

— Gdybyś pan dobrodziej, mówił syn Augustyna Szyłły, mógł i chciał powierzyć mi interes jaki, to byłbym panu bardzo wdzięczny....

— I owszem, rzekł Porycki, nie będzie to zdaj e mi się rzeczą niemożliwą; tylko.... czémże pan zajmujesz się stale?

— Stale... tak, prawdę mówiąc, nie zajmuję się niczém, zająknął się trochę młody Szyłło. Widzi pan dobrodziej, ojciec mój był dawniej urzędnikiem, stracił posadę i zaczął panom obywatelom interesa prowadzić. Nie można jednak powiedziéć, żeby mu się dobrze wiodło. Panowie

obywatele nieakuratni są.... Ot i pan Ręczyc naprzykład i pan Łozowicz winni ojcu spore pieniądze; ale cóż robić kiedy nie oddają?... Ja i brat mój kierowaliśmy się sami, o własnych siłach.... Brat mój jest kancelistą, nieetatowym ma się rozumieć.... cierpliwy jak wół, dziesięć lat już w biurze pracuje i dorobił się dwudziestu rubli na miesiąc. Ja tam już nie zdałem się do roboty takiej; mam chwała Bogu zdolności i gnić w biurze nie myślę. Stałe jednak zajęcie nie wydarzyło mi się dotąd żadne.... Jestem, prawdę powiedziawszy, człowiekiem, jak to mówią, bez kondycyi; ale czy to ja jeden?... Żebyś pan dobrodziej wiedział, ilu nas jest takich, którzy rąk nie mają! o co zaczepić.

— Proletaryat! półgłosem rzekł Porycki, ofiary mopolu, który bogactwo ogólne w ręce jednej kasty oddaje.. Tak to, panie Klemensie! dodał głośniej, tak bywa na świecie: z jednej strony bogacze, z drugiej nędzarze; tu ludzie którzy rodzą się już w dostatkach i honorach, a owdzie tacy, którzy, jak pan mówisz, kondycyi nawet żadnej dobić się nie mogą....

— Oj to prawda! westchnął Klemens. Już-to sprawelliwości na świecie niema! Dlaczegożbym ja, proszę pana, nie mógł do bogactwa dojść, tak jak i kto inny? Ot nie zdarza się jakoś.... Możeby pan był łaskaw dla mnie miejsce jakie na przykład przy Domu pośrednictwa wyjednać....

Porycki myślał chwilę.

— Zabaczmy, rzekł. Tymczasem dam panu na początek zlecenie jedno. Zrób pan tak, aby ojciec pański summę należną mu od pana Ręczycy na imię pana przekazał. Nie znam ojca pańskiego, ale przypuszczam, że musi to być

człowiek miękki i energicznie wzięść się do rzeczy niezdołny, a tu trzeba...

— A tu trzeba,—pochwycił Klemens, kiwając głową na znak zrozumienia, a rękami czyniąc gest taki, jakby miał coś i dusił w pięści—tu trzeba *przycisnąć*...

— Zrozumiałeś mię pan, obojętnie wyrzekł agent główny.

— A kto, proszę pana Ręczyn chce nabyć? szeptem zagadnął człowiek bez kondycyi.

— Nie wiem jeszcze dobrze jak to będzie; zdaje mi się jednak, że nabyć go chce graf K...

— Może pan będziesz potrzebował posłać kogós do grafa? z błyszczącemi oczami zapytał młody Szyłło.

— Bardzo być może. Pomyszę o panu...

W téj chwili zbliżył się do rozmawiających syn pana Fabiana, Apolek. Markotny wczoraj i gniębny na gościa, że go od przedmiotu uwielbień jego oddalał, dziś postanowił przecieź zbliżyć się doń, i to z miną wielkie ugrzecznienie objawiającą. Miał znać ku temu ważne powody.

— Proszę pana, rzekł, kłaniając się lekko i muskając czarny wąsik, ja mam do pana prośbę...

Klemens odszedł.

— Słucham pana, rzekł Porycki bardzo uprzejmie.

— Mówiłeś pan wczoraj, ciągnął młodziutki syn Łozowicza, że *Dom pośrednictwa* ułatwia sprzedaż majątków, a pan stowarzyszenia tego jesteś członkiem i agentem. Otóż czy nie mógłbyś pan wystarać się o kupca na majątek nasz Łozową i namówić ojca mego, aby go sprzedał?

— Czy sprzedaż ta byłaby panu pożądaną? zapytał go oś.

— Ależ i jak jeszcze! Niech-bo pan wyobrazi sobie, jakie ja życie zmuszony jestem prowadzić na wsi! Nuda, jednostajność i perspektywy na przyszłość żadnej! W przeszłym roku miałem jechać do konserwatorium, aby kształcić się dalej w muzyce; ale ojciec pieniędzy nie miał i znowu zostać w domu musiałem. W moim wieku, przy moim talencie, smutno doprawdy tak marnować się w zakącie. Gdyby ojciec sprzedał Łozową, zamieszkalibyśmy w mieście jakimś i zaraz wszystko byłoby inaczej.

— Chętnie postaram się o spełnienie życzeń pańskich, odpowiedział Porycki i przeszedł do salonu, w którym Lila, niecierpliwie oczekując jego zjawienia się, z roztargnieniem słuchała przewlekłej i poetycznymi cytatami naszpikowanej mowy siedzącego przy niej Fabiana Łozowicza.

IV.

Dzień jesienny miał się ku końcowi. Na ulicach miasta N. zapadł zmrok, połączony z wilgotną, chłodną rosą drobnego dészczu.

Chodnikiem jednéj z ulic, powolnym i spokojnym krokiem, szedł Eli Makower. Znajdował się on właśnie naprzeciw obszérnego i dość pięknego hotelu, którego kilka okien rześistém jaśniało oświetleniem, gdy z hotelowych wschodów zszedł szybko mężczyzna w wielkim płaszczu z peleryną i stanął naprzeciw przechodzącego Izraelity. Pomimo zmroku, dwaj ci ludzie poznali się w oka mgnieniu.

— Idziesz pan do mnie zapewne? zapytał Elega Ildefons Porycki.

— A tak, odparł Izraelita, szedłem do pana. Miałeś mi pan dziś dać wiadomość o wszystkiém. Ja na pana od południa czekał i doczekać się nie mógł...

— Ot tak jakoś cały dzień przesiedziałem u Ręczyców, z wahaniem się i pewném jakby zawstydzieniem rzek agent główny.

— Och panowie! panowie! kiwając głową, uśmiechnął się Eli. Wszyscy wy tacy! Ot pan naprzykład niby na

interesach zna się i interesami zajęty, a jak tylko gdzie trafi się przyjemność jakaś, to interes na bok przed nią idzie....

— Interes interesem, a przyjemność przyjemnością, odparł Porycki; w tém cała sztuka, żeby jedno łączyło się z drugim i jedno drugiemu pomagało.

Eli spojrzął na oświetlone hotelowe okna.

— Czy Ręczycowicze mieszkają tam, gdzie się tak świeci?

— A tak; mieszkamy w sąsiedztwie. Pokój który zajmuję, znajduje się na jednym korytarzu z pokojami, które oni zajęli.

— Czy Ręczyc przyjdzie dziś do mnie? zagadnął przeciągle Eli.

— Naturalnie, krótko odparł Porycki.

— A ja dziś jeszcze jednego szczupaka złapałem, uśmiechnął się Izraelita.

— Któż to taki?

— Łozowicz.

— A! więc przyjechał?

— A co on miał robić? On musiał przyjechać, bo jego za nieopłacone podatki już opisali.

— Dobrze. Otrzymałem dziś właśnie listy od barona, grafa i radcy stanu.

— Nu, o co oni piszą? pośpiesznie zapytał Żyd.

— Grafowi podoba się bardzo Ręczyn, a radcy Łozowa, ale baron nie chce i słuchać o innym majątku jak Orchów, z Rydlówką i Białowolą....

— To kiepsko! wymówił Eli.

Podobnie ordynaryjnych wyrażań lub wykrzykników, żydowski szwargot przypominających, Eli używał teraz

w chwilach takich tylko, w których ciekawy był bardzo, zniecierpliwiony, lub zakłopotany.

— Dlaczego? zapytał agent główny.

— Rydlówka i Białowola będą.... ale o Orchowie babka zawsze na dwoje wróży....

— Będzie ona wkrótce wróżyła inaczej, zjadliwie uśmiechnął się Porycki, i jakby mimowoli rzucił spojrzenie ku oświetlonym oknom mieszkania Lili i Konrada.

— Do zobaczenia, dodał, do zobaczenia! O siódmém więc zejdziemy się wszyscy w twojem mieszkaniu.

Rzekłszy to, pożegnał współnika skinieniem głowy i szybkim krokiem zmierzać począł ku oświetlonym drzwiom szklanym miejscowój cukierni. Dnia tego przegrał on żartobliwy jakiś zakład z Lilą i spieszył po najpyszniejsze cukry, jakie tylko w N. znaleźć się mogły. Widocznie lubił on i umiał łączyć pożyteczne z przyjemném. Z jednego źródła czerpał dobre szanse dla interesów swych i środki miłego przepędzenia czasu. Ale Elego nie przyzwyczało do wesołych i drażniących gier życia, do wrażeń wstrząsających nerwami i gorących bujań wyobraźni. Zajęty więc jedynie interesami obiecującemi mu znaczne zyski, ważąc w głowie różne interesów tych szanse i zwroty, szedł on prosto ku mieszkaniu swemu, w którém dziś spodziewał się przyjmować licznych gości.

Mieszkanie Elego znajdowało się w jednym z niewielkich drewnianych domków, które, jak bywa zwykle w dość dużych nawet litewskich miastach, przedzielają tu i owdzie wysokie i ozdobne kamienice ulic głównych. Wchodziło się do niego od ulicy po kilku wschodkach i przez drzwi do połowy oszklone, a z wewnątrz białą firanką przystłonięne. Z obu stron drzwi były w oknach dużych i czystych małe

wystawy trunków i przekąsek, nade drzwiami zaś wisiła tablica, z napisem ogłaszającym znajdowanie się w tém miejscu bilardu, win i wódek. Pierwsza od wejścia izba, dość obszerna, oświetlona była lampą, u sufitu wiszącą. Pod jedną ze ścian jęj znajdował się bufet, na którym stały butelki z trunkami, oraz talérze ze śledziami, sérem i marynowaną rybą. Za bufetem siedziała żona Elego, Chaja, wcale inaczej już teraz wyglądająca jak wtedy, gdy na folwarczonym dziedzińcu Orchowa rozwieszała na sznurach własnoręcznie upraną bieliznę. Twarz jęj, zwiędła podówczas i żółta stała się rumianą i okrągłą, kibić nabrała tuszy imponującej, a ubranie składało się z sukni jaskrawego koloru, jedwabnej mautylki i czépca z wielką pąsową kokardą. Siedziała ona za bufetem, widocznie z obecnego położenia swego wielce zadowolona i dumna, z drutami w ręku, na których powoli i od niechcienia robiła pończochę. W drugiej izbie był bilard i u sufitu paliła się także lampa. Dwie izby te, bufet i bilard zawierające, były miejscem, na którym działalność swą handlarską i gospodarską wyłączenie rozpościerała Chaja, odkąd mąż jęj, przestając być wiejskim dzierżawcą, został agentem przemysłowego stowarzyszenia i zamieszkał w mieście. Eli nie wtrącał się tu do spraw żony, ani pytał ją o zyski, które z handlu swego otrzymywała. Handel ten założył on na jęj żądanie, a może téż potrzebował go jako miejsca, do którego schodzili się ludzie różni, z pomocą którego zabiéraf znajomości i stosunki, które nakoniec służyło do zamaskowywania, do otaczania cieniem i milczeniem działań dokonywających się w izbie trzeciej, tuż za bilardową położonej. Trzecia ta izba miała już pozór bawialni, małej ale czystej, w kanapę, fotele, lustro i dywan zaopatrzonej. Pod jedną ze ścian stał

tam nawet dość staro i mizernie wyglądający fortepianik, pod drugą zaś znajdowała się żelazna ogniotrwała kasa. Od lat trzech nikt w powiecie całym, a nawet w dwóch czy trzech pogranicznych powiatach, nie sprzedał i nie nabył własności ziemskiej, zanim kilku godzin, lub czasem i wieczorów, nie przepędził w tej bawialni Elego. Tu cicho, smutnie, z prośbą na ustach wsuwali się troskami zmęczeni, ciszą wiejską znudzeni, własną lub niewłasną winą zruinowani i nędzy lękający się dziedzice dawni; tu z pieniędzmi lub bez pieniędzy, lecz z głośną zawsze mową i dumnie podniesioną głową, wchodzili kandydaci na dziedziców nowych. Tu, za pośrednictwem Elego, poznawały się strony, dokonywały targi, rozstrzygały losy i zmieniały drogi licznych rodzin, a niekiedy całych grup społecznych.

Eli Makower miejsce to nazywał, uśmiechając się, stawem swoim, a tych którzy doń przybywali szczupakami. Nazwę ostatnią udzielał bezwzględnie obu stronom, z którym do czynienia miał, obie bowiem płaciły mu procenta znaczne, niekiedy ogromne, od sprzedanych lub nabytych wartości, procenta których drobna zaledwie część przypadała *Domowi pośrednictwa*, a całość napełniała coraz obficiejszą stojącą u ściany żelazną szafę.

Wieczoru tego, w którym Eli spotkał się z Poryckim u hotelowych schodów, Chaja, z którą mąż zamienił wchodząc słów kilka, mniej jakoś uprzejmie niż zazwyczaj przyjmowała przychodzących do handlu jej gości, a lubo z poważnym pośpiechem przysługiwała się wszystkim wódką, piwem i przekąskami, to jednak gawędą i zaprosinami nie starała się na dłużej zatrzymać nikogo i nawet kilku gościom z ubolewaniem oświadczyła, że bilard zepsuł się i że nikt dzisiaj na nim grać nie może.

Bilardowa więc izba cichą była wieczoru tego i pustą, a słabo ją tylko oświetlał przenikający przez drzwi blask lampy, w pierwszym pokoju zapalanej. W bawialni za to na stole przed kanapą umieszczonym i kwiecistą serwetą przykrytym, paliły się dwie świece, w wysokich mosiężnych lichtarzach. Wkoło stołu, na kanapie i fotelach, siedziało pięciu mężczyzn: Konrad Ręczyca, Fabian Łozowicz, Augustyn Szyłło, Porycki i Makower.

Po chwilowém milczeniu, jakie pomiędzy nimi zapanało, poznać można było, że rozprawy toczyły się tu już od dość dawna i do żadnego jeszcze stanowczego rezultatu nie doprowadziły.

— A to deprawdy zwaryować można od tych kłopotów, z gestem zniecierpliwienia zawołał Konrad. Ja tu już, jak Boga kocham, własną głową nie zdecydować nie mogę! Co pan myślisz o tém wszystkiém, panie Szyłło? co pan mi radzisz uczynić?

Prawnik, do którego słowa te zwróconemi były, zmieszkał się widocznie, wzruszył lekko ramionami i jękając się, odpowiedział:

— Ja nie wiem... ja gotów jestem, w razie jeśli pan zdecydujesz się na tę sprzedaż, dopilnować wykonania wszystkich prawnych formalności... ale radzić... cóż ja tu mogę radzić? pan sam najlepiej...

— Czy mówił już pan o interesie tym ze swoją mamą? z cienia w którym siedział przerwał Eli.

— Nie mówiłem jeszcze.

— A więc, uśmiechniony i ugrzecznony, jak zawsze, zawołał Porycki, nie nie nagli przecie. Niech pan o tém z szanowną swą mamą pomówi. Któż bliższy, kto lepiej poradzić może, jak matka?

— Co do mnie, zaczął zcicha Fabian Łozowicz, zdaje mi się, panie Szyłto, że... interesa moje... nie są... nie są tak....

Przerwało mu mowę poruszenie Elego, który obejrzał się na drzwi i pośpiesznie wstał z krzesła.

— Zdaje mi się że ktoś jeszcze przybywa do naszej kompanii.

Wyraz zadowolenia błysnął na twarzy Poryckiego.

Eli opuścił bawialnię.

W istocie, drzwi od ulicy otworzyły się przed chwilą i na progu pierwszej izby stanął Kamil Orchowski.

— Czy tu mieszka Eli Makower? zapytał.

— Tu, tu! poznając dawnego współdziedzica Orcho-wa i śpiesznie podnosząc się z krzesła, odpowiedziała Chaja. Niech jasny pan wejdzie! bardzo proszę! Oto gość! to będzie dla mego męża niespodzianka!

— Moje uszanowanie panu! wymówił, zbliżając się Eli. Jak to dobrze, że pan przyszedł! U nas tu interesa, jak żelazo kują się na gorąco. Ja dziś sam chciałem iść do pana?

— Albożes pan wiedział, że przyjechałem do N?

— Czemu ja nie miał wiedzieć? Ale niech pan będzie łaskaw do bawialnego pokoju!

Chaja, słysząc wzmiankę o bawialnym pokoju, uśmiechnęła się z niewymowną błogością i ze zdwojoną powagą na opuszczonej przez chwilę miejscu zasiadła.

Kamil udał się we wskazanym przez Elego kierunku. Obecność kilku osób, które znalazł w bawialni, przykre na nim zrazu uczyniła wrażenie; po chwili jednak rozmar-szczył czoło i podniósł wysoko głowę, jak gdyby nie chciał być posądzanym o zmieszanie, lub jakikolwiek przymus.

Obojętnie witał Konrada, Łozowicza i Augustyna Szyllę, z Poryckim zaś kilku słowami zapoznał go Eli.

— Namysliłem się, panie Makower, rzekł siadając brat Mieczysława, i propozycją którąś mi pan uczynił co do sprzedania Rydlówki baronowi von R. przyjmuję, jeżeli naturalnie panowie przyjmiecie wzajem warunki, które postawię i od których nie odstąpię. Więcie panowie o tém dobrze, iż żadna przykra konieczność nie zmusza mię do pozbycia się mej własności; że nie życząc sobie nigdy w podobnej znaleźć się konieczności, gospodarstwo w majątku swoim utrzymywałem porządnie i wzorowo, a nawet do pewnego stopnia podniosłem je i udoskonaliłem; że lubiąc wygodę i piękne otoczenie, wybudowałem w Rydlówce dom ozdobny, założyłem piękny ogród kwiatowy, przyozdobiłem słowem dwór w sposób rozmaity; że zatém jestem w położeniu niezmuszającym mię do pośpiechu i nienadającym się do ustępstw żadnych. Jeżeli warunki panów sprzyjać będą wyrachowaniom moim i obiecywać mi egzystencją przyjemniejszą niż ta, jaką mieć mogę mieszkając w Rydlówce, to sprzedaż tę dokonam; w przeciwnym razie zostanie przy swoim.

Jakże rzadko mowy podobnej słuchały ściany bawialnego pokoju Elego! Najczęściej, zawsze prawie, przybywał tu przymus gorzki, smutny, cichy i upokorzony. Teraz zjawilo się w postaci Kamila wyrachowanie zimne, śmiałe i dumne.

Porycki słuchał mowy Kamila z pełnem szacunku i uwagi skłonieniem głowy; potem zabrał głos, a gdy mówił powoli, płynnie, słodko i przekonywająco, z wyrazu twarzy jego poznać można było, iż szacunek nie zmyślony

wcale, ale rzeczywisty i z sympatją połączony, uczuwał dla człowieka, który wbrew wszystkim innym widywanym tu przezeń ludziom, tak troskliwie dbał o wygodę swą i bezpieczeństwo swój przyszłości, który do sprawy rzucającój innym gorycz w serca i zmarszczki na czoła, przystępował tak chłodno, dumnie i imponująco, bez cienia jakichkolwiek *przesądów* i skrupułów, bez żalu... za niczem.

Eli tymczasem usiadł pomiędzy Konradem a Łozowiczem i półgłosem do każdego z nich z kolei przemawiał.

Gdy tak sześciu tych ludzi wkoło stołu siedziało, z powierzchowności ich wyczytać można było położenie, w jakim znajdował się każdy z nich, każdego z nich chęci i wahania się, obawy i nadzieje, smutki i tajemne zadowolonia. Konrad czoło miał zrysowane zmarszczkami zakłopotania i złego humoru, oczy pełne niepewności i niepokoju, usta otwarte nieco, jak bywa zwykle u ludzi, którzy niedobrze rozumieją, co się z nimi dzieje i nic a nic nie wiedzą co im czynić wypada. Łozowicz siedział w kątku kanapy, z policzkami rozczerwienionymi, z postawą jakby zaleknioną, a bardziej jeszcze zawstydzoną. Kamil w wytwornym ubiorze swym, ze swą twarzą pulchną a bezbarwną, z białą jak u kobiety, wypieszczoną ręką, złożoną na stole gestem niedbałym, pozostawał zawsze chłodny, ironiczny trochę, badawczy a niedostępny. Augustyn Szyłło milczący, posiwiały, przygarbiony, bierność i znękanie całą powierzchownością swą objawiający, siedział w cieniu i na uboczu, Porycki za to, środkowe miejsce kanapy zajmujący, z głową pod światło świec wychyloną, jaśniał wymową, promieniał pełnym uprzejmości uśmiechem, a z szkieł szafirowych błyskał oczami, w których osiadła racchuba utajona, lecz chciwa.

W kilka minut po wejściu Kamila, otworzyły się znowu drzwi od ulicy, tym razem jednak głośno, ze stukiem, a w pierwszej izbie zjawili się dwaj młodzi ludzie. Starszy z nich, trzydziestoletni z wejrzenia, był Klemensem Szyłłą, drugi, młodszy znacznie, zgrabnej, wysokiej, bardzo szczupłej postaci, wyglądał najwyżej na lat 21. Twarz jego ściągłością rysów i śniadością cery przedstawiała typ izraelski, ale w bardzo pięknym swym przejawie; delikatną była, jakby wypieszczoną, otoczoną krętymi, ciemnymi włosami, rozgrzaną dwojgiem żarzących się i niespokojnych oczu, przyozdobioną drobnym wąsikiem, ocieniającym usta bladawe, ale cienkie i kształtne. Ubiór pięknego młodzieńca tego znamionował staranność wielką i wybrédność, połączoną ze smakiem niezupelnie jeszcze wykształconym. Miał on na sobie tużurek z bardzo cienkiego materiału u szyi mocno barwisty krawat, na kamizelce złoty łańcuch od zegarka, brzęczący zbytęzną ilością breloków stalowych i pozłacanych. W ręce, ociągniętej świeżą rękawiczką, trzymał czapeczkę, na znak spełnianego urzędu jakiegoś otoczoną sębrnym galonkiem. Był to syn Elego i Chai Abramek ów, przed laty z tylu nadziejami i kłopotami do szkół gimnazjalnych wysłany.

Na widok wchodzącego syna, Chaja wydała okrzyk radosny i twarz swą uśmiechem niebiańskięj błogości rozpromieniła. On skinął ku nięj głową niedbale, mimochodem i przeszedłszy izbę w całej długości, wraz z towarzyszem swym zasiadł za stołem niewielkim, białą serwetą przykrytym.

— Abramkie! libeczkie! może ty jeść chcesz? z miejsca swego zapytała Chaja.

Izraelski młodzieniec zwrócił się ku matce z gestem niecierpliwości; wążka, ciemna brew jego gniewnie drgnęła.

— *Wie viel mal*, ozwał się nie szwargotem żydowskim bynajmniej, ale poprawną bardzo niemiecką *wie viel mal* prosiłem cię, mamó, żebyś mię Abramkiem nie nazywała! Albo ja jestem ciemnym jakimś i zabobonnym Żydem, żebym miał nosić imię waszego patryarchy, co to taki był głupi, że dla stariej Sary młodą i piękną Agarę z namiotu swego wypędził?

— Abram... chciała zawołać Chaja, ale przypomniawszy sobie świeży zakaz syna, umilkła i tylko oczy szeroko rozwarzyła i ręce z przerażeniem spłótła.

Młody i jak widać było mocno emancypujący się Izraelita wybuchnął głośnym śmiechem, a zawtórował mu śmiech Klemensa.

— *Kanst du, Mutter, den Namen „Gottlieb“ nicht aussprechen?* śmiejąc się wciąż, zapytał syn. *A szejne nazwiskie!* dodał, parodując zwykłą, codzienną mowę Żydów.

— Może ty jeść ehcesz, Gott... zapytała znowu matka.

Ale przybrane imię syna nie mogło jej jakoś przejść przez usta. Nie czekając tedy odpowiedzi, powstała, otworzyła szafę i wyjąwszy z niej parę talerzy z rybą i śledziami, postawiła je przed synem i jego towarzyszem.

— *Danke!* rzekł Abramek i podniósłszy rękę, poklepał nią matkę po ramieniu.

Pieszczota ta, aczkolwiek zbytecznie poufała i na lekceważenie zakrawająca, rozpromieniła znowu twarz Chai.

— Gottlieb! rzekła, z widocznym wysileniem imię to wymawiając, a gdzie ty był tak długo, *mein Bubchen?* Ja ciebie od wczoraj nie widziała! Dlaczego ty do domu na noc nie przyszedł?

Abramek, przezywający się Gottliebem, szybkie spojrzenie zamienił z towarzyszem, matce zaś odrzekł:

— Ja dziś w biurze telegraficzném przez całą noc pracowałem. Wiiesz, mammo, że kiedyś ty tu spała w twoich *betach*, ja 2000 depesz wysłałem w różne strony świata.

— Aj, aj! krzyknęła Chaja, z podziwu wielkiego i z dumą niewysłowioną na syna patrzyła.

— Ja dziś w nocy do sułtana tureckiego depesze wysyłałem! ciągnął Abramek, patrząc wciąż na matkę swemi błyszczącymi, żartobliwymi oczami.

— Aj, aj! powtórzyła Chaja z większem jeszcze niż wprzód zdumieniem i zachwyceniem.

Klemens dusił się od śmiechu.

— *So!* w kształcie zakończenia wymówił syn Chai; a teraz *geh* mama na swoje miejsce, my tu będziemy z panem Klemensem jeść i rozmawiać.

Posłuszna rozkazowi temu, Chaja odeszła, uśmiechając się wciąż z radością i dumą i na palcach prawie stąpając, aby synowi, który „wyglądał jak lustro,” a do sułtana tureckiego depesze wysyłał, w rozmowie z towarzyszem nie przeszkadzać.

Abramek z Klemensem jedli, popijali piwo i z cicha rozmawiali. Młody Szyłto chwalił się znać przed towarzyszem ze zleceń jakichś, które otrzymał od głównego agenta domu pośrednictwa, i ze świetnych widoków, otwierających się przed nim w skutek tego nowozabranego stosunku, bo w szepcie jego nazwisko Poryckiego powtórzyło się kilka razy, a oczy Abramka świeciły gorączkowo, migotały niespokojnie a zazdrośnie.

— Za tydzień więc jedziesz do stolicy? zawołał, gdy Klemens na chwilę mówić przestał.

— A tak, za tydzień.

Abramek jeść przestał, czoło na dłoni oparł i ze wzrokiem wbitym w ziemię zamyślił się nad czemś głęboko. Po zsuniętych brwiach jego i linii warg cienkich, które wykrzywiły się nieco, poznać można było, że zaduma jego pełną była gorzkich niecierpliwości jakichś, głuchych niechęci i gniewów.

Z bawialni tymczasem dochodziły do pierwszej izby zmieszane odgłosy rozmów bardzo ożywionych; wyróżniały się pomiędzy innymi głosami dźwięczny a przekonywający głos Poryckiego i porywczy sposób mówienia Konrada. Po chwili jednak dwa głosy te zniżyć się poczęły, w szeptjakby przechodząc. Rzeczywiście, agent główny i mąż Lili usunęli się nieco od reszty towarzystwa i wsparci obaj o wytarty fortepianik, półgłosem zamieniali ze sobą następujące wyrazy:

— Mam nadzieję, mówił Porycki, żej pan wierzysz w żywą życzliwość, którą powziąłem ku niemu od pierwszego wejrzenia.

Konrad wyciągnął rękę do uścisku.

— Jak Boga kocham! odrzekł, nie wiem dlaczego, ale i ja pana z całego serca pokochałem...

— A więc posłuchaj pan mojej rady! Egzekwuj sądownie oblig żony u jej brata...

Konrad myślał chwilę ze spuszczoną głową.

— Nie! odparł, trudno... widzieć się z Mieczysiem mogę i poprosić go żeby oddał, jeżeli może... ale dusić go... On, widzi pan, mój krewny i rówieśnik ..

Przytaczałby dalej argumenty, których już raz w podobnej użył rozmowie, ale przerwał mu Porycki.

— A więc pomów pan z szanowną matką swą o sprzedaży majątku.

— Pójdę zaraz do mamy, zgodził się Konrad i sięgnął po czapkę.

W téj saméj chwili Łozowicz, skurczony, zbiédzony, zaledwie że nie rozplakany i co chwila pogładzający dłonią łysinę, w innéj stronie pokoju brał za czapkę.

— Co będzie? półgłosem mówił Eli, trzymający w ręku arkusz zapisanego papiéru. Niech pan tylko popatrz na ten papiér i posłucha tego co on gada. Jeżeli pan zostanie w Łozowéj, to za rok będzie zero; a jeżeli pan teraz Łozowę sprzeda, ot jaka cyfra panu do kieszeni wpadnie...

Biédny marzyciel dalekim był w téj chwili od zastanawiania się nad cyframi; przed wzrokiem jego stały śliczne gaiki, malownicze łączki i wzgórze, kwieciste klomby i stare drzewa Łozowéj. Stała mu téż przed oczami spłakana od serdecznego żalu twarz pani Adeli, a tuż koło niéj widział brykę jakąś wielką, która siedmioro dzieci jego uwoziła z cichego rodzinnego kąta, na drogi kręte i nieznanne, w świat szeroki, zimny... Stał z czapką w ręku i z głową na pierś zwieszoną długo. Westchnął potem z całej piersi i rzekł:

— Naradzę się z żoną i synem...

— To, to, to, potwierdził Eli, niech pan naradzi się.. szczególniej z synem; tylko ja panu powiedzieć muszę, że mnie pieniędzy moich na Nowy rok koniecznie potrzeba.

W parę minut po tych rozmowach Kamil, z twarzą rozpogodzoną i zadowolenia pełną, piérwszy opuszczał bawialnię Elego. Eli szedł za nim. W chwili gdy obaj ludzie ci przechodzili przez nawpół ciemny środkowy pokój, Eli spostrzegł Abramksa, schylonego nad bufetem i przemawia-

jącego do Chai z widoczném przymileniem. Chaja wyraz twarzy miała stroskany i zasepiony, ale ręka jęj powoli i jakby z wahaniem się odsuwała szufladę stołu. Abramek skośne spojrzenie rzucał na tę szufladę, z której po chwili Chaja wyjęła kilka asygnat przeliczywszy je, oddała synowi. Abramek szybko asygnaty do kieszeni tużurka schował i usłyszawszy kroki nadchodzących, twarzą ku pokojowi się zwrócił. Oczy jego spotkały się z utkwionym weń poważnym i surowym wzrokiem ojca. Spokojne zwykłe czoło Elego, na którem przebyte trudy i walki parę tylko pomiędzy brwiami wyryły pogłębień, zbruzdziło się teraz całe w gęste poprzeczne zmarszczki i nie rozpogodziło się już wtedy nawet, gdy Konrad i Łozowicz podawali mu ręce na pożegnanie i gdy Porycki, który przez czas jakiś sam na sam z Augustynem Szyłłą rozmawiał, widząc go wchodzącego do bawialni, zawołał:

— Pan Szyłło zgadza się nakoniec na zawarcie z nami umowy! My wypłacamy mu należność, którą ma na Ręczycu i Łozowiczu, a on uczyni w ten sposób, aby oblig Mieczysława Orchowskiego znajdował się w schowaniu nie u pana Konrada, ale u jego żony, i ażeby wszyscy niedostatecznie ulegalizowani wierzyciele pospadali z hypoteki Ręczyna.

Eli, zasepiony wciąż, roztargniony, z nową lub odnowioną lecz ciężką widocznie troską w głowie, nie odpowiedział nic. Augustyn Szyłło zato, który w czasie przemowy Poryckiego stał z rękami opuszczonemi i wzrokiem wbitym w ziemię, nie podnosząc oczów, powoli z tłumiącym głos ciężarem na piersi mówić zaczął:

— Bóg mi świadkiem, że zgodziłem się uczynić to wszystko ze srogięj tylko konieczności. Dzieci mam... po-

trzebują one odemnie wszystkiego.... w domu chłodno i głodno.... Pracowałem dla panów tych gorliwie i uczciwie przez lat wiele... a oni rzucali mi setny zaledwie grosz z tego, co mi się od nich należało.... Teraz.... nie mogę już inaczej... cierpliwości przebięra się... kawał chléba dla siebie, lékarstwo dla mojej biédnej żony, suknie dla córek przyjąć muszę od tych, którzy mi je dają... za cenę... za cenę mego sumienia!..

Mówił to nie do innych, lecz do siebie. W miarę mówienia głos jego chrypt i cichł, a jakby ostatnie wyrazy zdławiły go nagle, poniósł rękę do gardła i podnosząc wzrok na twarz Elego, wymówił z uśmíechem, dziwnie odbijającym od warg jego wybladłych, czoła rozoranego i posępnych oczu:

— Panie Eli, bądź łaskaw poproś żony o kieliszek wódki dla mnie!

Eli stanął we drzwiach i po żydowsku wydał Chai stosowne zlecenie, Porycki zaś, który uśmíechając się żartobliwie, zbliżył się doń, rękę swą białą i kształtną, położył na przygarbioném jego ramieniu i zawołał:

— Przesada, panie szanowny, przesada! zastarzałe i nieuzasadnione skrupuły! Ludzie ci nie umieli mienia swego używać, wolno więc nam korzystać z podziału, o ile tylko jest to w naszej możności, boć przecie potrafimy lepiej go użyć od nich!..

Idefons Porycki, uprzedzając Konrada, który miał zajść do hotelu po żonę, udał się wprost ze *stawu* Elego do mieszkania pani Malwiny. Matka Konrada, przez ubiegłe lata niezmieniona ani trochę, pulchna zawsze, rumiana i ruchliwa, ujrzawszy wchodzącego gościa, zerwała się z ka-

napki na której siedziała i wybiegła na środek salonu, z oznakami wielkiego ukontentowania.

— Ah, *comte!* zawołała, sam Bóg mi tu pana zsyła w tej chwili! Figuruj tylko sobie, kochany hrabio, że umieram z nudy! To N. zrobiło się od pewnego czasu formalną pustynią! Trzeci już wieczór z rzędu nie mam u siebie nikogo z gości i jeżeli tak dłużej potrwa, dostanę znowu tego okropnego poziewania, które niezawodnie do grobu mię kiedyś wtrąci!

— Szczęśliwy jestem, że przybywam w porę, odparł agent główny z galanterią, całując podaną sobie pulchną i białą rączkę sześćdziesięcioletniej wietrznicy; za chwilę jednak szanowna pani będzie miała u siebie gości najmiłszych, bo pana Konrada i panią Lilę, którzy przyjdą tu, aby wieczór z panią przepędzić.

Pani Malwina wstrząsnęła smutnie głową, w motylkowy czépeczek ustrojoną, i westchnęła.

— Figuruj sobie, *cher comte...* wszak jesteś przyjacielem Konrada... że Konrad staje się dla mnie coraz gorszym synem. Nie mogę uprosić go, aby mi dał nędzne jakie parę tysięcy rubli na wyjazd do Warszawy. Remarkuj sam, kochany hrabio, czy mogę tu w tej mieścinie przepędzić całe życie? Upadam na humorze i tylko patrzeć jak wróci mi moje poziwanie, którego doświadczałam mieszkając na wsi. *Enfin*, mam dwie córki—znasz je, hrabio—młodziutkie to wprawdzie jeszcze stworzenia, ależ trzeba jednak pokazać je w świecie, nieprawdaż? inaczéj staremi pannami zostaną i figuruj sobie, *cher comte*, czy to będzie pięknie?

Porycki skłonił głową, na znak zgodzenia się.

— Jakkolwiek, rzekł, mam w istocie przyjemność i zaszczyt być przyjacielem pana Konrada, nie mogę nie przyznać, iż szanowna pani słuszne ma powody żalu do syna...

— *N'est-ce pas? cher comte.*

— Témbardziej, ciągnął gość, że gdyby tylko pan Konrad chciał usłuchać przyjaciół swych i sprzedać Ręczyn...

— Słyszałam, słyszałam o téj sprzedaży, *cher comte*; ale nie mów mi, proszę cię, o interesach żadnych, bo zaraz poziéwania dostanę...

— Nie poważyłbym się trudzić szanownej pani rzeczą tak błahą w istocie a uciążliwą, jak wszelkiego rodzaju interesa, gdyby nie szczéra troskliwość, którą uczuwam o zdrowie jéj i przyszłość ślicznych jéj córek...

— *N'est-ce pas, comte*, że Flora i Róża mogłyby świetne partye zrobić, gdyby pokazać je gdziekolwiek na większym świecie?

— Niezawodnie! niezawodnie! nie ulega to wątpliwości najlżejszój! Przytém gdyby sprzedaż Ręczyna dokonaną została, wypłacilibyśmy szanownej pani *argent comptant* zapis, który na rzecz jéj uczynił nieboszczyk pan Ręczyc...

Oczy pani Malwiny poruszyły się żwawo i zamigotały radosną nadzieją.

— Ależ bo, *cher comte*, figuruj sobie... nie wiesz może o tém, że zapis ten—ja się na tém nie znam, ale mówił mi *ce pauvre diable* Szyłło, który przecie jest prawnikiem—że zapis ten nie jest.. nie jest.. jakże się to mówi?— abhoruję te wasze barbarzyńskie prawnicze ekspresye—nie jest... ule... ga... li...zowany! Ach! szczęście to doprawdy prawdziwe, żem się nie zakrzuszyła.

— Czyż może być mowa pomiędzy synem a matką o legalności i nielegalności dokumentów?—wykrzyknął Ildefons Porycki. Ja... ja sam osobiście daję pani słowo, że jeżeli tylko Ręczyn sprzedany zostanie, otrzymasz szanowna pani z mojej własnej ręki całą zapisową summę... *argent comptant*.

Pani Malwina przesuwiała się z jednego końca kanapki na drugi, splatała i rozplatała dłonie.

— Ah! *cher comte!* wracasz mi życie! Pojechałabym zaraz z Różą i Florą do Warszawy. Imainuj tylko sobie, że mam tam mnóstwo znajomych, z dawniejszych jeszcze czasów... Najęłabym mieszkanie przy Krakowskiém-przedmieściu... pięć albo sześć pokoi, nie więcej, bo trzeba przecież ekonomię robić... miałabym kółko *des intimes*, malutkie kółeczko... osób jakich trzydzieści albo czterdzieści, nie więcej, a raz na miesiąc dałabym wieczór wielki, aby Różę i Florę światu pokazać...

Rumiana twarz pani Malwiny rumieniła się coraz żywiej; szare oczki jęj zachodziły mgłą przyjemnego rozmarzenia. Mówiłaby tak i na głos marzyła dłużej jeszcze, ale otworzyły się drzwi salonu i weszli Lila i Konrad.

— *Mes chers enfants!* zawołała pani Malwina, biegnąc ku drzwiom. Byłam dziś słabą i znudzoną jak nigdy, ale konwersacya z naszym kochanym hrabią wprawiła mię w humor prawdziwie różowy.

— Cieszę się bardzo, że mamę w różowym zastaję humorze, bo mój humor jest dziś, jak Boga kocham, diabelnie czarny! rzekł Konrad, który markotny bardzo i na cały jakby świat rozgniewany, z wielkiem jednak uszanowaniem rękę matki pocałował. Żeby mama wiedziała ile to nakłopotać się trzeba z temi interesami...

— O moi państwo! jeżeli tylko o interesach ma być tu mowa, to ja uciekam copędzj i idę do Rózi i Florki.

Słowa te wymówiła Lila i rzuciwszy Porykiemu, który z niej oka nie spuszczał, przelotne ale znaczące spojrzenie, lekko, z wdziękiem, nucąc z cicha, przeszła do przyległego saloniku.

— Ja także usuwam się i zostawiam państwa sam na sam—z ukłonem rzekł Ildefons; niech rozmowa, oparta na ufności i przywiązaniu rodzinnem, nie ma ze mnie natrętnego świadka.

Rzekłszy to udał się za Lilą.

Młoda kobieta stała na środku saloniku, w postawie nieruchomej, z palcem przyłożonym do ust figlarnie uśmiechniętych. Wzrok jej, figlarny także w tej chwili, spoczywał na grupie z dwóch osób złożonej, zajmującej głąb gabinecziku małego i bardzo słabo oświetlonego. Byli to Kamil i Flora, obok siebie na aksamitnej kozetce siedzący i tak zajęci niezmiernie żywą acz cichą rozmową, że nie widzieli wcale co się w przyległym działo saloniku.

— Nie trzeba im przeszkadzać, żartobliwie i półgłosem rzekła Lila do nadchodzącego Ildefonsa. Flora i brat mój Kamil kochają się z sobą od czasów niepamiętnych...

— Dlaczegoż nie połączyli się dotąd? zapytał Porycki wymowne swe spojrzenie uparcie na twarzy młodej kobiety zatrzymując.

— Nie wiem doprawdy... jakieś ciągle nieporozumienia... Sądzę że Kamil wcale zemć się nie chce. Biedna Florka cierpi na tém bardzo i ja jej z całego serca żałuję! Zostańmy tu... niech rozmawiają z sobą, może się porozumieją.

W tój więc chwili w dużym salonie, w mniejszym saloniku i w małym, półoswietlonym gabinecie, pośród napęlniających mieszkanie to mnóstwa błyskotek, cacek, fraszek i fatalaszek, znajdowały się trzy odosobnione i żywo ze sobą rozmawiające pary.

Najcichszą zrazu i najżywszą rozmowę prowadzono w gabinecie. Młodsza córka pani Malwiny, która przez lata ubiegłe zmieniła się bardzo, przemawiała do towarzysza swego to z uniesieniem, to ze słodyczą i żalem naprzemian. On odpowiadał jój długo, zwolna i z uśmiechem; ją uśmiech ten jego drażnił widocznie, ale łzy iskrzące się w błękitnych jój źrenicach i drzenie ust czyniły ją ładniejszą niż kiedykolwiek. Kamil patrzył na nią przyjaźniój, przemawiał czulój, a ona łagodniała i wracała do ufności dawnój, do dawnój słodyczy wejrzenia, do dawnych swywolnych lub zalotnych uśmiechów.

W salonie Konrad siedział naprzeciw matki swój, z łokciem opartym o stół i głową na dłoń pochyloną.

— Jeżeli mama radzi mi to uczynić, mówik, jeżeli znajduje, że będzie to ze szczęściem i mamy, i Lili, i mo-jém, to... cóż robić? niech i tak będzie! Prawdę mówiąc, i mnie już takie życie dojadło... Makower powiada, że nastęczy mi zaraz do kupienia majątek w królestwie, mniejszy od Ręczyna, ale czysty, bez długów, z pięknymi łakami i stadniną koni...

— Otóż widzisz, kochaneczku! kupisz sobie ten majątek i kłopotów pozbędziesz się. A ja do Warszawy na mieszkanie z Różą i Florą pojadę. Wszak wypłacisz mi zapis ojca... *n'est-ce pas?* choć on nie jest ule... ulegali...

Konrad wstał żywo z krzesła.

-- A to jak Boga kocham dziwi mię bardzo, że mama pytać mię nawet o to może. Czy ja kiedy chciałem

mamę pokrzywdzić? czy zapomniałem kiedy o tém, że jestem synem, że mama to pierwsza osoba, a ja dopiero druga?....

— Wiem, wiem, kochanezku! zawołała pani Malwina, ze łzą rozczulenia w oczach. Byłeś, Koniu, zawsze synem dobrym... pasyj brzydkich żadnych nie miałeś .. tylko jedną do tych zwierząt... No, ale jak kupisz sobie ten majątek z łąkami... Pójdź, niech cię uścisnę!

Lila i Ildefons, przechadzając się po saloniku środkowym, toczyli ze sobą następującą rozmowę.

— Matka pani, mówił Porycki, czuje się dziś w humorze różowym, mąż w czarnym. Jakaż barwą oznaczysz pani własne swe usposobienie dzisiejsze?

— Barwą... barwą szarą, z uśmiechem wpół żartobliwym, wpół smutnym odparła kobiéta.

— Dlaczego szarą?

— Bo kolor szary zbliża się zarówno do czarnego i białego. Ja także znajduję się pomiędzy szczęściem, które błyska mi w oddali, a smutkiem i tęsknotą, które zapewne będą nazawsze moim udziałem.

— Poczóż tak posępne myśli? Należy tylko zbliżyć się do tego co jest szczęściem, a oddalić od siebie to, co sprawia smutek i powoduje tęsknotę.

— Jest to niepodobnem. Życie to ma tyle więzów...

— Trzeba je zerwać!

— Czyliż kobiéta uczynić to może? Pamiętam jak niegdyś droga moja Julia mówiła mi, że życie kobiéty bywa zwykle jednym ciągiem cierpienia, tęsknoty, przymusu.. Nie chciałam jéj wierzyć, ale przekonałam się, że mówiła prawdę...

Na dźwięk imienia Julii brwi Poryckiego drgnęły, jak zwykle bywało, gdy czuł się podrażnionym lub niepokojnym. Po chwili jednak twarz jego wróciła do uprzedniego wyrazu.

— Panna czy pani Julia, rzekł stanowczym tonem myliła się. Dzieci tylko bezwładnie przenoszą cierpienia i przymus; ludzie pęta swe rozrywają... Ale przebacz pani to co powiem... pani jesteś w wielu względach dzieckiem jeszcze.

Lila z urazą głowę podniosła.

— Ja dzieckiem?

— Tak, potwierdził Porycki, a w głosie jego była surowość, której nie znało dotąd ucho kobiety, nawykłej do pieśczęt, pochlebstw i hołdów. Dziwisz się pani może i obrażasz, że zamiast komplementów, mówię jej ostrą prawdę. Ale ja... jestem człowiekiem nowożytnych idei... przytém za szczęście pani oddałbym ostatnią krwi mojej kroplę... muszę więc raz jeszcze powiedzieć pani, że z całą cudowną pięknością swoją, z całym swym czarem i urokiem niewysłowionym.. jesteś pani z wielu względów słabem i niedoświadczonem dzieckiem; nie umiesz jeszcze być człowiekiem!..

Zawarta w tych słowach mieszanina surowości i pochlebstwa, gorącej namiętności i twardego upomnienia, dziwne wrażenie wywarły na Lilę. Stanowczość Ildefonsa i to co mieniła ona wyższością rozumu jego—imponowały jej, czyniły ją w obec niego nieśmiałą i zawstydzoną; tłumione uniesienie, z jakim mówił o uczuciach swych dla niej, porywało ją ku niemu, niby podmuch nieprzeparty gorącego wichru.

Podniosła twarz zrumienioną i z trudnością powstrzymując drżenie głosu, szepnęła:

— A więc, panie hrabio, naucz mię być człowiekiem!
Pochwycił rękę jęj w obie dłonie.

— Dobrze! odparł szeptem gwałtownym niemal. Ale nie nazywaj mię pani *hrabią!*

— Panie Ildefonsie! uśmiechnęła się kobieta.

— Odrzuć i tytuł pana! Wymawiaj tylko imię moje! Pocóż te wieczne rozdziały etykiety i fałszywych wsty-
dów pomiędzy mężczyzną a kobietą? Nie jesteśmy równy-
mi sobie ludźmi? Dlaczego mówisz po imieniu bratu swe-
mu, a mnie nie możesz? Ja także jestem bratem twoim...
w ludzkości. Lilo, wymów imię moje!

Kobieta stała, ramieniem wsparta o krawędź ściany,
i obu dłońmi twarz zakryła.

— Cóż? szeptał Ildefons, nie wymówisz pani? nie
ośmielisz się?.. Czyliż nie miałem słuszności, mówiąc że
jesteś dzieckiem słabem? Kiedyż więc zaczniesz pani być
człowiekiem?

Lila dłonie od twarzy odjęła i podnosząc na niego
wzrok, w którym były i łzy zawstyżenia i ognie wzrasta-
jącej coraz namiętności, szepnęła zcicha:

— Ildefonsie!

Jak trucizna, w małych dozach udzielana organizmo-
wi, który przeciw niej nie ubezpieczył się niczem, powoli,
lecz nieuchronnie, przenika w krew jego i tkanki — tak na-
uki i rady Ildefonsa zwolna, coraz głębiej i zupełniej, wni-
kały w pozbawioną wszelkich orężów obrończych fizyczną
i moralną istotę Lili.

V.

Kiedy Porycki udawał się do pani Malwiny, Eli opuścił także swoje mieszkanie i długo szedł ulicami większemi, w kierunku który wiódł do dzielnicy specjalnie przez Izraelitów zamieszkiwaną, a nawet noszącej miano żydowskięj.

Była-to dzielnica szczególna, taka, której podobne w niewielu już znajdują się miastach. Był-to ślad pozostawiony przez upłynione wieki, a niwelującą stopą cywilizacji jeszcze niestarty; było-to żyjące przypomnienie dawno zmarłych ustaw i rozgraniczeń, wstęptów i krzywd, wynoszeń się i upodleń.

Miejscowość ta stanowiła niegdyś jedną z tych średniowiecznych *gehenn*, w których srogimi zakazami zamknięci wyznawcy talmudu, wiedli długo upośledzony, dręczony, podziemny niby żywot. Rzecz dziwna! strzegące je bramy murowane skruszyły się i runęły dawno, skruszyły się i zniknęły opasujące je żelazne łańcuchy, a miejsce to, jakim było podówczas, takim pozostało dotąd.

Dzielnica żydowska w N., na dość obszerną przestrzeni rozłożona, z jednej strony spuszczała się po stoku

góry ku rzece, z innéj łączyła się z dalszemi częściami miasta mnóstwem zaułków wązkich, krętych i ciemnych. Tu i owdzie, u wejścia do zaułków tych, szczątki bram wysokich a sklepistych szeptały do ucha miejscowych mieszkańców stare, mroczne legendy. Ktokolwiek dość ciekawym był i odważnym, aby przebyć w całej długości jeden z zaułków, jedną raczéj z ponurych tych szczelin, których środkiem biegły wody cuchnących ścieków, ten u wyjścia z pomiędzy dwóch ścian, utworzonych z murów wysokich, zezerniałych i wilgoć sączących, popadał w dziwaczny, kręty labirynt uliczek i placyków, domków i chałup, podwórek i ogródków. Najbieglejsze oko nie zdołałoby tu odkryć żadnej linii prostéj i pewnej, żadnego rysunku, zwiastującego plan jakikolwiek. Niezliczone zda się uliczki, brukowane i niebrukowane, gęste ścieżyny biegły tu w kierunkach przeróżnaitych, krzyżowały się ze sobą, dosięgały ciasnych nieforemnych placyków, urywały się, znikwały i kędyś za płotem jakimś lub podwórkiem odradzały się, aby w nowych skrętach zbiegać po stoku góry i zniknąć nad piaszczystym brzegiem rzeki, w cieniściej głębi wąwozu, lub za spróchniałą ścianą domostwa.

Z obu stron przejść tych błędnych widać było po przez płoty przegniłe i nawpół rozwalone podwórka podługowatego kształtu, chropawym brukiem opatrzone, śmieciem i kałużami okryte, z nadpróchniałemi stajenkami i śpichrzami w głębi, z jękliwie a wiecznie skrzypiącemi bramami, z wieczną też, napęlniającą je mgłą wilgotnych, ciężkich, duszących wyziewów. Budynki podwórka te okalające drewniane były, szare aż do zczerniałości; dachy miały wklęsłe, wysokie a dziurawe, okienka mętne, z drobnych, zielonkawych szybek złożone. Tu i owdzie leżały

pomiędzy niemi szmaty gruntu, pod uprawę warzywa w zagony zoranego, a wyglądające zdala jak nierówno zarysowana czarna warcabnica; gdzieindziej domostwa, nieprzezielone niczém, cisnęły się ku sobie, stykały się ze ścianami, zasłaniały sobie wzajem okna, a rozstępowały się i szerszą dokoła pozostawiały przestrzeń tam dopióro, kędy stały budowle murowane, wysokie, o wielkich, jasnych oknach i gontowych, malowanych dachach. Budowlami temi, których w dzielnicy owęj znajdowało się kilka, a które śród ogólnej szarej barwy jaśniejąc białością starannie utrzymywaną, wznosiły się ciężko lecz wysoko — były bożnice.

W dzielnicy tęg zduiony i rozciekawiony przechodzień spotykał na każdym kroku widoki i odgłosy, których by nadaremnie szukał gdzieindziej. Tu w dnie słoneczne, na podziurawionych schodkach lub progach spróchniałych, siadywały niewiasty z pomarszczoném od starości licem, z głową owiniętą olbrzymim zawojem ze spłowieją, bo staręj jak one same materyi, z wyzótkłą szyją, obwieszoną mnogimi rzędami kanciastych pereł i złocistych medali, z kwiecistym, długim fartuchem u pasa. Wkoło nich, nakształt gromady południowych cyganiąt, w podskokach i z wrzaskiem rozdziérającym uszy, w błotnistych pluskał się kałużach rój dziatwy półnagięj, ogorzałęj, świecącej zdala ognistym, rozczochranym włosem. Tu, w godzinach zapadającego zmroku, z okien bożnicy buchało rzęsiście światło, a z głębi jęg wypływał i roztrącał się o ściany ciasnego placyku donośny, przeciągły, straszliwą skargą jakąś nabrzmiały głos wyśpięującego psalmy kantora. W odpowiedzi głosowi temu odzywały się niekiedy chóry potężne, z których tła basowego ognistemi niby snopami wytryski-

wały ostre krzyki i jęki, to podnosząc się ku najwyższej skali głosu ludzkiego, to spadające i w jedno olbrzymie spływające westchnienie. Tu ciasną uliczką sunął czasem po nierównym bruku wóz w jednego konia zaprzęzony, a na nim spoczywała długa drewniana skrzynia, zawierająca w sobie zwłoki świeżo zmarłego człowieka. Za wozem i skrzynią postępowało kilkudziesięciu, niekiedy kilkuset mężów, w długich ubiorach, z ogromnemi, pierś całą przysłaniającemi brodami, z twarzami, których nigdzie już więcej, prócz w tem miejscu, widzieć nie można było.

Tak; dziesiątki, setki, tysiące może ludzi żyło tu takich, którzy prócz dzielnicy téj swojej rodzinnej, żadnego innego miejsca na świecie nie znali. Śród nich niejedyn żadnej innej mowy, prócz ojczyztego szwargotu, nie poznał nigdy i nie rozumiał żadnego słowa z języków dokoła miejsca tego używanych. Tu na rynkach i placykach siadywały izraelskie przekupki, z rybą, warzywem, ciastem i piernikami; tu były izraelskie rzeźnie, traktyernie, zajazdy i kramiki; tu Izraelitom wyłącznie służący zamieszkiwali rzemieślnicy różni, od cieśli i kowali, do krawców i modnierek, od wyrabiaczy najprostszych sprzętów napełniających szare chałupy, do tych, którzy ciała mężów przyoblekali w odświętne świecące chałaty, a głowy niewiast zaopatrywali w peruki o rudych upłotach i w odświętne téż czepce o żółtych kokardach i czerwonych różach. Mieszkaniec dzielnicy téj mógł, nie wychodząc nigdy po za jęj granice, zaopatrzyć się we wszystko, czegokolwiek potrzebował biędny, skąpy, brudny wszelkiego piękna pozbawiony byt jego.

To téż rola się tu ludność różnych płci i wieków, w sposób zdumienie i przerażenie niemal sprawiający. Każdą z tych chałup niskich i ciasnych zamieszkiwało rodzin

kilka, osób kilkadziesiąt; każdą z tych drobnych szmat gruntu w warcabnicę ułożonych uprawiało rąk mnóstwo; jeden zagon żywił tu ziemniakami i cebulą ust mnogość wielką; każdy kąt wypełniony był gwarem głosów przerozmaitych. Żaden spis urzędowy określić napewno nie zdołał nigdy ilości ciał i dusz, które grzęsły tu w śmieciach, w błocie, w bezdennych zda się, na poły brudnych i odrażających, na poły tajemniczych i dziką poezją jakąś tęnących ciemnościach. Wszystko tu zresztą, obyczaj i mowa, wierzenia i dążenia, uczucia i zamiary—mrokiem było, tajemnicą, odosobnieniem, niechęcią głuchą, upartém a namiętném pamiętaniem o przeszłości. Przyszłość—słodka i jasna przyszłość, z oświatą, zgodą, miłością, z uraz zapomnieniem, z braterską jednością, nie świeciła tu promykiem najmniejszym.... Lud-sfinks, lud-gość a wróg, lud-męczennik a mściciel, objawiał się tu w całej jeszcze posępności nędz swych, brudów, tajemnic, zabobonów, pamiątek bolesnych i—wydzielanych z siebie cuchnących wyziewów.

W téj-to części miasta, niedaleko białej i wysokości bożnicy, w domostwie niskiém, lecz z pomiędzy wszystkich otaczających je najporządniejszy pozór mającém, mieszkał ojciec Elego, Judel, niegdyś krawiec z miasteczka Orchowa, ojciec piętnaściorga dzieci sypiających na półkach do ścian przymocowanych, teraz starzec chory, zgrzybiały i spoczywający. Ku temu domostwu, po przez labirynt uliczek i placyków, wśród zupełnej prawie ciemności, którą rzadka tylko rozświecały smugi światła z okien bożnic wpływające, śpiesznie, coraz śpieszniejsze kroki swe zwracał Eli.

Przez nawpół przymknięte drzwi dotarł do sionki ciemnej zupełnie, potknął się parę razy o gospodarskie ru-

piecie, które ją zapełniały, a omackiem znalazłszy drzwi, znajdujące się po prawej stronie sionki, wszedł do izby dość obszernej, oświetlonj żółtawj światłj palącj się łożjwki. Świeca paliła się na małym stole, dzwigającym kilka ksiąg wielkich, w pergaminowj odwieczn]j oprawie. Przy stole, w głębokim, bardzo wygodnym fotelu, z nogami wspartemi o drewniany stołek, leżał nieruchomo starzec z długimi siwymi włosy, w śnieżnych pasmach z pod czarnej jarmułki spływającymi na ramiona, z długą brodą siwą o srebrnych i złotawych połyskach. Był-to Judel. Ciężki astmatyczny oddech wydobywał się ze wklęślej piersi starca chrapliwie i przeciągle; w leżącej postawie jego malowała się bezwładność cielesna, ale w blado-błękitnych, szeroko rozwartych oczach ten sam co dawniej tkwił wizerunek duszy słodkiej, ciepłej i zadumanj, ten sam co dawniej uśmiech mistycznej radości na wybladłych spoczywał ustach; nad twarzą wznosiło się to samo czoło wysokie w tysiące zmarszczek zbrudzone troską, cierpieniami, pracą, tajemną moze, długoletnią tęsknotą myśli, rwącj się z oków niewiadomości i znękania ku światłu i życiu.

Nikogo więcj prócz starca tego w izbie nie było; to też panowało tu milczenie zupełne, przerywane tylko czasem niewyraźnie dochodzącymi głosami osób, w innj stronie domu rozmawiających.

Otwierające się drzwi skrzypnęły, stary Judel zwrócił ku nim głowę, a widok wchodzącego syna rzucił na całą twarz jego blask cichj radości, połączonej z czułością niewymowną.

— *Guten Abend, Tate*, rzekł Eli, zbliżając się i otrząsając z czapki osiadłe na ni]j krople deszczu.

Schylił się przed starcem i chudą, przezroczystą rękę jego do ust swych przyłożywszy, wycisnął na niej głośny pocałunek.

— *Was ist das?* rzekł, oglądając się po izbie z miną niezadowolenia pełną. Dlaczego przy tobie nikogo niema? ty możesz potrzebować czego, tobie może źle zrobić się, a tu niema żywego ducha! Czy Sura z kramu jeszcze nie wróciła? Co robią wnuczki jój i córki Mendela? Czy ja im pieniądze nie daję i sukien nie kupuję za to, żeby one przy tobie siedziały?

Starzec zrobił ręką gest łagodny, lecz zarazem nakazujący trochę.

— Nie gniębaj się na nich, Eli, rzekł; ja ich sam z izby wyprawiał, bo rabbi Baruch był u mnie, a jak rabbi Baruch do mnie przychodzi, to ja nie chcę żeby tu był kto inny....

Eli skinął głową, na znak zrozumienia, i usiadł na stołku, tuż przy fotelu ojca?

— Dobrze tobie tu, tate? zapytał. Może tu zimno? może te dziewczęta zamało w piecu palą? A herbatę czy tobie zawsze dają jak potrzeba? a łokszyzna i ryba czy codzień dla ciebie na obiad jest? Ty mi tate prawdę mów, bo jeżeli ci tu źle służą, albo tobie brakuje czego, to ja już na to poradzę.... Ja chcę żeby ty wszystkie wygody miał, i żeby ty odpoczywał, i żeby twoich oczów nic nie obrażało, i żeby twego serca żaden smutek nie dotknął.... Ja, chwalić Boga, pracuję i zarabiam i mam sposoby, żeby ciebie szczęśliwym i spokojnym uczynić....

— Niczego mi nie brakuje, Eli, odparł stary Judel; mam izbę ciepłą i herbatę, i łokszyne codzień, i to krzesło wygodne, co ty mi *jego* kupił i na którym dobrze jest leżeć

choremu ciału memu.... Ale ja mam więcej jeszcze niż to wszystko, bo do mnie rabbi Baruch przychodzi.... a ja i rabbi Barucha od ciebie Eli mam, bo żebyś ty mnie tu nie przywiózł i nie posadził, tobym ja jego nie znał....

— Żebyś ja ciebie tu nie przywiózł tate? A jak ja miał ciebie tam zostawić samego, bez dopatrzania i wygody, kiedy tu mieszka pięcioro dzieci twoich: Sura i Mendel Ieko i Ruchla i ja—Eli?

Stary Judel podniósł w górę rękę swą wychudłą i drżącą.

— Niech wielki, mądry, straszny Jehowa błogosławi ciebie i dzieci twoje, i wnuki twoje, za wszystko co ty zrobił dla mnie, i dla braci i siostr twoich, i dla wszystkich *naszych!*...

Pod wpływem błogosławieństwa tego, wyrzeczonego szepem gorącym, Eli wyprostował się: duma i głębokie zadowolenie na twarzy jego zajaśniały.

Z dłońmi złożonymi na obu kolanach, z głową schyloną nieco, lecz z promieniejącymi oczami, utkwionemi w twarz ojca, mówić zaczął zwolna i z wyraźnym rozradowaniem:

— On mnie już pobłogosławił tate! Czém ja był, a czém zrobił się? Czém była cała familia nasza, a czém ona teraz jest? Czy ty tate myślisz, że ja nie pamiętam tego czasu, kiedy u nas taka wielka bięda była, kiedy ty pracowałeś jak wół w zaprzęgu po nocach i po dniach, a nas jeszcze wykarmić nie mógł? kiedy u ciebie roboty brakowało i ty siedział nad stołem, głowę na rękach opierając, i śpiewał do Pana Boga skargę wielką, a my słuchali twojego śpiewania i jęczyli, i płakali, bo smutek chodził koło serc naszych, a w żołądkach naszych był głód?!....

My wtedy jedne przy drugich na półkach spali przy ścianie a nasza mama nie spała nigdy, tylko z choroby i boleści płakała i stękała, a ty tate nie spał także, tylko obracał się na swoim łóżku i wzdychał, i ciemnej nocy pytał się: dlaczego ja taki nieszczęśliwy i dlaczego moje dzieci takie nieszczęśliwe, że dla nich na świecie ani miejsca, ani chleba niema?

Gdy Eli tak mówił, stary Judel głową kiwał i powieki przymknął, a z pod ich żółtej, pomarszczonej osłony spłynęły na zapadłe policzki dwie grube łzy. Podniósł ręce ruchem powolnym i całą postać swą na obie strony przechylając, zawołał przeciągle:

— Oj! oj! jaki ja wtedy biedny był i jakie wy wtedy wszystkie biedne byli, i mizerne, i głodne i smutne! Oj! oj! jaki to ciężki czas zsyłał wtedy na mnie Pan Bóg, a choć on minął już, mnie od niego jeszcze i teraz na duszy ciężko.

— Niech tobie tate na duszy ciężko nie będzie! wyrzekł Eli. Czas smutku minął, a czas wesołości nastąpił. Ja z tych półek, na których my kiedyś spali, zlaź i w świat poszedł... i ot co teraz ze mnie zrobiło się! Żyję sobie jak król, i u ludzi w uważaniu jestem, i największe panowie przychodzą do mnie, i podają mi ręce, i kłaniają się, i proszą. Jeden mówi: Eli! poratuj mię! a drugi mówi: Eli, bądź dla mnie dobry! a trzeci mówi: Eli! nie zapominaj o mnie! A ja ich wszystkich w garści mojej trzymam i robię z nimi co tylko chcę! ..

— A co ty Eli robisz dla *swoich*? zawołał starzec, powiedz co ty robił i co ty robisz dla *swoich*? Choć ja o tym wiem, ale niech cieszą się uszy moje gadaniem twojem, niech raduje się oko moje tą światłością, co z twarzy twojej bije, kiedy ty rozpowiadasz o tym co ty zrobił dla *swoich*!

— Co ja zrobił dla *swoich*? powtórzył Eli, prostując się coraz dumniej i coraz radośniej twarz rozjaśniając. Czy ty, tate, myślisz, że ja nie pamiętam jak bywało brałeś nas na kolana swoje i całowałeś, a lzy lały się z twoich oczów, a usta twoje powtarzały: Biedne my Żydy! Jeżeli my jeden drugiego lubić nie będziemy, to któż nas będzie lubił? jeżeli my jeden drugiemu nie dopomożemy, to któż nam pomoże? I ty całował mnie wtedy tak słodko jak matka a palec do góry podnosił tak srogo jak sędzia, i mówił: „Eliczkie! Eliczkie! jak ty wyrośniesz i będzie z ciebie człowiek, to kochaj ty *swoich* tak jak własną swoją duszę, i serce własne wyjm sobie z piersi i *im* oddaj, jeżeli tego potrzeba będzie.” Ot jak ty mnie uczył, tate! A kiedy ja wyrósł i człowiekiem zrobił się, mnie ta nauka z głowy nie wyszła..... ja z mojej piersi wyjmował wszystko co w niej było najlepszego i najśłodszego, i z moich kieszeni wyjmował dużo brzęczących i błyszczących pieniędzy i oddawał je *naszym*.... Ilu ja naszych Żydków w świat wyprowadził i od biedy wyratował, ilu pogodził, nakarmił i do góry dźwignął! I moich braci i moje siostry ja zrobił szczęśliwymi. Ja owdowiałej Surze kram tu założył i na pierwszy rok w tym domu mieszkanie najął, żeby jej małe wnuczki głodu nie cierpiały. Ja Mendela na wielkiego faktora wykierował. Ja Lejbę i Małkę w orchowskim młynie posadził. Ja Ruchłę kupcową, a Chaima posesorem i dobrym gospodarzem zrobił. Ja Lejzoru dał pieniędzy, żeby on na Wołyni pojechał i tam bogato ożenił się. Ja Icka krawiectwa wyuczyć kazał, a Efroimu Ręczyn nastreczył i w posesyą dał. Ot co ja zrobił dla nich, a oni wszyscy kontenci i szczęśliwi, i ja kontent był zawsze i szczęśliwy.... Tylko mnie teraz jedno wielkie zmartwienie duszę przyciska, i ja

dziś tu przyszedł, tate, żeby ciebie zapytać co na to robić, żeby z tego zmartwienia nieszczęście nie wyrosło.

Judel, który przez cały czas mowy Elego siedział z przymkniętymi powiekami, a każdemu z okresów mowy tój odpowiadał kiwaniem głowy i rosnącym wciąż na ustach uśmiechem, teraz oczy otworzył i szybko twarz swą ku synowi zwrócił.

— Nieszczęście?—zawołał i ręce drżące podniósł, nieszczęście dla ciebie, Eli?

— Nu, nu, tate, niech ciebie taki wielki strach nie przejmuję! miarkował przerażenie ojcowskie Eli. Nieszczęścia jeszcze niéma, ale tylko zmartwienie wielkie. Ja tu przyszedł prosić ciebie, żebyś ty o moim Abramku swoją doświadczoną głową pomyślał.

— O Abramku? powtórzył stary; już ja o nim nie-rz sam myślał.

Eli uważnemi bardzo i nagle rozpalonemi oczami w twarz ojca patrzył.

— On nie taki jest jak być powinien, he? wymówił zwolna, słowom swym nadając dźwięk zapytania.

— Nie taki, Eli, nie taki! potwierdził starzec głosem smutnym i z przymkniętymi znowu powiekami.

— On nikogo nie lubi i nie nie szanuje, mówił znowu Eli, oczu z twarzy ojcowskiej nie spuszczać; on z Żydów naśmiewa się, jakby sam Żydem nie był, a w głowie u niego tylko zabawa, jak u jakiego panicza, albo interesa jak u jakiego faktora. On rodzonej matce każe, żeby jego nie nazywała Abramem, ale Gottliebem, a wszystkich mówi zawsze, że on Niemiec. A kiedy on mnie zobaczy, to do mnie żadnego takiego słowa nie powie jak syn do ojca, ale

zaraz mówi: daj mi tate pieniędzy, żebym ja interesa na swoją rękę mógł prowadzić.

Im dłużej Eli mówił, tem szybciej wyrazy wychodziły z ust jego. Po ostatnich słowach umilkł na chwilę, lecz potem z nagłym wezbraniem głosu i coraz większą szybkością prawie znów zaczął.

— A na co jemu interesa na swoją rękę prowadzić? Czy ja go dlatego do szkół posyłał i wszystkich języków i muzyki i tańczenia uczyć kazał, żeby on potem faktorem albo kupcem był? Ja jego uczył i na jego edukacją wielkimi garściami pieniądze sypał dlatego, żeby on mnie, jak wyrośnie, honor zrobił, żeby on urzędnikiem jakim wielkim był, żeby z niego oczy moje pociechę miały, a głowa moja przy nim odpoczęła sobie i podniosła się wysoko. Ja chciałem żeby on bardzo edukowanym był i wielkim panem, a Żydem nie przestał być. A on tymczasem wygląda jak szubrawiec, do rubla rwie się jak faktor, hulanki lubi jak głupiec, a ze wszystkiego co ja w duszę i w serce moje schowałem, wyśmiewa się jak... łotr!

Zarumienił się Eli od wielkiego wzruszenia z jakim mówił, a po chwilowem milczeniu zapytał znowu:

— A dlaczego on taki?

Z postawy jego pochylonej, z oczu szeroko rozwartych z niespokojnego, nerwowego ruchu rąk poznać było, że łamał się on z zagadką jakąś niepodobną dlań do rozwikłania i że na dnie téj zagadki leżały i groziły mu zawód straszny boleść ogromna.

Judel nie odpowiadał długo. Powieki jego wciąż były przymknięte; ale uśmiech słodczy i błogości pełen zniknął z ust jego bez śladu. Po chwili głowa starca zakoty-

sała się znowu powolnym, miarowym ruchem, a wargi poruszyły się i wydawać zaczęły ciche, żalosne wykrzyki:

— On wyśmiewa się z Żydów.... on nikogo nie lubi, ani ojca rodzonego, ani matki co jego wynosiła i wykarmiła.... u niego edukacya wielka i ubranie pańskie, a twarz u niego jak lustro gładka, ale on nietaki jak ty Eli, on nie taki jak trzeba!... Och! och! On tobie kiedyś wielkiego nieszczęścia narobi, on tobie oczy łzami wygryzie i na twoją głowę wielką płamę położy!

Eli drżeć zaczął.

— Tate! tate! krzyknął, nie mów ty do mnie tak! nie przepowiadaj takich strasznych rzeczy o moim Abramku! Ja jego kocham! och, jak ja jego kocham! Ja wszystkie sześcioro dzieci moje kocham, ale jego najwięcej ze wszystkich! Jak on bywało przyjedzie do nas na wakacye w swoim szkolnym mundurku, a zacznie różne słowa po francuzku gadać, to ja na niego patrzę jak na brylant, jak na koronę, jak na obraz! Dlaczego on taki zrobił się? Albo ja jemu w czém przewinił? albo ja dla niego nie starał się zebrać wszystkich honorów, jakie tylko są na świecie? Dlaczego mi Pan Bóg w czém inném dopomagał, a w tém nie dopomógł, żeby mój Abramek był i edukowany *puryc* i dobry Żyd, i wielki urzędnik?

Umilkł zziązany, drżący cały i wydobywszy z kieszeni chustkę, otarł nią sobie czoło spocone.

Stary Judel nie z przymkniętymi już siedział powiekami, lecz owszem oczy jego szeroko rozwarte, z zamysleniem, zdradzającym wytężenie umysłu wielkie, tkwiły w przeciwległej ścianie.

— Dlaczego on taki? zaczął po chwili zeicha przeciągle. Albo ty co przeciw niemu przewinił? Eli! Eli! ja nie

wiem, ja tobie tego moim własnym rozumem wytłumaczyć nie mogę. Ja tylko widzę... tam daleko ... daleko widzę, że ty wielką jakąś omyłkę zrobił...

— Omyłkę? porwał się Eli, jaką omyłkę, tate?

— Ja tę omyłkę daleko... daleko widzę i dlatego nie mogę tobie gadać jak ona wygląda... wiem tylko, że tam jakaś omyłka była... *Wart, Sohn!* ja o tém wszystkiém z rabbi Baruchem pogadam i zapytam się jego, jaka to omyłka i jak ją można naprawić?

— Dlaczego rabbi Baruch o naszych familijnych interesach ma się dowiadywać? z niezadowoleniem rzekł syn.

— Dlaczego? powtórzył ojciec, dlatego że rabbi Baruch mądry człowiek i dobry człowiek, dlatego że on wszystko może czuć co ludzie czują, a wszystko rozumieć, czego ludzie nie rozumieją. Ty, Eli, nie znasz dobrze rabbi Barucha, ty nigdy nie miał czasu z nim rozmawiać; ale ja o nim dużo słyszał i zawsze znać go pragnął i teraz... znam..

Siedział przez chwilę zadumany, w głębokiem znowu zachwyceniu pogrążony, a potém mówił dalej:

— Słuchaj, Eli! Jak ja był młody, to ja był biedny, bardzo biedny i nieuczony krawiec. Pracować mnie trzeba było dniami i nocami i siedzieć zgarbionemu nad kawałkami materyi, z igłą w ręku. A kiedy ja tak siedział zgarbiony i szły, i na nic nie patrzył, tylko na swoje ścięgi, i niczego nie słuchał, tylko jak materya pod moją ręką szeleściła, to ja wtedy myślał... ja ciągle myślał... a o czém ja myślał? Ot były moje myśli jak te liście, co je wiatr z drzewa strąca, a one lecą każdy osobno, nie wiedząc dokąd zalecą... I były moje myśli jak te ptaki ślepe, co chciałyby lecieć w różne strony i wszystko widzieć, wszystko poznać, a nie mogą, bo im w oczach ciemno i tłuką się o każ-

de drzewo, o każdą chałupę... I była dusza moja jak ten więzień, co przez małą szybę widzi kawałek świata i drapie się po ścianie, żeby do szyby dostać się i przez nią na wolność wyleźć, ale nie może, bo ma łańcuchy na rękach i na nogach... Kiedy ja głowę moję w obie ręce kładł i śpiewał do Pana Boga, to ja skarżył się przed Nim nietylko na głód mój i na wasze płkanie, ale i na moje myśli, co mnie spokojności nie dawały. A jak ja nie miał roboty i musiał przez cały dzień patrzeć w okno i czekać, czy kto zarobku do mojej chaty nie przyniesie, to ja myślał: zkąd biorą się obłoki co tam w górze płyną? co z nimi wypycha trawę zieloną? jak wyglądają kraje od których przelatuje ten wiatr co szumi i *jakie* ludzie w krajach tych mieszkają i czy dobre? Ot jakie były moje myśli i jaka była moja dusza. A ta moja dusza, co była jak niewolnik, i jak ptak ślepy, i jak liść po świetle latający, spotkała się teraz z duszą rabbi Barucha. On dobry, on mądry, on dużo wie! Jak ja z nim zaczął rozmawiać, to mnie w oczach zrobiło się jasno i ja dowiedział się wielu rzeczy, o które dawniej moja dusza pytała się daremnie. Ale ona długo była w niewoli, i długo była ślepa, to wszystkiego odrazu ogarnąć i zobaczyć nie mogła. Ona widzi wiele zdaleka... zdaleka... ale jej niełatwo zobaczyć zblizka. Ja o twoim Abramku myśleć będę, a o twoje omyłkę zapytam się rabbi Barucha...

Starzec nie domówił jeszcze słów ostatnich, gdy przez drzwi od sieni wsunęła się do izby głowa Sury, o ruděj peruce i tiulowym czépcu.

— Ty tu, Eli? zawołała Żydówka. *Kim geschwind*, tam wszyscy czekają na ciebie, a Lejbie i Mendlowi w drogę już czas.

Eli, który słów ojca słuchał w zamysleniu wielkiem,

nieczém jednak nie zdradzając, czy sens ich wyrozumiał dobrze, na głos Sura powstał i jak przy powitaniu, głośny pocałunek złożywszy na rękę starca, udał się za siostrą, na drugą stronę domostwa.

Drugą tę stronę zamieszkiwali siostra i brat Elego: Sura i Mendel. Sura miała w środku miasta sklep bławatny i w nim, wraz ze starszemi wnuczkami, dnie przepędzała. Gdy sklep zamykał się, wracała na noc tu, gdzie gospodarowały i z kąd nie oddalały się ani na chwilę inne dzieci jej i wnuki. Mendel, wielki faktor, miał tysiące interesów w mieście i po wsiach. Nie bywało go tygodniami całemi w domu, w którym przebywała i szyciem trudniła się żona jego, otoczona kilkorgiem dorosłej, dorastającej i drobnój dziatwy.

Jedna izba i dwie izdebki, składające mieszkanie dwu tych rodzin, napełnione były łózkami z piętrzącą się na nich puchową pościelą i trochę innych, niewykwintnych sprzętów. Wieczoru tego w bocznej małej izbie palił się na kominie ogień, przy którym Mendlowa gotowała wierzęgę, a Sura, siedząc na stołku, robiła błękitną pończochę. Dziewczęta, zebrane w kącie, szeptały i chichotały; dzieci jedne spały na ławach, inne poobsiadały ognisko, młodziutki zaś, bezwąsy Żydek pobrzękiwał na skrzypcach, i cichém nuceniem zawodził jakąś pieśń sabatową.

W piérwszej izbie, przy świetle dwóch świec łożowych, zapalonych w mosiężnym świeczniku u sufitu wiszącym, siedziało dokoła długiego, wężkiego stołu kilku brodatych mężczyzn, w długich chałatach, z jarmułkami na głowach. Na stole stała butelka z miodem i talérsz z czarnym chlebem, z pokrajaną cębulą i czosnkiem. Wieczoru tego, w skutek wyraźnych zleceń Elego, Mendel był w do-

mu. Szczupły, niski i ognisto ryży, siedział on z brodą na dłoni opartą i głośnym szwargotem żywą wiódł rozmowę z Efroimem. Obok Efroima, stroskany widocznie i niespokojny, gestykułował Lejba, młynarz z Orchowa; dalej jeszcze, milczący, krył się w cieniu Josiel, ów dawny dzierżawca Ręczyna, który od lat kilku rzuciwszy gospodarstwo rolne, trudnił się teraz dzierżawą gorzelni po szlacheckich dworach.

Gdy Eli wszedł do izby, wszyscy obecni z miejsc swych nawpół się popodnosili i ręce do powitalnego uścisku wyciągnęli.

— *Wie gehts? Wie gehts?* zabrzmiało chóralne zapytanie.

Z czoła Elego zniknęła chmura, która osiadła była na niém, gdy rozmawiał z ojcem o Abramku.

— Dobrze idzie! dlaczego ma źle iść? zwykłą swą w podobnych razach odpowiedź powtórzył Eli.

— Szczupaki wpadają do stawu? zaśmiał się Mendel, błyskając ku bratu szaremi, przebiegłemi oczami i ukazując w uśmiechu białe zęby.

— Dlaczego nie mają wpadać? uśmiechnął się Eli i z rękami w kieszenie ubrania włożonemi, stanął przy stole. Na atłasowój kamizelce jego błyszczał złoty łańcuch od zegarka, na białą i cienką koszulę opuszczały się z pod uczesanej bródki końce jedwabnego krawatu. O ile też ubranie Elego odznaczało się, pomiędzy otaczającymi go, wyższym stopniem smaku, zamożności i staranności, o tyle w całym układzie jego, spokojnym a poważnym, przebijała wyższość rozwagi, inteligencji i pewności siebie.

Po pierwszych zamienionych słowach powitalnych przystąpiono do interesów.

— Co będzie? zapytał Lejba. Jak ty był Eli latem w Orchowie, to ty mnie powiedział, że może ja wezmę młyn od Orchowskiego i zapłacę jemu za trzy lata z góry, a może nie wezmę i nie zapłacę. On mnie drugi raz już mówił, żebym ja brał i płacił. Co ja mam robić?

— Nie brać i nie płacić, odpowiedział Eli.

— Ny, a co ze mną będzie? wykrzyknął Lejba.

— Już ty o to nie lękaj się, ja z białowolskim ekonomem gadał. Ty jedź zaraz do Białowoli i proś żeby tobie młyn puścili, a ja tak już zrobił, że oni tobie jego za połowę ceny puszcza.

— *Git!* z zadowoleniem zupełnym zawołał Lejba. A kogo ty w orchowskim młynie posadzisz?

— Ja teraz nikogo tam nie posadzę i nikomu z *naszych* nie pozwolę, żeby tam siadł dopóty, dopóki Orchowski swego majątku nie sprzeda... a jak on jego sprzeda, to ja tak zrobię, że ty Lejbele znowu ten młyn będziesz miał i taniej jak od Orchowskiego.

— Orchowski majątku swego nie sprzeda, ozwał się twierdzącym tonem Mendel faktor.

— Dlaczego? zapytał Eli.

— Dlatego, że on długów już tak jak nie ma, a co jego do sprzedania przymusić może, kiedy nie długi?

— On jeden jeszcze wielki dług ma, wymówił Eli.

— Ny, jaki?

— Siostry.

— Albo to siostra będzie u niego dopominać się?

— Może i będzie.

— Ny, a jak ona u niego dopomni się, to co to wielkiego? On las swój sprzeda i jęj zapłaci. On do tego czasu nie chciał sprzedawać, bo myślał że jak zbierze *pie-*

niędzów, to sam wyrąbie i do Gdańska poszle; ale jak jego przycisną, to on sprzeda i siostrze zapłaci.

— A komu on las ten sprzeda? z wolna wymówił Eli.

— Mało komu może on sprzedać? Bogatych kupców u nas, dziękować Bogu, jest dosyć.

— A kto kupcom las jego do kupienia nastreczy? A kto starać się będzie o to, żeby oni z sobą na cenę zesłi się?

— Jakto kto? ja nastreczę i ja postaram się. Tam *borysz* dla faktora wielki będzie.

— A ja tobie mówię, Mendele, że ty kupca jemu stręczyć nie będziesz i tym małym faktorom, co ty ich znasz i co oni łaski twojej potrzebują, zakażesz, żeby tego nie śmieli robić.

Wbrew wszelkiemu oczekiwaniu, Mendel, zamiast sprzeczać się i protestować, głową na znak zrozumienia kiwał, a oczami przebiegłymi błyskał, jak ktoś przed kim otwiera się miła bardzo perspektywa. Gdy Eli mówił przestał, Mendel obrócił się ku Josielowi i zawołał:

— *Hast du gehört?* on wielki jakiś interes w głowie swojej obraca i dlatego z nami tu wszystkimi dziś gadać chciał. My jego powinni słuchać, bo z tego wielkiego interesu wypadną *wielkich korzyściów* i dla niego i dla nas.

Josiel wysunął się z cienia.

— Eli! zaczął swoim powolnym, łagodnym tonem, jak ty latem u nas w miasteczku był, to ty mnie prosił, żebym ja gorzelni u Orchowskiego w *septembrze* nie brał. Ale teraz już *oktober* i pora wielka ją wziąć. On do mnie dwa razy przysyłał, pytając się czemu ja nie przyjeżdżam i gorzelni nie biorę, bo sam nie ma jej za co pędzić...

— Na co tobie gorzelnia orchowska? zapytał Eli, albo ja nie mówił Mendelowi, żeby tobie w tym roku dwie inne gorzelnie nastreczył?

— Ny, ja jemu też nastreczył i on ich wziął, zawołał faktor.

— Ale ja mam za co i trzecią jeszcze wziąć, rzekł Josiel. Ja u Orchowskiego siedem lat gorzelnię trzymał; on dobry bardzo człowiek i nigdy mnie nie skrzywdził, to mnie jego szkoda... Jak moja mała Surka przeszłej zimy zachorowała, to jego żona przynosiła jej sama lekarstwa, a jak mnie raz trzeba było akcyzę płacić i ja w wielkich kłopotach był, bo mnie dwustu rublów zabrakło, to on mi pożyczył. On mnie nigdy złego słowa nie powiedział, a jak spotkał kiedy na dziedzińcu, to zawsze ukłonił się i powitał: dzień dobry, panie Josiel! Oni oboje dobre ludzie, Eli, grzeczne, akuradne i staranne. Dlaczego ja nie mam z nimi po staremu w przyjaźni żyć i gorzelnia u nich trzymać?

Mowy téj spokojnego i uczciwego Żyda Eli wysłuchał ze spuszczonei oczami i schmurzonym czołem. Widoczném było, że obraz jakiś, widziany przezeń niegdyś a zapomniany, stanął przed jego pamięcią, że wątpliwość jakaś czy skrupuł ozwały się w nim znowu. Trwało to jednak krótko. Usiadł na ławie i rozpoczął z Josielem rozmowę, która cicho zrazu prowadzona, stawała się coraz głośniejszą i żwawszą, a skończyła się na tém, że Josiel przyjęte na, chwilę odporne stanowisko swe opuścił i przyrzekł nie dzierżawić już gorzelnia orchowskiej.

Urządziwszy w ten sposób interesa, mające styczność z przyszlęmi losy Orchowa i jego mieszkańców, Eli toczył jeszcze z Efroimem długą a cichą rozmowę, w której powtarzały się często nazwiska Ręczyna i Poryckiego. Gdy

na-koniec, spojrzawszy w swój złoty zegarek i pożegnawszy krewnych a sprzymierzeńców swych, znalazł się przy drzwiach od sieni, Mendel zastąpił mu u progu.

— Eli! szepnął, czy ty z tego orchowskiego interesu wielkich korzyściów mieć będziesz?

— Żebym ja z niego wielkich korzyściów nie miał mieć, to jabym jego nie dotknął się, odparł Eli.

— A kto kupi Orchów? zagadnął Mendel.

— Kto jego kupi? jego kupi wielki magnat, co zawsze w stolicy siedzi, a do swego majątku tylko latem na trzy miesiące przyjeżdżać będzie. On za ten majątek zapłaci tyle ile my zechcemy, a potem on będzie w stolicy siedział, a my będziemy u niego kupować i sprzedawać i w posesye puszczając...

— Jak zechcemy i komu zechcemy... dokończył Mendel. *Git, Eli, git!* to wielki interes!

— Tylko ty, Mendele, o tem nie gadaj: bo interes zawczasu rozgadany, to jak garść piasku na wiatr rzucona... ludzie rozniosą go na językach i zniknie jak piasek!

Gdy Eli w głębi żydowskiej dzielnicy z ojcem swym i krewnymi wieczór przepędzał, Ildefons Porycki, po kilku godzinach u pani Malwiny spędzonych, wrócił do hotelowego mieszkania swego. Zaledwie usiadłszy przy stole, położył przed sobą przyrządy do pisania, otworzyły się drzwi i do pokoju wszedł młody, zgrabny chłopak, z bladawą twarzą i grzecznym uśmiechem. Porycki powstał i patrząc na nieznanomego, oczekiwał go przy stole w pytającej postawie. Nieznajomy zbliżył się. Ruchy jego były śmiałe

i zrzeczne, jakkolwiek cechowało je silenie się na wytworność dość złego smaku.

— Przepraszam pana bardzo, ozwał się przybyły, że przychodzę tak późno. Niech pan nie myśli żebym ja nie wiedział, że ta pora nie jest stosowną do wizyt. Ja o tém wiem; ale ja słyszał że pan przez cały dzień bardzo zajęty i że teraz tylko można pana w domu zastać.

Słowa te wymówione były dość poprawną polszczyzną, sposób jednak wymawiania litery *r* i pewne właściwości składni zdradzały pochodzenie izraelskie młodego człowieka.

— Z kimże mam przyjemność?.. zaczął Porycki.

Przybyły pochwycił:

— Jestem Gottlieb Makower. Przyszedłem do pana z interesem... to jest... z prośbą raczyć...

Porycki wskazał krzesło nieoczekiwanemu gościowi swemu i patrzył nań pytającym wzrokiem.

— Ja słyszał, zaczął gość, siadając i nie wypuszczając z ręki czapeczki swęj ze srebrnym galonikiem, ja słyszał że pan wielkimi interesami zajmuje się i wiele bardzo pięknych stosunków ma. Otóż przyszedłem prosić pana, czy nie mógłby pan przyjąć mię do pomocy...

Porycki słuchał uważnie i spoglądał na czapkę z galonkem.

— Jak widzę, rzekł po chwili, pan zajmować musisz urzędowe miejsce jakieś.

— Jestem telegrafistą, odparł syn Elego, pogar dliwie usta składając. To mój ojciec, widzi pan, chciał te go żebym ja telegrafistą był... On myślał że to dla mnie i dla niego wielki honor będzie; ale ja w tém honoru żadnego nie widzę. I co to, proszę pana, za miejsce, na którém człowiek niczego dorobić się nie może?

— Czegóż pan mianowicie żąda? zapytał agent główny.

Abramek uśmiechnął się i namyślał przez chwilę. Potém zaczął:

— *U nas Niemców*, proszę pana, to już taka natura, że nic nie powinno marnować się, ani zdolności ludzkie, ani pieniądze, tylko ze wszystkiego powinien być zrobiony użytek taki, żeby korzyść jakaś była. Mnie się zdaje że ja mam zdolności do interesów... Piędzy to ja także trochę mam...

— Czy pan robiłeś już kiedy jakie obroty?

— Bardzo małe, ale robiłem. Moi rodzice bogaci i piędzy dają mi zawsze dość... oni wiedzą że młodemu człowiekowi, takiemu jak ja, piędzy zawsze trzeba.... Ja też dla siebie niczego nie żałuję i dobrze sobie żyję; ale zawsze, jak mi zostaje trochę piędzy, to je na procent pożyczam.... takim sposobem one u mnie rosną....

— Widzę że w istocie masz pan do interesów zdolności i chęci. I wielkie pan od kapitałów swych pobierałeś procenta?

Abramek spuścił na chwilę oczy. Prędko jednak podniósł je na twarz swego interlokutora i rzekł śmiało:

— Ja nie będę przed panem kłamał, bo wiem że pan jesteś człowiekiem rozumnym. Brałem takie procenta, jakie mogłem wziąć.... Wszak im większe korzyści człowiek ma, tém lepiej. *N'est-ce pas, monsieur?*

Wymawiając francuzkie wyrazy, wyduł nieco usta, ale zarazem i mrugnął figlarnie. Porycki widł rozmowę tę całą z obojętnością, która w podobnych razach wcale mu zwyczajną nie była.

— A jakież pan zebrać już zdołałeś kapitały? zapytał?

— No, niewiele... blisko tysiąc rubli....

Mówiąc to, Abramek zarumienił się, ze wstydu zapewne, że tak mało posiadał.

— I cóż pan chcesz, żebym ja z pańskimi pieniędzmi i z pańskimi zdolnościami zrobił? zapytał Porycki.

— Jabyłm prosił żeby pan pieniądze moje przyłączył do téj summy, którą *Dom pośrednictwa* obraca. One tam pewne będą i większe korzyści przyniesą. A zdolności moje niech pan weźmie i niech one panu w każdej robocie pomagają.... Ja mogę wszędzie pojechać i dowiedzieć się, i nastęrczyć, i wyliczenie każde zrobić.... a pan mi za to pomoże coraz wyżej iść.

— A cóż będzie z miejscem przez pana zajmowaném?

— Ja to miejsce porzucę! To głupie miejsce, nudne i nic nie daje. Biorę sześćset rubli pensyi na rok, ale co to znaczy? Jeżeli pan nie spełni mojej prośby, to i tak ja to miejsce porzucę i do Niemiec wyjadę. *U nas w Niemczech*, o interesa i o karyerę łatwiej.

Porycki powstał z krzesła, co zmusiło i Abramka powstać także.

— Wszak, jeżeli nie mylę się, pan jesteś synem Elego Makowera?

Abramek zarumienił się znowu i szkarłatniej jeszcze niż wprzódy. Wstydzil się znać pochodzenia swego i miał nadzieję że Porycki, tego wieczoru przynajmniej, zostanie pod tym względem w miłej dlań niewiadomości.

— Otóż, zaczął znowu agent główny, przykro mi to, ale ja żądania pańskiego spełnić nie mogę. Gdyby ojciec pański życzył sobie tego, żebyś pan do interesów naszych należał i na téj drodze karyery dla siebie szukał, niechybnie

wspomniałby mi o tém cósokolwiek. Skoro zaś nie mi o tém nie mówił i, jak pan sam powiadasz, umieścić pana w biurze telegraficzném, to ja wbrew życzeniom jego postępować nie mogę.

— Przepraszam pana, przerwał Abramek, rozumieniomy cały i z błyszczącemi oczami, mnie to bardzo dziwi że pan tak mówi. Pan jesteś człowiekiem, rozumnym. Nie może być żeby pan wierzył w to, co starzy ludzie gadają. My dobrze wiemy, że dla młodzieńca dorosłego i edukowanego ojciec jest takim samym człowiekiem, jak każdy inny człowiek. Na co ja koniecznie mam słuchać tego, co mnie jakiś tam człowiek mówi.

W głębi duszy Porycki był takiego samego jak Abramek o stosunkach rodzinnych przekonania, ale z jednej strony nie obiecywał on sobie ważnych pożytków z usługi i zdolności Abramka, z innej zaś za nic w świecie nie chciał poróżnić się z Elim, wielce mu pomocnym i bardzo, w pewnych względach, groźnym: to téż bez namysłu najlżejszego odrzekł:

— Pozwól pan, abym nie wypowiadał mu przekonań swoich. Jeżeli ojciec pana objawi mi życzenia zgodne z pańskimi, gotów jestem uczynić co tylko będzie w mojej możności; w przeciwnym jednak razie nie mogę służyć panu w niczém.

— Czy to ostatnie pańskie słowo? zapytał izraelski młodzieniec, drżący z upokorzenia i tłumionego gniewu.

— Ostatnie, kłaniając się lekko i tonem bardzo stanowczym wyrzekł agent główny.

Syn Elego oddał mu szybki ukłon i wyszedł. Z gorącemi rumieńcami na policzkach z oczami żarzącymi się

jak głównie, zbiegł ze wschodów, u dołu których oczekiwał na niego Klemens Szyłło.

— I cóż? zapytał śpiesznie człowiek bez kondycyi.

Dwaj młodzi ludzie, ściśle, jak się zdawało, sprzyjani ze sobą, wyszli na chodnik ulicy. Abramek miał w dłoni rękawiczkę.

— Cóż? powtórzył Klemens, może jutro pojedziem razem do stolicy?

— Gdzie tam! ani słuchać o niczem nie chciał! Ojciec wszędzie w drodze mi staje! ten głupi, ciemny Żyd!

Cienie nocne pokryły uśmiech szyderski i złośliwy, który przesunął się po ustach Klemensa. Po chwili syn Augustyna Szyłły zlekka towarzysza po ramieniu uderzył i rzekł:

— Ot wiesz co, Abram... Gotliebie! żebym ja był na twojem miejscu, tobym już ze starym dał sobie rady.

— Kto z nim da sobie rady? Ontwardy jak kamień! On tylko o honorach dla mnie myśli, a sam to worami pieniądze zbiera.

-- Otóż ja wydusiłbym z niego część tych pieniędzy.

— Nie daje! sarknął Abramek.

— Wziąłbym sam! po chwili namysłu i bardzo cicho szepnął człowiek bez kondycyi.

— Zamyka!

Odpowiedzi nie było. Kiedyś, kiedyś znaleźć się ona miała może we własnej głowie Abramka. Tym jednak razem zawołał on z uniesieniem:

— Ot wezmę to co mam i pojedę do Niemiec! Już mi to małe miasteczko, i ten telegraf, i ci ciemni Żydzi ze

swemi łokszynami i szabasami nadojedli! Mnie trzeba świata użyć i karierę zrobić! Ja tu nie wytrzymam!

— Jak będziesz wyjeżdżał do Niemiec, czy weźmiesz mię ze sobą? żartobliwie rzekł Klemens.

— Ot, kiedy to jeszcze będzie! głęboko westchnął syn Elego. Tymczasem trzeba mi do biura na nocny dyżur isć! *Tausend Teuffel!*... Słuchaj, Klemensie! przywieź mi ze stolicy pół tuzina rękawiczek nowych, tylko żeby kolory były piękne.. A może ty tam dla mnie i jaki interes znajdziesz?

— ~~UGROSA~~ —

VI.

Noc była grudniowa, lekko mroźna i pogodna. Nad ręczyńskim dworem, po błękitach przysłonionych srebrzystą mgłą, płynął księżyc w pełni i oświecał jeden z najpiękniejszych krajobrazów. Rozłożyste, wspaniałe drzewa starych, wielkich ogrodów, oblepione szronem, iskrzyły się dyamentowo; poniżej spleciona gąszcz krzewów i roślin młodych przybierała w cieniu kształty dziwnej fantastyczności i różnaitości pełne. Gładkie, skaliste, wysokie brzegi Niemna jaśniały nieskazitelną bielą, alabastru; u stóp ich, głęboko w dole, martwo leżała szeroka wstęga lodu i słychać było cichy lecz gwałtowny szum wód, które burzyły się i wrzały pod błyszczącą swą powłoką z kryształu. W majestatycznym spokoju i kamiennéj niby nieruchomości stała w pobliżu długa, ciemna ściana wielkiego boru; p białych wzgórzach szumiały zcicha samotne sosny. Kędyś w oddali, wśród szerokich rozłogów pól, wśród wierzb rosochatych, rosnących nad krętymi szlakami dróg, w wąwozach wyżłobionych wiekową pracą fal wodnych, w dolinach kędy rozrzucone czerniały wioski i gaje—wiatry sunące ciężko i nisko huczały gammą głuchą, nieprzerwaną.

We dworze było miejsce jedno, z którego można było okiem ogarnąć cały ten krajobraz. Znajdowało się ono tuż za pałacem, u skraju wzgórza, po stokach którego zbiegały szerokie i długie perspektywy ogrodowych alei, u stóp którego rozwięrały się ściany skaliste, lub dzikimi krzewami obrosłe, graniczącego z Niemnem wąwozu.. W miejscu tém było leciuchne drewniane ogrodzenie, strzegące kroków ludzkich od poślizgnięcia się po stromój spadzistości.

Teraz, o ogrodzenie to wsparty, otulony przed zimnem futrzanym paltotem, stał Konrad Ręczyc. Była to ostatnia noc, którą syn pani Malwiny przepędzał w rodzinném swém miejscu. Ręczyn przed parą tygodniami sprzedany został grafowi K, a nazajutrz przybyć tu miał ktoś ze stron dalekich i w imieniu nowego dziedzica majątek ten w posiadanie objąć. Przez czas ubiegły Konrad był bardzo spokojnym i zadowolonym. Zdawało mu się, że raz na zawsze pozbył się już trosk i przykrości, które w ostatnich szczególnież czasach ze wszęch stron go oblegały. W kieszeni téż posiadał dość znaczną summę pieniędzy, na drugą zaś, znacznieszą jeszcze, wydano mu w obecności pełnomocnika jego, Augustyna Szyłły, urzędowy dokument. Zresztą przyrzekano mu, że wkrótce stanie się on dziedzicem innego majątku, w sąsiedniej prowincyi położonego, pięknego, bez długów, z mnóstwem łąk, na których wypasać się mogła liczna stadnina koni. Zastanowienie się i obrachowywanie szans przyszłości nie leżało ani w umyśle, ani w charakterze syna pani Malwiny. Porycki, Eli, i Efroim dowodzili mu że sprzedaż Ręczyna była interesem świetnym—pełnomocnik jego nie zaprzeczał temu,—Konrad więc wierzył, cieszył się i pełném nadziei okiem w przyszłość swą spoglądał.

Na t \acute{e} m niebie pogodn \acute{e} m by \acute{a} przecie \acute{z} chmurka drobna, lecz dosy \acute{c} ciemna. Konrad wiedzia \acute{l} , \acute{z} e kilku wierzycieli jego, kt $\acute{o$ rych nale \acute{z} yto \acute{s} ci nie by \acute{y} dostatecznie ulegalizowane, nic nie otrzyma \acute{l} , \acute{z} e ca \acute{l} a sprawa sprzeda \acute{z} y urz \acute{a} dzon \acute{a} zosta \acute{l} a przez Elego i Ildefonsa tak cicho i skrycie niemal, \acute{z} e wierzyciele owi nic wcale o ni \acute{e} j dot \acute{a} d nie wiedzieli. Szacherka ta urz \acute{a} dzon \acute{a} by \acute{l} a gwoli oszcz \acute{e} dno \acute{s} ci grafa K..., kt $\acute{o$ ry wbrew hojnemu i na wydatki niezwa \acute{z} aj \acute{a} cemu baronowi R... o tyle wi \acute{e} ksz \acute{a} zap \acute{l} at \acute{e} przyrzeka \acute{l} swym agentom, o ile mniejsz \acute{a} summ \acute{e} wydad \acute{z} na nabycie R \acute{e} czyzna. Summa ta mog \acute{l} a by \acute{c} unniejsz \acute{o} n \acute{a} dwoma sposobami: usuni \acute{e} ciem na bok i niedostatecznie ulegalizowanych nale \acute{z} no \acute{s} ci i wydaniem z kolei Konradowi i jego matce dokument \acute{o} w, z opuszczeniem wa $\acute{z$ nej jakieg \acute{o} s formalno \acute{s} ci, kt $\acute{o$ ryby je w oczach prawa niewa $\acute{z$ nymi czyni \acute{l} a. Oba sposoby te u \acute{z} yte zosta \acute{l} y. O drugim Konrad nie naturalnie nie wiedzia \acute{l} ; o pi \acute{e} rwszym nie wiedzie \acute{c} nie m \acute{o} g \acute{l} , lecz dobry pop \acute{e} d jego, odradzaj \acute{a} c mu pop \acute{e} lnienia tak krzycz \acute{a} c \acute{e} j niesprawiedliwo \acute{s} ci, zwyci \acute{e} zony zosta \acute{l} perswazyami Elego, sofistmatami Ildefonsa, namowami szczeg \acute{o} lniej i radami powiernika jego i ulubienca Efroima, t \acute{a} wreszcie uwag \acute{a} , \acute{z} e koniec ko \acute{n} cem, gdy tylko zechce, b \acute{e} dzie m \acute{o} g \acute{l} d \acute{l} ugi owe, przy akcie sprzeda \acute{z} y ukryte i pomini \acute{e} te sp \acute{l} aci \acute{c} cz \acute{e} sci \acute{a} pozosta \acute{l} ej mu got \acute{o} wki. „Naturalnie \acute{z} e sp \acute{l} ac \acute{e} je!” mysla \acute{l} Konrad, chowaj \acute{a} c do pugilaresu pi \acute{e} ni \acute{a} dze, wr \acute{e} czone mu w imieniu nabywcy przez Poryckiego.

W godzin \acute{e} po otrzymaniu pi \acute{e} ni \acute{a} dzy tych rzek \acute{l} nawet do Efroima:

— Jak my \acute{s} lisz, Efroimku? mo \acute{z} eby po \acute{s} ta \acute{c} po Paw \acute{l} a Szy \acute{l} ę i tych tam innych... Niech przyjad \acute{a} i pi \acute{e} ni \acute{a} dze swoje wezm \acute{a} !

Efroim perswadował, że to nie pilnego i że na to zawsze czas będzie. Porycki zaś twierdził, że ludzie ci niebawem zapewne dowiedzą się o sprzedaży i sami po naleźności swoje przyjadą. Czyniąc to przypuszczenie, patrzył znacząco na Efroima, który dawał mu także oczami znaki porozumienia. Widać było że agent główny i dzierżawca Ręczyna wiedzieli dobrze, w jakim czasie pokrzywdzeni przybyć mają do krzywdziciela.

Konrad, zajęty planami otwierającą się przed nim nową przyszłości, zabawiany przez Efroima niekończącymi się nigdy a ulubionymi mu gawędami, zapomniał o całej tej sprawie; chwilami jednak odzywało się we wnętrzu jego coś jakby wyrzut sumienia. Wtedy uspokajał się myślą, że nie straconego przecie niema, że w każdej chwili gotów jest długi spłacić i krzywdy naprawić.

Teraz jednak, gdy syn pani Malwiny, wsparty o drewniane ogrodzenie, stał na najwyższem miejscu dawniej swej posiadłości i okiem ogarniał wspaniałą, roztaczającą się dokoła krajobraz, z myśli i pamięci jego wyszły wszelkie finansowe sprawy, a z serca zniknął błogi spokój, doświadczony przezeń dotychczas. Dlaczego przyszedł tu? nie wiedział o tém dobrze jak nie wiedział nigdy o niczém co robił kiedykolwiek. Jakiemi były mianowicie uczucia, które go tu przywiodły i których doświadczał w tej chwili, jak nazywały się one i z jakiego płynęły źródła—nie zdawał on sobie z tego sprawy i zdawać nawet nie usiłował. Czuł tylko, że mu było smutno, że piersi jego nurtował wyrzut i targał go za serce w sposób dotkliwy. Siła jakaś, nieokreślonej dlań i niepojętej natury, ciągnęła go wieczora tego po za ściany pałacu, ku tym ogrodom, wzgórzom i polom, które mógł widzieć w całej ich rozciągłości z nad

stromego brzegu wąwozu. Przyszedł, stanął, oparł się o ogrodzenie i patrzył... Wspomnienia cofnęły go o lat wiele, aż do samego początku jego życia. Widział siebie dzieckiem małym, igrającym pod cienistemi sklepieniami tych starożytnych alei ogrodu; potem chłopięciem dorastającym, cwałującym konno, na czele rówieśników, po tych drogach krętych, nad którymi teraz wstrząsały zlekka stare swe wierzchołki wierzby rosochate. Tam była grusza dzika, pod której cieniem, zmęczony długą myśliwską wycieczką, spoczywał lubił; a tam znowu czerniały wielkie bory i lasy, na których odkąd żył, machinalnie lecz codziennie wzrok swój zatrzymywał. W umyśle jego drżącym i obezsilonym życiem bezmyślnem, pracowała jednak w tej chwili siła jakaś tajemnicza, rozkazywała mu szukać wzrokiem po widokregu miejsce ulubionych, budziła wyobraźnię jego, która ku miejscom tym przywoływała wszystkie uroki wiosny i młodości, miała je, złociła i stawiała mu je przed oczyma w postaci utraconego raju. Siła ta nie była czem innym, jak instynktowem, z naturą ludzką nierozdzielnym uczuciem przywiązania, które spaja człowieka z temi zewnętrznymi widokami i żywiołami, wśród których wzrastała i kształciła się fizyczna i moralna istota jego.

Konrad nie był człowiekiem zepsutym; był raczej dorosłym dzieckiem, wiedzy, rozwagi i woli pozbawionym. To też, obok owego instynktowego uczucia, przez które wydawało mu się jakoby pomiędzy nim a krajobrazem tym węzeł jakiś rwał się boleśnie i niemal dotykalnie, obok uczucia tego i silniejsza odeń ozwała się w nim jeszcze dolegliwość inna. Pomyślał że za dni parę po tych alejach, wzgórzach i dolinach ślicznych stąpać będą kroki ludzi obcych, że pośród ścian dawnego domu jego zabrzmiały głosy

obce, że kroki te i głosy on sam tu sprowadził... Cóż niewyraźnego, nieokreślonego, coś o czém słyszał nieraz, co sam w chwilach pewnych przelotnie uczuwał... podniosło się teraz we wnętrzu jego i zabolało go w piersi. Jakieś dźwięki dobrze znane, lecz o których nie pamiętał nigdy, brzmiały mu teraz w uchu; jakieś uczucia z krwią może odziedziczone, w najtajniejszych dla niego samego głębiach serca drżemiaące, obudziły się i przemówiły... Uczuł nagle to, czego nie czuł nigdy—uczył wstyd i żal. Oparł na dłoni zrumienione czoło, westchnął i sam do siebie zawołał:

— A to, jak Boga Kocham! ktoby się kiedy spodziewał że ja to zrobię!

Wymawiając słowa te, poniósł rękę do oczu, bo zwiły się one kilku gorącymi łzami.

W tój samėj chwili jednak podniósł szybko głowę i zdawał się przysłuchiwać czemuś z uwagą i nagłém zaniepokojeniem. Za pałacem i dworskim dziedzińcem, w pobliżu gdzieś folwarcznych zabudowań, ozwał się śród ciszy nocnej turkot kół, głucho dudniących na przymarzłej, cienką tylko warstwą śniegu okrytėj ziemi. Po tym odgłosie nastąpił inny podobny.

— Ktoby to mógł przyjeżdżać w tój porze? rzekł do siebie Konrad.

Przykro zaniepokojony, opuścił ogrodzenie, o które wspierał się dotąd, i szybkim krokiem zmierzył ku pałacowi.

— Ktoby to mógł przyjeżdżać w tój porze? w tój samėj chwili zapytywał w głębi pałacu pieszczony głos Lili. Siedziała ona przy kominku, na którym palił się ogień otulona ciepłym szalem, od blasku i gorąca płomieni osłonięta nawpół ekranem. Naprzeciw niėj, z książką w rękę,

którą głośno czytał, siedział Ildefons Porycki. Dokoła dwojga ludzi tych panowały cisza głęboka i samotność zupełna. Po za pokojem w którym się znajdowali, oświetlonym przyćmioną lampą i blaskiem kominkowego ognia, salony i saloniki pogrążone były w ciemnościach i nieładzie, zalegającym zwykle wszelkie siedliska ludzkie w przeddzień ich opuszczenia. Ładne sprzęty, strojące je niegdyś, w części zniknęły, w części ustąpiły miejsca licznym skrzyniom i pakom, zawierającym w sobie przygotowane do jutrzejszych przenosin przedmioty. U stóp głównego balkonu stał kocz opakowany, do drogi gotowy. Konie zaprządź doń miano nazajutrz zrana.

Z cienia w którym siedziała, patrzyła Lila od godziny już na twarz swego towarzysza, ale daleką była od spostrzeżenia wyrazu oczekiwania i niespokojności, który twarz tę niekiedy przyobiekał. Porycki, jakkolwiek zajęty głośnym swém czytaniem, przerywał je sobie często, gorącym wymownym wzrokiem obejmował siedzącą naprzeciw niego piękną postać kobięcą, lecz wnet potem przelotne spojrzenie rzucał na okna pokoju i zdawał się wyteęzać słuch, w celu usłyszenia jakiegoś oczekiwanego odgłosu. W ogólności agent *Domu pośrednictwa*, bledszy dziś niż kiedykolwiek, z oczami silniej niż zwykle połyskującymi z za szkieł szafirowych, miał pozór człowieka, ku któremu zbliża się chwila ważna dlań niezmiernie, chwila ostatecznie rozstrzygać mająca o planach jego, pracowicie ułożonych, różnostronnych, a różnostronnie też i nieskończenie mu drogich.

Gdy turkot dwóch, jedna po drugiej nadjeżdżających bryczek ozwał się na dziedzińcu, Porycki podniósł się z siedzenia i zanim Lila zapytanie swe wymówić zdołała, z niewyraźnemi jakimiś słowami na ustach śpiesznie opuścił pokój. Wyszedł na balkon i potoczył wzrokiem po dzie-

dzińcu gładkim, obszernym, białym teraz od śniegu, jasnym od księżycowego światła. Wśród światła tego sunęła szybko od strony folwarku ku pałacowi czarna wysoka postać. Porycki zbiegł z balkonu i pod ścianą pałacu spotkał nadchodzącego Efroima.

— Cóż? szepnął bardzo cicho, przyjechali?

— Dwoje już przyjechało, odszepnął Żyd, ale zaraz będzie ich tu więcej.

— A gdzie jest Ręczyc?

— Już ja wiem gdzie on jest. Ja jego dobrze pilnuję..

— Czy pewny jesteś, że on ucieknie?

— Ny, co to pewny? kiedy ja panu mówię....

— A oni tam przyjdą? pytał jeszcze Ildefons, wskazując pałac.

— Dlaczego oni nie mają przyjść, kiedy tam jeszcze jest jasna pani? zasyczał ironiczny szept Żyda.

Z temi słowami wysoka czarna postać zniknęła za załomem muru. Porycki śpiesznie wrócił do pałacu.

Za murem Konrad oko w oko spotkał się z Efroimem.

— Ty tu, Efroimie?

— A tu! jasnego pana szukam.

— Kto tam taki przyjechał?

— Ny! jasny pan nie domyślił się? to *oni* przyjechali. Ja przyszedł jasnego pana ostrzedz.

— Kto to *oni*?

— Ny, *oni*, *te* kredytory! Najpierw przyjechała żona Pawła Szyłły, potem ten szlachcic z Kuszelina, co to od niego jasna pani, matka jasnego pana, kiedyś trzy tysięcy rubli pożyczyla...

— Do diabła! stłumionym wykrzykiem przerwał były dziedzic Ręczyna.

— A z tym szlachcicem, ciągnął Efroim, przyjechał Mikołaj, dawniejszy kamerdyner jasnych państwa, co to jemu należy się ..

— A czy nastanie jakieś, że się tu oni jak na zawołanie wszyscy razem pojeżdżali? Moznaby myśleć, jak Boga kocham, że ich tu umyślnie kto sprowadził!

Gdyby Efroim nie stał w cieniu, utworzonym przez załom muru, Konrad, jakkolwiek mało badawczy i przenikliwy, byłby musiał spostrzedz szyderski wyraz, jaki przebiegł po ciemnej twarzy Żyda.

— Co tu robić? z pochyloną głową zapytał syn pani Malwiny.

— A co robić?.. Ich tam moja żona i mój syn zatrzymują na folwarku jak mogą, ale oni zaraz do pałacu wpadną i krzyku narobią...

Konrad obie dłonie do czoła przycisnął.

— A to, jak Boga kocham, zwaryować można! Człowiek myślał, że sprzedając ten kawałek ziemi, pozbył się już wszystkich kłopotów i nieprzyjemności, a tu znowu prośby, krzyki, narzekania, od których i serce boli i wstyd! Ot wiesz co, Efroimie, zawołaj ty ich do pałacu... ja im wszystko zapłacę i niech będzie już temu raz koniec.

Efroim nie poruszył się z miejsca.

— Za pozwoleniem jasnego pana. Mnie to bardzo dziwi, że jasny pan tak mówi. Czy jasny pan ma milion rublów w kieszeni? Jeżeli jasny pan ma milion, to niech jasny pan odda im tych dziesięć tysięcy, co im winien, ale kto ma tylko dziesięć tysięcy, to powinien trzymać się ich rękami i nogami, bo jak ich nie będzie, to i chleba nie będzie.

Twarz Konrada, oblana księżycowem światłem, poble-

dła. Słowa Żyda przywiodły mu przed oczy wyobraźni widmo nędzy, o której możebności nigdy nie myślał, której dla siebie nie przewidywał nigdy.

— Co robić? szepnął znowu. Nie mogę ich tak z kwitkiem puścić. Ludziska biędni.... wierzyli nam...

— Wié pan co? perswadował Efroim. Jeżeli pan już tak koniecznie chce *tego* zrobić, to niech im pan zapłaci za rok, z tych pieniędzy co pan ich na obligu u grafa ma i co panu graf za rok wypłacić obiecał.

Konrad podniósł obie ręce i gestem radosnej poufałości opuścił je na szerokie ramiona Żyda.

— Wiész co, Efroimie! zawołał, ty jesteś, jak Boga kocham, rozumnym człowiekiem. Masz racją! zapłacę im temi pieniędzmi, które mi graf za rok odda. Tym sposobem będzie, jak to mówią, i wilk syty i owca cała, bo rzeczywiście... gdybym im teraz oddał gotówkę, to z czegożbym żył?

— Z czego by jasny pan żył? powtórzył Żyd. Kamieniów przecież jasny pan gryźć nie będzie!

— I za cóżbym kupił ten majątek w królestwie, co mi stręczył Eli?

— Jego darmo nie dadzą! uśmiechnął się Efroim.

— No, to rozmówię się tylko z nimi i powiem im, żeby jeszcze rok poczekali...

Z temi słowami chciał postąpić naprzód, ale Efroim drogę mu zastąpił.

— Niech jasny pan tego nie robi, ja jasnemu panu dobrze radzę! *Tę* ludzie bardzo złe i rozgniewane za to, że przed nimi sprzedanie Ręczyna *schowali*. Oni gotowe jasnemu panu różnych niegrzeczności nagadać, albo i gwałtem odebrać pieniądze, co pan ma ich przy sobie...

— Czyż oni mogą uczynić coś podobnego?

— Ny, czemu nie mogą? Człowiek jak w złość wpa-
dnie, to wszystko zrobić może. A tam niejeden człowiek
ale kilku ..

W téj chwili z folwarcznego dziedzińca doszedł znowu
uszu rozmawiających turkot bryczki czy woza.

— O jeszcze jeden jedzie! zawołał zeicha Efroim, to
pewno ten ekonom z Białowoli, co pan u niego w przeszłym
roku tysiąc *rublów* pożyczył, jak jasna pani do Warszawy
jechała.

Konrad znowu za głowę się pochwycił.

— A to skaranie Boskie! ja z nimi rady sobie nie
dam... A gotówki oddać przecież nie mogę, bo...

— Ot, niech jasny pan prędko do stajni pójdzie i do
tego węgierskiego wózka, co pan wie, parę *koników* założyć
kaze... oni tam już przygotowane stoją...

— A jak Boga kocham, Efroimku, masz racją...
czmychnę! Ale któż to kazał konie przygotować?

— Z przeproszeniem pańskim, to ja sam zrobił.
Ja zawsze lękał się, żeby oni tu w ostatniej godzinie nie
zlecieli się na jasnego pana jak te kruki... ja jasnemu pa-
nu dobrze życzę.

— Czmychnę! po sekundzie namysłu i z większą niż
wprzódą determinacją, wyrzekł Konrad.

— Niech jasny pan prędko idzie, bo oni gotowi na-
dejsć. Ich tam moja żona gadaniem, a mój syn wódką
i zakąsywaniem trzyma... ale...

Konrad uczynił kilka śpiesznych kroków, lecz zawa-
hał się nagle.

— A moja żona? wymówił tonem zapytania.

— Ny! a co jasnej pani tu stanie się? Ją jutro pan
agent do N. odwiezie.

— A prawda! Ildefons tam jest. On taki poczciwy! wszystko dla nas zrobi!

— Pan agent wielki przyjaciel jasnego państwa.

— Powiedz-że, Efroimku, mojej żonie, że ja tymczasem w N. w hotelu mieszkanie najmę. Niech tam przyjeżdża-

Ostatnie słowa ci dwaj ludzie zamieniali ze sobą, idąc już szybkimi i szérokiemi kroki po za ogrodzeniem ogrodowém, wymijając starannie folwarczną oficynę, z której dochodziły ich głośne rozmowy kobiet i mężczyzn, a zdążając ku stojącym na uboczu murowanym stajniom.

Gdy tak się działo nazewnątrz, w głębi pałacu, w pokoju o drzwiach i oknach szczelnie pozamykanych, przy ciepłym kominkowym ogniu, siedzieli znowu we dwoje Lila i Ildefons. Przed kilką minutami, gdy Ildefons śpiesznie wybiegł, aby dowiedzieć się o przyczynie niezwykłych w tój porze, na dziedzińcu odzywających się głosów, Lila opuściła czoło na obie dłonie i zamysliła się głęboko. Pierwszy to raz w życiu myślała ona o rzeczach, niemających bezpośredniego związku z własną jej osobą. Stało się z nią coś dziwnego. Książka, którą wieczora tego czytał jej Ildefons, nie była romansowój treści, a jednak zdołała obudzić w niej żywe zajęcie, gorączkową niemal ciekawość. Napisana w obcym języku, książka ta rozwijała wyobrażenia, poglądy, teorye obce ziemi, na którą ze stron dalekich przywiózł ją Porycki, ale dla Lili tém ponętniejsze, że dotąd nieznanne. Gdy Porycki wrócił do pokoju, młoda kobieta podniosła głowę i utkwiała w twarzy jego wzrok niespokojny, pytający:

— Ildefonsie! szepnęła z głęboką zadumą, nie powiedziałaś mi jeszcze nigdy ani przeczytałaś co będzie potem, gdy wszystkie ustawy, zwyczaje, wyobrażenia ludzkie

dziś istniejące, obalonemi zostaną przez nowe idee i nowych ludzi? co wtedy nowi ludzie uczynią? co wtedy na ziemi panować będzie?

Była tak zajęta przedmiotem swych rozmyślań, że zapomniała o niezwykłych w tej porze odgłosach na dziedzińcu i o przyczynie przedchwilowego oddalenia się ztąd jój towarzysza.

Po twarzy Poryckiego przesunął się wyraz głębokiego zadowolenia. W pytaniu Lili, niespodzianie zadaniem, ujrzał myśl jój pracującą i zwracającą się we wskazanym jój przez niego kierunku. Milcząc jednak i uśmiechając się zbliżył się do krzesła, na którym siedziała młoda kobieta i powoli, troskliwie owinał ją szczelnie ciepłym szalem, który wśród zadumy swój opuściła ze swych ramion. Podziękowała mu uśmiechem pełnym tłumionej jeszcze, ale nawskroś ją widocznie przenikającej czułości. Oczy ich spotkały się i ręce połączyły w chwilowym uścisku.

Porycki wrócił na dawne swe miejsce, ale zamiast usiąść, pozostał w stojącej postawie, z ramieniem wspartem lekko o rzeźbiony gzyms kominka. Jaskrawe światło płomienia uwydatniało w pełni zarysów kształtną, piękną postać jego i na twarz mu rzucało migotliwe, różowe błyski. Kibić Lili tonęła w cieniu; popiersie jój tylko, wychylone z za ekranu, błyskało pod światłem ognia złotemi ozdobami, strojącemi pierś jój i głowę, jedwabistym połyskiem krucznych warkoczy i dwojgiem oczu wielkich, czarnych, rozpalonych marzeniem jakimś niespokojnym, na poły rozkosznym, na poły dręczącym.

— Ildefonsie! powtórzyła, nigdy jeszcze w życiu swoim nie myślałam o rzeczach tak ważnych i zawitych... Ciekawa jestem... co będzie na świecie wtedy, gdy stanie się już

to o czém przed chwilą czytałeś, gdy nie będzie już na ziemi ani bogatych, ani biędnych, ani ojczyzny, ani rodziny, ani praw, ani obowiązków, ani opinii ludzkiej?... Co wtedy będzie?..

— Wtedy, odparł Porycki, wtedy będą na ziemi ludzie wolni, równi sobie i szczęśliwi. Bogactwa ziemi zostaną wspólnem dobrem wszystkich jęj mieszkańców. Wszyscy ludzie przystąpią do ogólnej biesiady, którą zastawi im hojna przyroda, i spożywać ją będą w jednej mierze. Zapewne że do ogólnego spichrza ludzkości każdy z jęj członków przynieść będzie musiał owoc jakiś swych trudów; ale przysłuży mu za to prawo czerpania z niej dłonią pełną, w stosunku nie do wymarzonych dziś różnic zdolności, wartości czy zasługi, lecz do potrzeb swych i chęci. Owszem, im więcej człowiek jako upośledzonym i pokrzywdzonym zostanie przez samą przyrodę, tem hojniejszymi okażą się dlań jego spółbracia. Zniknie krzycząca niesprawiedliwość, która dziś bogactwy i dostojeństwa obsypuje tak zwane geniusze i talenta, a skromnych pracowników strąca na szczebel najniższy.

Umilkł na chwilę i patrzył na swą towarzyszkę. Na licu jęj, zarumienionem lekko, znać było coraz upartszą i usilniejszą pracę myśli.

— Tak, wyrzekła po chwili zcicha, dlaczego w istocie ci, którym natura sama dała już wiele, i od ludzi także brać mają najwięcej? Jakiem prawem jedni na świecie opływają w dostatkach, wtedy gdy inni cierpieć muszą nędzę?

— Nie na tém jednak koniec, ciągnął Porycki. Jak z chlebem i złotem, tak stanie się i z innym jeszcze dobrem ludzkości, więzioném dziś i od łaknących go ust odrywaniem przez rozliczne przesady. W tym świecie nowym, któ-

ry wzniesie się na gruzach starego,—miłość także będzie wolną. Kierunku jej wskazywać i trwałości mierzyć nie będą żadne, jak dotychczas, prawa ani względy. Jedynym kontraktem wiążącym dwoje ludzi, którzy się ukochają, będzie słowo wzajemnego zgodzenia się, przez nich samych wyrzeczone; jedyne prawo zakreślające termin trwania ich związku, spocznie we własnej ich woli. Człowiek posiada w naturze swój pewną władzę ważną a zaniedbaną dziś i mnóstwem wymysłów ludzkich zgniebioną. Władzą tą jest instynkt, siła pierwotna i ślepa, niemniej przecież wiodąca człowieka tam zawsze, gdzie istnieją najobfitsze dlań źródła uciechy i użycia. Zbrojny we władzę tę, która, zwolniona z pęt swych dotychczasowych, zaostrzy się i udoskonali, człowiek z łatwością odnajdywać będzie pokrewne sobie organizmy i zawierać z nimi przymierza miłości i szczęście tak długie, jak długo trwać w nich będą miłość i szczęście...

Lila słuchała z pochyloném czołem i nieruchomo splecionemi dłońmi.

— Nie będzie więc już tego na świecie, co dziś nazywa się rodziną?

Słowa te wymówiła bardziej do siebie, niż do towarzysza swego; ale pochwyciło je na jej ustach baczne ucho Poryckiego.

— Owszem, rzekł, rodzina istnieć będzie, ale w kształcie wielkim, szerokim, potężnym. Członkami jej będą wszystkie ludy świata tego i wszystkie jednostki, z których ludy te się składają. Granice, rozdzielające dziś różne kraje, zmazane zostaną bez śladu. Pojęcie o wyłącznej i ciasnej ojczyźnie zniknie z umysłów ludzi, a zastąpi je szeroka i uswobodniająca idea kosmopolityzmu. Oj-

czynną człowieka nie będzie już ten kąt świata, w którym traf urodzić się i wzrosć mu rozkazał, ale ten, który naturą swą najlepiej odpowie naturze życiowych dążeń i wymagań jego. Zarówno też przewodnikami i najbliższymi przyjaciółmi ludzi nie będą te jednostki, które traf narzucił im na ojców, sióstr, braci, ale te, które uzna on godnemi czci i szacunku, wedle własnego wyboru swego. Rodzice i dzieci, siostry i bracia zajmą względem siebie stanowiska ludzi zwyczajnych. Dachy rodzicielskich domów zastąpione zostaną dachami wielkich publicznych zakładów, które wychowywać będą młode latorośle ludzkie, od dnia urodzenia ich, aż do dojrzałości. Zbiorowe wychowanie to oswobodzi raz na zawsze ludzkość od marzycielskich a niesprawiedliwych wyłączości uczuć i przywiązań, oswobodzi ją i od czegoś innego jeszcze a stokroć nad wszystkie inne ważniejszego i okrutniejszego—od ciężkich kajdan... obowiązku!

Umilkł znowu na chwilę. Błyszczące oczy jego spotkały się z szeroko roztwartemi, uważnemi aż do wytężenia, pałającemi aż do roznamiętnienia oczami Lili.

— Tak, powtórzył z twardą i uroczystą niemal stanowczością w głosie. Ze zniknięciem pojęć własności, ojczyzny i rodziny, z upadkiem powag umysłowych, narodowych i domowych, zniknie zarazem i pojęcie obowiązku, to straszne pojęcie, które w piersi ludzkie wkłada tę żmiję gryzącą, co dziś nazywa się sumieniem, które pomiędzy człowiekiem a szczęściem jego buduje ściany z granitu i wystawia szeregi przeróżnych postrachów.

Tym razem szczerzy zupełnie i namiętny zapał rozplomieniał oczy i twarz mówiącego. Widać było że przed pamięcią jego stanęły w téj chwili dnie dawno, dawno mi-

nione, w których sumienie mieszkało jeszcze w jego piersi i z porywami instynktu staczało walki bolesne a męczące. Przypomniał on sobie teraz te walki i te męki, i pragnąłby mieć pod stopą swą zbiorowe sumienie ludzkości całej, aby w uczuciu zemsty zdeptać je i zniweczyć na wieki. I przypomniał sobie jeszcze owe chwile, w których widok czoła ludzkiego, czystego i czystością swą dumnego, widok czci oddawanéj i przyjmowanéj, napełniał mu serce jadem zadości i usta poik żółcią upokorzeń. Przypomniał sobie to wszystko i zapragnął ujrzeć dokoła siebie zgromadzonych wszystkich łotrów i bohaterów, zdrajców i wiernych, awanturników brudnych i czystych pracowników ludzkości, aby zmieszać ich ze sobą i nad głowami ich raz na zawsze zagasić słońce obowiązku i cnoty, którego blaski oświecały na ich czołach znaki zaszczytne lub hańbiące.

Gorącym, ciemnym żarem paliły się oczy jego, i wargi, żółtawe zwykle, krwawą purpurą nabiegły, i czoło, kilku bruzdami zrysowane, powlekło się groźnym a ponurym wyrazem, gdy powtórzył raz jeszcze:

— Tak, Lilo, nie będzie kiedyś na ziemi ani własności, ani ojczyzny, ani rodziny, ani obowiązku, ani samolubstwa, ani poświęcenia, ani cnoty ani występku, ani bohaterstwa ani podłości. Ludzkość rozbije się na jednostki, równe sobie we wszystkiém i wolne bez granic, a jednostki te zgromadzać się będą w jednéj tylko wielkiéj świątyni i czołem uderzać przed jednym tylko wspólnym ołtarzem,—w świątyni i przed ołtarzem—osobistego szczęścia.

Umilkł i patrzył na śliczną postać kobietą, która pochylała się ku niemu z coraz głębszą a płomienniejszą

zadumą na białej twarzy, z coraz śpieszniejszym oddechem w piersi, migocącej ozdobami ze złota i pereł.

We wnętrzu Lili dokonywał się akt psychiczny dziwny, a jednak naturalny zupełnie, niezłomnie logiczny, nieuchronnie konieczny. Umysłowe władze kobiety tej nie były z natury ograniczonymi, ani zupełnie bezsilnymi. Wzięły je tylko i obezsiły niewiadomość głęboka, powszedniość otoczenia, błahość przyzwyczajień. Od kolébki okuta w twarde dla niej i uciążliwy pancierz suchych, pustych form i formulek, kołysana do snu próżniactwem rąk i głowy, olśniewana i truta błyskotkami zbytku i miodem pochlebstwa, myśl Lili, dość żywa i bujna z natury—spała. Aż oto zjawił się człowiek, który, niby rycerz zaczarowaną księżniczkę bajeczną, obudził ją i wywiódł z na poły ciemnego, na poły tęczowemi blaski umalowanego jej pałacu. Wywiódł on ją z pomiędzy czterech ścian salonu i garderoby na świat szeroki, napełniony niezliczonym mnóstwem zjawisk, zawrotnie, chaotycznie ze sobą pokrzyżowanych. On pierwszy to uczynił. Za słowem i za myślą jego szła myśl jej jak dziecko pokorne a ciekawe, zawstydzone ubóstwem swém, a nowych cacek cheiwe. Spotykającym po drodze zjawiskom przypatrywała się z radością istoty znudzonej, która uczuwa że ją coś nakoniec zajmuje, zaciekawia, pociąga, z nadzieją istoty ze świata i życia swego niezadowolonej, która spostrzega, że są na ziemi drogi i inne jeszcze niż te, któremi postępowała dotąd, i że na drogach tych znaleźć może to, czego pożądała, lecz posiąść nie śmiała, despotyczna a bezsilna, namiętna i lękliwa jej wola. Nikt nigdy nie niósł przed nią kierowniczej pochodni wiedzy, nikt nigdy nie wkładał w nią klejnotów uczuć wielkich, nikt jej nie zbroił w możne orężę woli

i wiary. Dusza jej, pozostawiona w niemowlęctwie, błędziła samopas w pustce bez granic, aż znalazła mistrza swego. Dłonią zręczną, tém zręczniejszą że tym razem szczerą, ustawiał on przed nią zjawiska świata w porządku takim, w jakim mieć je sam chciał, układając z nich obraz, którego barwy i linie najsilniej i najponętniej własną jego wabiły fantazyą.

Ona patrzyła i zachwycała się,—słuchała i wierzyła. W przedstawionym jej obrazie drgały tętna, szumiały odgłosy, ognistemi głoskami płonęły pozwolenia, rady, rozkazy niemal, które tak doskonale odpowiadały tajemnym marzeniom jej i pożądaniom, tęsknotom i nadziejom. Jakże miała nie uwierzyć? jakże miała nie nawrócić się na tę tak swobodną i uswobodniającą, tak ponurą i zimną w głębi, lecz tak drażniącą i płomienną z pozoru—religią nicości? Mogłaż ona pojąć naturę owego płomienia, który palił się na dnie otchłani? Mogłaż dostrzedz że to otchłań, skoro kuszący głos mistrza i własnych jej pożądań mówił jej że to raj? Posiadałaż ona w sobie wiedzę, wolę i miłość? Byłyż w niej i strzegły ją te trzy anioły-stróże ludzkich myśli i czynów? Nie byłaż ona, nakoniec, wprzód już nim tknęło ją ponure a palące słowo jej mistrza, nie byłaż ona, nie wiedząc sama o tém—nihilistką? Nihilizm jej bierny i bezmyślny, zasadzający się na braku wszelkiej czi i miłości, wszelkiego czynu dobrego i uczucia wysokiego—zmienił teraz tylko swą formę, otrzymał podstawę, przyoblekł się w ciało słowa i teoryi. Brak wiary wszelkiej zastąpionym został wiarą,—w nicość.

Biędna Lila!

Teraz za krzesłem na którym siedziała stał mistrz jej i kusiciel. Ramieniem wsparty o poręcz, na której ona

także ramię swe opierała, pochylał się nad nią i spojrzenie długie, uparte, rozgorzałe zatapiał w podniesionych ku sobie jęj oczach.

— Cóż, śliczna pani moja? mówił zcicha i z uśmiechem, podoba ci się świat ten przyszły, po którym ludzie przechadzać się będą jak po raj, wolni i szczęśliwi? My sami, ja i ty, Lilo—gdyby nam danem było żyć w świecie takim, czyliżbyśmy, tak jak dziś kochając się wzajem, pozostawali dla siebie obcymi? czyliżby cudną twarz twoją odwracały odemnie trwogi i skrupuły dziecinne, a ja czyliżbym stojąc tu, obok ciebie, zmuszony był zarazem tęsknić za tobą i błagać cię daremnie, abys czyniąc mię szczęśliwym, zgodzić się chciała na własne swe szczęście? Nie! nie! W świecie o którym mówiliśmy tybys nie była słabem, przesądnem, lękliwem dzieckiem, nie byłabyś naśladowczynią cudzych postępków, lecz byłabyś odważnym i rozumnym człowiekiem, byłabyś samą sobą!..

— Ildefonsie! szeptała kobieta, ja dzieckiem już być przestałam, odkąd tyś mi oczy na prawdę otworzył.

Trzymał w obu dłoniach swych jęj białą rękę, o ściągniętych, delikatnych kształtach, i niżej jeszcze pochylał się nad śliczną jęj głową.

— Więc poszłabyś ze mną w ten świat nasz upragniony, gdyby on istniał?

— Świat ten, Ildefonsie, dziwny jest jakiś! ale tak piękny!.. piękny!.. bez walk i tęsknoty... bez kajdan i rozłączeń!..

— A więc jedyna! pójdziemy razem w ten świat ezarówny... Chcesz? podaj mi rękę! ja cię tam zaprowadzę!

Słowa te wymówił szeptem gorącym, a usta jego dotykały prawie jęj włosów.

Kobięta rozmarzona, upojona, westchnęła i oczy przy-słoniła dłonią.

— Ach! gdzież jest teraz świat taki? Stworzą go chyba kiedyś ludzie tacy jak ty!

Porycki wyprostował się i rzekł uroczystym nieledwie głosem:

— Dla ludzi rozumnych i odważnych świat ten i dziś istnieć już może. Stwarzają go oni dla siebie samych, własnymi siłami, wbrew wszystkiemu co ich otacza. Ludzie tacy jak ja i ty, Lilo, gardzą zdaniem i krzykami motłochu, torują sobie drogi nowe, uprzedzają dzieło wieków przyszłych. Pomyśl tylko co to za zaszczyt i jakie szczęście wyosobnić się z pomiędzy tłumów, stanąć wysoko ponad nimi! Prawda, dla osiągnięcia wysokości takiej odwagi trzeba: ale ty będziesz odważną, Lilo, nieprawdaż?

— Co mam czynić? zapytała kobięta, w której twarzy i postawie malowała się w istocie gotowość do wszystkiego.

Porycki pochylił się znowu nad nią.

— Opuścić dom ten...szepnął, nie *z* *nim*, ale...ze *inną*!..

Zadrżała. On dostrzegł drżenie to. Brwi jego zbiegły się i usta drgnęły.

— Lękasz się biedne dziecię?

Wyprostowała znowu kibić swą. W mowie jego powtarzały się słowa, które miłość własną jej i miłość jej dla niego chłostały biczem przygany i zachęty.

— Nie lękam się, Ildefonsie! nie lękam się niczego.

— O! dziękuję ci, dziękuję! Zresztą... posłuchaj. Nie narażę cię, bogini moja, na wrzaski i poniewierkę motłochu. Przez miłość dla ciebie ugnę głowę przed wymaganiami głupiego świata... Wolny jestem... rozwiędę cię z tym glu-

pcem... pojnę cię za żonę, wedle wszelkich form ich zabobonnych i...

Tu umilkł, nagle i zdawał się wsłuchiwać w odgłos jakiś z natężeniem. Odgłosem tym był turkot bryczki, dudniący czas jakiś gdzieś za folwarcznym dziedzińcem i milknący w oddaleniu. Ale Lila nie słyszała nic. Ostatnie słowa Ildefonsa opromieniły twarz jej radością.

— Uczynisz to? Ildefonsie! zawołała.

Zwrócił się znowu ku niej i miał odpowiedzieć; ale w sąsiednim, pustym dotąd salonie ozwały się liczne stapania i głosy, drzwi rozwarły się z trzaskiem i do pokoju tłumnie, z głośniami rozmowami, wtoczyło się kilku mężczyzn i jedna kobieta.

Kobieta miała na sobie czarną wełnianą suknię i białą muslinową chusteczkę na głowie. Twarz jej drobną i chudą, o cerze żółtawej, ożywiały małe, czarne, bardzo ruchliwe oczy. Szła przodem i widocznym było że odgrywała rolę dowódczyni w tym dziwnym, napastniczym orszaku. Za nią wtoczyło się we drzwi i stanęło u progu kilku mężczyzn w szarych ubraniach, zwyczajnych zagrodowym szlachciom i zamożnym chłopom.

Lila, zdumiona i przelęknięta nagle tym a krzykliwym wtargnięciem, przykro rażona przeciwieństwem, jakie gwar ten tworzył z poprzedzającą go cichą we dwoje rozmową, porwała się z krzesła i zwracając wzrok ku towarzyszowi swemu, zawołała z uczuciem niewymownej przykrości:

— Panie Ildefonsie! co to wszystko znaczy?

— Co znaczy to tłumne wejście wasze tutaj, moi państwo? zapytał agent główny, zwracając się z brwią ściągniętą ku przybyłej gromadzie.

Kobięta w muślinowej chusteczce na głowie wystąpiła na środek pokoju i pierwsza mówić zaczęła. Z dźwięku jej głosu i z wyrazu twarzy poznać można było, że z trudem miarkowała przejmujące ją gniewne rozdrażnienie.

— Pani mię nie poznaje? mówić zaczęła, zwrócona ku Lili, a mówiła tak prędko, że słowa zdawały się niknąć i topnieć na ustach jej wprzód jeszcze, nim wymówić je zdołała; pani mię nie poznaje? a jednak widywałam panią, gdy byłaś jeszcze niezamężną i z panią Ręczycową przyjeżdżałaś do Łozowej. Jestem Antoniną Szyłową, z domu Łojwiczówną. Mąż pani pożyczył u mego męża 19 lat temu pieniądze i dotąd jeszcze ich nie oddał. Sprzedał teraz majątek, a dobrzy ludzie ostrzegli mię, że państwo się ztąd jutro wynosicie. Więc przyjechałam upomnieć się o naszą własność. Całe życie rezydentką byłam i własności żadnej nie miałam, to teraz wiem jaka ona miła i droga i nie ustąpię ztąd kroku, póki mi państwo co do grosza wszystkiego nie zapłacicie.... Niech pani będzie łaskawa powie gdzie jest mąż pani, albo każe go tu poprosić..

Mówiła tak bez odetchnienia, szybko i coraz donośniejszym głosem, i mówiłaby Bóg wie jak długo jeszcze, gdyby nie odezwały się za nią inne głosy:

— Ja także przyjechałem tu po własność moję.

— I ja także!

— I ja!

— Służyłem u pana Ręczycy lat kilka, pensyi mi nie płacono, a gdy wydałem się, karteczkę tylko prostą dano zamiast pieniędzy... Cierpliwy byłem.... nie dokuczałem zbytecznie, ale teraz...

— I ja niebardzo widać dokuczałem, kiedy ot już lat osiem, jak pani Ręczycowa wzięła odemnie grosz ostatni

i karteczkę dała, a teraz dowiaduję się, że karteczka nie nie warta, bo majątek nie jój był, ale syna....

— Ja ekonom z Białowoli. W zaprzeszłym roku pan Konrad wziął odemnie tysiąc rubli, jak pani do Warszawy jechać miała...

I zbliżali się coraz bardziej wszyscy, ze zmiętymi i żółkłymi od starości kartkami w rękach, ku kominkowi, przy którym Lila, blada i z osłupiałym wzrokiem, zawiesiła się na ramieniu Ildefonsa, jak gdyby u niego szukać chciała opieki i obrony. Pani Antonina tuż prawie obok niej stała i błyskając czarnymi oczkami, raz po raz powtarzała:

— Gdzież jest pan Ręczyc? czy chowa się przed nami? Tak, tak, zapewne! pałac wielki!.. Ale przedemną nie schowa się, nie! Znajdę go, choćby pod ziemią!

Mężczyźni, powściągliwsi nieco, niemniej jednak niepokojni bardzo i gniówni, objawili też chórem żądanie widzenia się z byłym dziedzicem Ręczyna.

— Gdzież jest Konrad? cicho, bezprzytomnie prawie szepnęła Lila.

Porycki obejrzał się dokoła, postąpił parę kroków i głośno, z głębokim jakby zdziwieniem zapytał:

— Gdzie jest pan Ręczyc? Hej, służba! zawołał zwrócony ku drzwiom od dalszych pokojów, gdzie jest pan Ręczyc? poszukać pana Ręczyc!

Służby w pałacu opuszczonym, prócz dwóch czy trzech kobiet nieodprawionych jeszcze, nie było wcale! Ale na wołanie Ildefonsa, jakby na słowo tajemniczego zaklęcia, wysunęła się z kąta wysoka barczysta postać Efroima. Efroim wyszedł na środek pokoju i wyprostowany, szydersko uśmiechniony, wiodąc dłońią po brodzie, wymówił z wolna a głośno:

— Jasny pan Ręczyc nie chciał widzieć się ze swymi kredytorami i pół godziny teraz do N. wyjechał. On kazał prosić wielmożnego pana agenta, żeby jasną panią jutro do N. odwiózł.

Słowa te rzuciły na twarz Lili szkarłatny rumieniec wstydu i oburzenia, a w gromadzie zawiedzionych wierzy-
cieli wywołały jeden chóralny okrzyk zdziwienia, przestra-
chu i gniewu. Nad wszystkimi jednak głosami podniósł się i zapanował cienki, przesywający głosik pani Antoniny.

— Tak! mówiła, a raczej krzyczała ex-rezydentka łozowskiego dworu — uciekł! uciekł od nas! powiózł ze sobą dobro nasze! majątek sprzedał, pieniądze wziął, a nas oszukał, okradł!

Załamana ręce i rzęsistemi załała się łzami.

Nagle płakać przestała i suche już oczy a rozognioną twarz ku Lili zwróciła.

— Wstydzicie się państwo, krzyknęła, wstydzicie się, padnijcie na kolana i Boga przeproście, bo grzech wielki na sumieniach swoich i wstyd wielki na czołach swych macie! Mąż pani stado koni na stajniach swych trzymał, matka jego w mieście jak królowa jaka żyła, pani chodzisz złotem, perłami i atlasami obwieszona, a biędni ludzie, którzy wam wierzyli, którzy ostatni kęs chleba w ręce wasze oddali...

— Kęs chleba swój i dzieci swoich... przerwał jej szlachcic w siermiędze i łapciach, który najmniej dotąd krzyczał, ale teraz grubą dłonią ociérał łzę z oczu, utkwionych w twarz Lili z wyrazem gorzkiego wyrzutu.

— Ho! ho! co to wszystko tym państwu znaczy? zawołał jednocześnie ekonom z Białowoli. Pani bardzo wesoło bawiłaś się w Warszawie za moje pieniądze; teraz mnie

za to smutno, a do żony i do dzieci z pustymi rękami powracać wstyd.

— Pojedziemy za nim! krzyknął chłop z wioski sąsiedniej przybyły.

— Goń-że wiatr w polu!

— Do sądu skargę podamy.

— I nie nie wskóramy! Pięniądze nasze ulokowane były na majątku którego już niem a!

Na tle grubych tych, mężkich, podniesionych głosów, wznosił się wciąż i dyszkantowo dzwonił głos żony Pawła Szyły.

— Sumienie! wołała rozjątrzona kobiéta. Oni nietylko sumienia nie mają, ale je w drugich jeszcze zabijają! Gdzie teraz będzie sumienie moje i Pawła, gdy z pustymi rękami przed panem Fabianem, przed tym dobroczyńcą naszym, staniemy? Wstyd wam, państwo moi, wstyd i niebłogosławieństwo! Własnego dobra swojego szanować nie umiecie i innym jeszcze z pod serca krew wypijacie. Sami nieuczciwi jesteście, i innym uczciwie żyć przeszkadzacie.

Lila stała teraz, z twarzą ukrytą w obu dłoniach. Bolesna ta scena, całą mocą zawartych w niej upokarzających żywiołów, uderzyła w kobietę tę, która dotąd, przy najbliższej wzmiance o interesach, zwykła była dostawać migreny.

Ildefons, ze spuszczonei oczami i ściętymi usty, stał milczący i nie wdawał się w perswazyę i pośrednictwa, jakby to z położenia jego czynić mu było wypadało. Teraz dopiero, gdy burza wzrosła do stopnia najwyższego i niemal już groźnego dla kobiety, ku której zwracały się wszystkie te gniewne głosy, gwałtowne gesty i rozjątrzone spojżenia, agent główny podniósł powieki, postąpił naprzód, zasłaniając sobą Lilę, i przemówił krótko, zwięźle, rozsą-

dnie, zimno, a jednak uprzejmie, grzecznie i nakazująco. Kończąc, mrugnął na Efroima, który stał dotąd w cieniu, teraz zaś, na znak mu dany, wmieszał się pomiędzy buczącą gromadę, z tonem mowy i gestami człowieka wpływ swój czującego, — a sam, ująwszy ramię Lili, szepcząc z cicha nad schyloną jej i dłońmi przysłonioną twarzą słowa naprzemian surowe i czułe, uprowadził ją do przyległego salonu. Tam, ze świecą w ręku, stała Brygisia, blada, wylekła i spłakana.

— Futro i kapelusz dla pani, panno Brygido! conajprędzej! rzekł do niej z cicha, ale głosem stanowczym, Porycki.

W kilka sekund potem wszyscy troje znaleźli się w pokoju Lili, pustym prawie, w pół ciemnym, bo jedną tylko świecą, którą Brygisia na stole postawiła, oświetconym.

Lila stała jak posąg przestrawu, zdumienia, w stydu, z rumieńcami na twarzy, z załamaniem rękami.

Porycki, który oddalił się był na chwilę dla wydania rozporządzeń jakichś, zbliżył się ku niej.

— Lilo! rzekł surowo, gdzież odwaga twoja? gdzie mój charakter? Długoż jeszcze stać tu będziesz nieruchomo, jak dziecię pozbawione myśli i siły?

Podniosła na niego wzrok łzami oszklony.

— O jakżem ci wdzięczna, Ildefonsie! Tyś mię obronił! tyś mię osłonił przed tymi okropnymi ludźmi! O ten Konrad! jakiż on niedobry! Opuścił mię wtedy.. wtedy..

Twarz Poryckiego rozjaśniła się.

— Daj pokój Konradowi, rzekł. Jest-to głupiec, który sam nie wie co czyni.

— O Ildefonsie! ty jesteś innym, innym wcale człowiekiem!

— Pochlebiam sobie, że jest tak rzeczywiście. Ale nie traćmy czasu! Jedźmy!

— Dokąd? trwoźnie i zcicha szepnęła kobieta.

— Do twego mieszkania w N. Przewidziałem wiele, Lilo, i urządziłem w N. dwa mieszkania, jedno dla siebie, drugie dla ciebie. Moje znajduje się na drugim piętrze domu, twoje na pierwszym... Będiesz teraz potrzebowała opieki i obrony, więcej niż kiedykolwiek, biedne ukochane dziecko! Trzeba abym był blisko ciebie.

Lila zakryła znowu twarz rękami i wybuchnęła płaczem.

Ildefons patrzył na nią schmurzony.

— Płaczesz? rzekł, drżysz? Nic dziwnego, nie urosłaś znać jeszcze do tej wysokości, na jakiej pragnąłbym cię widzieć.

— O drogi mój! szepnęła wśród łez i łkania, coż świat o mnie powie? ludzie mną pogardzą!

— Tak! wyrzekł Ildefons przeciągle, a więc chciiej pani wsiąść do powozu z pokojową swą i odjechać do męża. Ja oddalę się, aby nie sprowadzić na panią tej klęski straszliwej, dla uniknięcia której gotową jesteś zdeptać szczęście swoje i moje!

Mówiąc to, uczynił krok naprzód, aby się oddalić. Ale Lila podniosła głowę, krzyknęła i w mgnieniu oka dłońmi wsparta na jego ramionach, przyłgnęła do jego piersi.

— Nie, Ildefonsie! mówiła szeptem gwałtownym, a oczy jej płonęły tym samym namiętym ogniem jak wtedy, gdy dzieckiem prawie rozłączano ją z ukochaną panną Julią—nie! ty mię nie opuścisz i ja cię nie opuszczę, za nic! za nic! Ciebie jednego kocham na ziemi: więcej nie i niko-

go! Kocham cię na śmierć i życie! Jadę... idę z tobą, kiedy zechcesz, dokąd zechcesz!..

I bez łez już, wyprostowana, silna gorączką, uczuła, owijała się futrem podawanem jej przez Brygisię, świadka całej tej sceny. Brygisia pełnem przywiązania i litości okiem patrzyła na nią. Zapinając haftki aksamitem powleczzonego futra, szepnęła pani swojej słów kilka. Lila zwiesiła znowu ręce, jakby nowym niepokojem tknięta.

— Prawda! rzekła, a Konradek?

— Jaki Konradek? niecierpliwie zapytał Porycki.

Widać było, że sam ton mowy jego onieśmielił już Lilę. Z trwożnym więc spojrzeniem i cicho bardzo odpowiedziała:

— Mój syn!

— Gdzież on jest?

— Tam na górze z piastunką i boną—w zastępstwie pani swój, rzekła Brygisia.

— A więc niech tam zostanie; bona odwiezie go do ojca...

— Niech zostanie?... zawołała Lila.

Okrzyk ten wydarł się z jej piersi, ale urwał się niedokończony nawet, bo oczy jej spotkały wzrok Ildefonsa, pełen surowego, ironicznego wyrzutu.

— Jeżeli nie dla opinii ludzkiej, to wyrzekniesz się mnie może dla tego dzieciaka! szepnął schylony nad nią.

Słowa jego były ostre, ale głos którym je wymówił dźwięczał w głębi żalem głębokim, namiętym. O! był to mistrz! a ona... czyż miała broń jaką? Za całą odpowiedź złożyła rękę na jego ramieniu i wraz z nim postąpiła naprzód. Przed progiem jednak stanęli oboje. Ona zwróciła się ku dawniej swój służącej.

— Czy pojedziesz ze mną, Brygisiu! zapytała nieśmiało, jakby czując że chwila ta pomiędzy nią a innymi ludźmi tworzy przedział ogromny.

— Alboż pani nie widzi, że ubraną już jestem do drogi? z prostotą odparła sługa.

Porycki zwrócił się z pytaniem ku Lili.

— Czy wzięłaś ze sobą swoje papiery?

Spojrzała na niego wielkimi oczami.

— Alboż dbam teraz o te szpargały? wyrzekła zdumiona i uśmiechnęła się z za łez niezupełnie jeszcze oschłych.

Wyraz: papiery, przywiódł jęj na pamięć owe leciuchne papiérki z dat różnych, w szkatułce pamiętek zawarte. Ale on nie o pamiętki zapytywał.

— Mówiłem ci nieraz, Lilo, rzekł z powagą, że człowiek dojrzały i rozumny dbać powinien o wszystko co użytecznem mu być może. Czy wzięłaś ze sobą oblig, wydany ci przez brata na posagową twą summę?

Oczy Lili otworzyły się jeszcze szérzej.

— Ildefonsie! szepnęła z wyrzutem, jak możesz w tęg chwili myśleć o podobnych rzeczach.

— Kiedyś, odparł Porycki, nauczę cię, droga moja, myśleć samęj o *podobnych rzeczach*; teraz myślę o nich za ciebie. Czy masz przy sobie ten oblig?..

Lila, onieśmielona już i zawstydzona, pytający wzrok zwróciła na swą służącą.

— Ten papiér ze stemplami, który pan Konrad oddał pani niedawno? rzekła Brygisia. Jest on tu w tęg szkatułce, którą niosę właśnie.

Porycki wziął z rąk służącej szkatułkę i umieścił ją sam w powozie, który zaprzężony końmi jego i powożony przez jego woźnicę, stał przed gankiem pałacu.

Gdy Lila nogę postawiła na stopniu powozu, obejmujące kibić jej ramię Ildelfonsa uczuło, że drżenie przebiegło znowu po całym jej ciele. Objaw ten gwałtownego wzruszenia ustał jednak w chwili, gdy schylony nad nią, szepnął jej do ucha:

— Za trzy miesiące najdalej, biedne, drogie dziecię moje, będziesz miała rozwód i zostaniesz żoną moją, według praw świata tego, którego tak się lękasz.

Tu, czytelnicy, zawieszam na króciuchną chwilę bieg opowiadania i zatrzymuję się na punkcie, na którym i wy zapewne zatrzymaliście swą uwagę. Niejeden z was może, czytając kartę poprzedzającą, pełen niedowierzania i oburzenia zawołał: „Jakto! Matka opuściła dziecię swoje? pozostawiła je rękóm i sercom cudzym? Ależ to niemożliwe, naturze i prawdzie przeciwne! Lwice i niedźwiedzice nawet posiadają możny instynkt macierzyński, a kobiety... miałyby być go pozbawioną?”

Owóż tu, czytelnicy moi, w wypadku tym, jak w wielu innych, ukazuje się niebezpieczeństwo całej absolutnie czynionych paralel i porównań, które będąc wprawdzie bardzo starożytnymi, bywają przecież nieraz zupełnie nieprawdziwymi. Tak, lwice i niedźwiedzice posiadają w istocie instynkt macierzyństwa i dokazują przezeń często rzeczy nadzwyczajnych i rozrzewniających; ale zważyć należy, że mieszkanki te leśnych i dzikich ustroni nie ubierają się w atlasy, nie obwieszają ciał swych złotemi perłami, nie

spotykają na drodze swęj lwów ani niedźwiedzi takich, którzyby w piersi ich wdmuchiwali płomień despotycznych, wszystkie inne pożerających namiętności. Instynktu ich nie przytłumia żadna próżność, nie zatapia żadne marzenie, nie zabija żadna, w innym kierunku dążąca namiętność. I oto dlaczego lwice i niedźwiedzice kochają potomstwo swe silnie a wiernie. Silnie a wiernie kochają też dzieci swe kobiety, wówczas gdy są one—ludźmi, a instynkt ich macierzyński nie jest już instynktem, ale—uczuciem.

Czy Lila była człowiekiem i czy przyrodzony macierzyński jęj instynkt mógł dosięgnąć stopnia uczucia, na które tyle, tyle składa się żywiołów i dźwigni moralnych, że wyliczać je byłoby tu zadługo?.. na to zapewne odpowiedzieliście sobie już sami. Tymczasem obejrzyjcie się po świecie i poszukajcie na nim matek, którym próżnostki, zazdrostki, małe lub wielkie namiętności odjęły tę nawet właściwość, jaką szczycą się lwice i niedźwiedzice.—Znajdziecie je, niestety, znajdziecie, i opowiadania mego za nieprawdopodobne już nie uznacie!..

A teraz idźmy dalej, idźmy raczej w inną stronę.

VII.

Wejźdźmy do orchowskiego dworu, do tego poważnego, starego dworu, który zamieszkiwany przez dwoje ludzi kochających się, mężnych i wytrwałych, powoli i z trudnością podnosi się z wieloletnich swych ruin.

Teraz nad wysokim, świeżo nowemi gontami połatanym dachem długiego, niskiego domu, szumią zeicha rozłożyste, ośnieżone wierzchołki starych lip i kasztanów. Obszerny dworski podwórzec zapada w mrok zimowego wieczora; na mniejszym, folwarcznym dziedzińcu zwolna milknie gwar dziennych robót, zamykają się wrota gumien i obór, kryją się pod przysłoną ciemnych śpichrzów gospodarskie narzędzia, a przez okna szaręj oficyny buchać zaczyna jaskrawy blask rozpalonego ogniska, dokoła którego zasiadła spracowana czeladź dworska.

W dawnym pokoju pana Kajetana pali się także na staroświeckim kominie ogień suty, a połyski jego rozniecają, jak dawniej, w szybach szaf napełnionych książkami czerwone i złociste iskry.

Przy wielkim, okrągłym stole siedzi z robotą w ręku stara matka Michaliny, a białe światło niewielkiej lampy łagodnie spływa na twarz jej zwiędłą, pomarszczoną,

rozjaśnioną łagodnym, wesołym prawie uśmiechem. Z uśmiechem tym na bladych wargach słucha ona gwarne go szczebiotu dwojga dzieci, które po obu jej stronach, w pół siedząc a w pół klęcząc na krzesłach, opierają o stół drobne, pulchne swe ramiona, a wychylając pod różowe światło ogniska złotowłose głowy, zaglądać usiłują w ukochane lice stariej babki figlarnemi oczami.

Do komnaty tej, tchnącej ciszą i spokojem, a jednak rozweseloną brzmieniami w niej wiosennemi głosami dziatwy, weszła po chwili kobieta w dużej ciepłej chustce, zarzuconej na głowę i ramiona, z wielkim pękiem kluczy w drobną rękę. Dzieci zeskoczyły z krzeseł i rzuciły się ku niej z radośnemi wykrzykami. Kobieta zdjęła z głowy chustkę i zbliżyła się do stołu.

— Czyś się tylko nie przeziębiła, Michasiu? tak dziś mroźno na dworze! zapytała stara niewiasta, troskliwie spoglądając na zarumienioną od zimowego chłodu twarz córki.

— Alboż ja się kiedy przeziębiam, mateczko? alboż nie przywykłam w zupełnej żyć zgodzie z naturą naszą surową ale piękną? wesoło uśmiechając się odparła Michalina. Zimno dziś, to prawda, ale zarazem jak pięknie na świecie! Słońce zachodziło za ogniste obłoki, od których na naszym dziedzińcu śnieg poróżwiał, a teraz niebo przezroczyste jest jak błękitny kryształ i za kasztanową aleją księżyc wschodzi. Noc będzie mroźna, lecz pogodna i jasna.

Usiadła i rozpromienionym wzrokiem patrząc dokoła siebie, zawołała:

— Jaki piękny ten nasz Orchów, mateczko! jak miły, cichy, wesoły i kochany ten nasz dom stary!

— Błogosławiony dom, w którym mieszkają miłość i zgoda! szepnęła stara matka.

— W którym urodziły się i szczebiocą, jak ptaszki te małe aniołki! śmiejąc się, dokończyła Michalina i dwa pocałunki długie złożyła na białych czołach swych dzieci, które szyję jej oplatając drobnymi ramiony i nie a nie na toczącą się rozmowę nie zważając, szczebiotały wciąż, śmiały się, pytały i same sobie odpowiadały. Nagle przecież wesołość, okrywająca twarz Michaliny, zniknęła. Z wyrazem troski podniosła oczy na matkę.

— Mieczysław nie wraca! rzekła. Wczoraj jeszcze wrócić miał z N., a dziś go jeszcze niema.

— Alboż nie wiesz ile miał tam do załatwienia spraw różnych? Najtrudniej zapewne idzie mu...

Teraz smutek już wyraźny napełnił oczy Michaliny.

— Wiem! wiem! przerwała zcicha, jakby o bolesnej tajemnicy jakiś mówić miała—z Lilą! O Boże! gdyby Mieczysław ją tu przywiózł! gdyby wyrwał ją z tej przepaści... uratował...

Pomarszczone czoło starszej kobiety okryło się niezwyyczajną jej wcale surowością.

— Czy sądzisz, zapytała córki po chwilowém milczeniu, czy sądzisz że wróciłaby ona do męża swego?

— Wątpię... namyślając się, odparła Michalina, a nawet nie wiem czy ja i Mieczysław moglibyśmy jej to doradzać... Znasz, mateczko, pana Konrada, znasz Lilę i wiesz także czém jest małżeństwo, w którym, nie mówiąc już o miłości, wzajemnego szacunku, ani téż odrobiny choćby przyjaźni niema...

— A więc cóżbyście tu z kobietą tą uczynili?

Tym razem Michalina nie namyślała się ani chwili, lecz odpowiedziała z zapalem:

— Staralibyśmy się, matko, ciepłem naszego domowego ogniska, ciszą naszego życia uciszyć trochę, uspokoić jęj wiecznie wzburzone i niespokojne serce; staralibyśmy się powoli i stopniowo wlać w umysł jęj choć trochę zdrowych i dobrych wyobrażeń o życiu, wzmocnić węzeł uczucia pomiędzy nią a dzieckiem jęj, które zaniedbywała zawsze, a opuściła teraz... Potęm odkrylibyśmy dla nięj drogę jaką prostą i widną, na której choćby nawet nie znalazła zupełnego szczęścia, zachowaćby mogła cześć swoje i zapewnić sobie spokojną, bezpieczną przyszłość..

Stara kobięta smutnie wstrząsała głową. Miała ona zapewne na pełne zapału słowa córki odpowiedzieć słowem wątpliwości głębskiej, gdy na dziedzińcu ozwał się szelest sanek, sunących szybko po śniegu, i głos woźnicy wołającego na konie.

— Mieczysław! z radością krzyknęła Michalina i rzuciła się ku drzwiom.

Z gwarnemi tęż okrzykami rzuciły się ku nim dzieci i stara matka powstała także, aby u progu powitać wracającego do domu ukochanego męża swęj córki.

Mieczysław wszedł do pokoju w podróżnym ubraniu, pełen uszanowania pocałunek złożył na ręku matki i przeciwi zwyczajowi swemu przelotną tylko pieśczołą powitał garnącą się doń dziatwę. Długo wzamian, dłużej niż zwykle w podobnych razach bywało, zatrzymał on w objęciu swém Michalinę, a ona tęż, podnosząc w milczeniu twarz swą ku jego twarzy, długięm, bacznem wejrzeniem zatęnęła w jego oczach. W oczach tych wyczytała wrzącą w nim burzę holesnych uczuć; na bladém, schmurzoném czole jego ujrziała dolegliwą, gryzącą troskę.

Po chwili stara niewiasta krzątała się w drugim końcu pokoju około przyrządzania herbaty; dzieci pobiegły w głąb domu, aby przyprowadzić do ojca śpiącą dotąd, najmłodszą dwuletnią siostrzyczkę; małżonkowie zaś usiedli obok siebie, w pobliżu ciepłego kominka. Chwilowe ich milczenie kobieta pierwsza przerwała.

— Cóż, najdroższy mój, szepnęła, czy widziałeś ją?

Dłoń Mieczysława objęła rękę jej drżącym od wewnętrzznego wzburzenia uściskiem.

— Nie, odparł krótko, jak człowiek który z całej siły powstrzymywał usiłuje wybuch głosu i uczuć; nie widziałem tej...

Tu wymówić miał wyraz jakiś straszny, piorunujący; ale powstrzymał mu go na ustach błagalny, o litość i przebaczenie wołający wzrok Michaliny.

— Tej... nieszczęśliwój! dokończył Mieczysław, a z całej siły panując nad uczuciami i słowami swemi, mówił dalej. Drzwi jej mieszkania zamknięte są szczelnie przed wszystkimi, a najbardziej przedemną... Zdobyćbym je musiał chyba przemocą, co byłoby szaleństwem i nie doprowadziłoby zresztą do niczego... Człowiek ten trzyma ją w żelaznych szponach, strzeże jak niewolnicy, znanemi sobie sposobami rozdziela ją od ludzi, od tej małej zresztą liczby osób, któreby teraz chciały jeszcze wejść z nią w jakąkolwiek styczność...

— A *je*o widziałeś? z uczuciem odrazy i obawy zapytała Michalina.

— I on także krył się przedemną. Przez dni kilka nadaremnie szukałem widzenia się z nim i rozmowy. Gdy doścignąłem go nakoniec, gdym miał go już przed sobą ogarnął mię szal gniewu i bólu... W żywe oczy rzuciłem

mu wszystkie słowa te, które cisnęły mi się do ust wtedy, gdy go tu, w domu moim, przyjmować musiał, a których, mając obraz zhańbionej siostry swojej przed oczami, powstrzymać już nie mogłem. Powiedziałem mu, że jest odstępca, oszustem, uwodzicielem...

— A! z mimowolnym przestraczeniem w pobladłej twarzy zawołała Michalina, wszak to obraza śmiertelna... Drogi mój.. ty może kryjesz co przedemną. On cię wyzwiał!..

Mieczysław uśmiechnął się z goryczą.

— Uspokój się Michasiu, i przebacz mi. Na chwilę po raz pierwszy od dnia w którym cię pokochałem, zapomniałem o tobie... zapomniałem o dzieciach naszych i o przekonaniach moich, które rozkazują mi uważać jako smutną pozostałość barbarzyństwa te boje niedorzeczne, wystawiające nieraz pierś uczciwych ludzi na ciosy głupców lub łotrów. Pragnąłem przez chwilę wyzwąć go, albo być przez niego wyzwany. Ale słowa moje odbijały się o miedziane czoło jego bez odgłosu i pozornie bez wpływu... pozornie tylko... widziałem bowiem dobrze, iż wewnątrz człowiek ten wrzał cały od gniewu i nienawiści. Żadnym słowem jednak, żadnym gestem nie zdradził uczuć swych, które instynkt jego zachowawczy trzymał na wodzy. Odpowiadał mi tylko szyderskimi uśmiechami, albo sofizmatami, cynicznymi zdaniem, wygłaszanemi zuchwale a zimno...

— A jednak, podchwyciła Michalina, zdawało ci się, że nie był on tak zimnym i obojętnym, jak okazywać się usiłował?

— Jestem tego pewnym. W człowieku tym, obok zimnego wyrachowania, istnieją burzliwe namiętności.

— Mieczysławie! szepnęła Michalina, bo niepokój, wolą jeszcze nieopanowany, głos jej przytłumiał, człowiek ten mścić się będzie na tobie... na nas...

— Nieinaczéj, chmurnie odparł mąż. Rachuba i nie-nawiść czynią go zarówno wrogiem moim. Zrazu godził on na dobro nasze, aby zeń niecne otrzywać korzyści; teraz idzie mu już nietylko o zysk, ale i o zemstę. Pragnąć będzie upadku i poniżenia mego, tak jak wszyscy zli i zbrudzeni pragną upadku i poniżenia uczciwych i czystych. Zgubne te dla nas chęci jego nie są płonnymi. Posiada on współników i pomocników, którzy, jakkolwiek nie podzielają wszystkich jego celów, wkładają mu jednak do rąk dzielne przeciw nam oręża.

— Jednym z pomocników tych, rzekła Michalina, jest Makower, nieprawdaż?

— Nieinaczéj.

Tu Mieczysław silniéj uściskał dłoń żony i dodał zeicha:

— O droga moja! mamże przypuszczać, że jednym z narzędzi, któremi ku zgubie naszej posłuży się niecna ta ręka, będzie i własna siostra moja?

Michalina podniosła głowę i szyję otoczyła ramieniem, jakby i jego czoło, chylące się pod brzemieniem smutku i wstydu, podnieść chciała.

— Nie przypuszczajmy rzeczy tak smutnych i strasznych, rzekła: wierzymy raczéj w dobroć Lili, bo ta istnieć w niej może, obok wszelkich wad i zboczeń, w moc przywiązań rodzinnych, które odzywają się w sercu kobiety wtedy nawet, gdy się ich najmniej spodziewać można. Powiedz mi teraz, dodała, chcąc widocznie zmienić przedmiot rozmowy, czyś znalazł kupca na las nasz?

Mieczysław przecząco wstrząsnął głową.

— Widziałem niejednego, rzekł, a z żadnym interes ten do końca przyjść nie mógł. Od kilku miesięcy żaden z Izraelitów w N. albo w okolicy nie u mnie nie kupuje

i nie wydzierzawia. Wprawdzie nie objawiają mi oni otwarcie niechęci swój, i owszem, chętnie na pozór przyjmują przedstawienia moje; ale potem stawiają trudności, przeszkody najmniej przewidziane, a według nich nieprzewyciężone, wahają się, namyślają i... zrywają układy. Gdziekolwiek ukazę się, z kimkolwiek rozmawiam, widzę za sobą i dokoła siebie rój faktorów, którzy szepcą, biegają, radzą, odradzają, pełnią słowem wiernie służbę zaleconą im przez kogoś, posiadającego nad nimi wpływ i władzę. Wszystkie sprawy rwą mi się w rękę, jak pajęczyna, wszystkie, najściślejsze obrachowania moje pełzną na niczem. Jest-to robota tajemna, podziemna, ale zręczną i mozną ręką prowadzona. Jakie będą jej skutki? do czego nas ona doprowadzi? Kto wie? Ja walczę dotąd, ale punktu wyjścia, środków obrony nie widzę. Potrzeby są ogromne, gwałtowne, a środków niema żadnych. Odbiera mi je silne postanowienie tych ludzi, którzy sięgają po dobro moje, po spokój i szczęście życia mego...

Długie milczenie zapanowało pomiędzy małżonkami. Oddawna już stara matka postawiła przed nimi ciepły napój i posiłek, a widząc ich pograżonych w poufnej rozmowie, oddaliła się z dziećmi do przyległej komnaty. Siedzieli z połączonemi dłońmi i spojrzeniami wbitemi w ziemię, nieruchomi i milczący.

Michalina pierwsza znowu podniosła głowę.

— Mieczysiu, rzekła zcicha i z wahaniem się, możebyśmy na ten raz w gwałtownej tej potrzebie znaleźć mogli ratunek w pożyczce jakiej?... Orchów jest już prawie oczyszczony z długów... z wyjątkiem tego jednego... przytém znają wszyscy prawość twą i uczciwość...

Mieczysław wstrząsnął przecząco głową.

— Myślałem już o tém, ale gdzież znaleźć źródło

ratunku tego o którym mówisz? W kredycie publicznym? niema go u nas wcale. W prywatnym spoczywa on cały w ręku tych samych ludzi, którzy osnuć nas pragną i osnuwają siecią przeróżnaitych pęt i utrudnień. Oni-to kupują, wydzierżawiają i... pożyczają. Na inne warstwy społeczne nic a nie liczyć nie można. Są one ubogie, a po mnogich doświadczeniach przebytych i zawodach przeniesionych, słusznie niedowierzające...

Umilkli znowu; ale milezenie, dokoła nich panujące, przerwał po kilku minutach odgłos dzwonekóv pocztowych na dziedzińcu i lekki stuk sań wjeżdżających na brukowaną przestrzeń u stóp głównego ganku. Wśród cichego, pracowitego życia, które wiedli mieszkańcy Orchowa, gość nie był tam zjawiskiem częstym. To też małżonkowie, na odgłos dzwonekóv, z niepokojem ludzi, którzy spodziewają się co chwila złych dla siebie wieści i wypadków, zwrócili twarze ku drzwiom. Drzwi te otworzyły się i zjawił się w nich gość najmniej może w tej chwili oczekiwany.

— Konrad! zawołał Mieczysław, zrywając się z krzesła.

— Pan Konrad! powstając także, powtórzyła Michalina.

Był-to w istocie Konrad Ręczyce, który o parę kroków od progu zatrzymał się w postawie wahającej się, nieśmiałej, bardzo niezgrabnej, ale w niezgrabności tej mającej coś o litość proszącego. Twarz jego w ostatnich czasach schudła znacznie, czoło pomarszczyło się silnie, w oczach przebijał się niepokój i żal głęboki.

Mieczysław postąpił ku szwagrowi z wyciągniętą na powitanie ręką. Ruch ten i gest uczyniły znać na przybyłym wrażenie silne, bo nie wyrzekłszy ani słowa, zarzucił

Mieczysławowi ramiona na szyję i rozpląkał się na głos. W płaczu tym dorosłego mężczyzny, głośnym i spazmatycznym, było coś dziecinnego, coś co nie współczucie wprawdzie i nie szacunek, ale litość nad boleścią jego, zarówno jak nad słabością, budziło.

— Panie Konradzie! uspokój się pan, na Boga! mówiła, zbliżając się do rozszochanego gościa, Michalina.

Gość obie jej ręce ucałował w milczeniu.

— Przyjechałem, ozwał się nakoniec, prostując się i lży ociérając, przyjechałem prosić łaski waszłej... dla mego dziecka!

Mówiąc to, wyciągał rękę w stronę drzwi.

Teraz dopiero Mieczysław i Michalina spostrzegli, że do pokoju weszła także i zatrzymała się u progu kobieta na piastunkę wyglądająca, a w objęciu swém trzymająca trzyletnie dziecko. Michalina wydała okrzyk, w którym smutek mieszał się z radością, poskoczyła i wzięła dziecko z rąk niosącej je kobiety.

— Biędna! biędna, niewinna istoto! szeptała, niosąc je ku ciepłemu kominkowi i usiłując rozwinąć chustki, które zakrywały mu twarzyczkę.

Konrad tymczasem, stojąc na środku pokoju, mówił dalej:

— Opuściła je matka rodzona.. porzuciła i mnie i dziecko... Cóż z niem uczynię?.. Myślałem że weźmie je moja matka, ale i ona teraz dachu nad sobą nie ma... Odwiozłem ją dziś właśnie do Białowoli, a dziecko wam oddaję. Zlitujcie się nad niem, przytulcie je, dopóki ja sobie nie upatrzę czegoś... nie zamieszkać stałe gdziekolwiek... Nie wiem teraz sam gdzie się podział i co z sobą robić! Oszu-

kały mię te łotry.. obdarły.. i z kilku groszami zaledwie w świat puściły.

— Jaktó? ze zdumieniem pytał Mieczysław.

Ale Michalina nie słyszała nawet ostatnich słów Konrada; była już ona w ciepłym, czystym pokoju, w którym stały łóżeczka dwojga starszych jej dzieci i kolebka najmłodszego. Tam także nad kolebką siedziała teraz jej matka, a starsze dzieci bawiły się przy lampie książką z obrazkami. Do pokoju tego żona Mieczysława weszła zwolna i w zamyśleniu, ze wzrokiem utkwionym w drobną, bladą twarzyczkę dziecka, które, spoczywając w jej objęciu, wlepiło w nią wielkie swe, czarne, zdziwione i przełęknięte oczy.

— Mateczko! rzekła Michalina, zbliżając się do matki, patrz, oto jedno jeszcze dziecię nasze...

Matka spojrzała na nią i na dziecię pytającym wzrokiem.

— Dziecię Lili! szepnęła kobieta.

Stara kobieta zrozumiała wszystko. Na twarzy jej, zoranéj latami i cierpieniem, zajaśniał wyraz dobroci i liłości bez granic.

— Dobrze, Michasiu! rzekła, położymy je dziś na łóżeczku Paulinki, a jutro przysposobimy mu w tym samym pokoju inne... Teraz pójdę, przyniosę mu ciepłego mléka...

Nie odeszła jednak, lecz miétko składając dłoń swą pomarszczoną na głowie dziecka, ciemnymi włoskami okrytej, wyrzekła zcicha:

— Biedactwo!

— Biedactwo! szepnęła i Michalina, składając długi pocalunek na tych czarnych, wielkich oczach, które patrzy-

ły na nią z niemą skargą bezsilnej, przelęknionej, opuszczonej istoty.

— Biedactwo! powtórzyły dzieci nawet, które ciekawością wiedzione, przybiegły zrazu, aby oglądać to *coś*, co w ramionach trzymała ich matka; ale teraz stanęły zamyślane, poważne, tknięte bezwiednem odczuciem nieznanego im samym sieroctwa.

Po chwili dziecię Lili leżało rozebrane w bieluchnej pościeli, ciepłą kołderką otulone, a Michalina brała z rąk matki szklanekę z ciepłym napojem, aby powoli wlewać go w zziębłe, milczące, lecz samem milczeniem swem skarżące się usteczka.

Kłęcząca przy łóżku dopóty, dopóki znużone oczy dziecięcia nie okryły się powiekami. Z nad powiek tych wypłynęło kilka łez bujnych i cichych. Michalina łyżę te zcałowała z bladęj, chudęj twarzyćki i patrząc na usypiające dziecię wzrokiem omglonym zadumą, szepnęła:

— Biedna! biedna istoto! Gdyby niegdyś matki twój nie rozłączono ze mną, nie byłabyś może opuszczoną, nie byłabyś tutaj...

Tu i owdzie na świecie bywają domy ciche i święte, domy pełne miłości, zgody, pracy i miłosierdzia, domy błogosławione, ku którym kroki swe zwracają wszyscy pociechy i dobrej rady szukający, których dachy gotowe są zawsze przysłonić opuszczone sieroctwo, a drzwi otworzyć się przed samym nawet, byle żałującym, błędem, przed samą nawet, byle oczyszczenia pragnącą, hańbą... Jednym z domów takich był dom Mieczysława i Michaliny. Przyjął on w ściany swe opuszczone dziecię Lili, tak jakby przyjął matkę jego, gdyby doń zapukała.... Fundamenty domu tego przegryzane były i podkopywane; dokoła niego

w cieniach i posepnej ciemności, krążyły groźby i niebezpieczeństwa.... zagłada, wiedziona chciwemi lub mściwemi dłońmi, pełzała ku ścianom jego zbliżka... coraz bliżej... Tymczasem jednak stał on jeszcze poważny, śród igrającej dokoła płochości, cichy pomiędzy gwarami bezładu, wyniosły zda się śród okrążających go niskich, bardzo niskich upadków i ruin. Stał on ze swém jasnym i ciepłym ogniskiem rodzinném, z gorącemi sercami i szlachetnemi myślami które go zamieszkiwały, ze złożonemi w nim zadatkami lepszej, rozumniejszej, cnotliwszej przyszłości ogółu i jednostek...

Konrad tymczasem, popijając gorącą herbatę i kolejno to gniewem wybuchając, to łzy z oczu ociérając, rozwozdił żale swe przed Mieczysławem.

— Tak, mówił, oszukali mię najniegodziwiej, jak Boga kocham, oszukali! Dowiedziałem się o tém wypadkiem. Spotkałem w N. u znajomych prawnika, tego Dzierkowskiego, co to wiesz Mieczysiu, mówią o nim, że taki uczciwy i taki rozumny.

— Wiem! wiem! przerwał Mieczysław, niespokojny i ciekawy.

— Ot, mówiąc z nim o tém, że sprzedałem Ręczyn, pokazałem mu obligi, które mi ten... łotr... Porycki w imieniu barona wydał... Dzierkowski patrzył i głową kiwał, aż nakoniec powiedział, że obligi te trzech groszy niewarte, bo...

— Czy to być może? zawołał Mieczysław. Chyba Dzierkowski mylił się...

— Oh, mylił się! z rozpaczą zawołał Konrad. I ja tak myślałem z początku, ale potem niespokojność mię zdjęła. Cały dzień chodziłem do wszystkich prawników, jacy tylko są w N., i do sądu chodziłem... urzędników wy-

pytywałem... Jedni mówili że oblige nie niewarte, drudzy radzili natychmiast proces rozpoczynać.

Mieczysław słuchał zrazu z osłupieniem. Wkrótce jednak uczynił ręką gest taki, jak gdyby pomyślał, że wszystkiego spodziewać się można było po ludziach, którzy nowe to urządzili oszustwo.

— A ciotka Malwina? zapytał po chwili.

— Matka, biedna moja matka! wyrzekł Konrad i utkwiał w ziemię wzrok bardziej jeszcze posepny i stroskany, niż dotąd.

Starczyło to za odpowiedź. Pani Malwina została widocznie, tak jak i jej syn, w pole wyprowadzoną i ze środków do życia ogołoconą.

— Ale jakże się to stać, mogło, Konradzie? po chwili zamyślenia rzekł Mieczysław. Przecież całemu przebiegowi sprawy tej obecnym był Augustyn Szyłło... Nie sądzę żeby mógł on być tak niedoświadczonym i nieumiejętnym...

W tej chwili do pokoju wchodziła Michalina; Mieczysław umilkł, a Konrad szepnął mu do ucha:

— Mówią ludzie, że Szyłło wziął od *nich* pieniądze... Nie wiem czy to prawda i wątpię nawet... Niech mu tam zresztą Bóg nie pamięta, jeśli i on skrzywdził mnie także... Ot, jak Boga kocham, i ja względem człowieka tego czystego sumienia nie mam... Należało mu się od nas, należało oddawna, prosił, dopominał się.. zwlekałem.. to może i wypłacił sam sobie... Cóż robić? przyrzeka mi teraz, że proces wygra...

Przy ostatnich słowach Konrad zerwał się z krzesła, jakby sobie o czemś przypomniał.

— Gdzie ja też mam głowę! zawołał, siedzę tu u was, a jutro trzeba mi prośbę do sądu podpisać, którą pan Augustyn już przygotował.

— Myślisz więc na seryo o procesie? zapytał Mieczysław.

— Jakto! czy myślę o procesie? A to, jak Boga kocham, zabawne pytanie, Mieczysiu! Ja im wszystkim procesa powytaczam, i baronowi, i Makowerowi, i Poryckiemu. Choćbym miał te kilka groszy, które mi w kieszeni pozostały, utracić co do jednego, choćbym miał pieszo iść do stolicy, procesować się będę i... wygram. Zobaczycie że jeszcze sprzedaż unieważnię i do Ręczyna wrócę..

Gdy Konrad mówił, a raczěj wykrzykiwał te słowa, szérokiemi krokami po pokoju chodząc i rękami rozmachując, ciemne rumieńce pokryły twarz jego i wyraz szczególnój zaciętości błyszczał mu w oczach. Daremne były przedstawienia Mieczysława, że lepiėjby uczynił, gdyby za pozostałe mu pieniądze dzierżawę wziął jaką, a pracą i oszczędnością nowėj dobijał się fortuny; daremnie Michalina uprzejmymi słowy zapraszała go, aby w domu ich przenocował: — Konrad ścisnął szwagra i całował ręce jego żony, dziękował, płakał, polecał im swe dziecię, uderzał się pięścią w piersi, przysięgając że jest najnieszczęśliwszym na kuli ziemskiej człowiekiem, ale zarazem objawiał stanowczo przekonanie, że kiedyś będzie jeszcze inaczěj, gdy procesa powygrywa i albo do Ręczyna wróci, albo kapitał utracony odzyska. Mówiąc tak, zaklinając się, gestykulując i łzy ocerając z oczu, opuścił Orchów.

We dwie godziny po odjeździe nieszczęśliwego syna pani Malwiny, Mieczysław siedział przy wielkim stole u komina, na którym dogorywał ogień, i z brwią zsuniętą

przeglądał nagromadzone tam w czasie nieobecności jego papiéry. Były to pozwy urzędowe o wypłacenie podatków i innych należności publicznych, rejestra i zapiski wykazujące potrzeby przeróżnych gospodarskich napraw, ulepszeń i wydatków. Jakkolwiek Mieczysław każdy z papiérów tych, przypominających mu groźne i kłopotliwe jego położenie, czytał z chmurném i uważném skupieniem, a pierwsze słowo które wymówił po skończoném czytaniu nie tyczyło się wcale ich treści. Usuwając od siebie przeczytany papiér, powstał z krzesła i rzekł:

— Jutro jadę do Białowoli...

Michalina siedziała przy stole, z robotą w ręku, ale wzrok jęj z miłością i niepokojem tkwił w nachmurzonej twarzy męża.

— Do Białowoli? powtórzyła; tak, rozumiem cię...

— Może, mówił Mieczysław, rękę po czole przesuwając, może drzwi, zamknięte przed bratem, otworzą się przed matką... Może téż upomnienie i prośba matki przemówią tam, gdzie umilkły wstyd niewieści, sumienie i rozum..

— Tak, rzekła Michalina, ale czy matka twoja zechce?

— Czy zechce pojechać? przerwał Mieczysław, widzieć się ze zbląkaném swém dzieckiem... przemówić do nięj głosem macierzyńskiego uczucia i macierzyńskiej powagi! Ha, nie wiem! ręczyć za to nie mogę! Zawsze jednak obowiązkiem jest moim nie opuszczać i tego jeszcze środka ratunku dla nięj! Kto wie? spróbuj! pojadę!...

Dom białowolski, mały, lecz ładnie zbudowany i niedgdyś tak świeżo bielejący wśród ciemnej zieleni, przybrał od czasu zamieszkania w nim pani Leontyny pozór naze-

wnątrz szary i opuszczony, wewnątrz dziwaczny i ponury. Każdy z niewielkich pokojów domu tego wyglądał jak trumna. Nizkie, opylone sufity zdawały się tam przygniatać i w ziemię wciskać pociemniałe od kurzu ściany. Pod ścianami stały sprzęty z ciemnego drzewa, obite grubym niebielonym płótnem, żalobnie przybranem czarnymi taśmami. Takież firanki wisały u okien i żółtawem, posępnym światłem napępiały pokoje, w których panowała atmosfera duszna i wilgotna, właściwa mieszkaniom wiecz- nie zamkniętym, zaniedbanym, prawie pustym. Fantasty- czny przystroj ten domu wymyśliła i uskuteczniła pani Leontyna wtedy jeszcze, gdy po śmierci męża przenosiła się z Orchowa do Białowoli, na własność jej przez synów oddanej.

Pani Malwina Ręcycowa, jak domyślać się można różniła się zupełnie z krewną swą i wychowanicą, w zdaniu o urządzeniu domu jej i sposobu życia. Radziła jej ona pozbyć się melancholii, za pomocą rozrywek światowych. Pani Leontyna rad tych słuchała z gorzkim uśmiechem na ustach i w odpowiedzi dom swój, według obmyślanego z góry planu urządziwszy, hermetycznie go przed światem zewnętrznym zamknęła. Odtąd pani Malwina lękała się białowolskiego dworu i nigdy doń nie przyjeżdżała, stosunki z posępną krewną swą ograniczając na listownej ko- respondencji, rzadko bardzo zamienianej:

Teraz przecież matka Konrada przybyła do Białowoli jako do jedyne go portu ucieczki, który pozostał jej na świecie. Przybyła tam w towarzystwie jednej tylko ze swych córek, bladłej i smutnej Flory, ale wraz z nią zawitały do posępnych pokoi pokutniczego domu głośne wy- krzyki, żwawe a nieustanne bieganiny, szelesty i fruwania

barwnych, bombiastych sukien. Pani Leontyna, po pierwszych zamienionych powitaniach, w których nie okazała ani radości, ani niezadowolenia, tylko przełknięcie jakiegoś i osłupienie, usunęła się do jednego z pokojów i krótkimi, cicho wyrzeczonymi słowami zaprosiwszy ciotkę, aby według woli swój urządziła się i żyła w jej domu, pozostała już w schronieniu swém, które wchodząc, na klucz zamknęła.

Pani Malwina usiadła na kanapie w bawialnym pokoju, opuściła ręce na kolana, przyknęła oczy i tak już pozostała noc całą. Daremnie Florka, która krzątała się około rozpakowania tłumoków i urządzania herbaty, prosiła matkę, aby rozebrała się i do łóżka położyła; przerażona wszystkiém co ją otaczało, kobiéta wstrząsała przecząco głową i oczów nie otwierając, mówiła:

— Lękam się spać w tej trumnie, bo zdaje mi się że zasnąłabym w niej na wieki... Nie odchódź, Florko! zdrzemnę się trochę... Ach! te franki! te franki! Zobacz, duszo moja, czy tam za niemi niema czego...

Zrana, gdy z za żółtawo-żałobnych firanek błysznęło parę promieni zimowego słońca, otworzyła wprawdzie oczy, wypila herbatę przyrządzoną jej przez Florę, poprawiła na głowie loki i wstążki, ale miejsca zajmowanego nie opuściła i niewyspana, wybladła, drżąca od zimna i przykrych wrażeń, kurczyła się pomiędzy żałobnymi poduszkami kanapy, wyrzekając na nieogłędność syna, który stracił majątek, na dziwaństwo pani Leontyny, która w tak okropny sposób dom swój urządziła, i na głupotę swych córek, które za mąż nie wyszły i teraz matce swój innego, przyjemniejszego schronienia ofiarować nie mogą.

W takim stanie znalazł ją Mieczysław, który w parę godzin po południu do Białowoli przyjechał. Na widok jego pani Malwina obie ręce wyciągnęła ku krewnemu, wołając:

— A niech ci, kochanečku, Pan Bóg da zdrowie za to, żeś tu dziś przyjechał! Przynajmniej głos ludzki postyszę i twarz czyjaś w tój trumnie zobaczę! Przyjechał tu wprawdzie pół godziny temu brat twój Kamil, ale nie mogłam o niego dopytać się... Poszedł z Florą rozmawiać... Ach! bięda na świecie, kochanečku, bięda wielka! Ale i ty, kochanku, coś mi blade i mizernie wyglądasz! Zdaje się doprawdy, że cały świat zmizerniał i melancholii dostał... Przyjdzie mi już chyba, jak tój biędnej Leontynie, od królestwa niebieskiego rozrywek oczekiwać...

Mieczysław, na którego obliczu malowały się w istocie powaga i smutek, po wyrzeczeniu kilku obojętnych słów powitania, obejrzał się dokoła i zapytał:

— Gdzie jest moja matka? Przyjechałem tu poto, aby z nią o bardzo ważnej sprawie pomówić.

— Ach, te wasze ważne sprawy! wykrzyknęła pani Malwina. Nigdy do nich najmniejszej inklinacyi nie miałam, i ot, figuruj sobie, moja duszo, jakie to było trafne przeczucie... wszystkie moje biedy z tych ważnych spraw wynikły. Twoja matka, kochanku, jest bardzo osobliwą osobą. Siedzi zamknięta w tamtym oto pokoju.

Tu zniżyła głos i szeptem zapytała:

— Czy wchodziłeś kiedy, kuzynie, do tego pokoju?

Ale Mieczysława nie było już przy niej. Stał on u zamkniętych drzwi pokoju swój matki i zlekka zapukał.

— Kto tam? ozwał się z wewnątrz głos stłumiony i słaby.

Mieczysław odpowiedział.

— Czy nie mogłabym zobaczyć cię później? zapytał znowu głos z pokoju wychodzący.

— Pragnąłbym bardzo widzieć cię, mamó, dziś, zaraz...

Za drzwiami ozwał się szept, smutną lecz głęboką rezygnacją nabrzmiały: „Dziękuję cię, Panie, tak na ziemi jako i w niebie!” poczem z wolna, bez szelestu otworzyły się drzwi i stanęła w nich matka Lili.

Szczególna to była postać, tak szczególna, że gdyby pojawiła się w innem miejscu i o innę porze, wydałaby się mogła jakimś legendowem zjawiskiem. Wysoka zawsze, pani Leontyna wyglądała teraz na jeszcze wyższą; wrażenie to sprawiało nadmierne wychudnięcie jej ciała, obok wąskości i powłóczystości okrywającej ją czarnej szaty. Włosy, w większej połowie posiwiałe i nieokryte niczem, w bezładnych, gęstych zwojach opadały na jej ramiona, na długą, wychudłą szyję, i przysłaniały zlekka czoło, powleczone skórą żółtawą, w mnóstwo bruzd zmarszczoną. Pod czołem tém świeciły oczy wklęsłe, z wielkimi, czarnymi źrenicami. Powieki jej były zaczerwienione, policzki zapadłe, z dwoma wypieczonemi na nich gorączkowemi rumieńcami, usta blade i zaciśnięte, ręce białe, chude, przezrocyste, na czarną szatę bezwładnie zwieszane. Było to uosobienie gorączki ducha i wyniszczenia ciała.

Suche, sztywne spojrzenie zatrzymała na głowie syna chylącej się nad ręką jej, którą niósł do ust; suchy i zimny także był dźwięk jej głosu, gdy pytała go poco przybył.

— Moja matko! z łagodną powagą zaczął Mieczysław, smutnym będzie przedmiot dzisiejszej mej z tobą rozmowy...

Usta pani Leontyny poruszyły się z wolna.

— Smutek nasz i wesele są w ręku Boga! wymówiła powolnym, monotonnym głosem.

Mieczysław skłonił głowę.

— Tak, matko, rzekł. Są jednak wypadki, w których obowiązek i serce rozkazują nam biedz z pomocą nieszczęśliwym i upadłym. Wiész o tém, matko moja, jakiemu nieszczęściu uległa, jak nisko upadła Lila.

Na dźwięk imienia tego twarz pani Leontyny drgnęła, rumieńce jęj powiększyły się, oczy silnięj błysnęły.

— Grzésznica! wymówiła.

Nie powiedziała nic więcéj, nad ten jeden wyraz, ale wyszedł on z ust jęj z ostrym sykiem, zdradzającym oburzenie zacięte i nieubłagane.

— Niestety! wyrzekł syn, nazwa którą dałaś biédnej, zbląkanęj siostrze mojęj jest prawdziwą. Ja jednak przyłączam do nięj w myśli inną jeszcze: nieszczęśliwa!

Ledwie dojrzany cień gorzkiego uśmiechu przesunął się po ustach pani Leontyny.

— Nieszczęśliwa? powtórzyła i zwróciła na twarz syna źrenice swe, tkwiące dotąd w górze, a teraz ostrém, przeszywajacém światłem napełnione. Ona nieszczęśliwa.. A ja... czy byłam szczęśliwą? czy nie miałam w życiu swoim zawodów, bólów, rozczarowań? Któż litował się nademną w czarnych godzinach mego życia? kto przybiegał mi z pomocą?.. nikt. Nikt mnie nie kochał, świat i ludzie opuścili mię! Teraz w głębi serca składam im dzięki za to, bo nauczyło mię to pokory i wzgardy dla poziomęj smutnej, nędznej tęg ziemi!..

Mieczysław słuchał z pochyloną głową. Po chwili milczenia mówić znów zaczął.

— Smutki i walki, matko moja, znajdują się w życiu i pamięci każdego człowieka; ale burze podobne tój, która pochłonęła cnotę i może szczęście całego życia Lili...

— Burze? przerwała matka. A w mojem życiu czyż nie było burz srogich i bolesnych?

— Jeżeli były one, odrzekł syn, to oparłaś się im, matko moja, skuteczniej, niż ta biedna ofiara własnych namiętności i nikczemności ludzkiej...

— Ścieżki moje były w ręku Pana. Wiódł On mnie niemi, według świętej Swój woli.

To ciągle zwracanie się ku sobie pani Leontyny przykrém znać echem odbijało się w sercu jój syna, bo czoło jego stawało się coraz chmurniejszym, a oczy mimowoli spuszczały się ku ziemi.

Milczeli zówu chwilę. Mieczysław pierwszy mówić zaczął, głosem który przytłumiało głębokie wzruszenie.

— Lila zsunęła się w przepaść straszną. Jeśli nikt i nie zatrzymać jój nie zdoła, runie ona na samo jój dno, niwecząc szczęście i spokój całego życia swego, tak jak zniweczyła już dobre swe imię. Próbowałem podać jój dłoń braterską i pomimo wszystkiego co zaszło, otworzyć przed nią schronienie w sercu i w domu swoim. Nie przyjęła ofiary mojej, nie chciała mnie nawet widzieć. Pomyślałem więc, że gdyby twój głos, matko, zawołał na nią, głos któryby przypomniiał jój najlepiej czyste lata dzieciństwa, powagę i świętość domowego ogniska, rzuciłaby się może w objęcia twoje, a tybyś ją dźwignęła z poniżenia i oddała w moje ramiona, gotowe zawsze wyciągnąć się ku nięj z przebaczeniem i pomocą... Myślałem, matko...

Głos jego drżał lekko, ale powieki podniosły się i ukazały źrenice napełnione światłem gorącego uczucia.

Na twarzy jego była prośba serdeczna, w postawie powaga męskiego, głębokiego smutku.

Przerwał mu mowę gest pani Leontyny, żywszy, ostrzejszy niż wszystkie poprzednie. Podniosła rękę, jakby poruszeniem tém nakazać chciała synowi milczenie, a wzrokiem błędząc znowu po wysokościach, mówić zaczęła:

— Wiem! o, wiem jak łatwym jest dla was przebaczenie, dla was zepsutych dzieci świata i próżności jego! Przebaczacie wszystko, bo własne serca wasze tajemny zawarły sojusz z duchem zła i ciemności, bo zniknęła w was święta bojaźń Boża, bo sprzeciwianie się rozkazom Pana nie już dla was nie znaczy. Przebaczajcie! przebaczajcie bluźniercom, niedowiarkom, jawnogrzesznikom! nurzajcie się wraz z nimi w otchłani złości i nieprawości, aż można prawica Pana zesle na was Swoje gromy, aż pod siarczyстым deszczem Jój pomsty spłonie i spopieleje obrzydły świat wasz, jak spłonęły niegdyś Sodomą i Gomorą.

Słowa te wymówiła zrazu głosem cichym i słabym, który jednak wzmagał się coraz więcej, rósł w siłę i nabrał dźwięków ostrych, syczących. Zarazem obie ręce jój podnosiły się w górę gestem groźby i złorzeczenia, oczy ciskały błyskawice, a cała postać i twarz jój przyoblekła się ponurym zapalem fanatyzmu.

Mieczysław stał nieruchomy, jakby skamieniały od bólu i zdumienia. Po chwili dopiero, nie patrząc na matkę, wymówił zeicha:

— Matko moja! pobożne uczucia tve szanowałem zawsze i nie sprzeciwiałem się im nigdy żadnym słowem ni postępkim. Ale racz sobie przypomnieć teraz, gdy idzie o uratowanie dziecięcia twego, słowa Chrystusa, który na

jawnogrzesznicę kamieniem rzucić wzbronił i litować się nad nią rozkazał.

— Nie będziesz wzywał imienia Boga twego nadaremno! przerwała pani Leontyna głosem podniesionym, i uczyniła poruszenie takie, jakby odejść chciała.

Ale Mieczysław podniósł rękę gestem prośby, a w źrenicach jego po raz pierwszy, odkąd z matką rozmawiał, przebiegła błyskawica gorzkiego wyrzutu.

— Matko! zawołał, przypomnij sobie Lilę! postaw sobie przed oczami postać i rysy swego dziecka! Przypomnienie to wzruszy cię może i rozkaże śpieszyć ku niej z ratunkiem...

— Nie będziesz krzyżował ścieżek Pańskich ani sprzeciwiał się woli Jego świętej! brzmiała znowu odpowiedź, cichym i uroczystym głosem wymówiona.

— Lila znajduje się w rękach człowieka złego, sumienia i skrupułów wszelkich pozbawionego. Przygotuj się na jej zgubę zupełną, wtrąci ją w najsroźsze nieszczęścia.

— Niezbadane są drogi któremi Pan przywodzi ku sobie dusze zbłąkane! Lila była zawsze dzieckiem niesforem i samolubnym, dla wiary świętej obojętnym, do marnych blasków ziemskich rwącym się, jak motyl do ognia. Niech więc dotknie ją ogień gniewu Pańskiego i duszę jej oczyści, niech podźwignie ona na grzesznych ramionach swych krzyż kary Bożej, a uczyni on ją pokorną i ku zbawienną pokucie zawiedzie! Ja nie dla niej uczynić nie mogę; tylko w pokutniczej szacie mej, z głową osypaną prochem, modlić się będę do Pana, aby kiedyś, przebaczywszy jej winy, połączyć ją raczył ze mną w niebieskiej Świętej światłości.

Mówiąc ostatnie słowa, skinęła głową synowi i zwróciła się znowu ku drzwiom. Ale tym razem ciemny rumieniec oblał bladą dotąd twarz Mieczysława. Mężka cierpliwość jego wyczerpała się. Zawrzały w nim gorzkie przypomnienia i oskarżenia.

— Matko! wyrzekł, z całą mocą powstrzymując wybuch głosu swego i uczuć, przebacz mi to co powiem.... Lili należy się coś od ciebie.. Dziecinne i młodzieńcze lata jój nie spłynęły tak, jak spłynąć były powinny... Nie znała ona uczuć poważnych i uszlachetniających, nie przyjęła w siebie myśli wielkich i obrończych.. nie była należycie przygotowaną do trudów i prób życia; niewszystko też teraz na karb własnej jej winy składać należy...

Pani Leontyna stała przed synem w postawie pełnej głębokiego zdumienia, z twarzą którą opływały rumieńce gniewu.

— Któż więc zawinił tu, prócz niój? zapytała. Ja może... ja?

Śmiech cichy, lecz gorzki, szyderyczy wstrząsnął zapadłą jój piersią.

— Mnie więc obwiniasz, Mieczysławie, o grzechy i nieszczęścia płochój tój, występnej istoty? Nie dziwię się temu i Bóg widzi, że obraza za to w sercu mém nie istnieje. Oddawna już świat i ludzie nauczyli mię pokory. Gdybyś był sprawiedliwy, przypomniałbyś sobie jak troskliwie, jak starannie pielęgnowałam w Lili pokorę, pobożność i pogardę dla ziemskich, światowych próżności. Ale synowie moi nie rozumieli mię nigdy, serca ich i myśli pozostawały zawsze zdala odemnie. Kamil nie kochał nikogo; ty, Mieczysławie, kochałeś bardzo ojca; wiem o tém... ale nie mnie! nie mnie! Któż mię zresztą kochał na ziemi?..

nikt. Co znaczyłam na świecie i komu potrzebną tam by-
am?.. nic i nikomu. A więc odeszłam od was w milcze-
niu i z pokorą, zamknęłam się w téj trumnie swojej, ciało
swe przyodziałam szatą pustelniczą i sam na sam z Panem
żyć zaczęłam. Ale wy i tu pokoju mi nie dajecie, wy i tu
w ciszę moję wrzucić usiłujecie obrzydłe echa światowych
wrzaw i namiętności. O! precz, precz odemnie, obrzydłe
mary świata tego, które przypominacie grzeszną i nędzną
przeszłość moję! Precz odemnie, wy pokuszenia duchów
ciemności, które pragnąc odwieść mię od stóp Pana i sa-
motnych z Nim rozmów, oblekacie na siebie postacie dzieci
moich! Nie chcę was słuchać! Przyjdź! przyjdź, Panie, kró-
lestwo Twoje i bądź wola Twoja na ziemi, jako...

Dalszy ciąg mowy jój przycichiał stopniowo i umilkł
zupełnie za drzwiami, które bez szelestu zamknęły się za
matką Lili i Mieczysławą. Nie można było mylić się. Ko-
bięta ta z przeszłością burzliwą i z wielu względów wy-
stępną z samolubnym sercem, przerażonym sumieniem
a ognistą wyobraźnią—była już nawpół obłąkaną. Z dźwię-
ków głosu jój, słabych i ostrych z kolei, z wiecznego pod-
noszenia w górę jój źrenic, z gorączkowych rumieńców
i febrycznych drgań, które wstrząsały jój ciałem, gdy mó-
wiła o piekle i duchach ciemności, odgadnąć można było
wszystkie zabobonne przestrazy, wszystkie czarujące i na-
przemiań straszliwe wizye, otaczające ją w komnacie jej sa-
motnej; odgadnąć można było niezbadane żale jój za szczę-
ściem ziemskim, które ją opuściło, i ekstatyczne tęsknoty,
porywające ją ku zaziemskim krainom. Choroba ducha,
źle i krzywo ukształconego, boleści serca, pozbawionego
jedynych trwałych rozkoszy ziemskich, z uczuć szlachet-
nych i myśli światłej płynących, wywołały w niej chorobę

ciała, której pierwsze objawy ujrzały teraz przerażone oczy Mieczysława.

Z bladym też i chmurnym czołem, ze wzrokiem w ziemię utkwionym, wszedł on do pokoju, w którym wśród żałobnych poduszek kanapy świeciła i szeleściła barwista jedwabna suknia pani Malwiny.

Przy stole stał tam Kamil, a Flora, blada od znużenia i tuląca się w fałdy grubego szalu, siedziała w cieniu żałobnej firanki i kryła za nią twarz, po której łzy ciche spływały.

Bracia powitali się dość obojętnym uściskiem rąk.

— Dawno nie widziałem cię Kamilu, rzekł Mieczysław; ale znać było, że słowa te wymówił machinalnie prawie, bo myśl jego nie ochłonęła jeszcze po strasznym widoku, który przed chwilą uderzył ją i w bolesne wprowadził osłupienie.

— Tak, odparł Kamil swobodnym, obojętnym tonem. Ty się tam porasz ze swym gospodarstwem w Orchowiu, jak najemnik jaki, i czasu nie masz na odwiedziny. Ja także w ostatnich tygodniach zajęty byłem bardzo. Sprzedawałem Rydlówkę.

Ostatnie słowa obudziły Mieczysława z zadumy. Szybko podniósł powieki i spojrzał na brata.

— Słyszałem o tém, rzekł, alem sądził zawsze i teraz jeszcze sądzę, iż namyślisz się i ostatecznego kroku nie uczynisz.

— Owszem, odparł Kamil, śmiejąc się, krok ten uczyniłem już. Sprzedałem Rydlówkę.

— Sprzedałeś ją już, Kamilu? stanowczo?

W głosie którym Mieczysław zadawał to pytanie

lekkie było drżenie. Kamil spojrział nań oczami, w których zimna tkwiła ironia.

— Najbardziej stanowczo odparł. I dlaczegoż nie miałem tego uczynić? Alboż Rydlówka nie była moją własnością?

— Nie będę tłumaczył ci tego, co sam równie dobrze jak ja rozumiesz, rzekł Mieczysław. Wiem, tylko iż żadna przykra konieczność, żadna nawet najlżejsza potrzeba nie zmuszała cię do tego.

— Przeciwnie, odparł Kamil, zmusiły mię potrzeby mego umysłu i wymagania mego smaku. Żyjąc na wsi, wyrzekać się musiałem wielu przyjemności, które teraz, posiadając w ręku odpowiedni kapitał, będę mógł zapewnić sobie z łatwością. Nie jestem stworzony do życia na wsi. Lubię miasto, naturalnie wielkie miasto, swobodę, towarzyskie i artystyczne rozrywki, których dostarczyć ono może. Za tydzień opuszczę Rydlówkę. Na wiosnę wyjadę za granicę, zwiedzę Włochy, Szwajcaryą i nadreńskie strony, potem zaś zamieszkać stale w Warszawie, gdzie znajdę miłe towarzystwo, koncerty, operę...

— Więc dla towarzystwa miłych dam miejskich i dla słuchania opery sprzedasz Rydlówkę? przerwał mu Mieczysław.

— Uczyniłem to dlatego także, ciągnął Kamil, aby umysłu swego nie zamykać w zbyt ciasnych ramach parafialnego bytu. Człowiek powinien być zawsze panem położenia swego, móżdż zmieniać je według woli, nie wrastać jak grzyb w miejsce jedno, ale szukać sobie po świecie dróg różnych, takich na których najwygodniej i najszerzej mogłyby rozwijać się właściwe mu usposobienia, zdolności i gusta. Sprzedając Rydlówkę, dodał Kamil z uśmiechem

głębokiego zadowolenia, wcieliłem tylko w czyn tę filozofią życia, którą wyznaję. Z jakiegoż wreszcie innego powodu mógłbym to uczynić? Do wojny z wiatrakami nie porywałem się nigdy... długów nie miałem.

W ostatnich wyrazach była już wyraźna, do Mieczysława skierowana ironia. Ale Mieczysław przed pociskiem tym nie spuścił oczu.

— Ale miałeś obowiązki, rzekł krótko i z powagą.

Kamil wzruszył ramionami i zaśmiał się głośno.

— Jakie? zawołał, gdzie? nic nie wiem o nich. Nie słyszałem i nie czytałem nigdy o tém, aby w jakichbądź krajach lub czasach istniało prawo wzbraniające komukolwiek rozrządzać własnością swą według woli i chęci. Ziemia jest kapitałem tak dobrym jak każdy inny, a ruch ciągły, ciągłe przechodzenie z rąk do rąk kapitałów, stanowi prawo bytu i warunek rozwoju gospodarstwa społecznego. Monopol wszelki szkodliwym jest dla publicznego bogactwa i przemysłu, a uparte utrzymywanie się właścicieli ziemskich przy odziedziczonej glebie wytwarza monopol, którego najdobitniejszy przykład przedstawia nam Anglia...

Wywód ten, nabrzmiały szumnemi nazwami i frazesami, prowadzony byłby przez Kamila dłużej jeszcze, ale Mieczysław już go nie słuchał. Podeszedł do Flory i rozmawiał z nią półgłosem.

— Gdzie jest Róża? zapytał.

— Pozostała w N.

— Spełniła więc zamiar swój?

— O! spełniła... szczęśliwa!

— Żona moja dawno już od niej listu nie miała?

— Róża jest teraz tak pilna, tak zawsze zajęta!

— Mówicie o Róży? zawołała z kanapy pani Malwina. Figuruj sobie, kuzynku, że tój dziewczynie pomieszkało się w głowie: została guwernantką... Róża Ręczycówna guwernantką! Daje lekye na jakiejś pensyi, a potem gryzmoli po całych wieczorach i rankach. Dziwna doprawdy destynacya moja, żebym na nieszczęście dziewczyny tój patrzeć musiała.

Mieczysław, słuchając słów tych, uśmiechał się dziwnie. Promień miłego, radosnego niemal uczucia rozświecił chmurną twarz jego.

— Moja ciciu, rzekł, to co ciocia nazywa nieszczęściem Róży, jest dla niój przeciwnie szczęściem wielkiem.

-- Piękne szczęście, kochanku! to dziewczyna zgubiona... Gdybym wiedziała kto nakładł jój do głowy wszystkie te głupstwa, tobym mu pięknie podziękowała.

— Mam nadzieję, rzekł Mieczysław, że kiedyś, gdy Róża imieniem swem zrobi chlubę swój matce, a pracą stanie się jój podporą, podziękowanie cioci odbierze naprawdę moja żona, która, widując się z Różą, niekiedy, a pisując do niój często kierowała naukowemi jój pracami, zachęcała ją do wytrwania, odkryła w niój zdolności pisarskie, a teraz otrzymała dla niój zajęcie nauczycielskie na pensyi, z której przełożoną łączą ją dawne i dobre stosunki. Dziś żona moja poleciła mi, abym prosił ciocię o chwilową cierpliwość i pobłażliwość dla Róży... Gniów cioci boli Różę, ale jój z drogi, którą sobie wybrała nie sprowadzi...

— A niech sobie idzie, kochanku drogą tą, niech sobie idzie! odparła pani Malwina, a policzki jój zarumieniły się silnie i głos zadrżał. Ja jój nie przeszkadzam, ale i znać jój nie chcę.

Zwróciła się do Kamila i mówiła dalej:

— Figuruj sobie: w czarnej sukni chodzi, jak zakonnica... po pensjach za lekcyami lata... androny głupie gryzmoli i ze szwaczką jakąś w dwóch pokoikach pod dachem zamieszkała... Remarkuj sobie sam, kochanku, czy mogę ją za swoją córkę uważać?

— Panna Róża miała zawsze pociąg do książek, z odzieniem ironii zauważył Kamil i zlekka a zimno dotknął ręki brata, który, przez nikogo niezatrzymywany, żegnał obecnych.

Zaledwie drzwi przedpokoju zamknęły się za odjeżdżającym, Kamil wziął także czapkę i z pożegnalnym ukłonem zbliżył się do ciotki. Ale pani Malwina ręki mu nie podała i patrząc nań żartobliwie niby, lecz w istocie z niepokojem ukrywany, zawołała:

— Jakto kuzynie! odjeżdżasz już?

— Muszę, odparł Kamil. Tydzień tylko mam czasu do przygotowania wszystkiego, aby wyjazd mój z Rydlówki obszedł się bez strat i niewygód.

— I nic nie masz mi do powiedzenia, kochanku? zagadnęła pani Malwina. żwawo przebieirając drżącemi rękami fałdy swego szala i patrząc w twarz krewnego wrokiem, w którym wzrastał niepokój.

Kamil skłonił się grzecznie i odpowiedział z uśmiechem:

— Pozostaje mi tylko życzyć szanownej cioci dobrego zdrowia i polecić się jej pamięci.

— A Florze, kochanku? a Florze czy żadnych nie złożysz życzeń.

Zadając pytanie to, pani Malwina usiłowała zaśmiać się po swojemu, to jest figlarnie i trzpiotowato; ale usta

jéj zadrzały, a zarumienione od bezsenności powieki kilka razy nerwowo mrugnęły.

Kamil skłonił się powtórnie i zwrócony nawpół ku ciotce, nawpół ku jéj córce, wyrzekł:

— Kuzynce Florze życzę wszelkich powodzeń i jak najświetniejszego wyjścia za mąż.

Na te słowa Flora wysunęła się szybkim ruchem z za oceniającéj ją dotąd żałobnéj firanki i z chustką przyłożoną do twarzy, nie patrząc na nikogo, wybiegła do przyległego pokoju. Pani Malwina wyprostowała się jak struna, rozpostarła obie ręce gestem zdumienia i zawołała:

— Ależ figuruj sobie, moja duszo, że ona już teraz wyjść za mąż nie może.., w żaden sposób nie oże! Cały świat wie o tém, że kochaliście się przez lat tyle. Teraz młode to jeszcze wprawdzie... bardzo młode; ale nie to już co było... Gryzło się biedne dziecko i płakało często, więc postarzało téż przed czasem.

Przy ostatnich wyrazach głos pani Malwiny, tak dźwięczny i swobodny zawsze, zeichł i osłabł; w piersi płochéj téj kobiety i matki zabolalo coś i jęknęło.

Kamil stał z czapką w ręku ze spuszczone mi oczami, lecz z jednostajnym wciąż uśmiechem na ustach. Po chwili ozwał się zwolna i zimno.

— Uważałem to sam, że kuzynka Flora zmieniła się bardzo od pewnego czasu i zmizerniała. Sądzę że najlepszem dla niéj lekarstwem byłyby rozrywki.

W słowach tych tkwiła gryząca i nielitościwa paradya rad, które pani Malwina na wszystkie choroby ciała i duszy udzielała, nawpół z przekonania, nawpół z nałogu. Teraz jednak uczuła ona, o ile rada ta w wypadkach pewnych nietrafną bywa, uczuła ile w niej mieścić się może

gorzkiego szyderstwa. Podniosła na twarz kuzyna oczy z takim wyrazem, jakby własnym nie dowierzała uszom, i prostując się jeszcze bardziej, wyrzekła:

— Żartujesz, kuzynie. Ale pomówmy na seryo.

Ostatni wyraz szczególnie brzmiał w ustach tej wiecznie śmiejącej się i o nic niedbającej sześćdziesięcioletniej wietrznicy.

— Pomówmy na seryo, powtórzyła. Może zresztą nie wypada mi o tem mówić i nie mówiłabym z pewnością, gdybym zostawała w dawniej swój pozycji... Ale jestem teraz w pozycji zupełnie innej niż dawniej... Cóż uczynię? gdzie się podzięję? Myślałam, że jedno z dzieci moich przynajmniej będzie miało dom swój i podzieli się nim zemną... Remarkuj sam, kuzynie, czy mogę całe życie mieszkać w tej trumnie? wszak to okropieństwo, nieprawdaż? A z Florą co będzie? ona za mąż nie pójdzie za nikogo, prócz za ciebie, kuzynie. To romantyczka! kilka partyj wcale dobrych odrzuciła... Prosiłam, namawiałam, gniewałam się, ale nie nie pomogło. Tyle lat, figuruj sobie tylko, kochanku, tyle lat! co za stałość! Będziesz z niej miał żonę... perfekcyą!

Kamil stał wciąż przed mówiącą tak kobietą w jednostajnej postawie. Ręką tylko o stół się oparł i oczy ku ziemi spuścił. Przez chwilę zdawać się mogło, że w oczach tych mignęło zakłopotanie, czy inne jakieś uczucie ale była to tylko przelotna chwila. Kamil podniósł głowę i powoli, zimno, z rozważą mówić zaczął:

— Przykro mi bardzo, iż zawieść muszę położone we mnie nadzieje cioci; ale ja żenić się nie myślę i nie mogę....

— Nie możesz, kochanku! dlaczego nie możesz? wy-

krzyknęła pani Malwina, kurczowym ruchem pulchne dłonie swe splatając.

— Ożenienie się bowiem, ciągnął dalej Kamil, sprzeciwiałoby się wszystkim gustom moim i planom, jakie sobie ułożyłem na przyszłość. Jestem dość majątnym na to, aby zabezpieczyć własne życie od przykrych niewygód, braków i katastrof, ale niedość aby brać na siebie ciężar utrzymania rodziny. Rodzinne życie zresztą nie odpowiada wyobrażeniu, jakie mam o egzystencji człowieka, pragnącego w każdej okoliczności być panem swego losu. Zdaje mi się że nazawsze pozostanę bezżennym.

Gdy Kamil to mówił, z twarzy pani Malwiny zniknęły bez śladu rumieńce a zastąpiła je bladość żółtawa. Zaczerwienione powieki jej mrugały szybko i nerwowo. W głowie nie było wyrazów, a w piersi głosu, któremiby odpowiedzieć mogła. Wargi jej poruszyły się tylko kilka razy i wydały z siebie szept, w którym dosłyszeć można było słowa:

— Tyle lat! imainuj sobie tylko, tyle lat!

Kamil złożył jęj ukłon głęboki i wyszedł. Wtedy we drzwiach przeciwległych, do sąsiedniego pokoju wiodących, stanęła Flora, blada bardzo, z nabrzękłemi od płaczu oczami, z piersią drżącą od tkań tłumionych.

— Nadaremnie, mam... zaczęła — mówiłaś z nim o tém... Ja wiedziałam... on mi to sam powiedział...

Umilkła znowu i stała we drzwiach, nie płacząc już, bez poruszenia żadnego, jak posąg wstydu i rozpacz. Pani Malwina wpatrywała się w nią oszupiałemi oczami i nagle, nie wymawiając słowa, wyciągnęła ku nięj obie ręce. Flora poskoczyła i osuwając się na ziemię u nóg matki, ukryła twarz na jęj kolanach. Oczy pani Malwiny mrugały

i z szybkością nadzwyczajną obiegały pokój, aż napełniły je łzy. W kobiecie téj, poraz pierwszy może w życiu, o-
zwały się uczucia poważne i bolesne, po raz pierwszy pierś
jéj wezbrała płaczem głośnym i gwałtownym. Otoczyła
zgiętą u kolan jéj szyję córki trzęsącemi się rękami, głosem
przez łkania przerywanym zawołała:

— Figuruj sobie... duszo moja... że wszystkie...
wszystkie dzieci moje są... zgubione!

Wieczór był blizki, gdy Mieczysław wrócił do domu. Michalina, jak zwykle bywało, wyszła na ganek, aby go spotkać. Mieczysław śpiesznie zbliżył się do niéj i biorąc ją za rękę, z niepokojem zapytał:

— Co ci jest, Michasiu? czy stało się w domu co złe-
go?

Pytanie to spowodowaném było niezwykłym wyrazem
twarzy młodéj kobiety, która w udawanie niewprawna,
zdradzała silne, a przykre wzruszenie.

— Nic się nie stało, z wahaniem się w głosie od-
powiedziała Michalina; później ci zresztą powiem... dodała,
rumieniąc się mimowoli, jak ktoś komu ciężko jest popeł-
niać kłamstwo, w celu choćby najlepszym. Idź teraz do
pokoju naszego... czeka tam na ciebie Makower, który
tu przed godziną przyjechał.

Rzekłszy to, odwróciła się szybko od męża i zniknęła
w głębi domu. Odchodząc, dotknęła dłonią stanika sukni,
za którym ukryty zaszeleścił papier jakiś; potem, znalazł-
szy się samą, splotła ręce, podniosła je nieco w górę i szep-
nęła do siebie:

— Jakże ja mu to powiem? jak zdołam cios ten mu zadać? O! gdybyż w sercu mojem otworzyły się na ten raz źródła pociechy, któremi mogłabym mu chwilę tę uczynić mniej gorzką! Gdybym w mowie swęj znalazła dość wyrazów miłości i mężstwa, któreby go osłoniły i ukrzepiły!

Zwolna i z pochyłoną w zamysleniu głową udała się do pokoju, w którym otoczona dziećmi, siedziała jej matka. Usiadła przy niej blisko i długo mówiła jej o czémś zniżonym głosem. Stara niewiasta słuchała słów jej ze splecionemi jak do modlitwy rękami, z oczami błagalnie wzniesionemi w górę. Długo dwie kobiety rozmawiały w ten sposób, a po twarzach ich zbliżonych ku sobie, bladych i smutnych, spływały łzy szybko ociérane.

Mieczysław tymczasem, wszedłszy do pokoju będącego zwykłym miejscem rodzinnych posiedzeń, znalazł tam siedzącego w pobliżu drzwi Elego Makowera. Na widok wchodzącego gospodarza domu Izraelita powstał i grzecznie złożył mu ukłon. Mieczysław powitał go także grzecznie, acz zimno, i wskazał mu miejsce w głębi pokoju, przy stole przed kominem stojącym. Wiedział on aż nadto dobrze, jakie cele i starania przywiodły doń tego gościa. Były-to cele i starania też same, które przed kilku miesiącami sprowadziły mu odwiedziny głównego agenta Domu pośrednictwa. A jednak, pomimo wspólności pomiędzy dwoma tymi ludźmi zachodzącej, Mieczysław muięj chmurnie i zimno przyjął Makowera, niż przyjmował Poryckiego. Owszem, w obejściu się jego z Izraelitą był, obok chłodu i powagi, pewien odcień życzliwości. Ale też nawzajem, ktokolwiek znał dobrze Makowera, z łatwością mógł poznać, że nie był on w tej chwili zupełnie takim, jakim bywał zwykle. Postawa jego i ruchy zdradzały wcale mu niezwykajne wa-

hanie się jakieś, prawie nieśmiałość; w oczach pojawiał się niekiedy błysk cieplejszego, sympatycznego uczucia. Widać było odrazu, że w usposobieniu obu tych ludzi nie było niezbląganój konieczności wzajemnego gardzenia sobą. nienawidzenia się i szkodzenia sobie, że traf tylko i platanina, wynikła z kolei, któremi kroczyły plemienne i jednostkowe ich dzieje, postawiły ich w nieprzyjaznym względem siebie stosunku.

Eli, siedząc na krześle, z obu dłońmi na kolanach złożonemi, z grubym swym złotym łańcuchem od zegarka, który połyskiwał na tle atlasowej kamizelki, pierwszy zaczął rozmowę.

— Mnie się zdaje, rzekł, że nie potrzebuję mówić panu w jakim interesie tu przyjechałem. Pan to sam odgadł.

— Wistocie, odparł Mieczysław, łatwo mi domyślić się celu pańskiego przybycia do mnie. Wybacz też, panie Makower, jeśli ci powiem, że trudziłeś się daremnie. Ja postanowienia swego bynajmniej nie zmieniłem: Orchowa sprzedać nie myślę.

Odpowiedź ta zdziwiła nieco Elega. Po tylu trudnościach i niebezpieczeństwach, któremi otoczył był człowieka tego, spodziewał się usłyszeć inną, mniej przynajmniej spokojną i stanowczą.

— Proszę pana, rzekł po chwili namysłu, niech się pan na mnie nie obraża za to, że mówić będę tak, jakbym tego powiedzenia pańskiego wcale nie słyszał. Proszę też żeby pan nie myślał, że ja z panem gadać będę tak, jak z innymi ludźmi gadam. Ja wiem że pan odrazu pozna co prawda, a co nieprawda, że panu nie trzeba niczyjogo rozumu, aby własne korzyści obrachować. Tylko że u pana

są różne myśli w głowie, które przeszkadzają mu czasem dobrze liczyć. Jeżeli pan pozwoli, to ja te myśli pańskie na stronę usunę, tak jakby ich nie było, i same tylko cyfry przed pańskimi oczami postawię.

Mieczysław uśmiechnął się mimowoli.

— Dlaczego, panie Makower, zapytał, chcesz sobie tyle trudów zadawać, skoro wiesz z góry, że nie doprowadzą cię one do celu?

— Może nie doprowadzą, a może i doprowadzą, wyrzekł Żyd. U nas jest przysłowie: kupić nie kupić, potargować można. I ja jeszcze jedną rzecz panu powiem....

Tu zawahał się. W oczach jego, które tkwiły w twarzy Mieczysława, błysnął w tej chwili cieplejszy, sympatyczny promyk.

— No! wymówił, dlaczego ja nie mam powiedzieć panu o tém? albo to co złego? Mnie pana żal!

— Dziękuję ci, panie Makower, za życzliwe dla mnie uczucia, z powagą rzekł Mieczysław, ale wybacz też jeśli powiem, że dowodów ich nie widzę. Przeciwnie, postępujesz pan ze mną jak nieprzyjaciel, który przeciwnika swego otacza podstępniemi sieciami.

Słowa te wywarły na Elim widoczne wrażenie.

— Nie rozumiem o czém pan mówi, rzekł z trochę zmieszania w głosie.

— Powiedziałeś pan sam przed chwilą, że jestem zdolny rozróżnić prawdę i nieprawdę. Nie mylisz się pan, w obecnym przynajmniej wypadku. Wiem dobrze iż większa część trudności i niepowodzeń, które spotkały mnie w ostatnich czasach, pańskiem jest dziełem. Posiadasz pan liczne i woli swój posłuszne narzędzia działania; ale pozwól powiedzieć sobie, że używasz ich na złe i że człowiek obda-

rzony takimi jak pan zdolnościami umysłu, mógłby wcale inną, zaszczytniejszą spełniać rolę.

Słowa te powiedziane były z otwartością, właściwą charakterowi człowieka, który je wymawiał. Elego widocznie przykro one dotknęły. Przez chwilę miał postawę i wyraz twarzy człowieka, czującego się w sprzeczności z samym sobą. Parę sekund oczy jego, pojętne i błyszczące, tonęły w spokojnych i lekko tylko przyémionych smutkiem oczach Mieczysława. Uczynił potem żywe poruszenie i rzekł stanowczym głosem:

— Przepraszam pana, pan się myli. Ja nieprzyjacielem pańskim nie jestem.

Umilkł, spuścił oczy i zdawało się, że w myśli zapytywał o coś sam siebie, że we wnętrzu swém godzić usiłował coś, co pogodzić się w żaden sposób nie dawało. Podniósł nakoniec głowę i rzekł znowu:

— Pan mówi, że ja wiele złego panu zrobiłem. Nu, ja robił, to prawda. A dlaczego ja robił? bo mnie to miało przynieść wielkie korzyści, a człowiek sam sobie zawsze najlepiej życzy. Ale ja i panu źle nie życzę, a żeby pana o tém przekonać, wyjmę z kieszeni ten papier i ten ołówek i cyframi panu pokażę, jaki pan może być bogaty i szczęśliwy jeżeli pan zrobi tak, jak ja panu radzę.

Mówiąc to, wydobyl z kieszeni gruby pugilares, wydarł zeń kartę czystego papieru i pochyłony nad stołem, zaczął kreślić na niej cyfry ołówkiem. Przedstawiał Mieczysławowi wartość Orchowa, którą znał wybornie, i nieliczne obciążające go należności; obrachowywał kapitał, jaki po sprzedaniu majątku pozostać miał w ręku sprzedawcy i jakie kapitał ten przynosić mógł procenta. W rachunku swoim nie rozminął się ani na źdźbło z rzeczywi-

stym stanem rzeczy, nie omylił się ani o grosz jeden, nie uczynił ani jednego fałszem lub próżnem łudzeniem trącającego przypuszczenia. Dotrzymywał danego słowa. Mówił z Mieczysławem wcale inaczej, niż zwykł był mówić z innymi dziedzicami dóbr ziemskich; mówił mu czystą, wierną prawdę. Z prawdy tej okazywało się widocznie, że Mieczysław, jeśliby zgodził się oddać dziedzictwo swe w obce ręce, nie tylko uwolniłby się od wszelkich kłopotów, trudów i niebezpieczeństw, które dotąd napełniały byt jego, ale posiadałby w kapitale fortunę czystą, niezależną a znaczną. Pograżony w dokonywanych rachunkach, Eli pozbył się uprzedniego zmieszania swego i tego ludzkiego, cieplejszego promienia, który przed kwadranssem rozświecał mu oko. Był on znowu kupcem, spekulantem, nawpół chłodnym i stanowczym, nawpół namiętnym i pożądlwym. Znać było, że niczego więcej nie pragnął w tej chwili, jak skłonienia dziedzica Orchowa do pozbycia się dziedzictwa swego; o niczem nie myślał, jak o zyskach własnych, które z interesu tego, jeśliby doprowadzonym był do skutku, wyniknąć mogły.

Skreśliwszy na papierze ostatnią cyfrę i wymówiwszy ostatni rezultat swych obrachowań, Eli podniósł głowę i z błyskiem tryumfu w oczach, rzekł:

— No! co pan na to powie?

Mieczysław uśmiechnął się.

— Czy sądzisz, panie Eli, odpowiedział, że wszystko coś mi tu napisał i powiedział jest dla mnie nowością? Czy nie miałem już sam nieraz obrachowania podobne...

— Nu, a jak pan ich robił to co pan sobie myślał?

— Że nie sprzedam Orchowa.

Po odpowiedzi tej Żyd spuścił oczy i patrzył w zie-

mię. Po chwili podniósł powieki i zwolna, poważnie zapytał:

— Pan może rozgniewa się na mnie... ale ja pana zapytam, dlaczego pan taki uparty? dlaczego pan szczęścia nie chwyta, kiedy ono w ręce panu samo lézie? dlaczego pan, mając taki bystry rozum i takie jasne oczy, idzie do zguby swojej, jak człowiek ślepy?

Mieczysław powstał i zbliżając się do Izraelity, życzliwym acz poważnym gestem położył dłoń na jego ramieniu.

— Źle myślałeś o mnie, panie Makower, rzekł, jeżeli mniemać mogłeś, że pytanie twoje mię rozgniewa. I owszem, rad mu jestem. Gdyby zadał mi je współnik twój, pan Ildfons Porycki, nie chciałbym mu na nie odpowiedzieć, ale tobie... odpowiem. Wiedziałem dobrze i oddawna, że gdybym sprzedał Orchów, stałbym się człowiekiem niezależnym i zamożnym, wolnym od trosk wszelkich, spokojnym o byt dostatni dla siebie i dla swój rodziny. Ani na chwilę przecież perspektywa ta nie zachwiała postanowieniem mojem. Powód zaś téj stałości mojej jest bardzo prosty. Leży on w przekonaniach moich i najgłębszych uczuciach, które mi mówią, że chociaż niezależność materialna cenną jest i pożądaną, chociaż spokój i bezpieczeństwo bytu przyjemnymi być mogą, wyższą jednak od wszystkich dóbr tych jest zasada, z którą rozminawszy się, człowiek pozostać nie może ani uczciwym, ani szczęśliwym.

— Przepraszam pana, przerwał Eli, a co to takiego ta zasada?

— Zasada tą, odparł Mieczysław, jest trwanie przy tém, co całą siłą serca i umysłu swego człowiek uznaje za dobre i potrzebne...

— Nu, zawołał Żyd, a czy to potrzebne panu, żeby pan kłopotał się i jak parobek pracował na tym kawałku ziemi, kiedy pan może być gdzieindziej bogatym i swobodnym jak ptak?..

— Potrzebnem to jest nie dla mnie, ale dla kogoś czy dla czegoś, o co idzie mi tyleż, a może i więcej, niż o siebie.

W oczach Elego malowało się wytężenie myśli. Po raz pierwszy w życiu prowadził on rozmowę o rzeczach oddalających się od spraw materyalnych i zjawisk powszednich. Widać jednak było, że umysłem swym bystrym i otwartym przenikał znaczenie słów, które pochwytywał ciekawem uchem.

— A kto bo panu każe pilnować się téj zasady, która pana i pańskie dzieci do torby przyprowadzić może? zapytał raz jeszcze.

— Obowiązek, krótko odpowiedział Mieczysław.

— A z kąd ten obowiązek wychodzi? zapalając się coraz bardziej, wykrzyknął jeszcze Eli.

— Obowiązek ten wychodzi z serca, które kocha, i z sumienia, które rozróżniać umie dobro od zła.

Tym razem Eli powstał i stanął naprzeciw Mieczysława.

— Ja pana zrozumiałem, rzekł. Ja zawsze wiedział trochę jakie są pańskie myśli, a teraz wiem już dobrze. Ale przepraszam pana, że powiem: myśli pańskie piękne, honorowe, tylko niepraktyczne. Żeby to tak dawniej jeszcze... no; ale teraz, proszę pana, taki czas, że ludzie z wiatrem wojować przestali, bo przekonali się, że wiatr to wielka siła... tych co jemu sprzeciwiają się powali na ziemię, a sam jak dmie tak dmie. A jak ludzie o tém przekonali się, to i zrozumieli że przeciw wiatrowi iść nie trzeba, tyl-

ko być z nim w zgodzie i schodzić przed nim z drogi. Czy ja nie prawdę mówię, proszę pana, że teraz nadszedł taki czas?

Mieczysław poważnie i przecząco wstrząsnął głową.

— Nie, panie Eli, rzekł, czas taki nie nadszedł i nie nadejdzie nigdy. Walka ze złem, jakkolwiek byłoby ono silnym, nie przestanie być obowiązkiem i potrzebą ludzi poczciwych, odważnych i rozumnych; każda tylko pora inne im do walki téj podaje narzędzia i bronie. Dawniej ludzie walczyli mieczami, głośno, groźnie, burzliwie; dziś walczyć mogą i powinni tylko pracą,—pracą serc swych, głów i rąk, cicho, skromnie, poprostu. Dziś uznaliśmy i wiemy o tém, że każdy kto własne życie obroni od wszelkiej plamy i skazy, kto rozumnie i cnotliwie wychowa swe dzieci, myśl zacną pomiędzy ludzi rzuci, przykład z siebie da dobry, kawał nieurodzajnej ziemi użyźni, jakkolwiek ruch, jakiegokolwiek życie i bogactwo wywołała tam, kędy była przedtém jałowość, ruina i nędza,—ten jest dobrym rycerzem sprawy ludzkości, ten wedle siły spełnia swój obowiązek.

— Dlatego to, po chwili milczenia dodał Mieczysław, dlatego to i ja także nie chcę zejść ze stanowiska, na którym czuję się potrzebnym i użytecznym, nie chcę opuścić zadania, które umiłowałem sercem i za słuszne uznałem rozumem. Sposobiłem się do zawodu rolnika od młodości i umiejętności zawodu tego posiadam. Na żadnym innym miejscu, w żadnym innym zajęciu nie mógłbym tak jak w tém spożytkować sił swoich i zdolności. Sroga więc tylko, nieubłagana konieczność wytrąciłaby mię mogła z kolei mojej: dobrowolnie nie ustąpię.

Mieczysław przestał mówić, a Eli stał wciąż przed nim i patrzył mu w twarz dziwnym wzrokiem. We wzroku tym jaśniej, cieplej niż kiedykolwiek świeciły promyki życliwych, sympatycznych uczuć; ale oprócz tego był w nim podziw niby, niby głuche a nieokreślone cierpienie jakieś. Otworzył usta, aby coś powiedzieć, ale zawahał się i nie powiedział nic; spuścił oczy i myślał. Długo myślał. Na czole jego pogłębiały się rysujące je bruzdy. Wyprostował się nakoniec, postąpił krok naprzód i nie patrząc na Mieczysława, rzekł:

— Dziękuję panu, że pan ze mną rozmawiał jak z równym sobie człowiekiem. Ja nigdy o takich rzeczach nie rozmawiałem z nikim. Ja prosty Żyd nieuczony i tylko własnym rozumem, co mi go Pan Bóg dał, wybiłem się z nędzy i wielkiej ciemności. Ale ja pana zrozumiałem, i proszę żeby pan nie myślał, że ja nieprzyjacielem pańskim jestem....

Przy ostatnich wyrazach podniósł znowu wzrok na Mieczysława i zdawało się, że chciał wyciągnąć do niego rękę. Nie uczynił jednak tego. Cóż jakby nieśmiałość odmalowało się w jego postawie, coś jakby uczucie mimowolnego może lecz głębokiego szacunku skłoniło mu głowę nisko. Wziął z krzesła czapkę i nie rzekłszy już ani słowa, wyszedł z pokoju.

Mieczysław niedługo pozostał samotnym. Stara, poważna komnata napełniła się wkrótce wesołemi głosami dzieci, krokami kobiet, krzątających się około urządzania wieczornego posiłku. A jednak wieczór ten nie upływał dla mieszkańców Orchowa tak zupełnie, jak upływały im inne wieczory. Na głowach i sercach ich spoczął widocznie ciężar tłoczący. Poufne i swobodne zawsze rozmowy rwały

się co chwila i milkły. Mieczysław otwierał po kilka razy księgi swe gospodarskie i rachunkowe, ale rzuciwszy zaledwie okiem na ich karty, zamykał je, zdjęty jakby nieprzewyciężonem uczuciem zniechęcenia. Dzieci nawet, mniej pieszczone niż zazwyczaj, posmutniały i przycichły. Jedna tylko Michalina żwawo krzątała się wokoło rodzinnego stołu, nawiązywała rwącą się rozmowę i podsycala ogień na kominie, jakby głosem swym i blaskami domowego ogniska zagłuszyć chciała posępny szept wiszącego nad ukochanemi jęj głowami nieszczęścia jakiegoś, odegnać, choćby na chwilę, zbliżające się ku nim ciemności. Najczęściej zaś brała ona w objęcia swe małego syna Lili, a usta jęj lgnęły do białego czoła dziecięcia z taką mocą, jakby lękała się aby w domu jęj lub sercu nie stała mu się krzywda jakaś, aby gorzki wyraz narzekania i niechęci nie spłynął na niewinną jego głowę. Gdy nakoniec, przy schyłku wieczora stara babka, otoczona dziatwą, zniknęła w głębi domu, udając się na spoczynek, Michalina stanęła naprzeciw męża, z którym pozostała sam na sam, w nieruchomej postawie, ze spuszczonei oczami. Potem dotknęła stanika sukni, za którym ozwał się szelest ukrytego tam papieru, a usiadłszy tuż przy Mieczysławie, zwolna zarzuciła mu ramię swe na szyję.

— Drogi mój, zaczęła, mam z tobą do pomówienia.

Mieczysław, który z czołem opartem na dłoni siedział zamysłony i machinalnie, jak się zdawało, patrzył na długi szereg cyfr, wypisany w otwartej rachunkowej księdze, podniósł głowę i spojrzął na żonę. Ona bliżej jeszcze przysunęła się do niego i zeicha mówiła:

— Pamiętasz, drogi mój, że pora ta wieczorna, w której zostajemy zwykle sam na sam, była zawsze dla nas porą najpoufniejszych zwierzeń, najmilszych samotnych

rozmów. W godzinach tych obrachowywaliśmy z sobą zawsze wyniki prac naszych wspólnych, mówiliśmy o powodzeniu wspólnego dzieła naszego, roiliśmy najpiękniejsze nadzieje, dzieliliśmy się najswobodniej uczuciami i myślami swojemi. Postaw sobie teraz przed oczy wszystkie te dobre, ciche, kochane wspomnienia nasze, ogarnij myślą całą miłość moję dla ciebie...

Teraz drugiem ramieniem szyję jego otoczyła i pierśią lgnąc do jego piersi, wymówiła ciszej jeszcze:

— Dziś, najdroższy mój, ja w tój ukochanej godzinie naszej oznajmić ci muszę wieść smutną... gorzką...

Mieczysław pobladł lekko; w myśli jego błysnęła do-mysł dlań straszny. Ale wierna, wielka miłość ukochanej kobiety ogarniała go objęciem miękkim i zarazem silnym; przy piersi swój czuł przyspieszone uderzenia jój serca, oczy jój tonęły głęboko w jego źrenicach i zdawały się na promieniach swych nieść w umysł jego spokój i moc. Mi-mowolnym poruszeniem pochylił głowę swą ku jój głowie i na gorącym, nieskalanym czole składając pocałunek dłu-gi, szepnął:

— Mów, Michasiu. Nie mogę być zupełnie nieszcze-śliwym, mając ciebie.

Wtedy wyjęła ona z za stanika sukni gruby, żółty papier, we czworo złożony i urzędowemi napisami i pieczę-ciami poznaczony. Mieczysław wziął papier ten z jój ręki, a gdy położył go pod światłem lampy i czytać zaczął, ona zbliżyła twarz swą do jego twarzy i kibicią przylgnęła tak do jego piersi, aby ani na jedno mgnienie zapomnieć nie mógł o jój obecności i uczuć się samotnym.

Twarz czytającego mężczyzny bladła i rumieniła się naprzemian, oczy jego błyskały to gniewem i oburzeniem,

to bólem i rozżaleniem gorzkiem. Skończył czytać i niosąc dłoń do czoła, wymówił cichym, lecz przenikającym szeptem:

— Siostra to więc moja.... siostra!....

W wielkiem wzruszeniu swém nie więcej powiedzieć, nie mógł i twarz ukrywszy w dłoniach, pozostał nieruchomym. Ale Michalina pochylała wciąż głowę swą nad jego głowę.

— Spójrz na mnie, najdroższy mój! szeptala z prośbą, z naleganiem, spójrz na mnie!

Podniósł głowę i wzrokiem spotkał się z jęj oczami, i widział jak zachodziły one zwolna łą, nadaremnie wstrzymywaną, podczas gdy po ustach jęj drgających od tłumionego płaczu przewijał się uśmiech bezgranicznej miłości, uśmiech, który wśród boleści, i trwogi tęg chwili błyszczał pociechą i nadzieją, jak kwiat wyrastający wśród wichrów i słoń.

Patrzyli na siebie długo, milcząc, aż zwolna, zwolna z uśmiechu jęj, z uścisku jęj ciepłych, miękkich dłoni, z jęj łzy nawet spłynęły w pierś jego wzburzoną pociechą i nadzieją. Powstał i kładąc dłoń na złowrogim papierze rzekł z mocą:

— Nie, nie ustąpię i teraz jeszcze. Pojadę wszędzie, zawołam do wszystkich, użyję całych sił swych, aby cios ten ostatni i stanowczy już, odeprzeć. Wszak formalności prawne zająć im będą musiały dwa lub trzy miesiące. Przez czas ten znajdę może gdziekolwiek kredyt, pożyczkę, ustąpią mi może z drogi intrygi i podstępny człowieka tego, w którym zdaje mi się że ujrzałem dziś uczucia jakieg ludzkie i dobre.... Kto wie?..

Przy ostatnich wyrazach zwrócił się znowu do żony.

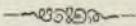
— Dziękuję ci, Michasiu, rzekł cichym głosem, dziękuję ci!..

Chciał mówić więcej, ale głos jego zadrżał i zmienił się w szept cichy:

— O mój ty dobry, czysty aniele! mój ty aniele pociechy, miłości i mężstwa!

Długo, długo w noc czerwony blask dogasającego ogniska oświetlał ich postacie, złączone w uścisku, ich twarze zbliżone ku sobie, a poufną, rozważną rozmowę przerywające pocałunkami miłości.

Urzędowy papier leżący pod światłem dogorywającej lampy, był pozwem sądowym, wzywającym Mieczysława o natychmiastową wypłatę 20,000 rubli. Lila prawo swe do téj summy, ze wszelkimi formalnościami przelała na Ildefonsa Poryckiego, który poszukiwał jój teraz na Orchowie drogą prawną, jako osobistój własności swojej.



VIII.

Ildefons Porycki przechadzał się po niewielkim, lecz ładnie umeblowanym pokoju. Pokój ten znajdował się na drugiem piętrze kamieniczki, która, stojąc śród dziedzińców i ogrodów, przedstawiała schronienie samotne i ustronne, od gwaru ulic i wzroku miejskiej ludności oddalone.

Twarz głównego agenta zdradzała żywy niepokój. Przed kilku dniami wysłał on był do Orchowa, za pośrednictwem władz miejscowych, pozew urzędowy o wypłacenie summy posagowej L li. Nie uspokajało go to jednak zupełnie. Młody dziedzic Orchowa, który dotąd niczem skutzić ani zgnębić się nie dał, mógł i tym razem także zapobiedz grożącej mu katastrofie, zapomocą jakichkolwiek obrotów gospodarsko-finansowych. Porycki czuł, że na samo przypuszczenie to krew mu nabiegała do czoła. Zawzięciebo też nienawidził on człowieka tego, który życiem swém i zasadami, postępami i słowami ranił śmiertelnie jego miłość własną. Dla pomyślnego przeprowadzenia planów, osnutych w celu ostatecznego zgnębienia nienawistnego sobie człowieka, Porycki potrzebował, koniecznie potrzebował pomocy i współdziałania Elego. Owóż właśnie kilka dni już

minęło, odkąd Eli, po wspólnej z nim naradzie, udał się do Orchowa, dla powzięcia na miejscu dokładnych informacji o położeniu i obecnych usposobieniach Mieczysława. Porycki wiedział dobrze, iż wycieczka ta Elego trwała bardzo krótko, że wrócił z niej oddawna, że obecnie znajdował się w mieście i zwykłym sobie spokojnym trybem wiodł różne sprawy i sprawki, których liczne nici spoczywały w jego rękach. Przez czas ten mógł on już dziesięć razy być u współnika swego, a nie był ani razu. Co znaczyła zwłoka ta? Dlaczego czynny i sprytny Izraelita, tak pilnie zazwyczaj chodzący około załatwianych przez się interesów, zaniedbał się tym razem w tak uderzający sposób? Byłaż to z jego strony niechęć jakaś, lub niewytłomaczone ostygnięcie dla rozpoczętej tak pomysłnie, a tyle korzyści obiecującej sprawy? Czy może spotkał się on z przeszkodami jakimiś, które obalać i zwyciężać usiłował na własną rękę, bez porady i pomocy współnika swego? Pytania te i wątpliwości niepokoiły mocno głównego agenta, i teraz właśnie, przechadzając się po niewielkiej swój bawialni, myślał on nad tém, czy należy mu udać się do mieszkania Elego, czy też oczekiwać zjawienia się Izraelity. Niecierpliwa i burzliwa strona charakteru jego zaczynała właśnie brać górę nad rozsądną i przebiegłą; chwycił już za czapkę i miał wyjść na miasto, gdy otworzyły się drzwi przedpokoju i do bawialni wszedł Eli Makower.

Postawa Żyda była, jak zawsze, obojętna, spokojna. Powitany przez głównego agenta z pośpiechem i uprzejmością, niezwykłą, rozpoczął on rozmowę o przeróżnych wspólnych im sprawach. Mówił zwolna i poważnie, ale w sposób tak stanowczy, że przez dobry kwadrans Porycki ani toku rozmowy zmieniać, ani pytań żadnych zadawać nie

mógł. O wycieczce swój do Orchowa i powziętych tam wiadomościach Eli najlżejszem słowem nie wspominał. Trzymał się on zdala od przedmiotu tego tak upornie, jakby o nim zupełnie zapomniał, jakby dlań nie istniał. Porycki rozumiał taktykę Izraelity ale powodów jej odgadnąć nie mógł. Uczuł że Eli nie chce z nim mówić o sprawie, która na teraz zajmowała go prawie wyłącznie, namiętnie, i... zadrzał w głębi. Hamował się długo; gdy jednak Makower powstał i zabierał się do wyjścia, zawrzał gniewem na człowieka tego, który nie rozumiał lub rozumieć nie chciał dręczących go uczuć, i żywiej może niżby sam pragnął tego zapytał:

— A cóż pan zrobiłeś w Orchowie? Jakże tam dzieje się z naszym rycerzem niezłomnym? Czy podobało mu się bardzo to pisemko, któreśmy mu przed kilku dniami wysłali? Czy zawsze trwa w mniemaniu, że siebie i dzieci swoje karmić będzie cnotą, a odziewać ideałami?...

Byłby dłużej jeszcze mówił w ten sposób, bo gwałtowne i złośliwe uczucia, z którymi oddawna nosił się w milczeniu, podniosły się mu w piersi falą wrzącą, bryzgając przez usta zjadliwemi wyrazami. Ale Eli przerwał mu mowę.

Wię pan co? rzekł zwyczajnym sobie, obojętnym sposobem, ja z tego interesu kwituję i mieszać się do niego nie chcę.

— A toż dlaczego? wykrzyknął agent główny, rumieniając się i przenikając Izraelitę ostrym wzrokiem.

— Niech już pan pozwoli, żebym ja panu nie mówił dlaczego ja co chcę robić, a dla czego nie chcę.

Mówiąc to, wziął za czapkę i miał się znowu ku odejściu. Ale Porycki zatrzymał go gestem i wejrzeniem

w którym z za gniewnego wzburzenia, przebijała się już chytra rozważa.

— Panie Eli, rzekł urywanym głosem, bo tłumił gwałtowne uczucia swe i pragnął okazać się zimnym, nie czyni pan tego, nie porzucaj tej sprawy. Pan wieśz jakim jest położenie moje w Domu pośrednictwa. Jestem osobistym przyjacielem barona von R.; jedno słowo napiszę do niego, jako do prezesa stowarzyszenia naszego, a przestanie pan być agentem Domu pośrednictwa.

Groźba ta, która w istocie ważną była dla Elego, nie sprawiła jednak na nim wrażenia żadnego. Uśmiechnął się lekko i odpowiedział:

— Gdybyś pan zrobił to co pan powiedział, ja straciłbym wiele, to prawda. Ale pan tego nie robi.

— Dlaczego nie zrobię? zawołał Porycki. Gdy tylko zechcę, zrobię...

— A ja mówię, że pan nie zrobi tego, bo i ja także mógłbym panu cokolwiek zrobić, coby dla pana bardzo nieprzyjemnym było.... Jaby tylko poszedł do jednego urzędnika, którego znam, — on zdaje się prokuratorem jest, — i powiedziałbym jemu...

— Dość już tego, dość! zawołał półgłosem agent główny i ze wzrokiem wbitym w ziemię, z pobladłą trochę twarzą zaczął znowu przechadzać się po pokoju.

Żyd patrzył w niego wzrokiem obojętnym, nawpół szyderskim.

— No, rzekł po chwili, dobranoc panu. A niech pan pamięta o tym majątku, o którym ja panu mówił. To nowy szczupak, którego ja odkrył i zaraz do swego stawu prowadzę... Dobranoc!

Porycki postąpił śpiesznie ku zbliżającemu się do drzwi współnikowi.

— Panie Makower, rzekł, tu żartów niema żadnych. Baron żąda koniecznie, aby Orchów nabytym dlań został.. Ja nie mogę narażać się baronowi, a i panu nie radzę, abyś to czynił. Nie wiem jakie powody skłaniają cię do opuszczenia interesu tego, wiem tylko to, że jeżeli przerwiesz działalność swoją w tój mierze, Orchowski las swój sprzeda, albo pożyczkę jaką zaciągnie i dług siostry, który jest teraz moim, spłaci...

— To i cóż że spłaci? zagadnął obojętnie Żyd; niech sobie spłaca.

— A jak go spłaci, ciągnął agent główny, to żadna siła nie skłoni go wtedy do sprzedania majątku.

— A choć on nie sprzeda swego majątku, to co tak ważnego stanie się? Albo jego majątek jeden na świecie?

— Stanie się to, że pan, panie Eli, utracisz na tém sześć tysięcy rubli.

Żyd poraz pierwszy w ciągu tój rozmowy z wyrazem zajęcia, a nawet i zdziwienia, na współnika swego spojrzął.

— Jakto sześć tysięcy? Ja miałem wziąć za ten interes tylko dwa tysiące.

— Tak, ale inne dwa należéć miały do mnie. Otóż panie Eli, jeżeli nikt od Orchowskiego lasu nie nabędzie, nikt mu nie pożyczycy żadnej summy, nikt słowem żadnego finansowego obrotu dokonać mu nie pomoże, ja ci część zysku swego odstąpię, a oprócz tego obowiązuję się wydobyć od barona, mniejsza już jakim sposobem, jeszcze dwa tysiące rubli, które do pana należéć będę... Wiész pan dobrze, iż ani oszukać cię, ani niedotrzymać ci słowa nie mogę...

Ewikecya najlepszą masz na bezpieczeństwie własnej osoby mojej, która do pewnego stopnia jest w twojej mocy.

Mowy tój Izraelita słuchał zrazu z obojętnością, która jednak była widocznie albo całkiem udaną, albo z trudnością wymuszoną. Stopniowo podnosiły się oczy jego na twarz głównego agenta i coraz żywiej błyszczeć zaczynały. Bruzdy na czole jego pogłębiały się, jak bywało zwykle, gdy namyślał się nad czemś głęboko, lub uczuwał się silnie wzruszonym. Pochylił nakoniec głowę i pozostał przez parę minut nieruchomy, a tylko palce jego szybkim i niespokojnym ruchem uderzały o poręcz fotelu, przy którym stał. Porycki spoglądał na niego wzrokiem w którym błyszczały tryumf i radość. Uśmiech napoły szyderski, napoły zadowolenie głębokie objawiający, przesuwiał się po wargach jego wargach.

— Dobranoc panu, rzekł nakoniec Eli, głowę podnosząc i czapkę znowu ujmując. Pomyślę nad tém co mi pan powiedział... zobaczę jak to będzie i jutro panu powiem. Dobranoc.

Ze słowami temi odszedł.

Przebywszy parę dziedzińców, dzielących ustronną kamieniczkę od ulicy, Eli kilka kroków zaledwie uszedł chodnikiem i spotkał się oko w oko ze śpiesznie biegnącym bratem swym, Mendlem. *Wielki faktor* biegł tak szybko, że aż rękami rozmachiwał i głośno sapał. Spostrzegłszy brata, stanął i za ramię go pochwycił.

— Ja ciebie, Eli, od dwóch godzin po całym mieście szukam, rzekł, sapiąc, a teraz do pana agenta biegłem, bo domyśliłem się, że ty do niego poszedł.

— No! a co tam takiego pilnego? czego ty odemnie

chcesz? z odcieniem złego humoru w głosie zapytał brat starszy.

Mendel zwrócił się w stronę, w którą szedł Eli i zwalnając kroku, rzekł ciszej i z pewną tajemniczością:

— Orchowski przyjechał do N.

Wymówiwszy to, spojrzął na brata pytającym wzrokiem, ale odpowiedzi żadnej nie otrzymał. Eli szedł zwolna, z rękami w tył założonemi, i patrzył w ziemię. Mendel mówił dalej:

— Jak tylko on przyjechał, to zaraz do Rozenbluma poszedł. Rozenblum dwa lata już o jego lesie mówi, że chciałby go kupić. Jak oni teraz zaczną ze sobą na cztery oczy gadać, to może co z tego wyniknie. Mnie się zdaje, że ja powinienem zaraz do Rozenbluma iść i powiedzieć mu, żeby się bardzo nie śpieszył, bo jak baron Orchów kupi, to mu ten las taniej sprzeda.

Przestał mówić i znowu pytająco na brata swego, mistrza i dobroczyńcę patrzył. Eli szedł wciąż jednostajnym, powolnym, równym krokiem, spoglądał w ziemię i milczał.

Mendel znowu mówić zaczął.

— Jak on wrócił od Rozenbluma, to miał bardzo smutną twarz, bo Rozenblum to wielki i rozumny kupiec bez faktorów nie robi pewności jemu żadnej widać nie dał. On obiad zjadł i poszedł do Szwarca. A czego on mógł do Szwarca chodzić? czy to nie wiadomo kto to Szwarz i czem zajmuje się? On bogacz i panom na wielkie procenta pieniądze pożycza. A wiesz ty, Eli, że jak Orchowski da naszemu *Szwarcu* wielkie procenta, to on jemu pożyczy. Mnie się zdaje, że trzeba żebyś ty sam do Szwarca poszedł i pogadał z nim, jak ty umiesz, a jeżeliby on upierał się, to żebyś i do rabina jego poprowadził, i cherym jemu dał.

Umilkł i błyszczącymi swemi oczami bystro i niepokojnie w twarz brata popatrzył. Ale i tym razem także odpowiedzi żadnej nie było.

Mendel rzucił się niecierpliwie, aż mu płaszcz z ramion się osunął.

— Ny! zawołał, co tobie stało się, Eli? Czego ty milczysz? Czy tobie kto gębę przypieczętował?

W tej chwili na wieży miejskiej zegar donośnie i powoli wygłosił dość późną dzienną godzinę.

Mendel schwycił się za głowę.

— Gwałt! zawołał. Zaraz noc będzie. Rozenblum, odkąd zrobił się bogaczem, nikogo wieczorem widzieć nie chce i o żadnych interesach nie gada, tylko ze swoją *bałabosta* i z gośćmi w pokojach siedzi... I u Szwarca bramę zamykają, jak tylko zciemni się. Ny, Eli, czy *mnie iść* do Rozenbluma i do Szwarca, bo jak ja dziś do nich nie pójde, to Orchowski jutro rano pójdzie i nasz wielki interes przepadnie.

Stanęli na rogu ulicy, u załomu muru. Z przeciwnej strony otwierającego się w tem miejscu placu, na drugim piętrze okazałej kamienicy, błyskały zapalonem w tej właśnie chwili światłem okna kupea Rozenbluma, bogatego, drzewem handlującego Izraelity. Mendel rzucał na okna te niespokojne spojrzenia. Eli milczał jeszcze i patrzył w ziemię.

— Nu, Eli, ja idę! nie mogąc zda się ustać na miejscu, zawołał wielki faktor.

Wtedy poraz pierwszy w ciągu rozmowy Eli oderwał wzrok od ziemi i zamyślonemi oczami powiódł dokoła. Otworzył usta, aby na usilne pytania brata odpowiedzieć, ale i tym razem jeszcze nie rzekł nic. Placem przechodził męz-

czyzna wysoki i kształtny. W zmroku który zapadał, twarz jego nie było można rozpoznać, ale wzrostem, postawą i ruchami przypominał on Mieczysława. Eli wiódł spojrzeniem za przechodniem owym, dopóki nie zniknął za tą właśnie kamienicą, w której mieszkał Rozenblum, a potem zwrócił się do brata i wymówił zwolna:

— Może ty Mendlu jutro do Rozenbluma pójdziesz?

Faktor, który także zauważył przechodnia, wybuchnął.

— Co tobie stało się, Eli? ty dziś zupełnie inny człowiek jak zawsze. Sieh! dodał, wyciągając rękę ku wysokiej ścianie, za którą zniknął przechodzień, mnie się zdaje, że to Orchowski poszedł. A gdzie on poszedł? on poszedł z Rozenblumem targu dobijać! A ty mówisz żebym ja tam jutro szedł? Pfu! jutro już tam będzie po wszystkiém!

Eli spoglądał na oświetlone okna kamienicy i szeptał coś bardzo zcicha, jakby rachował summy jakieś, bo w szepcie jego zabrzmiały głośniejsze nieco wymawiane wyrazy: *sechs tausend und vierzig, sechs und vierzig*.

— Sechs tausend! wymówił nakoniec głośno zupełnie, podniósł głowę, pogłaskał małą bródkę, a oczy zamigotały mu żywo i ostro.

— Idź do Rozenbluma, rzekł szybko, niezwykle szorstko, i odwróciwszy się od brata, w inną podążył stronę. Ale Mendel dopędził go.

— A co ze Szwarcem będzie? zapytał.

— Du dummes Geschöpf! co tobie do tego? krzyknął niemal Eli. Ja tobie mówię żebyś ty do Rozenbluma szedł, to ty idź. Ze Szwarcem już ja sobie dam radę bez ciebie.

Nigdy jeszcze w życiu Mendel nie słyszał brata swego tak szorstko i gniewnie mówiącego. Bywał on zwykle dla rodzeństwa i dla wszystkich zresztą, swych współwy-

znawców łagodnym, wyrozumiałym, przyjacielskim. „Aj aj! jaki *un* delikatny!” mawiali o nim Izraelici. Nagle delikatności tej zbrakło Elemu względem rodzonego brata, którego wykierował sam na wielkiego faktora naukami swemi i dobrodziejstwami, a to właśnie w chwili, w której brat ten oddawał mu ważną, żadaną przezeń usługę. Ale Mendel nie zastanawiał się bynajmniej nad psychologicznymi przyczynami, które zmianę tę w obejściu się jego brata spowodowały. Puścił się wielkim pędem przez plac mroczny i zniknął w bramie kamienicy, przez bogatego kupca Rozenbluma zamieszkiwanąj.

Gdy powyższe rozmowy toczyły się na ulicy pomiędzy izraelskimi braćmi, Ildefons Porycki, po odejściu Elego, lekkim krokiem i z uspokojoną zupełnie twarzą zbiegłszy ze schodów, wchodził do mieszkania o jedno piętro niżej położonego. Tam, w pokoju z wdziękiem i wygodą przybranym, stała u okna, szarym już mrokiem przyćmionego, szczupła, wysoka postać kobiéca, otulona grubemi fałdami szala, z pod którego wypływała powłóczęsta, szeleszcząca suknia. Głowa jéj, strojna w olbrzymie zwoje krucznych włosów i w przeplatające je sznury koralu, chyliła się ku szybie, a oczy zapadłe nieco, znudzone spojrzenia przesuwwały po dość obszernym, lecz brzydkim, pustym dziedzińcu. Usłyszawszy stuk otwierających się drzwi, Lila głowę odwróciła i widząc wchodzącego Ildefonsa, z lekkim okrzykiem odskoczyła od okna. W okrzyku tym była bezsprzecznie radość, ale było też w nim nieco zmieszania, obawy prawie.

Porycki wziął obie ręce kobiety i długo trzymał je przy swych ustach.

— Pani moja, zaczął, znowu przez okno na świat wyglądała?..

W słowach tych brzmiała lekka, ironiczna nieco wymówka.

— Mój Boże, mówiła kobieta, głowę jakby pod ciężarem wymówki tej schylając, usłyszałam kroki czyjes na dziedzińcu i spojrzałam w okno... tak... mimowoli prawie...

— Nudzisz się, Lilo, tęskno ci za ludźmi... ciągnął Porycki, siadając obok niej na kanapie i rękę jej, której mu nie odbierała, zatrzymując w swęj dłoni.

W głosie jego brzmiał smutek. Kobieta uczuła się nim dotkniętą, bo szybko ku niemu twarz zwróciła i zawołała z pośpiechem.

— O nie! nie! Hdefonsie, nie nudzę się wcale! nie tęskno mi za ludźmi, pomiędzy którymi nie znalazłam nikogo, nikogo podobnego do ciebie! Owszem, jestem bardzo szczęśliwa, tak szczęśliwa, jak nie byłam nigdy!

Głos jej zabrzmiał przy ostatnich wyrazach tonem jakimś fałszywym, nie takim jednak, który zdradza kłamstwo. Kobieta ta usiłowała widocznie wmówić w samę siebie że jest szczęśliwą, i wyraz ten powtarzała zawzięcie, z ogniem niezwyčajnym, jak gdyby pragnęła dźwiękiem jego zagłuszyć niepewności jakieś, bóle, trwogi, które pomimo woli i wiedzy swęj uczuwała.

Ale ucho Poryckiego zbyt wprawne było i czujne, aby tego fałszywego tonu w głosie Lili nie miało dosłyszeć.

— Dlaczegoż więc, zaczął, tak często, jak więzień jaki, wyglądasz przez okno? dlaczego tak uważnem uchem

ścigasz każdy szelest niezwyčajny w domu lub za domem? Masz więc w głowie swęj myśli jakies, które nie należą do mnie, w sercu pragnienia, których ja zaspokoić nie mogę! Ale ja nie chcę tego, Lilo, ja nie chcę abyś choć na jedno mgnienie oka odwracała myśl swą i wzrok odemnie ku komu lub czemu innemu. Pragnę posiadać cię całą, z ciałem twém i duszą, z myślami i uczuciami, posiadać cię zupełnie, wyłącznie!

Mówił to z porywczoscią w głosie, z namiętą zazdrością w oku i na twarzy. O! jakże tém pragnieniem wyłącznego posiadania kobiety, której piękność i sama uległość może, której bezgraniczne, dziecięco-naiwne oddanie się mu wzbudziło w nim naprawdę uczucie gwałtowne i burzliwe, jakże pragnieniem tém zaprzeczał on zasadam, które wyznawał i w nią wpajał, zasadam bezwarunkowej pomiedzy ludźmi wspólności dóbr wszelkich i swobodnej miłości! Ale ona nie dostrzegła nawet przeciwnstwa pomiedzy słowami jego i uczuciami. Ją namiętna ta mowa zachwycała, upajała. Wstrząsnęła przecząco śliczną swą strojną głową i szepnęła mu cicho, słodko:

— Nie, nie, Ildefonsie! ja za niczém nie tęsknię, niczego nie żałuję i nie mam żadnych uczuć ni myśli, któreby nie należały do ciebie! Jednej tylko rzeczy, jednej jedynęj pragnę bardzo, ze wszystkich sił swoich... ty wiesz, Ildefonsie, czego!

Ostatnie słowa wymówiła z wybuchem i wpatrzyła się w kochanka z błaganiem, z trwogą. On uśmiechnął się.

— Wiém, rzekł, pragniesz coprędzėj zostać uznaną przez świat żoną moją... Lękasz się, lękasz się zawsze, Lilo, świata i jego głupich krzyków.

Dla niej nie było nic straszniejszego, nad jego przyganę, nad jego szyderstwo. To też zawołała spiesźnie:

— Nie! nie! Hldefonsie, nie lękam się niczego! Jestem śmiałą, odważną, taką... jaką powinna być kobieta w tym świecie naszym, o którym mówimy z tobą tak często... A jednak...

Zawahała się i po chwili dopiero dodała niepewnym głosem.

— A jednak... chciałabym abys mi powiedział, czy uczyniłeś już kroki jakie...

— Względem czego? zapytał Porycki, nie rozumiejąc niby, w gruncie zaś dla zyskania chwili czasu do namysłu nad odpowiedzią.

— Względem rozwodu mego, szepnęła kobieta.

On otoczył kibić jej ramieniem.

— Cierpliwości, rzekł, najdroższa moja, cierpliwości i męstwa! Z czasem wszystko będzie zrobione. Niech tylko brat twój wypłaci nam należne pieniądze, a będziemy mieli stosowne środki...

— O! Mieczys odda, zaraz odda najpewniej tę bagatelną sumę! Dlaczegożby oddać nie miał? Jemu to wszystko jedno, prędzej czy później...

Mówiła to z rozjaśnioną twarzą i zupełnie swobodnym tonem. Ani jej przez myśl nie przeszło, że drobna jej ręka napisała przed kilku dniami wyrok na brata— wyrok... może zguby jego. Pieniądz?.. alboż rozumiała wagę jego i znaczenie? Brat?.. alboż znała w istocie brata swego? alboż rozumieć mogła myśli jego i dążenia? alboż człowiek który stał się jej mistrzem, nie uczył jej gardzić ideą rodziny?

Teraz pochyliła ona na dłoń głowę i rozmarzona szepnęła:

— O Ildefonsie! gdyby to prędzej nastąpić już mogło! gdyby prędzej!...

Porycki wstał i uśmiechając się, wyjął z kieszeni spore, podługowate pudełko.

— Przyniosłem to dziś pani mej z wycieczki na miasto... Dość ładna to rzecz, a ty lubisz ładne rzeczy.

Gdy Lila otwierała pudełko, Brygisia wniosła na tacy dwie zapalone świece. Z pudełka błysnęła, na tle aksamitnym złożona, para kolców, ładnych w istocie, misternej roboty i modnego kształtu.

— Och! jakie ładne! zawołała kobieta, zapominając o zmieszaniu z jakim zrazu dar przyjmowała i aż do najlżejszego śladu otrząsając się z przedchwilowego rozmarzenia. Stała przed lustrem i włożyła w uszy długie, perłami zdobne kolce. Zamigotały one z dwóch stron jej twarzy bladej, schudłej znacznie, noszącej na sobie widoczne piętno wzrastającej coraz chorobliwości.

Porycki z uśmiechem zadowolenia patrzył na zajętą nowym strojem kobietę i rozkochanym wzrokiem obejmował kibić jej delikatną, wątlą, ale dziwnie kształtną i pełną. Nagle jednak czoło jego rozjaśnione schmurzyło się i w oczach błysnęło posępne światło? Spojrzenie jego padło na list pocztowym stemplem opatrzony, który razem ze świecami przez służącą przyniesiony, leżał na tacy. Po adresie bystre oko jego poznać musiało, od kogo list ten przybywa. Gwałtownym poruszeniem wziął z tacy zapieczętowane pismo, zgniótł je w dłoni i tak szybko opuścił pokój, że Lila, odwróciwszy się od zwierciadła, wydała okrzyk zdziwienia, spostrzegając że jest samą.

Znalazłszy się w mieszkaniu swem na drugiem piętrze, Porycki zbliżył się do zapalonej lampy, którą wniósł za nim służący, i rozdarszy kopertę, przebiegł oczami zawarte w niej pismo, poczem zaraz zdarł je na drobne części, które dla większego zda się bezpieczeństwa rzucił jeszcze na dopalające się w piecu węgle. Uczyniwszy to, usiadł natychmiast za stołem i prędko bardzo, pismem zamaszystem, gwałtowne uczucia zdradzającym, nakreślił na ćwiartce papieru następujące słowa:

„Moja droga! Gniew twój i niecierpliwość, gniewają mnie i niecierpliwią nawzajem. Nie wiem doprawdy, czego chcesz odemnie? Czy jestem milionerem, abym ci mógł posyłać wciąż summy bajecznej wielkości, albo z założonymi rękami siedzieć przy tobie i bawić się patrzeniem w oczy twe, które powinny były dotychczas nauczyć się rozważniejszego i chłodniejszego spoglądania na świat i na wzajemne stosunki nasze? Zamiar który mi w ostatnim liście swym objawiasz uważam za szaleństwo i obawiałbym się go w istocie, gdybym nie był pewny, że do wykonania go nie masz dość ani środków pieniężnych, ani odwagi. Pisałem ci już nieraz o tém, że robię tu świetne interesa i jestem na drodze do zebrania znacznej fortuny. Wiadomość ta powinna wystarczać ci do czasu, w którym sam uznam za potrzebne i możebne wezwać cię do siebie. Proszę być cierpliwą, rozsądną i nie przeszkadzać mi, wiesz bowiem dobrze, iż byt twój, nietylko twój, ale i innych jeszcze osób, o które tak bardzo się troszczysz, znajduje się w moim ręku. Strzeż się więc, Julio, i nie gniewaj mnie zbyt mocno, bo gdy zechcę, będę mógł sprawić ci daleko więcej złego, niż te drobne przykrości, które mi w listach swych tak gorzko wyrzucasz. Życzę ci dobrej pamięci, któ-

raby ci nieustannie przypominała słowa moje i przestrogi, a pewny jestem że dla własnego interesu swego będziesz im posłuszną.”

Podpisał list ten, zaadresował i włożywszy go do kieszeni futrzanego paltota, który przywdział pośpiesznie, opuścił mieszkanie.

Schody ustronnéj kamieniczki słabo oświetlone były palącym się u ich szczytu płomykiem gazowym. Zaledwie Porycki, zstępując na dół, minął pierwsze piętro, gdy śród bladego oświetlenia tego ujrzał wstępującą z wolna naprzeciw siebie postać męzką. Rozmijając się z Poryckim, mężczyzna w wytartym płaszczu uchylił czapki, przez co ukazał wielką łysinę, mocno siwiejącemi włosami otoczoną. Był to Fabian Łozowicz. Porycki oddał mu ukłon i zstąpiwszy kilka stopni niżej, rzucił za nim podejrzliwe, niechętné spojrzenie.

— Zkąd on się wziął tutaj? szepnął, i poco do Lili idzie? Czyżby go sama przyzwała?

— W każdym razie, dodał, wychodząc na dziedzińiec, nie jest-to człowiek niebezpieczny dla mnie. Głupiec i mazgaj.

Lila tymczasem siedziała przy stole, z czołem na dłoni opartém. Pod światłem lampy błyszcząły w otwartém pudełku ładne koleczki, które tak bardzo ucieszyły ją przed chwilą; ale teraz nie patrzyła już ona na nie. Twarz jej blada okryta była znowu wyrazem tęsknego zamyślenia, w zapadłych oczach palił się ogień niepokoju i tajemnej jakiejś żalości, prześliczne, jakkolwiek blado-różowe zaledwie, usta drgały tłumioném poziławaniem. Nagle, śród milczenia zalegającego niewielkie lecz wykwintne mieszkanie, otworzyły się drzwi. Lila odwróciła głowę, spojrzała, po-

skoczyła z krzesła i z wykrzykiem zdumienia i radości wyciągnęła rękę ku Łozowiczowi, który nieśmiało i smutnie jakoś zatrzymał się w bliskości progu.

— Czy pani nie gniewasz się na mnie za to, że tu przyszedłem? zapytał gość, całując podaną sobie rękę,

— Ja! ja miałabym za to gniewać się na pana? zawołała Lila. Ależ ja nigdy nie spodziewałem się, abyś pan pamiętał jeszcze o mnie!..

Szkarlatny rumieniec oblał schudłe jej policzki, gdy to mówiła. Tłoczące uczucie jakieś pochyliło nisko jej głowę.

— O, panie Fabianie! szepnęła, ściskając z całej siły dłoń starego znajomego swego, pan więc nie stronisz odemnie, jak czynią to teraz wszyscy inni ludzie? paⁿ mną...

— Nie kończ pani, proszę na wszystko, nie kończ strasznych słów tych, żywo i ze łzą, która nabiegała mu do oka, przerwał Łozowicz. Cóż robić? mówił dalej; różnie się plecie na tym tu Bożym świecie, a co się stało, odstać się jeszcze może. Ja jestem zawsze z jednostajną dla pani przyjaźnią. Mój Boże, znałem panią wtedy jeszcze, gdy byłaś małą, podrastającą dziewczeczką... więcej do anioła, niż do ziemskiej istoty podobną... Myślałem nie raz, ale sto razy, żeby przyjść do pani, ale nie śmiałem: obawiałem się wyrządzić pani przykrość odwiedzinami swemi. Dziś jednak spotkałem na mieście służącą pani, tę pocziwą Brygisię, a gdy ona powiedziała że bywasz pani często samą i smutną, gdy zaręczyła mi że nie będziesz ze mnie bardzo nierada... przyszedłem!

— Dziękuję! o, dziękuję! szepnęła Lila i patrzyła na starego przyjaciela dziecińczych i młodzieńczych lat swych

tak uparcie i z takim wyrazem, jakby wraz z nim stanęły przed jej oczami wszystkie owe ubiegłe lata, z całym szeregiem napełniających je postaci ludzkich, miejsc i wydarzeń, z tém wszystkiém słowem, z czem zerwała, czego wyparła się, a co jednak owiewało ją teraz niby fala rodzinnego powietrza, niby echo oddalonéj jakiéjs, smętnéj melodyi. Ale i Łozowicz patrzył na nią łzawemi oczami. Wziął znowu jej rękę i rzekł:

— Przebacz pani pytanie moje. Czy przynajmniej.. jesteś pani szczęśliwą?

Lila uczyniła wysilenie, aby otrząść się z pochłaniającej ją zadumy.

— O tak! odparła, siląc się widocznie na moc i swobodę głosu, jestem szczęśliwą, bardzo szczęśliwą! tak szczęśliwą, jak nigdy jeszcze nie byłam!

Gdy domawiała ostatnich wyrazów, nagłe drżenie przebiegło po jej obliczu. Szybkim, instynktowym ruchem zakryła twarz batystową chustką, a płacz gwałtowny, spazmatyczny wstrząsnął całym jej ciałem.

— O mój Boże, splatając żałośnie ręce, zawołał Łozowicz, pani płaczesz? Mamże ztąd wnosić, że człowiek dla którego poświęciłaś wszystko nie zdołał ..

Lila nie dała mu skończyć. Płacz jej ustał nagle, a choć łez kilka płynęło jeszcze po jej policzkach, siedziała wyprostowana, na białych ustach miała uśmiech, a w wilgotnych oczach iskrę gorącą.

— O nie! nie! wyrzekła z mocą, tym razem nieudaną wcale; pan nie wiesz jaki to człowiek i jak on mnie kocha! To mój ideał, panie Fabianie! Jest on dla mnie tak dobry, że wypowiedziećbym tego nie potrafiła. To też kocham go, kocham nad życie nad wszystko w świecie, z ca-

łych sił moich, i nic, nic na ziemi, żadna potęga, żadna wzgarda głupiego świata (tu głos jej zadrżał znowu lekko) rozłączyć nas nie zdoła!

Łozowicz smutnie patrzył na mówiącą tak kobietę.

— Szczęśliwy! szepnął i westchnąwszy zcicha, dodał nieśmiało: Ale dlaczegoż... dlaczegoż pani płakałaś?

— Tak jakoś... zdenerwowana trochę jestem, całkiem swobodnie już odparła Lila i przybierając na sofie postawę w której przebijała się dawna pieśzcotliwość jej i zalotność, dodała: Powiedz mi pan proszę, cokolwiek o świecie, o ludziach... Tak dawno już ich nie widziałam! Nie tęsknię wcale za nimi, dobrze mi bez nich... pogardzam nawet tym bezmyślnym, przesądnym tłumem, z którym zerwałam; ale pan, który żyjesz wśród świata, powiedz mi co o nim!

Zaprawdę, Fabian Łozowicz nie mógł zbyt wesołych o świecie wieści udzielić tej, która go o nie zapytywała, położenie bowiem w jakim znajdował się obecnie nie wcale wesołego w sobie nie zawierało i do wesołych na świat poglądów bynajmniej nie usposabiało. Miesiące minęły, odkąd opuścił on Łozowę, miejsce w którym urodził się sam, w którym snem wiecznym usypiali dziadowie, a oczy swe do życia otworzyły dzieci jego. Działo się to w jeden z tych dni jesiennych, suchych i pogodnych, w których słońce przesyłać się zdaje drętwiejącej ziemi smętny lecz promienny uśmiech pożegnania, srebrne pajęczyny polotne rozwieszają siecie nad polnemi krzakami, a drzewa, drząc pod chłodnym powiewem, strącają pod stopy przechodnia purpurę i złoto.

W łozowskim domu panowały od wczesnego poranku ruch, gwar i krzątanie wielkie. Pani Adela, w podróżnym tołubku, przepasanym skórzanym paskiem, chodziła po domu i dworze całym, z pokoju do pokoju, od budynku jednego do innego przechodząc, niby układając coś do drogi, przyrządzając, porządkując, w gruncie jednak nic a nic nie czyniąc. Rysy twarzy jej zwiędłe i przez ostatnie szczególniejsze lata nad wiek zestarzałe, sztywne były i cerą żółtawej bladeści pokryte; wąskie usta zaciśnięte, oczy suche, z nieruchomą źrenicą. Z pozostałych we dworze rezydentów dwaj ślad w ślad za dawną panią dworu tego chodzili, usiłując rozpoczynać z nią rozmowy różne, ale słowa wyrwać nie mogąc z ust jej zaciśniętych. Pani Eustachia w opustoszałym salonie ciche wyrzekania na pozbawiające ją chleba i dachu marnotrawstwo i niedołęztwo Łozowiczów szeptała do ucha Wiktoryna Szczepalskiego, który z pudełkiem flet zawierającym w objęciu, tulił się do kąta, wdychając i drżąc z kolei. Dzieci młodsze, mało albo nie wcale nie rozumiejąc kat astrofy, która rodzinnydom ich dotknęła, bawiły się wesoło, perspektywą blizkiej podróży i zmiany miejsca ucieszone. Najstarszy syn państwa Fabianostwa, Apolek, ów w dzieciństwie mianowany następcą Paganiniego, a od lat już kilku ciągły kandydat do wyższej szkoły muzycznej, przechadzał się po ogrodzie, z miną zadowoloną pogwizdywał i zapuszczał wzrok w przestrzeń, jakby pragnął coprędzej ujrzeć przed sobą miasto, tłumy i przyszłe swe wśród nich powodzenia. Ludka, która urosła na piękną wysoką pannę, sama jedna z pośród rodzeństwa oczy miała zapłakane i pilnie, wraz z niegdyś Łojwiczówną, a teraz już Szyłową, krzątała się około układania i pakowania licznych, olbrzymich tłómków.

Pana Fabiana nikt poranku tego w domu nie widział. Przez całą noc układał on ze starannością wielką i bardzo powoli instrumenta swe muzyczne, rękopisy i przyrządy do malowania; o świcie zaś nieledwie dwór opuścił, a wrócił, gdy było już dobrze po południu. Wrócił... zmieniony do niepoznania prawie. Zwykła czerstwa rumianość twarzy jego zmieniła się w siność, dobroduszne i marzące oczy podkrążone były ciemnymi kołami, a powieki nabrzękle i wciąż mrugające, jak bywa zwykle po wielkiem zmordowaniu wzroku długim wpatrywaniem się w przedmioty jakie... przez łzy. Ręce jego widocznie drżały, gdy usiadł w pustym zupełnie gabinecie swoim, na jedynym stołku, jaki tam jeszcze pozostał, i powolnym spojrzeniem wodził po ścianach, na których wisały niegdyś ulubione jego malowidła, i po wężykowatęj ścieżce, która żwirem usypana, wila się od oszklonych, w tój chwili otwartych drzwi gabinetu w głębie ogrodu. Na ścianach, po zdjętych obrazach, sterczały wielkie czarne gwoździe; po obu stronach ścieżki pochylały się ręką pana Fabiana zasiane niegdyś lub zasadzone, a teraz chłodem zwarzone łodygi zwiędłych georginij i astrów. Pan Fabian patrzył na gwoździe w ścianach i na łodygi nad krętą ścieżką, po której tyle razy, przez tyle lat kroczyły stopy jego, i zdawał się zapominać o całym świecie.

Ale wkrótce otworzyły się zcicha i ostrożnie drzwi gabinetu, a przez nie weszli: Józef Solski, były sztukmistrz nadworny pana Fabiana, i Hryhory Oroszczenko, były nadworny teorbanista. Z naładowanych kieszeni pierwszego wyglądały misterne jakieś, tajemniczego znaczenia narzędzia i talia kart; drugi postawił przy progu pudło, mające kształt wielkiego futerału, a cenny teorban w sobie zawie-

rające. Obaj zbliżyli się do dawnego dobroczyńcy swego i stanęli po obu jego stronach. Oroszczenko oseledca swego za ucho zawinął i pierwszy mówić zaczął.

Sens mowy jego był taki: że ten od którego przez lat tyle doznawał dobrodziejstwa, i nadal także do pewnych względem niego obowiązków poczuwać się winien; że on, Oroszczenko, który państwu Fabianostwu zawsze tak gorąco sprzyjał, i teraz ma prawo do jakiegoś z ich strony pomocy. W ten sam mniej więcej sposób przemówił i Solski. Obaj zarówno twierdzili, że jakkolwiek pana Fabiana spotkało nieszczęście wielkie, zawsze jednak los jego godnym był zazdrości, w porównaniu z ich losem.

Nie skończyli jeszcze mówić, gdy pan Fabian wyjął z kieszeni pugilares, w którym znajdowało się kilka tysięcy rubli z summy za Łozową otrzymanej, i po chwili kilka asygnat znacznej wartości przeszło z rąk jego do ehciwie wyciągających się po nie rąk sztukmistrza i teorbanisty. Potém dwaj ci ludzie, z wielkim lamentem nad koniecznością rozstania się ze swym dobrodziejem, wzdychając i głowami żałośnie wstrząsając, wyszli z pokoju.

Pan Fabian przecież nie pozostał samotnym. Tuż za Solskim i Oroszczenką wsunął się do gabinetu Wiktoryn Szczepalski; ale zamiast zbliżyć się ku byłemu pryncypałowi swojemu, jak to uczynili dwaj pierwsi, i kołatać do jego kieszeni, stanął on w kącie pokoju, przyparł się plecami do ściany i cisnąc pudełko z fletem do piersi, wpatrzył się w Łozowicza jak w tęczę. Nic nie mówił, o nic nie prosił, lecz w postawie jego tyle było zgnębienia i zniedołężnienia, a w oczach malował się żal tak rozdziérający, że spostrzegłszy go, pan Fabian porwał się ze stołka i do najstarszego z dawnych rezydentów podbiegłszy prawie, wetknął mu

po między pudełko z fletem a trzymającą je dłoń storublową asygnatę. Za całą odpowiedź Wiktoryn zaszlochał, rękę pana Fabiana pochwycił i niezważając na to, że darowana mu asygnata na ziemię upadła, z płaczem do ust tę rękę przycisnął.

Jednocześnie prawie ukazała się na progu gabinetu pani Eustachia Kunasewiczowa. Przymrużając oczy i poprawiając fałdy jedwabnej, gęsto pocérowanej sukni, eks-rezydentka zwolna i majestatycznie sunęła ku panu Fabianowi.

— Panie dobrodzieju! zaczęła, jestem kuzyną pana, byłam niegdyś kobietą dostatnią. Czyż na starość przyjdzie mi zostać żebraczką? Spodziewam się, że pan dobrodziej, dla własnego honoru swego, nie zechcesz dopuścić, aby kuzyna jego do ludzi o jałmużnę rękę wyciągała...

Pan Fabian sięgnął znowu do kieszeni pugilaresu.

Od kilku już minut, w pokoju sąsiednim, krzątała się około zdejmowania i układania firanek żwawa i czynna Antonina Szyłowa i sceny w gabinecie zaszła przez otwarte drzwi widziała. Znać było że niecierpliwiły ją one i gniewały niepospolicie; gdy jednak ujrzała wchodzącą tam panią Eustachią, dawną swą antagonistkę, i przemówienie jej do pana Fabiana usłyszała, rzuciła firanki i pędem strzały pobiegła na odszukanie pani Adeli.

— Święty Boże! święty, mocny! wołała ze zwykłym swym pośpiechem. Pani nic nie wiesz, co się tam w gabinecie pana Fabiana dzieje! Obdzierają go jak sami chcą, a on pocziwota wzdycha tylko i wszystkim pieniądze rozdaje, jakby to, Boże odpuść, plewa jaka była! Niech pani tam prędko idzie i od męża pieniądze odbierze, bo jak Bo-

ga mego kocham, jeśli pani tego nie zrobi, to wyjedziecie państwo ztąd bez grosza przy duszy.

Mówiąc tak, targała za rękaw od tołubka panią Adelę, która nad skrzynią drewnianą pochyłona, opryskliwie odrzekła:

— A moja pani Szyłowo! dajże mi pokój z temi piędzmi! Pieniądze powinny być u mego męża, nie u mnie, bo to mężka rzecz chować je i rozrządzać niemi. Mam ja i bez tego dosyć zgryzoty!

Mówiąc to, z wielką starannością owijała w siano i bibułę różne garnuszki, miseczki i tym podobne gliniane gospodarskie rupiecie.

Pod oknami domu tymczasem zbierał się tłum osobliwie wyglądający, krzykliwy, odarty, brudny. Był-to tłum okolicznych żebraków, którzy dowiedziawszy się o dniu wyjazdu pana Fabiana z Łozowój, zwlekli się tu ze stron różnych. Gwar ten żebraczy przywołał do okna panią Adelę, a pana Fabiana sprowadził na ganek domu. Pani Adela, z dumą i zarazem z boleścią w oku, zwróciła się do osób w pokoju obecnych.

— Niech mi kto pokaże takiego, kogoby ludzie biedni żegnali, tak jak nas żegnają!...

Pan Fabian, stojąc na ganku, każdemu z żebraków po dwa złote dawał; oni cisnęli się do rąk jego i kolan, całowali je, a odwróciwszy się, liczyli na dłoniach dar otrzymany.

Gdy nakoniec suto obdarzeni eks-rezydenci rozeszli się po dworze, szukając sobie furmanek do odjazdu, gdy gromada żebraków rozsypała się po okolicznych wsiach i karczynach, a dzieci państwa Fabianostwa zostały posilone i do drogi ubrane, przed ganek zajechała ogromna, długa

bryka, ze skórzaną budą, czterma włościańskimi końmi zaprzężona. Za bryką stał jeszcze parokonny, wielki wóz drabiasty, piętrzący się tłumokami i skrzyniami. Zjawienie się pod ścianą domu bryki i woza było hasłem do wyjazdu.

W jednym z bawialnych pokoi Antonina Szyłłowa, płacząc szczerze i rzewnie, ubierała młodsze dzieci w kaputki i ciepłe okrycia; na ganku Ludka, co moment oczy z łez ocierając, wkładała do bryki, z pomocą szesnastoletniego brata swego Józia, różne pudełka i zawiniątka; oboje zaś państwo Fabianostwo, zupełnie już do drogi przyodziani, zeszli się u drzwi jadalnej sali, do sieni wiodących.

Przez kilka dni poprzednich małżonkowie nie wyrzekli do siebie ani słowa i jakby za wspólną tajemną umową unikali się wzajem starannie. Dnia tego nie widzieli się nawet wcale. Teraz oboje, jedném zda się drgnieniem myśli i uczuć wiedzeni, stanęli u progu i wzrok zapuścili w głąb domu. Żrenice pana Fabiana miały w tej chwili osobliwszy wyraz osłupienia; w suchych oczach pani Adeli palił się ogień posepny, rozpaczny niemal. Nagle zwróciła się ku mężowi twarzą w twarz i zawołała:

— Patrz! patrz! i dziw się jaki koniec tych twoich sztuk pięknych, twojej poezyi, twego niedbania o nic, twoich...

Zdawało się że grad wyrzutów posypie się z ust jój, które oddawna zaciśnięte, trzęsły się teraz jak w feb... Pan Fabian pochylił już nawet głowę przed gromami temi z milczącą rezygnacją i dłoń drżącą trochę niósł ku łysinie. Lecz nagle, najniespodzianie w świetle, pani Adela mówić przestała. Głos jój urwał się i umilkł wtedy właśnie, gdy dźwięki jęgo coraz ostrzejszemi stawać się zaczy-

nały. Umilkła i patrzyła na zgnębionego męża swemi oczami, które stawały się coraz mniej suche i coraz mniej ponure. Bóg tylko wie jakie przypomnienia z lat dawnych, młodych przebiegły w tej chwili stanowczej przez głowę pani Adeli. Z człowiekiem tym przeżyła lat tyle! dłoni swą podawała mu do ślubnego ołtarza wtedy, gdy oboje młodzi byli i radośni, gdy trosk i grózb życia jeszcze nie znali. Z nim razem wchodziła ona do domu tego, który z nim znowu opuścić teraz musiała! On był ojcem jej dzieci!.. Stała minut parę niema, sztywna, w oblicze męża wpatrzona, aż roztworzyła ramiona i otaczając niemi szyję jego i przyciskając się do jego piersi, zapłakała głębokim lecz cichym płaczem. Pan Fabian ogarnął ją także ramionami.

— Tyś zawsze miała złote serce, Adelko, szepnął. Cóż robić? ha! cóż robić?

— Cóż robić? powtórzyła pani Adela, prostując się i lży ocierając. Czyniliśmy ludziom dobrze; Pan Bóg to może dzieciom naszym odda.

W ten sposób pocieszając się i krzepiąc, małżonkowie wyszli na ganek domu, a za nimi wysypała się gromadka ich dzieci... W kilka minut potem wielka bryka, napełniona siedzącymi w niej osobami, a za nią wóz wysoko pakunkami spiętrzony, ciągnęły przez dziedziniec, za bramę dworu, na drogę odwiecznymi lipami osadzoną, wiodącą ku licznym pokrzyżowanym gościńcom szerokiego świata... Na ganku domu pozostał tylko, pogwizdując i laseczkę machając, dwudziestoletni Apolek. Oczekiwał on na pocztowe konie, któremi, za pieniądze otrzymane od ojca, udać się miał w drogę, wygodnie i z szykiem.

Jeden z gościńców szerokiego świata wiódł do miasta N. Tam też udała się liczna ta gromada rozbitków. Udała

się do najbliższego gubernialnego miasta i osiadła na bruku, w dwóch pokojach niewielkich, z ciemną sionką, z kuchenką i oknami na wąską, zaśmieconą ulicę wychodzącąmi. Zasoby pieniężne rodziny téj niewielkie już po opłaceniu długów, a uszczuplone jeszcze znacznie udzielonemi przed odjazdem datkami, nie wystarczały na wyżywienie ust tyłu, do obfitego wiejskiego pokarmu przywykłych, na przystojne przyodzianie dzieci młodszych, na wyprawienie Apolka do wyższej szkoły muzycznej i sprawienie mundurków szkolnych dwóm młodszym chłopcom. To téż w parę tygodni już po przybyciu do N., pan Fabian, za pomocą dawnych swych stosunków wystarał się dla siebie o kilka lekcyj muzyki i rysunku; Ludka biegała po mieście, ucząc po domach drobne dzieci początków muzyki i francuzkiego języka; pani Adela zaś gospodarowała w dwóch miejskich pokoikach tak zupełnie, a może i energiczniej jeszcze, jak niegdyś w Łozowój, skąpiąc i zarazem trwoniąc. W miejskim bowiem domu państwa Fabianostwa tryb życia niewiele, pod pewnym względem, różnił się od tego, który wiedli oni w Łozowój. Nie było dnia w którymby u stołu ich nie zasiadły do obiadu dwie lub trzy osoby do rodziny nie należące, nie było wieczora, w którymby malutka ich bawialnia nie napełniła się ludźmi z ulicy przybyłymi.

Najczęstszymi jednak gośćmi małego mieszkanca przy wąskiej uliczce były osoby składające rodzinę Szyłłów. Rodzinę tę pani Adela znała oddawna, teraz zaś zawarła z nią przyjaźń ścisłą. Drobiazgowo-gospodarskie jej usposobienia pogodziły się prędko z mieszczańskim żywo-tem i instynktowo szukały dokoła siebie istot, zajętych jednostajnymi z nią troskami. Lubiła ona teraz długie gawędy o lepszych dawnych czasach, o lenistwie i nieuczciwo-

ści sług miejskich, o niepewnym losie swych dzieci. Do gawęd zaś podobnych niewyczerpaną nigdy sposobność znajdowała w towarzystwie żony Augustyna Szyłły i kilku innych kobiet, z którymi zaznajomiła się także.

Szyłłom wiodło się teraz gorzej, niż kiedykolwiek.

Był dzień, w którym ojciec rodziny tój przyniósł do domu znaczną summę pieniędzy, przedstawiającą dług Ręczyca, a z rąk Poryckiego, w zamian za uczestniczenie w niegodnej szacherce otrzymaną. Rozdał pieniądze te żonie na opłacenie dłużków drobnych ale licznych, córkom na nowe suknie i buciki, synom na różne ich potrzeby—i późnym wieczorem, gdy pani Augustynowa już spała, on siedział jeszcze z czołem na dłoni wspartém i patrzył z kolei to na młode dziewczęta, które w przyległym pokoju, przy małej lampce szepcząc i cbichocąc zeicha, strojne sobie szyły sukienki, to na syna młodszego, Ignasia, który zgięty nad stołem, z chudą, suchotniczą, niemal twarzą przepisywał urzędowe papiery.

Nazajutrz po dniu tym, wracając z miasta około południa, Augustyn Szyłło przedstawił się oczom rodziny swój w usposobieniu szczególnie wesołym i mówném. Ucieszyło to zrazu żonę jego i córki; po godzinie jednak tuliły się one po kątach, szepcząc tajemniczo i popłakując, przekonały się bowiem że mąż ich i ojciec dobrze był podpiły, a gdy go już wpływ trunku całkiem opanował, wymawiał słowa jakieś urywane, dziwnego lecz strasznego znaczenia, słowa o krzywdach doznanych, przeszłości swój uczciwój i sumieniu—sprzedaném.

Odtąd wypadki podobne powtarzały się często, coraz częściej. Rodzina, którój ojciec zarabiać przestał prawie, żyła w biedzie i ciągłej trwodze. Trzy panny dorosłe,

z których najstarsza trzydziestki już dosięgała, nudziły się, smuciły i wędły w domu, za domem udzielając mizernych lekcyj, za równie mizerną zapłatę. Ignas dobijał się wciąż w swém biurze 20-rublowej miesięcznej pensyi, pisał w domu i w kancelaryi, żółkł, chudł i kaszlał; Klemens żył na swoją rękę, o nic i nikogo nie dbając, Bóg wie z czego i za co. Matka starzała się w oczach, chorzała coraz bardziej, a jedyną rozrywkę i pociechę znajdowała w gawędzeniu z tuzinem kumoszek, które odwiedzały ją i do siebie z kolei zapraszały. Poczёт ten kobiet stękających i gawędzących powiększyła teraz pani Adela. Córki jej zaprzyjaźniły się z córkami Szyłły; Apolek, który wiecznie wyjeżdżał do wyższej szkoły muzycznej, a wiecznie siedział w N., brał się do najmłodszej córki Szyłły, Lucynki; wzajemnie zaś, na widok wysokiej i ładnej Ludki, rozjaśniały się zmęczone oczy i rumieniła się twarz wychudła Ignasia, cierpliwego, biednego biuralisty.

Było to życie mieszczańskie, ciasne, pełne trosk gryzących a uciech drobniotkich i poziomych, życie z terażniejszością mroczną i chropowatą, jak te ulice śród których upływało, z przyszłością ciemną, nieznaną i nieprzewidywaną...

IX.

Dwa miesiące z górą minęły, odkąd Fabian Łozowicz, parę razy na tydzień, a czasem i częściej, odwiedzał młodą kobietę, kryjącą się czy ukrytą przed światem w ustronnej kamieniczce.

I teraz także, przy schyłku jednego z pierwszych dni wiosennych, były dziedzic Łozowój siedział w ładnej bawialni, tuż obok kanapy, na której wsparta o miękkie poduszki, wpół siedziała, wpół leżała Lila. W postawie jej malowało się głębokie znużenie, jakiś niby upadek sił fizycznych i moralnych; objawy te jednak mogłyby być uchodzić za zwyczajną jej pieśczożliwość, gdyby nie widok twarzy pochmurnej, ukazującej tę bladość, to wychudnięcie i zeszywnienie niejako rysów, które u organizacyj nerwowych a ognistych następuje zwykle po długim pasowaniu się z tajonemi cierpieniami, po gwałtownych wstrząśnieniach woli słabiej a w różne kierunki targanej. Pomimo jednak postawy swjej napół znużonej, napół znudzonej, Lila prowadziła rozmowę ze starym swym przyjacielem w sposób niezmiernie ożywiony, a czarne oczy jej, gorejące

śródm bladęj twarzy, wpatrywały się w twarz jego z wyrazem nerwowego rozdrażnienia i niecierpliwęj ciekawości.

— I cóż dalęj? pytała, podnosząc głowę z nad poduszki. Dłaczego zamilkłeś pan tak nagle, panie Fabianie? Spotkałeś go pan więc kilka dni temu. Cóż on panu mówił? czy wspominał o mnie? czy bardzo nienawidzi mię teraz? A żona jego musi mną pogardzać, nieprawdaż?

— Czyż jest na świecie człowiek, któryby mógł nienawidzić panią? z uniesieniem szczerem zupełnie odparł stary romantyk. Co się zaś tyczy pana Mieczysława, nie wspomniał on przedemną o pani ani jednęm słowem, .raz dlatego zapewne, że to dla brata... rzecz drażliwa, a potęm dlatego, że tam u nich...

Zająknął się Łozowicz i po chwili spróbował zwrócić rozmowę na inny przedmiot. Ale Lila pochyliła ku niemu głowę i z niecierpliwością, w głosie zawołała:

— Cóż tam u nich? co? Ciekawam bardzo dlaczego pan mi wszystkiego o Mieczysiu nie mówisz? Czy pan sądzisz że on mię tak bardzo obchodzi? Jest-to wprawdzie brat mój ale cóż to znaczy? Wiem przecież dobrze, że te wszystkie pokrewieństwa i stosunki rodzinne to przesąd, nie więcj, a wypytuję się pana o niego ot tak sobie, przez ciekawość. Cóż tam dzieje się u nich takiego, o częm pan dwa razy już zaczynałeś mówić i dokończyć nie chciałeś?

Łozowicz gładził dłonią łysinę, jak zwykle czynił, gdy czuł się zmięszanym. Po chwili jednak, nie mogąc oprzeć się pytaniom młodęj kobiety, cichym zaczął głosem:

— U nich tam, widzi pani, wielkie kłopoty teraz i zmartwienia. Podobno Orchów sądowo opisywać mają i na publiczną sprzedaż wystawiać.

Lila w pół leżącą postać swą zmieniła na siedzącą i zawołała.

— Cóż znowu? Publiczna sprzedaż Orchowa? zkąd? jakim sposobem? Mieczysław przecież uchodził zawsze za doskonałego gospodarza i wiem że od dwóch już lat żadnych długów nie miał.

— Żadnych, prócz tego który się pani należał, szepnął Łozowicz.

— Cóż ztąd? ze zdumieniem głębokim zapytała kobieta; co znaczy ten dług bagatelny?.. Zresztą jeśli Mieczysław wypłacić go teraz nie może, ktoś go do tego zmusza?

— Egzekucya sądowa, zcicha zauważył Łozowicz.

— Ach mój Boże, niecierpliwie dorzuciła Lila, jaki pan jesteś dziwny, panie Fabianie!

— Pan Porycki przedstawił do sądu oblig pani, który teraz do niego już prawnie należy.

Kobieta podniosła brwi i szeroko oczy roztworzyła.

— Ildefons? zawołała, Ildefons?

W mgnieniu oka jednak wyraz głębokiego zdumienia zniknął z jej twarzy.

— A prawda! rzekła, składając znowu głowę na poduszecę, mówił mi o tém, że pieniądze te potrzebne są koniecznie dla przeprowadzenia sprawy mojego rozwodu.

Przez parę minut milczała z przymkniętymi oczami. Potem podniosła znowu głowę i patrząc na Łozowicza, zapytała szybko:

I pan nie wiesz co z tego wszystkiego ostatecznie dla nich wyniknąć może?

— Z czego? dla kogo? lekliwie zapytał pan Fabian, bo tocząca się rozmowa była dlań drażliwą i przykrą.

Kobieta uczyniła niecierpliwe, gwałtowne poruszenie.

— Mój Boże jakże pan mię dziś niecierpliwisz. Czyliż o antypodach mówimy, albo o królu Popielu? No... co z egzekucyi téj wyniknie... dla Mieczysia?

— Sprzedadzą Orchów, gładząc łysinę, szepnął Łozowicz.

— Pocóż go ma sprzedawać kto inny? czyż Mieczys sam sprzedać go nie może, nam te pieniądze oddać, a sam z kapitałem gdziekolwiek wyjechać?

— Zapewne... zapewne... że takby mogło być, bąkał Łozowicz; ale, widzi pani, pan Mieczysław jest uparty... ma on to przekonanie, że Orchowa dobrowolnie sprzedawać nie powinien.

Blade usta Lili złożyły się znowu do ironicznego uśmiechu.

— Biedny Mieczys! rzekła, on wierzy jeszcze w obowiązek, a nie wie że to przesąd i nawet najgorszy, najszkodliwszy ze wszystkich przesądów.

Milczała chwilę, z twarzą znowu ukrytą w poduszce, poczem, podnosząc głowę, dodała:

— No, ale ostatecznie, czy powiesz mi pan kiedy co z tego będzie?

Łozowicz przyparty był do muru i odpowiadać musiał.

— Z téj sprzedaży, rzekł... będzie wielka bieda... Wiadomo wszystkim, że z licytacji majątki sprzedają, się za bezen .. więc bardzo być może iż panu Mieczysławowi nie pozostanie nic, albo prawie nic.

Po tych słowach panowało między dwojgiem tych ludzi dość długie milczenie. Lila szklanemi oczami wpatrywała się w przeciwną ścianę. Po chwili, nie zmieniając kierunku wzroku, bardzo cicho wymówiła:

— Czy pan słyszał o tém. że Mieczys i jego żona wzięli do siebie mego Konradka?

— Słyszałem, pani.

— Brygisia jeździła niedawno do Orchowa, do swoich krewnych i widziała tam *jego*... Mówiła mi że hoduje się dobrze i jest bardzo ładny.

Łozowicz nie odpowiedział nic i miał właśnie rozpocząć rozmowę o innym jakimś, pierwszym lepszym przedmiocie, gdy Lila poruszyła się gwałtownie i zatapiając znowu twarz w poduszkę, zawołała głosem, w którego stłumionych dźwiękach czuć było gorączkę pragnienia i niecierpliwości:

— O mój Boże! mój Boże! żeby to już prędzej, prędzej nastąpić mogło!

— Co takiego? zapytał Fabian, przełęczniony niemal gwałtownością rachu i głosu kobiety.

Ona nie odpowiadała przez chwilę, pogrążona w marzeniu. Wyprostowała się potem powoli i ze skronią na dłoni opartą, ze spuszczonei oczami zcicha mówił poczęła:

— Ja sama nie wiem doprawdy co się ze mną dzieje. Nigdy nie wyobrażałam sobie, aby w kimkolwiek istnieć mogły takie sprzeczności, jakie istnieją we mnie. Wiem dobrze, jestem najmocniej przekonaną, że wszystkie formalności które zwykle towarzyszą pobraniu się dwojga ludzi, są pustą formą tylko, przesądem, pozostałością dawnych, ciemnych czasów; wiem że zwracanie uwagi na krzyki bezmyślnego tłumu, które ludzie nazywają opinią publiczną, jest niedorzecznością i także przesądem. A jednak... nie wiem doprawdy dlaczego, ale taki mi teraz strach przed ludźmi... tak mi trudno na ich patrzeć!.. Czy wie pan, panie Fabianie, że lękam się wyjść na ulicę, bo zdaje mi się że

wszyscy tam na mnie patrzeć będą z niechęcią i z pogardą... Och! a ja pogardy ludzkiej znieść nie mogę!.. nie mogę!...

Przysłoniła oczy dłonią i milczała chwilę. Nagle jednak podniosła głowę i zawołała z wybuchem:

— Któżby się tego mógł spodziewać? Któżby się mógł spodziewać, że kiedyś będzie ze mną tak, jak jest teraz? Gdy byłam dorastającą dziewczynką, myślałam... marzyłam, iż cały świat na kolana przedemną upadnie i hołdy mi złoży — a teraz cały świat mną gardzi!

Uśmiechnęła się gorzko i dodała:

— Dziwne pan miałeś przecucie, panie Fabianie, gdy dawniej, dawniej jeszcze... nazywałeś mię czarną lilią.

Łozowicz zmieszany był temi zwierzeniami młodej kobiety, a bardziej jeszcze wzruszony.

— Mój Boże! szepnął, niech pani tak nie rozpacza!..

Lila wyprostowała się.

— Ja rozpaczam? zawołała z gniewem prawie. Zkąd panu wyrażenie takie do myśli przyjść mogło? Ja jestem szczęśliwą, najszczęśliwszą w świecie kobietą, tylko czasem zanadto jeszcze słabą, lękliwą i trochę... przesadną... Nie dorosłam do wysokości prawdziwego odważnego człowieka, a Ildefons mówi, że to jest skutek przyzwyczajenia... Wiem jednak że wszystko będzie dobrze... Gdy tylko sprawa moja rozwodowa zostanie ukończoną, pobierzemy się z Ildefonsem, według przesądnych wymagań świata... Wtedy wejdem znowu pomiędzy ludzi i śmiać się będę z ich niedorzecznych, przestarzałych przesądów... Pojadę wtedy zaraz do Mieczysia, Konradka wezmę do siebie i będę go ślicznie ubierała. Ildefons nie lubi życia na wsi i ja go nie lubię. Zamieszkamy więc w stolicy, ale na zabawach bardzo rzadko bywać bę-

dę, bo najlepiej mi z Idefonsem sam na sam.... To też nigdy, nigdy rozstawać się z sobą nie będziemy, jabym.. bez niego ani jednego dnia przeżyć nie mogła!

W ten sposób kilka chwil jeszcze marzyła głośno. Łozowicz, słuchając, nisko pochylił głowę, a na twarzy jego malował się głęboki smutek. Wiedział on dobrze iż sprawa rozwodowa, tak mocno młodą kobietę zajmująca, ani rozpoczętą jeszcze była. Spojrzał na zegarek, a widząc że pora mu wielka podążyć do jednego z domów, w których udzielał lekcji muzyki, wstał z krzesła.

— Jakto, idziesz już pan? zawołała Lila.

— Muszę odpowiedział Łozowicz i stając przed młodą kobietą, patrzył na nią wzrokiem przyjaznym, serdecznym, lecz poważniejszym niż zwykle.

— Muszę iść, powtórzył. Od tych lekcji które daję, zależy teraz po większej części byt mój i rodziny mojej...

Wziął rękę jęj i zatrzymał ją w swęj dłoni.

— Mówiłaś pani dziś zemną otwarciej niż zwykle, zaczął łagodnie i prawie nieśmiało, dziękuję pani za to... Przykro mi, bardzo przykro, że nateraz w niczém dopomódz jęj nie mogę. Jeżelibyś pani jednak znalazła się kiedy w położeniu... w położeniu trudném... niech pani przypomni sobie o mnie, jako o szczerym, starym, swym przyjacielu. Wszak pani przyjaźni przynajmniej nie nazywasz jeszcze przesądem?

Ostatnie wyrazy wymawiając, uśmiechnął się smutnie jakoś. Można by nawet było rzec, iż w uśmiechu tym zabłąkał się cień ironii, gdyby ironia, choćby najłżejsza, nie była niepodobną dla tych ust łagodnych, dobroduszných, które przez całe życie mówić umiały tylko o kwiatach, gwiazdach, poezyi i... litości.

W czasie gdy powyższa rozmowa toczyła się w saloniku Lili, Ildefons Porycki szerokimi krokami i z pochyłą głową dążył do biura telegraficznego, niezbyt daleko od ustronnej kamieniczki położonego. I znowu niepokój, gwałtowniejszy jeszcze niż przed parą miesiącami, malował się na twarzy głównego agenta. Wbiegł prawie do wielkiej sali, telegraficznymi przyrządami napełnionej, i oddał urzędnikowi depezę na kartce papieru nakreślonej, a zawierającą następujące słowa:

„Ostatni list twój uważam za wynik chwilowego uniesienia. Proszę i rozkazuję, abyś pozostała tam gdzie jesteś. Jeżeli uczynisz to o czém pisałaś, zaszkodziś najwięcej samęj sobie. Ja wyjeżdżam ztąd jutro. Dokąd... uwiadomię cię o tém we właściwym czasie.”

Następowały imię i nazwisko kobięce, jakotęż nazwa zapadłej jakiejś miejscowości wołyńskiej.

Opuściwszy biuro telegraficzne, w kilka minut potem wszedł do saloniku Lili. Młoda kobięta, siedząc przy stole, na którym paliła się już lampa, układała w hebanowej szkatuleczce różne biżuterye, wstążki i drobnostki. Jak zwykle bywało, tak i teraz, twarz jęj na widok wchodzącego zajaśniała uśmiechem. Lekki rumieniec nawet przesunął się po bladęm czole i schudłych policzkach.

— Od rana prawie nie widziałam cię dziś, Ildefonsie! zawołała, podając mu rękę.

Ani w głosie jęj, ani na twarzy nie było śladu dawnęj jęj, pieszczotliwęj i wabnęj zalotności. Gdy czyniła lekką tę wymówkę, czarne oczy jęj okryły twarz stojącego przed nią mężczyzny spojrzeniem pełnäm gorącego uczucia. Kochała!... kochała tym razem prawdziwie... i do miłości tęg przywiązała całą swą istotę, jak rozbitek przywiązuje się

do ostatniej pozostałej mu deski ocalenia. Nie był to już tym razem kaprys ognistej wyobraźni, wyskok zalotności, chwilowe uniesienie zmysłów... była to tkliwość głęboka, wiara niezachwiana, namiętność ogarniająca wszystkie władze ducha. Ale i on także, stojąc przed nią i rękę jej w swą dłoń trzymając, patrzył na nią dziwnie, niezwykle. W spojrzeniu tém było coś palącego i aż do głębi młodą kobietę przenikającego, była w niém wyraźna, gwałtowna trwoga jakaś.

Usiadł i przyciągnął ją zlekka ku sobie.

— Lilo, zaczął cichszym niż zwykle głosem, mam ci coś ważnego do powiedzenia.

Z oczu kobiety strzelił promień radości.

— Rozwód mój... zapewne kończy się... może jest już skończony... zawołała.

Ciężka chmura przesunęła się na słowa te po czole głównego agenta.

— Nie, odparł porywczo, opryskliwie niemal, nie o tém mówić chciałem teraz; chciałem ci powiedzieć, że musimy ztąd wyjechać.

Kobięta patrzyła nań zdziwiona, ale i ucieszona czegoś zarazem.

— Dokąd? czy na długo? zapytała.

— Nie wiem jeszcze ani dokąd, ani na jak długo, odpowiedział Porycki, prawdopodobnie na parę tygodni tylko, na miesiąc najdłużej... Mam tu interesa, których nie mogę opuścić zupełnie, dla których wrócić będę musiał. Tymczasem jednak wyjadę na czas jakiś, bo kto wie do jakich ostateczności dojść, na co ważyć się może ta egzaltowana, bezrozumna kobięta...

— O jakiej kobiecie mówisz, Ildefonsie? ze zdumieniem, ale zarazem z płomienną błyskawicą w oku wykrzyknęła Lila.

On obudził się jakby z zadumy głębokiej, wśród której wymówił to, czego za nic w świecie wymówiłby nie chciał. Na wykrzyk kobiety odpowiedział przymuszonym uśmiechem.

— Mówiłem, rzekł, o osobie, z którą miałem niegdyś interesa prawne, a której przybycie byłoby teraz dla mnie bardzo niemiłym.

— Czy ci to szkody i przykrości jakie przynieśby mogło? z niezwykłą sobie troskliwością o innych zapytała Lila.

— Wielkie szkody, a większe jeszcze przykrości odpowiedział mężczyzna.

— A więc jedźmy! jedźmy! dziś! zaraz! mówiła kobieta. Ja nie chcę żeby ci kto przykrości wyrządzał... I bez tego cierpiełaś już wiele. Jedźmy! jedźmy!

Nagle pochyliła się ku niemu. Ciemna błyskawica przebiegła znowu po rozpromienionych jej źrenicach.

— Kto to taki ta kobieta? zapytała ciszej.

— Mówiłem ci już... zaczął Porycki...

Ale ona nie dała mu skończyć.

— Może ty ją kochałeś kiedy? szeptała, może ona ciebie kocha? Dlaczego jej unikasz? powiedz mi wszystko....

Obie dłonie splecione złożyła na jego ramieniu i śliczną głowę swą w tył nieco odrzuciwszy, mówiła dalej:

— Musisz mi to przebaczyć, Ildefonsie, że jestem o ciebie, o miłość twoją zazdrosną... Wiem, bo mówiłem mi nieraz o tym że miłość powinna być wolną jak ptak i że

nikt nie ma prawa zabiierać jój sobie na wyłączną własność.. Ale ja, drogi mój, nie dorosłam jeszcze do wysokości tój, na którój ty sam stoisz... nie mogę żadnym sposobem przypuścić, aby to, com ja ukochała, należéć mogło nie do mnie jednéj, ale jeszcze i do kogoś innego.... Wszak upewniałeś mię nieraz, że nigdy żadnéj w świecie kobiety nie kochałeś, tak jak mnie kochasz.

— Nigdy, potwierdził mężczyzna, a z wyrazu oczu jego, które zwolna i z rozkoszą przesuwaly się po ożywionych w tój chwili, cudnie pięknych rysach kobiety, poznać można było że mówił prawdę.

— I nikogo nigdy kochać nie będziesz prócz mnie? pytała dalej.

— Nikogo! potwierdził mężczyzna.

— O, jak to dobrze! dobrze! mówiła dalej Lila, białe, delikatne dłonie swe silnie zaciskając na jego ramieniu; bo i cóżby się ze mną stało, gdybyś ty mnie opuścił, gdybym wierzyć przestała w uczucie tve dla mnie, w przyszłość naszą wspólną, nierozdzielną, wierzyć bez granic we wszystkie słowa twoje? Gdybym utraciła ciebie, wszystkoby utraciła! bo i cóżby mi na ziemi zostało? Wyrzekłam się wszystkiego... wzgardziłam wszystkiém: opinią świata, rodziną moją, dzieckiem. Ale nie żałuję tego, nie, nie żałuję, gdy jestem przy tobie, gdy na ciebie patrzę, gdy wiem że tak ze sobą, kochający się, szczęśliwi, pozostaniemy już nazawsze!

Uśmiech nieopisany przesuwiał się po blado-różowych jój ustach i zarazem ła srebrozłota czarne jój źrenice, gdy szepcząc wyrazy bezgranicznej wistocie tkliwości i ufności, pochyliła nieco głowę i czoło swe na rękach splecionych złożyła. On palącym się wzrokiem ogarniał przez chwilę głowę tę

przedziwnie kształtną, strojną, tak niegdyś płochą, lecz teraz tak ufną, ognistą i zarazem korną. Na twarzy jego odmalowała się męka jakaś wewnętrzna. Znać było że człowiek ten dotknięty także został płomiennym mieczem pięknego acz posepnego ducha, który po świecie całym, wśród złych i dobrych zarówno, sieje iskry i żuzle wielkich namiętności...

— Lilo! słiczna moja pani! Lilio ty moja biała!

Szept ten płynął nad splotami czarnych jej warkoczy, jak powiów cichy a gorący.

— Biała? odrzekła kobieta, podnosząc na niego oczy upojone i uśmiechając się, jak się uśmiecha dziecię we śnie marzące. Nie, nazywano mię niegdyś Czarną lilią.... i jestem teraz w oczach świata czarną. Ale ty zdejmiesz ze mnie tę barwę ponurą, nieprawdaż? przed całym światem powiesz, że mię kochasz i że nigdy nikogo prócz mnie kochać nie będziesz. Wtedy, mój jedyny, śmiało i dumnie patrzyć będę na ludzi i powiem wszystkim: jestem jego żoną! O! jaką ja będę wtedy wesołą, szczęśliwą!

Ciemne, głębokie rumieńce przesunęły się po twarzy głównego agenta, a wzrok jego z tajemnym jakimś wytężeniem myśli tkwił w przestrzeni, gdy ona podniosła znowu głowę szybkim ruchem i patrząc mu w twarz, zapytała w pół żartobliwym, w pół gwałtownym tonem:

— Kto to taki ta kobieta?

Ildefons uczynił nagle poruszenie, jakby chciał powstać; ale białe, delikatne dłonie Lili zacisnęły się wkoło jego ramienia.

— O! zawołała z wyrazem przestachu i błagania w oczach, nie gniewaj się tylko na mnie, proszę cię, nie

gniewaj się na mnie. Nie będę już ciekawą i o panią tę nie zapytam nigdy, tylko.... nie odchodź!

Miłość téj kapryśnej, gwałtownej kobiety dziwnie pokorną była i niewolniczą. Ale tak bywa zwykle: nikt łatwiej nie podpada panowaniu innych jak ten, który nad sobą samym panować nie umie.

Na dziedzińcu zaturkotały koła miejskiej doróżki. Był-to w mieście dość dużym i ludnym odgłos tak pospolity, że w zwyczajnych okolicznościach nie zwróciłby z pewnością niezwykłej uwagi. Ale Porycki zdawał się być mocno przez odgłos ten uderzonym. Podniósł żywo głowę i wstuchiwał się w niego.

Przez parę minut panowała znowu cisza zupełna. Nagle dał się słyszeć na schodach szmer kroków i niewyraźnych rozmów, wśród których wyróżniał się cienki, na jejkliwą nutę nastrojony głosik dziecinny.

Kroki i głosy minęły drzwi przedpokoju Lili i wstępowały wyżej, na drugie piętro, posiadające jedno tylko mieszkanie, przez Poryckiego zajmowane. Lila, która zaciekawiona, jak zawsze, każdym niezwykłym trochę szelestem w domu, z wytężonym uchem na drzwi patrzyła, zwróciła się nagle ku towarzyszowi swemu. Ale obojętne i tylko ciekawością obudzone pytanie, które miała na ustach, znikło z jej myśli, gdy ujrzała teraz twarz jego dziwnie zmienioną i wzburzoną.

— Co to jest? Ildefonsie! co ci się stało? zawołała i w nagłym przystępie niewytłumaczonej obawy pochwyciła jego rękę.

Ale on usunął ją od siebie ruchem gwałtownym niemal i porwawszy się z siedzenia, z wyprężonemi na czole żyłami, z zaciśniętymi ustami biegł ku drzwiom. Zdawał się

mogło że śpieszył, aby zapobiedz grożącemu niebezpieczeństwu jakiemuś. Zaledwie jednak zdołał przebyć bawialnię gdy otworzyły się drzwi przedpokoju i wszedł przez nie jego służący.

— Proszę pana, rzekł, pani jakaś przyjechała i chce widzieć się z panem.

— Kto? jaka pani? zkąd? wykrzyknął Porycki, po którym znać było że w nadzwyczajnym wzburzeniu swém nie wiedział sam dobrze co mówi i czyni.

— Doróżkarz mówił że ze stacyi kolei ją tu przywiózł, odparł zalekniony sługa; skarżył się że ciężko mu było dla konia, bo jest tam jeszcze troje dzieci.....

— Milcz! przerwał Porycki zdławionym głosem i przelotne spojrzenie rzuciwszy na Lilę, która z osłupieniem rozmowy powyższej słuchała, szedł znowu ku drzwiom. Ale—było już zapóźno. Za plecami odepchniętego i przeleknionego sługi otworzyły się drzwi, a do mieszkania wbiegła raczej niż weszła kobiéta wysoka, szczupła, prowadząc za rękę małą, cztéroletnią, może dziewczynkę; dwoje innych dzieci, starszych, chłopak i dziewczynka, weszło za nią.

— Więc ty tu mieszkasz, Ildelfonsie, nie tam na drugiem pięttrze? ozwał się z za czarnej woalki, która twarz przybyłej przysłaniała, głos dosyć ostry. Wiem że strasznie zły jesteś na mnie za to że przyjechałam, ale nie mogłam już dłużej żyć w tym przekętym kącie, w którym mię z dziećmi zostawiłeś bez chleba prawie, na łasce Opatrzności. Nie patrz na mnie tém swojém okropném spojrzeniem, które znam aż nadto dobrze i którego przestałam się lękać; bo i cóż ja nieszczęśliwa, oszukana i opuszczona kobiéta mam do stracenia na tym świecie? Oto spójrz lepiej na

dzieci te: nie wyglądają jak królewicze, nieprawdaż? No, dzieci, przywitajcie się przecie z tym *panem!*

Dzieci, zamiast usłuchać rozkazu, przygarnęły się do przybyłej kobiety i chórem, acz zeicha, zaszlochaly. Porycki pochwycił ją za rękę.

— Idź ztąd, wymówił zdławionym głosem, to nie jest moje mieszkanie.

— Nie twoje? odparła kobieta, a więc dobrze, pójdę tam na górę... Ale czemuż kazałeś mi tak długo czekać na siebie?

Ogarnęła ramionami gromadkę dziatwy i zwróciła się ku drzwiom. Za nią, przygryzając wargi aż do krwi, parę kroków postąpił Porycki. Ale za odchodzącymi ozwał się nagle z przeciwnego końca saloniku wykrzyk głośny i przeciągły:

— Ildefonsie! co to wszystko znaczy?

Na odgłos ten, niespodzianie usłyszany, odchodząca z dziećmi kobieta zwróciła się twarzą ku pokojowi. Dotąd, zajęta całą widokiem człowieka do którego przybyła, nie spostrzegła ona Lili siedzącej w cieniu. Teraz oczy jej uderzone zostały tą czarującą piękną postacią kobietą, która wysunęła się na pełne światło i stała dłonią o stół oparta. Smukła, delikatna kibić Lili drżała lekko wśród powłóczystych, bogatych fałd jedwabnej jej sukni, a wielkie oczy, rozszérszone od zdumienia, spoglądały na Poryckiego i na przybyłą kobietę z wyrazem naglącego, trwożnego, lecz zarazem i groźnego niemal pytania.

Nagle przybyła, jakby uderzona myślą jakąś czy przypomnieniem, postąpiła w głąb pokoju i z twarzy swój odrzuciła przysłaniającą ją woalkę. Parę zaledwie kroków dzieliło teraz dwie te kobiety. Patrzyły na siebie przez se-

kund kilkanaście tak uparcie, jakby z pamięcią swą walczyły, dopominając się od niej objaśnienia przypomnień niezupełnie jeszcze wyraźnych, aż wreszcie z ust ich wybiegły dwa jednocześnie wydane okrzyki:

— Julia!

— Lila!

Przez chwilę zdawać się mogło, że rzucą się sobie w objęcia; ale Lila pierwsza cofnęła się o kroków parę i zawołała:

— Dlaczego ty tu jesteś? Julio! Pocoś tu przyjechała? Pamiętasz ten list, który do mnie pisałaś niegdyś... niegdyś?... Czy wyszłaś za męża?... czy mężowi twemu Ildefons na imię?... Mój Boże! ja sama nie wiem doprawdy co mówię! Julio! moja droga Julio! ja cię dawniej tak kochałam! powiedz mi... czy to twój brat?..

Mówiąc to, drżała coraz bardziej, splatała ręce i wyciągała je ku dawniej swjej przyjaciółce, jakby, tknięta straszliwem światłem, które do myśli jej przedziierać się zaczynało, błagać ją chciała, aby słowem dla niej okropnem nie zmiażdżyła serca jej zdjętego śmiertelną trwogą. Lecz po tém właśnie wzruszeniu, po bezładzie słów i nawpół błagalnym, nawpół błędnym wyrazie jej oczów, przybyła kobieta domyśliła się znać wiele, bo gorzki uśmiech zadrzał znowu na jej ustach, a wskazując ręką Poryckiego, rzekła stłumionym, boleścią i szyderstwem dźwięczącym głosem:

— To nie jest mój brat, Lilo! to mój—mąż!

Głuchy jęk ozwał się w piersi Lili. Oczy jej osłupiały, szklane zwróciły się na twarz Ildefonsa. Ale twarz ta blada miała na sobie wyraz wściekłego gniewu, połączonego z głucho uczuwaną, niemą rozpaczą.

— Ildefonsie! szepnęła kobiéta, powiedz mi że to nieprawda.

— Nieprawda? wykrzyknęła Julia, ty mi jeszcze nie wierzysz, Lilo! Oto dowód... nasza metryka ślubna, którą, znając dobrze człowieka tego, przywiozłam ze sobą... Zobacz, przeczytaj!

Mówiąc to, wydobyla szybko z za stanika sukni wielki arkusz papieru, z urzędowym stemplem, i rozpostarla go pod światłem lampy. Lila machinalne tylko i przelotne spojrzenie rzuciła na papier, poczem wzrok jej szklany, martwy zwrócił się znowu na twarz mężczyzny.

— Powiedz mi że to nieprawda! powtórzyła jedno-stajnym, stłumionym szeptem.

Teraz stał on już przy niej. Ślad owęj dawnęj, na wszystko ważacęj się przytomności umysłu zaświecił w jego oczach.

— A więc tak, Lilo, to prawda! W chwili szalu uczynilem ten krok niedorzeczny, którego potem żalowałem. Ale... Lilo...

Obciał wziąć jej rękę; lecz ona gwałtownym ruchem odsunęła się od niego. Rumieniec szkarłatny twarz jej oblały. Była w tęg chwili uosobieniem śmiertelnego bólu i śmiertelnęj również urazy.

— O! zawołała, mówileś mi pan, że jej nie znasz, że jesteś wolny... że... że... O Boże! cóż więc się zemną stało? Kim pan jesteś?...

Mówila to jak w obłąkaniu, jak ktoś co nagle ujrzy przed stopami swemi grunt kwiecisty zmieniony w otchłań, oblicze, ukochane przeobrażone w paszczę potworu.

— Kim on jest? zaczęła Julia, spoglądając z kolei na dwoje ludzi tych, których historiją i związki zupełnie

już teraz odgadła: ja ci to powiem, Lilo! Ukazał ci się zapewne z tytułem i nazwiskiem hrabiego Poryckiego. Kłamstwo! nazywa się on wcale inaczej, prosto, gminnie, a jedynym tytułem, który prawnie posiadać może, jest: nikczemnik! Prawił ci wiele o swoich nieszczęściach, które zwyciężył niby rozumem i odwagą. Kłamstwo! Nieszczęścia były zrazu... ale zamiast odwagą i rozumem, obronił się on przeciw nim obłudną chytryością, przebiegłym i bezsumiennym sprytem. Upewniał cię, że jest wolnym od wszelkich związków rodzinnych i pojmie cię za żonę w obec Boga i ludzi. Kłamstwo! Oto ja jestem żoną jego, a te nieszczęśliwe istoty są jego dziećmi! Mówi ci że ożenił się ze mną w chwili szaleń. Kłamstwo! Ja to byłam szaloną, bo ujrzałam w nim swój ideał, uwierzyłam w rycerskość jego i szlachetność. Pojął mię za żonę dla ówczesnych wyrachowań swoich, mniejsza o to jakich, dość że osoba moja, może piękność, były mu wtedy potrzebne. Wkrótce jednak w życiu jego zmieniły się okoliczności i potrzeby... więc rzucił mię!... Przez cztery lata nie słyszałam o nim; potem dowiedziałam się że jest tu. Pisałam, prosiłam, aby przypomniał sobie jeżeli już nie o mnie, to o dzieciach swoich. ale serce jego kamienne nie miało dla nas litości. Postanowiłam więc upomnieć się o prawa swoje i — przyjechałam!

Gwałtownym ruchem zdjęła z głowy kapelusz, z ramion zrzuciła podróżne okrycie i zawołała:

— Patrz, co on ze mnie uczynił! Gdzie młodość moja i piękność? gdzie dawne stroje moje? gdzie dawna Julia Grejs?

W istocie z pięknej owjej Julii pozostał cień zaledwie. Miała ona najwyżej lat 30, a wyglądała na czterdzieści

kilka. Policzki jęj były wychudłe i żółkłe, czoło pomarszczone, włosy do połowy prawie zbielałe. Jedne tylko oczy, jakkolwiek spłowiałe także i zapadłe, blaskiem swym i wyrazistością przypominały przeszłość minioną.

— A teraz, mówiła dalej Julia, drżącą rękę wyciągając ku dzieciom, popatrz na nie, a zobaczysz, jak wyglądają opuszczenie, sieroctwo, nędza...

Dzieci, mało lub nie rozumiejąc odegrywającą się przed nimi sceny, skupiły się w pobliżu pieca. Z nędznych okryć i podartych chustek którymi były odziane, drobne twarzyczki ich wyglądały blade, chude, zziębłe.

Lila słuchała i patrzyła, nie czyniąc poruszenia najlżejszego. Jak błyskawice po chmurném niebie, tak po tle źrenic jęj nieruchomych i przepaścistych mknęły i krzyżowały się myśli szybkie a płomienne. O czém myślała, stojąc tak twarzą w twarz z zasadami jego, które przyjęła za swoje? W kobiecie tęg opuszczonej, przedwcześnie zestarzałęg ujrzała ona może odwrotną stronę tego różowego obrazu, w którym Ildefons przedstawiał jęj zwykle niezbite prawa i niewyczerpane rozkosze — wolnęg jak ptak miłości! Patrząc na wynędzniałe te, blade, widokiem ojca własnego przerażone twarzyczki dziecięce myślała może iż widzi skutki drugieg zasady jego, która opiewała nieważność i nicstwo związków rodzinnych! Nad tym stosem kłamstw i oszukaństw, o tyle trywialnych, o ile zbrodniczych, który wzniósł się teraz przed jęj oczami, unosiły się i jaskrawym blaskiem przed nią świeciły wszystkie złorzeczenia i pośmięchy, które sam ciskał i ją ciskać uczył na ideę — obowiązku!

Umysł Lili pracował znowu widocznie, tak jak owego fatalnego dla nięg wieczoru, w którym *on* piérwszy pobudził go do ruchu i myślenia; ale mozolne to, rozpaczne

przyglądanie się stojącym przed nią zagadkom ludzkiego życia, mączone było i rwane co chwila straszną burzą uczuć. Stała wciąż jak przykuta do miejsca. Julia patrzyła na nią w pół nienawistnemi, w pół litującemi się oczami, i ciężkie milczenie trwało przez minut parę w pokoju. Milczenie to przerwaniem zostało niżonym aż do szeptu prawie głosem męzkim.

Ildefons Porycki stał przy młodej kobięcie i mówił do niej z dźwiękiem usilnego przekonywania w głosie i z wyrazem namiętnój, rozkazującej niemal prośby:

— Uspokój się, Lilo! Nie mówiłem ci o sobie całej prawdy, ale postępując tak, miałem na celu stopniowe przygotowywanie sił twoich i twego umysłu do zrozumienia i zwalczenia wszystkiego, cokolwiek spotkaćby cię mogło. Związek mój z Julią jest błędem mojej młodości, ciężarem przykrym i niczém więcój. Ciężar ten dźwigać już muszę na sobie, cóż robić? Zabezpieczę byt jój samój i jój dzieciom, ale miłość moja będzie zawsze do ciebie tylko należała!... Lilo! czyż jesteś jeszcze dzieckiem? czy umysł twój nie dorósł do wysokości położenia takiego? czy zabraknie ci odwagi? czy złęknieś się głupiej wrzawy motłochu? czy jak słabe dziecię, dobrowolnie wyrzeczysz się szczęścia swego i zdepczesz zarazem moje?

Wpatrzona w niego szeroko roztwartemi oczami, drżąca znowu cała, milczała długo. Na śmiertelnie bladej twarzy jój malowała się trwoga bezgraniczna, połączona z instynktową, nieprzezwycezoną ohydą. I wtedy dopiero uczyniła gwałtowne poruszenie i w tył się cofnęła gdy złudzony milczeniem jój i drzeniem, sięgnął on po jój rękę.

— Nie szepnęła, nie! nie!

I nic więcej wymówić nie mogła; tylko z dłonią jakby ku odepchnięciu wyciągniętą naprzód, cofała się wciąż, oddalając się od niego.

On gniewnie zwrócił się ku Julii.

— Idź ztąd, wymówił przez zaciśnięte zęby, ręką na drzwi wskazując, idź tam na górę... zostaw mnie z *nią!*

— Nie! wykrzyknęła Lila przeszywającym teraz głosem, nie! nie!

Porwała szal zawieszony na poręczy krzesła i zarzucawszy go na głowę i ramiona, wybiegła. Za nią wybiegł i Porycki. Po kilku minutach wrócił do saloniku, rzucił szybkie wejrzenie na to miejsce pokoju, w którym siadywał z nią najczęściej i obiema dłońmi ścisnął sobie głowę.

— Przekleństwo! zawołał sam do siebie. Nie chciała za nic wrócić... pobiegła... nie wiem dokąd... Zdaje mi się że utraciła zmysły... Kocham ją jak szalenię!.. A sprawa z jej bratem!... Co teraz uczynię?..

Julia powoli zwróciła twarz swą ku niemu.

— Co uczynisz? rzekła szydersko. To coś czynił przez całe życie. Jutro, pojutrze wyjedziesz w strony gdzie cię jeszcze nie znają, przemienisz terazniejszą skórę swą na inną, będziesz znowu dobijał się fortuny, uwodził kobiety i okłamywał wszystkich.

Fabian Łozowicz wracał z lekeyi muzyki i otulając się przed chłodem w swój wynoszony płaszcz z peleryną, szedł chodnikiem, — gdy na przeciwniej stronie ulicy spostrzegł wśród gęstego mroku, tu i owdzie zaledwo rozpraszanego chwiejnym światłem latarni, szybko mknącą postać kobięcą. Wzrostem i kształtami kibici postać ta przy-

pomniała mu Lile. Stanął i popatrzył na nią uważnie, lekając się omyłki i nie śmiać się zbliżyć. Kobięta na którą patrzył szła wciąż przeciwległym chodnikiem, coraz prędzej i prędzej. Nagle żółtawy błysk latarni przemknął po jej twarzy. Łozowicz poznał Lile. W mgnieniu oka był już przy niej.

— Na Boga! zawołał, co pani jest? dokąd pani idziesz o tój porze, sama jedna?

Kobięta, usłyszawszy tuż przy sobie głos ludzki, z lekkim krzykiem w tył się rzuciła. Łozowicz ujął rękę jej drżącą i jak lód zimną. Wtedy dopiero poznała go. Głuche, łez pozbawione łkanie wstrząsnęło jej piersią.

— Dokąd pani idziesz? nagłaco pytał Fabian.

Siliła się długo, aby ze zmaconego umysłu swego wydrzeć odpowiedź jaką, aż ledwie dosłyszalnie szepnęła:

— Nie wiem!

— Boże! cóż się to stało? pani jesteś tak błądą, jakby nieprzytomną! drżysz cała! Czy chcesz pani, abym cię odprowadził do twego mieszkania?

Uczyniła znowu poruszenie takie, jakby uciekać chciała i rękę swą z dłoni jego wyrrywając, krzyknęła głośno:

— Nie! nie! nie!

W głowie Łozowicza błysnęło światło. Domyślił się że zająć tam musiało coś strasznego. Nie wiedział sam co ma czynić. Wzruszony był bardzo, ale więcej jeszcze zmieszany. Nagle w oku Lili błysnęło z napełniającej je grozy uczucie inne. Było to uczucie gwałtownego przesywającego bólu. Wyciągnęła ku staremu przyjacielowi swemu sobie ręce i stłumionym głosem zawołała:

— Ratuj mię pan! jam sama na świecie!... sama!... sama!... We mnie i przedemną pusto!... ciemno!...

Położył rękę jęj na swém ramieniu i chwiejącą się prowadził chodnikiem ulicy: milczała... Spoglądał na nią niekiedy: patrzyła w ziemię.

W dwóch pokoikach, oknami na wązką uliczkę wychodzących, pełno było osób i gwaru. W malutkiej bawialni, dokoła palącej się na stole lampy, siedziało kilka kobiet podżytych, lub całkiem starych, pomiędzy którymi wyróżniała się wysoka chuda postać pani Adeli, trzymającej się prosto i bardzo szybko a pilnie robiącej pończochę. Obok niej blada, szczupła, przygarbiona nieco, siedziała żona Augustyna Szyłły. z wiekuiistą swą koronką w rękę. Dalej szeroko rozkładała fałdy swęj staręj jak świat jedwabnej sukni pani Eustachia, wiążąca bawełnianą siatkę. Dalej jeszcze znajdowały się tam trzy czy cztery kobiety inne, obracające również szydełkiem lub iglicą. Wszystkie osoby te zajmowały miejsca na kanapie i fotelach, które niegdys w ładnym łozowickim salonie figurowały, a teraz pokrowcami z białego płótna starannie owinięte szczególną sprzeczność ze szczupłością izdebki, z jęj przybrudnym sufitem i ogólném ubóstwem przedstawiały. Kobięty gawędziły. W głębi bawialni, w półcieniu, na niskich stołkach, lub na grubych, chropawych deskach podłogi, siedziało czworo młodszych dzieci Łozowiczów, wraz z dwojgiem innych, które w odwiedziny ze sobą przywiodła jedna z goszczących tu kobiet. Dzieci gwarzyły głośno i wesoło.

Ale i w drugim pokoju, jedną świecą oświetlonym, gwarnie tęż i wesoło było. Tu dokoła ścian stały łózka mniejsze i większe, kufry, skrzynie i szafy. Na kufrach i skrzyniach siedziały młode panny; więc trzy córki Szyłłów

i Ludka. Obok nich, o komódki i poręcze łóżek wsparci, stali młodzi kawalerowie; więc Ignasz Szyłło, Apolek Łozowicz, młodszy brat jego, na dorosłego już kawalera pozujący, i dwaj inni młodzieńcy, synowie przyjaciółek i codziennych towarzyszek pani Adeli. Zebranie to, aczkolwiek liczne, nie było przecież żadną niezwykłą okolicznością spowodowane, lecz przeciwnie odpowiadało w zupełności codziennemu, panującemu w pokojach tych trybowi życia.

W ciemnej sionce szumiał na glinianej podłodze olbrzymi samowar; w kuchence stały na stole przed wieczorem jeszcze przez panią Adelę pokrajane, a na kilku talerzach spiętrzone chleb, bułki i masło.

W oczekiwaniu na zwykły wieczorny posiłek, towarzystwo bawiło się, z pozoru przynajmniej sądząc, bardzo przyjemnie. Dzieci igrać poczęły w kota i myszkę, przy czem przewracały stolki i hałasowały straszliwie. Panienki żywe a żartobliwe utarczki prowadziły z kawalerami.

Pomiędzy starszemi paniami jednak, wkoło kanapy, rozmowa słabnąć zaczynała. Jednocześnie prawie uczuły wszystkie, że w ustach im zaschło. Wyglądać zaczęły herbaty i raz po raz zerkwały na pęk kluczów, które wisały u pasa pani Adeli, a których przedłużająca się nieruchomości niepokoić je zaczynała. Wiedziały jednak, że gospodyni domu czeka z przyrządzeniem herbaty na powrót męża.

— Gdzie jest pan Fabian dobrodziej? zapytała, owijając iglicę bawełną, pani Eustachia.

— Spóźnia się coś dzisiaj, zauważyła inna z kobiet.

— Nieboraczysko za lekeyami latać musi, westchnę-

ła pani Adela; powinienby był jednak od kwadransa już wrócić...

— Otóż i idzie! wymówiła pani Eustachia.

W istocie drzwi prowadzące z sieni na dziedziniec skrzypnęły głośno, a w niespełna minutę do małej bawialni wszedł pan Fabian. W całej jego postawie było coś niezwyklego, co uderzyło odrazu wszystkie kobiety. Wyglądał przełęczniony i rozrzewniony zarazem.

— Duszko! szepnął, przelotnym zaledwie ukłonem powitawszy całe zebranie kobiece, proszę cię, wyjdź na chwilę ze świecą do sieni!

— POCO? zapytała pani Adela.

Lecz uderzona i przełęczniona nieco wyrazem twarzy męża, wstała z kanapy i wyszła na środek pokoju. Tu jednak stanęła.

— Cóż tam stać się mogło w sieni? zapytała ze zwykłą sobie opryskliwością. Dzieci są przecie tutaj wszystkie.

I dzwoniąc kluczami, ku drzwiom postąpiła.

Łozowicz lękał się znać, aby żona jego w stanie irytacji do sionki nie weszła. Tarł dłonią łysinę z całej siły i drogę jej do drzwi zastąpił.

— Duszko! mówił zeicha, tam jest... tam jest... gość!

— Gość! jaki gość? zawołała pani Adela. Może Antosia Szyłłowa przyjechała ze wsi? Dlaczegoż tu nie wchodzi? toż przecie teraz dobrodziejka nasza.

Kobiety dokoła stołu siedzące, z wyciągniętymi naprzód szyjami rozmowy tej małżonków słuchały. Jakkolwiek toczyła się ona półgłosem, najmniejsze słówko jej straconem nie było dla wprawnych w słuchanie i podsłuchiwanie ich uszu. To też gdy pan Fabian, nagłony zapyta-

niami żony szepnął jęj na ucho prawie nazwisko gościa, który się w sieni znajdował, z ust żeńskiej gromadki wydarł się jeden krzyk zdumienia, oburzenia i zgrozy. Pani Adela stanęła także jak do miejsca przykuta i piorunujący wzrok utkwiała w twarzy męża.

— Co? zawołała, ty ją tu przyprowadziłeś? ją ją!... I ja przyjmowaćbym miała... tu w domu moim... wobec moich córek tę...

— Adziu! duszko! ona jest tak nieszczęśliwa!

— Nieszczęśliwa! syknęły kobiety przy stole, a któż nieszczęściu temu winien? Niech sama pije piwo, którego sobie nawarzyła.

— Ale do porządných domów niech nie przychodzi.

— Bo to zgorszenie! obraza Boska!..

— Magdalena! zawołały chórem.

— Jawno grzesznica! dokończyły.

Podniecona sykaniem i wykrzykami przyjaciółek, pani Adela rzuciła się ku drzwiom.

— Ja jęj tu zaraz powiem wszystko co myślę o nięj! mówiła z irytacją wielką; wyprawię twego gościa z pod dachu, pod którym mieszkają moje córki!

Pan Fabian, do najwyższego już stopnia zmieszany i przelękniony, usiłował powstrzymywać żonę, ale nadaremnie. Ze świecą w rękę, wyprostowana, nawpół uroczy-sta a nawpół gniewna, pani Adela drzwi otworzyła i próg ciasnej sionki przestąpiła. Jakież jednak było jęj zdumienie, gdy zamiast strojnej, śmiałej kobiety, którą ujrzeć spodziéwała się, zobaczyła postać jakąś siedzącą bez ruchu na jednym stołku, jaki się w sieni znajdował, z plecami i głową opartymi o zimną, wilgotną ścianę, z rękami zwieszonymi bezwładnie i z zamkniętymi oczami.

— Co to jest? zawołała, kto to taki?

Pan Fabian poskoczył ku nieruchomój postaci. i zawołał:

— Zemdlą!a!

Lila była w istocie zemdloną. Szal opadł z jęj ramion i zwił na glinianą podłogę; rzędy wielkich korali nieruchomo spoczywały na jęj piersi, w której nie było oddechu. Na bladęj twarzy, jakkolwiek nieruchomęj, pozostały ślady przeniesionęj męki i fizycznego wyniszczenia. Zbielałe usta zemdlonęj kobiety silnie były zaciśnięte; długie jęj czarne rzęsy oblęwały zapadłe policzki cieniem posępnym, a nad całą twarzą tą i postacią, która była w tęg chwili uosobieniem strasznego upadku i głębokięj niedoli, szydersko świeciły i migotały w roztarganych krucznych warkoczach gęsto strojące je ozdoby ze złota i kryształu.

Pani Adela ze świecą w ręku stała przez chwilę nad nieruchomą tą postacią kobięcą, w niemém zdumieniu. Widać było że im dłużej patrzyła na obraz tęg, tehnący nieszczęściem i opuszczeniem, tęg więcęg *irytacja* jęj ustępowwała przed miększém jakimś uczuciem.

— Cóż się to stało? zapytała męża, głos swóy zniżając do szeptu prawie. Czy on ją porzucił?

— Nie, odparł Fabian, ona go opuściła.

— Przecież opamiętała się! syknęła za panią Adela jedna z jęj przyjaciółek.

— Gdzieżeś ją spotkał? dlaczego przyszła tu do nas właśnie?

— Spotkałem ją na ulicy samę jednę, zrozpaczoną, upadającą prawie i pomyślałem że ty, Adelko, z twojęm złotém sercem, nie będziesz mogła..

— Móg Boże! przerwała pani Adela, kiwając smutnie

głową, do czego to przyszła ta piękna, świetna, bogata pan-
na Lila Orchowska!

Odwróciła się szybko ku drzwiom pokoju i zawołała
na córkę i syna.

— Ludko! Józiu! pomóżcie ojcu zanieść tę panią na
moje łóżko! ty Apolku, biegnij prędko po doktora! a pani
Eustachia niech będzie tak łaskawą i pójdzie co prędzej do
apteki po wodę kolońską i ocet toaletowy!

Eks-rezydentka wspaniale podniosła się z krzesła
a zgarniając obiema dłońmi pocierowane swe jedwabie, jak-
by obawiała się zetknięcia się ich z szeleszczącą po grubiej
podłodze, wytworną suknią niesionej w zemdleńiu kobiety,
wyrzekła z dumą i głęboką obrazą:

— Ja! ja mam fatygować się dla téj kobiety? O nie!
tak nisko Eustachia Kunasewiczowa nie upadnie nigdy!

— My z Zuzią pójdziemy wszędzie gdzie potrzeba,
cichym swym głosem ozwała się przygarbiona i schorowa-
na żona Augustyna Szyłty, i zarzuciwszy na siebie zno-
szony płaszcz, wybiegła wraz z najstarszą córką na u-
licę.

W godzinę potém nie było już w mieszkaniu Łozo-
wiczów ani jednej staréj kobiety i ani jednego kawalera.
Dzieci spały smaczno na kanapach i skrzyniach, pan Fabian
biegał za lekarstwami, a pani Adela z Ludką, nie rozbie-
rając się, siedziały noc całą przy łóżku młodéj kobiety,
która obudzona na chwilę z omdlenia, wpadła potém w stan
gorączkowej nieprzytomności.

Nazajutrz około południa lekarz stał znowu przy łóż-
ku Lili i z uczuciem przykrości oglądał się co chwila na
wszystkie strony. W mieszkaniu Łozowiczów panował nie-

ustannie taki hałas, że zbadanie nawet pulsu choréj było mu prawie niepodobne.

Powietrze w ciasnych i ludźmi przepelnionych izdebkach duszne też było i wilgocią przesiąknięte. Na twarzy przytém pani Adeli i w całym jéj obejściu się z chorą i lekarzem malowała się znowu żywa irytacya, a przybywające wciąż obce kobiety rzucały na łóże choréj bardzo wyraźne spojrzenia niechęci i wzgardy.

Lekarz zwrócił się ku gospodarzowi domu z zapytaniem, czy nie możnaby umieścić choréj w miejscu jakimś obszerniejszym, suchszym, a przede wszystkim cichym i samotnym.

— Całe mieszkanie nasze składa się z dwóch tych pokojów, pochylając smutnie głowę, odparł Łozowicz.

— Osoba ta ma może krewnych jakich, przyjaciół, w których domu ..

Całą odpowiedzią na słowa te było aż nadto wyraźne milczenie obojga Fabianowstwa.

— A więc, po chwili namysłu rzekł lekarz, radziłbym przewieźć ją do szpitala sióstr...

Nie dokończył znowu, tak głębokie zdumienie, tak żywa odraza odmalowała się na twarzach słuchaczy.

— Szpital! jęknął p. Fabian... dla niéj!

— Lila Orchowska w szpitalu! splatając ręce wykrzyknęła pani Adela.

— Do szpitala sióstr miłosierdzia, dokończył lekarz, z chłodem cechującym ludzi jego powołania. Tam osoba ta będzie miała pokój osobny, powietrze czyste i świeże, starania ciągłe naszych sióstr nieocenionych, a przede wszystkim ciszę i spokój, które niezbędnie... niezbędnie są jéj potrzebne.

Należy jednak przenosiny te uskutecznić dziś, natychmiast, inaczej za życie choréj zaręczyć nie mogę.

W chwilę potem pani Adela naradzała się z mężem w kątku bawialni.

— Cóż robić? mówiła, trzeba to uczynić!

— Trzeba! powtórzył pan Fabian, z wyrazem gorącego, lecz bezsilnego żalu.

— I bez tego przecież nie moglibyśmy trzymać jej u siebie długo, leczyć i pielęgnować. Nie mamy potemu środków.

— Nie mamy! westchnął Łozowicz.

— Ale jakże tu zrobić? deszcz pada... trzebaaby karety chyba, aby ją przewieźć...

— Tak, karety...

— Zkądże ją wziąć?

— Nająć duszko!

— O, ja wiem! tybyś dla całego świata karęty najmował, aby go niemi wozić! A czy masz choć złotówkę przy duszy?

— Mam duszko, kilka rubli, które wczoraj za lekcy mi dano.

Pani Adela patrzyła w ziemię i przygryzała usta. Blizki wybuch irytacyi dawał się już spostrzegać na jej twarzy.

— Kilka rubli! zaczęła, wielki majątek, doprawdy! A nam to się one niby nie przydadzą, te twoje kilka rubli! Ludce nowych bucików trzeba. Apolek rękawiczek nie ma, drzewo na opał także kupować przyjdzie... Ale czy ty myślisz kiedy o potrzebach żony i dzieci? czy ty o nie dbasz?... No! dokończyła, idź, najmij karete, ażeby tu za dwie godziny najdalej była!

— Ty, Adelko, zawsze złote miałaś serce! szepnął pan Fabian, biorąc czapkę.

Dnia tego stoczyła się pomiędzy państwem Fabiano-
stwem walna narada, czy należy oznajmić Mieczysławowi
Orchowskiemu o położeniu w jakim znalazła się jego sio-
stra i kto list z uwiadomieniem tém ma napisać. Zważając
na okoliczności różne, list ten był w istocie do napisania
trudnym. Według wszelkiego podobieństwa do prawdy,
Mieczysław musiał być srodze na siostrę rozgniewanym
i rozżalonym, a przyjaciółki pani Adeli jednogłośnie prawie
zdecydowały, że wyprzeć się jej powinien i wyprze niezawo-
dnie. Wieczorem jednak pani Adela zasiadła do pisania
listu, który nazajutrz wysłanym został do Orchowa przez
umyślnego posłańca. Odpowiedź na pismo to, skreślona
przez Michalinę, zawierała następujące słowa: „Mąż mój
z powodu naglących interesów, wyjechał z domu i nie spo-
dziewam się powrotu jego prędzej jak za tydzień. Co do
mnie, skoro tylko urządzę się z gospodarstwem i z dziećmi,
pospieszę do N. Tymczasem z całego serca dziękuję szano-
wnym państwu za współczucie i pomoc okazaną biédnej
siostrze naszej, dla której ja i mąż mój uczynimy wszystko
co tylko w mocy naszej będzie.“

X.

Pociąg kolei żelaznej, przybywający z północy, zbliżał się ku ścianom dworca. Po jednej z sal okazałej i obszernej budowy tej przechadzał się, z papirosikiem w ustach i rękami zapuszczonemi w kieszenie zgrabnego paltota, Gottlieb, *vulgo* Abramek Makower. Miał on na głowie czapkę swą ze srebrnym galonkiem, a rozglądając się dookoła w sposób niedbały i znudzony, kształtnej postaci swój nadawał ruchy dandysa najgorszego smaku i tonu.

Sala napęłniać się właśnie zaczynała przybyłemi pociągami podróżnymi i wnoszonemi ze dworu pakunkami, gdy młody syn Elego usłyszał za sobą pozdrowienie, znajomym głosem wymówione. Obejrzał się i ujrzał Klemensa Szyłę, który z worem podróżnym w rękę i skórzaną torebką na plecach witał się z nim poufale i przyjacielsko.

— Gut Abend, Gottliebku!

— Gut Abend! gut Abend! zaśmiał się Abramek. No! jak tam powodziło się w podróży panu Klemensowi? Czy stolica bardzo piękna? A wielkie tam interesa robieś dla pana agenta? Aj! aj! ile ja razy myślałem sobie, że chciałbym na twojem być miejscu!

— Zapewne! zapewne! odparł Klemens, świat szeroki, wielki, piękny! a co na nim złota!... jeździć tylko i garściami po świecie je zbierać!

— Tak, markotnie zauważył Abramek, tylko żeby móż jeździć, trzeba nie mieć kajdanów na rękach i na nogach, tak ja je mam. .

— Masz je, bo sam tak chcesz; a gdybyś nie chciał tobyś ich nie miał.

Abramek próbował zaprzeczać, ale Klemens zawołał:

— Głodny jestem! Pójdź do bufetu; zjemy cokolwiek i napijemy się piwa.

— No, zasiadając przy bocznym stoliku, żartobliwie rzekł Abramek, a masz ty czém zapłacić? bo dawniej to u ciebie o zapłaceniu nigdy i słyhać nie było.

Klemens roztworzył nawpół pugilares, a w nim ukazała się spora paczka assygnat. Oczy Abramka błysnęły.

— Ot szczęśliwy człowiek! A zkad ty to wziął?

— Z różnych interesów, odparł syn Augustyna Szyłty. U pana agenta, służba dobra, stosunki człowiekowi robi i okazye różne następuje.

Przed rozmawiającymi postawiono dwie porcey mięsiwa jakiegoś i dwa wielkie kufle piwa. Abramek mięsa nie jadł, ze względu na obecność w sali dwóch czy trzech starozakonnych, którzy nań i tak już ukośne, niechętnie rzucałi spojrzenia; ale piwo popijał i zarzucał towarzysza pytaniami o stolicę, bogactwa jęj i świetności, o interesa które załatwiają się w tém ogromném zbiorowisku bogactw i ludzi. Klemens nie pozostawał dłużnym w odpowiedziach. Był on w humorze wyśmienitym. Jadł z apetytem i opowiadał z zapałem. W czasie pobytu swego w stolicy odwiedzał giełdę, przypatrując się pilnie a ciekawie odbywa-

jącym się tam finansowym obrotom; bywał obecnym na najrozmaitszych targach lub licytacyach i sam w nich w miarę możliwości uczestniczył; otarł się o mnóstwo ludzi szukających zysków i zdobyczy na różnych drogach i dowiadywał się od nich o dróg tych zwrotach i krętaninach. Wszystko to zachwycało go i wprawiało w zapał. Zachwytem tym i zapałem dzielił się teraz z Abramkiem, a chciwa ciekawość, z jaką słuchał go izraelski młodzieniec, bawiła go widocznie i do dalszych opowiadań zachęcała. Prawił też o ludziach, którzy grosza nie mając, puścili się w świat szeroki i po pewnym przeciągu czasu, z pomocą sprytu tylko własnego i szybkich obrotów kół fortuny, stanęli na stanowiskach wydatnych a dogodnych.

— Wszystko to jednak niczem jest, zawołał nagle nóż i widelec z brzękiem na talerz rzucając; wszystko to niczem jest w porównaniu z tem, czego dokazał jeden z *waszych*. Żydek, prosty Żydek, Lejbuś jakiś, czy Icek. To mi chwat! to mi zuch człowiek!

Na słowa: jeden z *waszych*, zmarszczył się nieco Abramek, ale ciekawość wzięła górę nad niezadowolaniem.

— Nu! a cóż on takiego zrobił, ten Lejbuś czy Icek? zapytał.

— To długa historia! odparł Klemens, ocierając usta serwetą; ale ci ją w kilku słowach opowiem. Ów Icek to syn jakiegoś faktora, ot takiego naprzykład jak twój stryj Mendel...

Abramek zmarszczył się znowu, co widząc, Klemens zaśmiał się na całe gardło, poczem mówił dalej:

— Nie wiem już jakim sposobem, ale dobił się on kilku tysięcy rubli. Co tu z niemi robić? Kupować, sprzedawać, szachrować w małym miasteczku, w ubogim kraju?

Icek poszedł do głowy po rozum, siadł do wagonu i pojechał do Hamburga, a tam siadł znowu na okręt i popłynął...

Tu Klemens, dla sprawienia większego efektu, zawiesił głos na chwilę.

— Gdzie on popłynął? błyskając czarnymi oczami śpiesznie zapytał Abramek.

— Popłynął... do Ameryki!

— Do Ameryki?

— Tak, do Ameryki. A tam siadł znowu do wagonu i pojechał...

Tym razem opowiadający przerwał sam sobie wybuchem śmiechu, spowodowanego wyrazem nadzwyczajnej, niecierpliwjéj ciekawości, który przybrała twarz jego słuchacza.

— Gdzie on pojechał? gdzie on pojechał? naglił Abramek.

— Pojechał daleko... daleko, na zachód, do Kalifornii.

— Do Kalifornii? to tam gdzie złoto kopią?

— Gdzie złoto kopią.

— A co on tam w Kalifornii robił?

— On tam kupił kawał ziemi i zaczął ją kopać. Kopał miesiąc, dwa, trzy, kopał pół roku i nie nie znajdował; ale siódmego miesiąca zato znalazł.. żyłę złota...

— Żyłę złota? wykrzyknął Abramek.

Milczeli chwilę: Klemens zapalał papierosa, Abramek zaś, którego oczy zdwojonym świeciły blaskiem, przechylał głowę na obie strony, na znak niemego zdumienia i zachwyty.

— A gdzie on teraz jest, ten Icek? zapytał ciekawie.

— Icek mieszka teraz w stolicy, jest sobi wielkim

spekulantem, gra na giełdzie, setkami kupuje akcje wszystkich wielkich stowarzyszeń, obraca słowem milionami. Pan z niego teraz, co się zowie. Mieszka w pałacu, jeździ koczami i karetami, a największe figury, sami nawet podobno ministrowie, bywają u niego i kłaniają się mu nisko.

— I pan Klemens widział jego i poznał?.

— Gdzie tam mnie chudemu pachołkowi po takie znajomości sięgać! Widziałem go wprawdzie kilka razy, jak przed gankiem giełdy wysiadał z karety i wchodził na schody, ale nie rozmawiałem z nim ani razu. Same tylko wielkie figury rozmawiać z nim mogą..

— A zkądże pan Klemens wie o tem wszystkim, kiedy nigdy z nim nie rozmawiał?

— Opowiadali mi o tém ludzie. Niema w stolicy ani jednego człowieka, któryby nie wiedział o baronie von Lebensdorf i jego historii ..

— O baronie?.. czy on teraz jest baronem?

— A jakże? albożes myślał że taki rozumny człowiek chodzi jeszcze w chałacie i święci szabasy? Został on chrześcianinem i zrobiono go baronem.

— Aj! aj! po chwili milczącej zadumy zawołał Abramek, oto człowiek!

— Mądry człowiek, Gottliebku, mądry człowiek. Ale początek mądrości jego był, wiész gdzie? w tych kilku tysiącach rubli, które on miał na podróż do Kalifornii i na kupienie tam sobie kawałka ziemi z żyłą złota. Daj mi pieniędzy, dużo pieniędzy, a i ja takim samym mądrym być potrafię..

— Aha! żebym ja miał pieniądze!

Klemens zaśmiał się.

— Niech tam już ja biędę klepię, bo zkąd pieniędzy

wziąć mogę? Mój ojciec goły jak święty turecki i wielkie to już szczęście, jeżeli kiedy wycisnąć z niego potrafię kilkanaście rubli na obuwie i odzienie... Ale... Eli Makower! ho! ho! któż nie wie że u niego pieniądze jak piasek!..

Abramek na uwagę tę nie odpowiedział nic. Jak zwykle przy wspomnieniu o ojcu i jego bogactwie, wyraz głuchéj niechęci twarz mu okrył.

— No, czas mi do miasta, do pryncypała mego, rzekł Klemens, powstając. Dobréj nocy, Gottliebku, i niech ci się śnią: mądry Icek... przepraszam, baron von Lebensdorf i Kalifornia!

Pomimo pożegnalnych słów tych, Abramek szedł obok towarzysza swego, w głębokiém pogrążony zamyśleniu.

— Czy idziesz do biura telegraficznego? zapytał go Klemens.

Abramek splunął z niechęcią i wzgardą.

— Już ja z tém biurem pożegnał się na zawsze, rzekł; prosiłem o dymisyą i wczoraj mi ją dali.

— A! wolny więc Kozak z ciebie?

— Et, co z takiej wolności? Mnie już te Żydy tutaj-sze kością w gardle stoją! Patrzą na mnie jak na raroga za to, że ubieram się i żyję inaczéj jak oni. Rabiny przychodzili temi dniami do ojca, pytając się czemu mnie nie żeni, kiedy ja już wąsy mam, a ojciec chce mnie z córką Efroima żenić, z głupią dziewczką, która czytać nawet może nie umie.. Ot, żebym mógł, tobym na koniec świata od tego wszystkiego uciekł.

— To uciekaj. Któż ci broni uciekać?

Szli znowu kilka minut w milczeniu, aż znaleźli się blisko ustronnéj kamieniczki, do którój w celu widzenia się z pryncypałem swym, dążył Klemens.

— Panie Klemensie! ozwał się Abramek.

— Co?

— Czy pan Klemens przyjdzie jutro, około dwunastej, do naszego mieszkania?.. Jabym chciał z panem Klemensem o niektórych rzeczach porozmawiać...

— A taty tam nie będzie?

— On wyjechał do jakiegoś obywatela, którego majątek chce sprzedawać, i wróci za dwa dni dopiero.

— Czemużby nie? Jeżeli pryncypał mój potrzebować mię w tej porze nie będzie to przyjdę.

Po tych słowach rozstali się.

Nazajutrz, około południa, wchodzili znowu obaj razem do izby, w której za bufetem, zastawionym butelkami i talerzami, siedziała Chaja.

Twarz Chai rozpromieniła się, jak zwykle, na widok wchodzącego syna. On powitał ją przelotnym, niedbałym skinieniem głowy i przeszedłszy pustą w tej chwili izbę bilardową, wszedł wraz z towarzyszem swym do bawialni upstrzonej lusterkami i frankami, do słynnego a tyłu ludziom złowrogiego *stawu* swego ojca.

— Pan agent nie dał dziś panu Klemensowi żadnego polecenia? zapytał Abramek.

Klemens nie miał już wczorajszej rozjaśnionej twarzy i wczorajszego różowego humoru. Owszem, gniównym wydawał się i silnie zmartwionym.

— Niech diabli wezmą pana agenta i wszystkie interesa jego! zawołał. Przyjął mię wczoraj jak psa jakiego i powiedział żeby nie przychodził do niego, bo żadnych poleceń mi już nie da i za kilka dni zupełnie ztąd wyjedzie. Zły jak szatan... Żonka jego przyjechała podobno, ni ztąd ni zowąd, z kupą dzieciaków i wszystkie szyki mu popsuła.

Wiadomości te mało widocznie obchodziły Abramka. Siedział z twarzą opartą na dłoni i milczał. Klemens zato miotał się i biegał po pokoju.

— Ot i znowu, zawołał, człowiek został bez zajęcia i zarobku żadnego! Niewiedzieć co robić i gdzie się obrócić. Niech djabli wezmą takie życie bez celu i przyjemności żadnych, i taki kraj, w którym niczego dobić się nie można!

Mówiąc to człowiek bez kondycyi stanął u okna i zaczął niecierpliwie bębnić palcami po szybie.

— Panie Klemensie! ozwał się Abramek.

— Co?

— Ja tu przyniosłem z sobą mapę geograficzną, ale to dobra mapa, bo na nią i koleje żelazne oznaczone, i nawet drogi morskie, któremi pływają okręty...

Klemens milczał i nie odwracał się.

— I książeczkę ja także przyniosłem taką, w której wypisane stoi, ile wszędzie za podróż płacić trzeba...

Klemens milczał jeszcze.

— Mapę i książeczkę pożyczyłem mi jeden urzędnik od telegrafu, mój dawniejszy kolega... ale tylko na kilka godzin... trzeba więc żebyśmy z panem Klemensem zaraz się do roboty wzięli...

Teraz dopiero syn Augustyna Szyłły zwrócił się twarzą ku pokojowi. Jakaż zmiana! twarz ta nie była już chmurną, gniewną, lecz przeciwnie, rozświecał ją promień miłej, tajemniczój nadziei. Człowiek bez kondycyi, w tej chwili właśnie, wpadł znać na świetny jakiś, wiele obiecujący pomysł. Pomysł ów musiał mieć blizki związek z osobą Abramka, bo Klemens, odwróciwszy się od okna, wpa-trzył się w niego pilniój, bardziój badawczo niż zwykle. Zdawałoby się że chciał on z twarzy izraelskiego młodzień-

ca wyczytać najskrytsze uczucia jego i myśli. I wyczytał... Nie bez pewnego zdziwienia nawet ujrzał szczególną zmianę, która od wczorajszego wieczoru zaszła w powierzchowności syna Elega. Cera jego bledszą dziś jeszcze była niż zwykle, zaczerwienienie i lekka nabrzmiałość powiek zdradzały noc bezsennie przebytą, wyraz czarnych oczów stał się napóły posępnym, napóły potężną jakąś namiętnością rozgorzałym. Wczorajsze widać opowiadanie o mądrym Ieku i Kalifornii, bez szczególnego, z góry powziętego zamiaru dokonane, głęboko zapadło w umysł młodzieńca i rozпалиło jego wyobraźnię, do najwyższego stopnia podniecając trawiącą go żądzę zysków i użycia, wielkich bogactw i wielkich *honorów*. Teraz był-to już dla Klemensa materiał wybornie przysposobiony. Wraz ze zmianą interesów i usposobień głównego agenta, do którego wozu fortuny był się przyczepił, tracił on perspektywę wyrobienia sobie położenia jakiego. Nie mógłże więc teraz ucześcić się znowu skrajowi szaty kogoś innego? Abramek rozłożył przed sobą grubą, drobno zadrukowaną księgę i niewielką lecz bardzo szczegółową mapę. Klemens przeszedł się parę razy jeszcze po pokoju, aż stanął przy szafie ogniotrwałej i uderzył dłonią o żelazną jej ścianę.

— O! rzekł z uśmiechem, gdybym ja tylko posiadał to, co się znajduje tutaj!

— Nie tak to tam wiele tego jest, jak pan Klemens myśli! ozwał się Abramek. *Jego* pieniądze w obrotach ciągłych. Tylko że w przeszłym tygodniu kilka tysięcy rubli zarobił, a kilka odnieśli mu Żydki, co u niego pożyczali. *On* tymczasem te pieniądze tu położył, ale jak wróci, to zaraz je znowu w świat puści.

— A ileż tam tego być może? zapytał Klemens.

— Et! piętnaście tysięcy storublowemi asygnatami i coś tam jeszcze drobniejszemi.

— Widziałeś te pieniądze?

— Czemu nie miałem ich widzieć? *On* je przy mnie do szafy chował.

Rzekłszy to, Abramek pochylił się nad mapą, a Klemens chodził do pokoju. I stanął znowu przy żelaznej szafie i dłonią jej dotknął.

— Ho, ho! rzekł, żebym ja wiedział jakim sposobem tę szafę trzeba otwierać!

Nowy ten wykrzyk nie otrzymał zrazu odpowiedzi żadnej. Po chwili dopiero Abramek, oczu od mapy nie odrywając, rzekł półgłosem:

— Ja wiem jak ją otwierać trzeba!

— Mądre to zamki w tych kasach bezpieczeństwa, od niechcienia niby, żartobliwym nawet trochę tonem mówił Klemens—a mądry *tate* klucz pewno ze sobą wozi! he?

— Jeden, porywczó rzucił Abramek.

— Jakto jeden? alboż są dwa klucze?

— Zawsze bywają dwa.

Klemens zwrócił się nagle ku Abramkowi i śledził oczami kierunek jego wzroku. Rozgorzałe, ponure prawie w tej chwili oczy syna Elega spoczywały na jednej z szuflad małej, przy ścianie stojącej komódki.

— Aha, w tej komódce! wymówił młody Szyłło.

Abramek szybkim ruchem palec do ust przyłożył i syknął:

— Ccccyt!

Teraz już Klemens usiadł, oba łokcie oparł o stół i głowę nad mapą i księgą pochylił. Pochylił się też nad

niemi i Abramek; zamiast jednak patrzeć na rozłożone przed nimi druki i rysunki, patrzyli oni na siebie. Patrzyli i szepotali długo. Włosy ich stykały się nieledwie ze sobą. Abramek kiedy niekiedy spoglądał na mapę i wiódł po niej palcem daleko... daleko ku zachodowi. Ręka jego trzęsa się jak w febrze, a na śniade czoło występowały grube, perliste krople potu.

Tego samego dnia, o dość późnej wieczornej godzinie, chodnikiem jednej z ulic, postępowali szybko dwaj młodzi ludzie. Obaj pochylone mieli głowy i oczy wlepione w ziemię, a zamieniali ze sobą słowa urywane i ciche, jakby lękali się, aby ktokolwiek tajemnej ich rozmowy nie podsłuchał. U okien domów, nisko nad ziemią umieszczonych pozamykano oddawna już okiennice; w sklepach i sklepikach pogasty światła; ruch dzienny miasta miał się już ku końcowi i w coraz głębszą ciszę zapadał. Tu i owdzie tylko świeciła wśród ciemności dopalająca się latarnia, zapóźniony przechodzień przemknął pod ścianą domostw, albo środkiem ulicy przesunęła szybko doróżka miejska. Doróżki ukazywały się nawet często, coraz częściej, a wszystkie w jedną stronę dążyły, w stronę drogi bitej, do dworca kolei wiodącej. Pociąg kolei, idący na zachód, opuścić miał dworzec miejscowy w niespełna godzinę.

— Czy pewny jesteś że nie wróci *on* piérwój jak jutro wieczorem? zapytał jeden z młodych ludzi towarzysza swego.

— No, już ty o to spokojnym bądź! Jak *on* wróci, to już tu po mnie i śladu nie będzie.

— Jakto: po tobie? powinienes był powiedziéć: po nas.

— No, po nas! po nas! odparł smukły, zgrabny młodzieniec. Wszak pojedziemy razem.

— Spodziejwam się! czy ja ci darmo pomagam i tak narażam się? Spokojny zresztą jestem, że słowa mi dotrzymasz, bo wiem że nie dałbyś sobie rady bezemnie. Mam ja teraz znajomości, stosunki, które koniecznie chodzić powinny w parze z twémi piéniédzmi...

— Cyt! syknął wysmukły młodzieniec i zatrzymał się u bramy jednopiętrowego, drewnianego domu. Dom ten miał od ulicy drzwi do połowy oszklone, z nadpisem u góry, ogłaszającym znajdowanie się w tem miejscu bilardu, win, wódek i przekąsek. Przez szyby jego nie przebijano się teraz najmniejsze światélko; okiennice szczelnie były pozamykane.

Dwaj młodzi ludzie zatrzymali się przed bramą, na dziedziniec domu wiodącą. Dziedziniec-to był pusty gospodarskimi budowlami dokoła ostawiony, a nadniszczonym płotem łączący się z obszérnemi, pustemi w téj porze ogrodami warzywnemi, które znowu przytykały do bitéj drogi, kończącéj się u stóp wspianiałéj budowy dworca.

— No, rzekł jeden z młodych ludzi, czekaj ty tu na mnie... Chodź sobie po ulicy, niby nic, a gdyby tu kto wypadkiem nadjechał lub nadszedł. to zastukaj w to trzecie od bramy okno. Ja tam będę...

— Rozumiem. To okno od stawu *taty*.

Z temi słowami rozstali się. Jeden z nich wbiegł w dziedziniec, drugi przechadzał się zwolna na małej przestrzni w jednę i w drugą stronę, pilnie nadśluchując

wszelkiego odgłosu i często zaglądając w głąb dziedzińca, w którym zniknął jego towarzysz.

Wewnątrz domu, w izdebce rozdzielonej od bawialni dwoma większymi izbami, w których spały dorastające i małe dzieci Elego, Chaja zaczynała układać się do spoczynku, gdy zastukano do drzwi.

— Kto tam? zawołała Chaja.

Z zewnątrz ozwało się lekkie tylko, niecierpliwe mruknięcie; ale Chaja poznała w niem głos syna i śpiesznie drzwi otworzyła.

— Ny! co ty tak późno do domu przychodzisz, jak włóczęga jaki, jak łobuz? spróbowała gniewać się kobiéta.

Ale Abramek, najmniejszej zda się uwagi nie zwracając ani na gniew matki, ani na całą jej osobę, minął ją w milczeniu, z oczami spuszczone, wziął ze stołu palącą się w mosiężnym lichtarzu łójówkę i poszedł w głąb mieszkania. Chai wydało się że twarz syna, która za ledwie mignęła przed jej oczami, miała w sobie coś niezwykłego. Że jednak wyobraźnia jej nie była wcale rozbudzoną i do rojeń jakichkolwiek lub niepokojów skłonną, a członki zmęczone całodzienną krzątaniem, gwałtownie dopominały się spoczynku, zamknęła więc tylko drzwi od podwórza i dosłownie zakopawszy się w piernatach, głęboko usnęła.

Rozbudziło ją światło nagle do pokoju wniesione. Otworzyła senne oczy i ujrzała Abramka, stawiającego na stole świecę i ku drzwiom zmierzającego. Miał on na sobie ten sam paltot, w którym wszedł i czapkę, ale bez galonka już na głowie.

— A dokąd ty idziesz? ozwała się sennym głosem.

Syn nie odpowiedział.

— Czy ty i dziś nie będziesz w domu nocował?

— A jak nie będę, to co? odmruknął młodzieniec i nie rzuciwszy na matkę ani jednego spojrzenia, wyszedł.

Chaja, zgramoliwszy się z łóżka, zdmuchnęła świecę i drzwi zamknęła. Gdy wśród ciemności obracała klucz w zamku, przyszło jej znowu na myśl, że Abramek, wychodząc, był blady, strasznie blady. Stękając i wzdychając, omackiem doszła do łóżka i utonęła powtórnie w piernatych. Abramek, wyszedłszy na mały ganek, jednym skokiem przesadził parę schodów, dzielących go od bruku dziedzińca, lecz zamiast udać się na prawo ku bramie wiodącej na ulicę, gdzie oczekiwał go towarzysz jego i współnik, poskoczył na lewo, w stronę rozwalonego nawpół płotu. Po chwili znajdował się już w obszernych, pustych zupełnie warzywnych ogrodach. Przebył je szybko; wilgotna, miękka ziemia tłumiała szelest jego kroków. Pięć minut nie upłynęło, a był już na szerokiej bitej drodze, którą szybkim krokiem zmierzał ku czerniejącej wśród zmroku masie wyniosłych murów dworca.

Klemens tymczasem przechadzał się po ulicy, uderzając niedbale laseczką o deski drewnianego chodnika i pogwizdując, jakby chciał przez to nadać sobie pozór człowieka niedbale i ze swobodną myślą oczekującego na coś lub na kogoś. Udawanie to zresztą nie było wcale potrzebem. Na mieście panowała pustka, a tu i owdzie otwarte jeszcze i mdłemi światłkami błyszczące podrzędne szynkowe zakłady, czyniły obecność na ulicy zapóźnionego przechodnia bardzo naturalną.

Czas upływał. Klemens, spokojny całkiem zrazu, zewnątrznie przynajmniej, począł niecierpliwie się i nawet niepokoić. Ostatnia paląca się dotąd uliczna latarnia za-

gasa. Młody człowiek potarł o ścianę domu zapałkę i przy świetle jej spojrzął na swój srebrny zegarek.

— Kwadrans tylko do pociągu! szepnął. Możemy się spóźnić!

Upłynęło pięć minut jeszcze, a nikt nie ukazywał się w bramie.

— Musi mu tam ciężko iść z zamkiem, rzekł do siebie Klemens; bodaj że z dzisiejszój roboty nic jeszcze nie będzie.

W niecierpliwości swój nie mógł dłużej biernie zachować się na ulicy. Wszedł w dziedziniec i przechodząc od okna do okna, nasłuchiwał za zamkniętymi okiennicami. Nagle głęboką ciszę nocną rozdarło przeciągłe, przerażliwe gwizdnięcie. Był-to sygnał zbliżającego się ku dworcowi pociągu.

— Ha! zawołał Klemens półgłosem prawie, spóźniłszy się już! A zresztą... kto wie możebyśmy jeszcze dobiegli!

Nie mógł powstrzymać się dłużej: zastukał w okienicę, zrazu ostrożnie, potem silniej. Żadnej odpowiedzi. Najgłębsza cisza zalegała wewnątrz domu. Gwizdnięcie powtórzyło się. Pociąg stawał u ścian dworca. Klemens drgnął cały. Twarz jego w mroku białała jak chusta. Z całej siły zatrzęsł okiennicą. Tym razem rozespany i przelęknięty głos zapytał z wnętrza po żydowsku:

— Kto tam? czego?

— Po Abramka przychodzę! niech wyjdzie tu do mnie na chwilę... natychmiast.. interes pilny!

— Ny! a zkąd tu Abramek? odpowiedział głos łamaną już polszczyzną; jego tu niema!

— Niema? wykrzyknął Klemens. Jakto! był tu przecie przed chwilą!

— To i co że był? On był i poszedł sobie. A co asanu do tego? Idź asan spać i nie budź ludzi po nocach!

Ostatnich słów Klemens już nie słyszał. Pędem strzały wypadł z dziedzińca na ulicę. Stał jednak jak wryty myślą jakąś uderzony.

— Był i poszedł! rzekł do siebie; a więc uciekł odemnie. Poczekaj, ptaszku, może ja cię jeszcze dogonię!

Mówiąc tak, biegł prawie ku bitej drodze. Nie uszedł przecież trzystu kroków, gdy nocną ciszę przerwał głuchy, monotony turkot i ostre gwizdnięcie rozdarło znowu powietrze. Wśród cieniów jak meteor przemknęła wielka purpurowa pochodnia... rój iskier trysnął w górę... Potém.. umilkło wszystko, zagasło. W oddali dróżnik zdmuchnął białe światełko ostatniej latarki.

Pociąg kolei ruszył w świat...

Klemens stał wśród bitej drogi jak skamieniały. Po chwili jednak zaśmiał się zeicha i zawołał do siebie:

— Pojechał! Oszukał mię!.. Ha, nie byłby Żydem. Natura wilka do lasu pociągnęła!

Mówiąc to, włożył ręce w kieszenie paltota i jak gdy by nic wcale ważnego z nim nie zaszło, zwrócił się z powrotem ku miastu. Gdy wchodził w uliczkę przy której znajdowało się mieszkanie jego ojca, pomyślał:

— Cała bieda w tém, że oto jestem znowu bez żadnej kondycyi.

Szary świt dnia opuszczał się powoli na miasto, w najgłębszym jeszcze śnie i niczém nieprzerwanéj ciszy po-

grążone, gdy przed tę samą bramę, przed którą kilka godzin temu przechadzał się Klemens Szyłło, zajechał niewielki wózek, parą włościańskich koni zaprzężony. Z wózka, otulony sutem futrem, z oczami zaczerwienionemi bezsennością i nocnym chłodem, wysiadł Eli Makower. Prędko bardzo rozmówił się z najemnym swym woźnicą, wypłacił mu należność, a wzięwszy w rękę niewielki wór płócienny, stanowiący cały jego podróżny pakunek, zastukał do drzwi domu.

Chaja, którą turkot kół pod oknami ze snu obudził otworzyła natychmiast, a przy szarém świetle świtu, zalegającym już dziedziniec, poznając męża, zawołała z uradowaniem:

— *Sieh* Eli! A co ty tak prędko wrócił? Ja ciebie dziś wieczorem dopiéro spodziewała się!

— A poco ja tam miał tak długo siedzieć? odparł Eli, witając żonę uściśnieniem ręki i głóśnem cmoknięciem w zwiędły jój policzek. Jak ja skończył interes, to i powrócił.

Z powodu zamkniętych okiennic, ciemność zupełna panowała w mieszkaniu. Eli omackiem poszukał świecy, stojącej, jak zwykle, na stole u okna i zapalił ją. Chaja leżała już znowu, zakopana w piernatach. Głowa jój jednak wysuwała się z pod pierzyny, a oczy nawpół senne jeszcze z troskliwością patrzyły na męża.

— Może ty zziąbł, Eli? może ty herbaty napijesz się?

— Ja herbatę pił niedaleko ztąd, w karczmie u Jan-
kla. Teraz ja tylko schowam to co z drogi przywiozłem
i spać pójdę.

— A co ty z drogi przywiózł? zapytała Chaja.

Eli wyjął z kieszeni wielki swój pugilares, którego boki dobrze były wydęte, i uśmiechając się, pokazał go żonie. Chaja z lubością spoglądała na męża i na pugilares. Usta jej roztwierały się błogim uśmiechem.

— Interes dobrze poszedł? rzekła.

— A czemu miał źle pójść? zwykłą swą na podobne pytania odpowiedź, powtórzył Eli.

Wziął świecę ze stołu i poszedł w głąb domu.

W dwóch izbach, dzielących izdebkę Chai od bawialni, rozlegały się sapania i chrapania. Pod jedną ze ścian stały dwa łóżka, jedno większe, drugie małe, dziecinne. Na większém łóżku, wśród wysoko usłanych poduszek, spoczywała śliczna głowa piętnastoletniego mniej więcej chłopca ze ściągłą, ładnie wykrojoną twarzą, z gęstymi, kędzierzawymi włosami i długą frendzlą ciemnych rzęs, które od zamkniętych powiek spadały na bladawe, delikatne policzki. Przy łóżku tém, na stołek niedbale rzucony, leżał szkolny mundurek. Uśpiony piętnastoletni chłopak był jednym z młodszych synów Elego. Szkolny mundurek świadczył, że i on także jak niegdyś Abramek, uczęszczał do szkół.

Małe, dziecinne łóżeczko było miejscem spoczynku siedmioletniej najwyżej dziewczynki, która teraz z drobnymi rączkami, zarzuconemi na rozczochrane, ognistego koloru włosy, z purpurowemi usteczkami nawpół otwartemi, w grubój lecz czystej i pąsową tasiemką związanėj u szyi koszulce, spała głęboko. Siedmioletnia dziewczynka ta była wnuczką Elego, którą on i Chaja po niedawno zaszłėj śmierci jej matki wzięli na swą wyłączną opiekę, pieścili i kochali nad wyraz.

I teraz także dłoń Elego musnęła lekko po ognistych włosach wnuczki; potem wzrok jego tkwił długo w ślicznej wytwornie zarysowanej twarzy syna. Stał nad dwojgiem uśpionych dzieci minut parę, a błogość niewypowiedziana rozléwała się mu po twarzy. Potem podniósł nieco świecę, do góry i potoczył wzrokiem dokoła siebie. Uśmiech pełen dumy i uszczęśliwienia zawisł mu na ustach. Widać było że przypomniał sobie o czémś, że pomiędzy dwoma obrazami jakiemiś w myśli swój porównanie czynił. Sta-nęło mu zapewne przed pamięcią własne dzieciństwo jego.

— Ot, zkad ja wyszedł i dokad zaszedł! szepnął do siebie Eli. I co mi tam mój stary ze swoim rabinem o omyłkach jakichś gadają, co ja ich niby względem dzieci moich popełniam! Czego im brakuje? Czy one kiedy głodne? czy im ładnych sukien nie kupuję i pięknej edukacji nie daję? czy im posagów zabraknie, jak wyrosną?

Ostatnia myśl zdwoiła na twarzy Elego wyraz dumy, uradowania i zupełnej pewności siebie. Pod wpływem jej mimowoli dotknął dłonią kieszeni surduta, wydętej spoczywającym w niej pugilaresem, i długim, pieszczotliwem spojrzeniem ogarnął żelazną, misternemi rzeźbami okrytą szafę stojącą w kącie bawialni, której próg właśnie przesta-pił.

Postawił świecę na stole i w jednej ręce trzymając grubo wypchany pugilares, drugą wydobył z kieszeni kamizelki klucz osobliwego kształtu. Zwolna i uśmiechając się wciąż do własnych swych myśli, odemknął ciężkie, żelazne drzwi szafy. Nagle roztworzyły się szeroko oczy jego, cała krew uderzyła mu do twarzy, pugilares wypadł z ręki, która opadła w dół, jakby sparaliżowana. W szafie, tam gdzie

przed wyjazdem Elego piętrzyły się grube zwoje asygnat, do nowych obrotów przygotowanych—nie było nic!

Przez chwilę Eli stał jak martwy; źrenice jego, krwią nabiegłe, krążyły pod powiekami, nadając twarzy całej wyraz konwulsyjnego przestachu i bezprzytomnej rozpacz. Nagle krzyk stłumiony wydarł się z jego piersi. Ujrzał kartkę papieru, która wyraźnym pismem żydowskim nakreślona, leżała na miejscu, gdzie znajdowały się wprzód pieniądze. Ruch którym Eli papier ten pochwycił, gwałtowny był, dziki niemal! W piersi jego drżały stłumione, bełkocące jęki i krzyki, gdy przyskoczył do stołu i przy świetle świecy znalazł kartkę rozpostartą. Od pierwszego bowiem rzutu oka poznał na niej pismo Abramka. Teraz litery, ręką syna jego ołówkiem nakreślone, skakały mu przed oczami jak furyc, wiły się jak żmije. Jaskrawe, krwawe światło jakieś biło z nich ku niemu i oślepiało go.

— Gwałt! gwałt! krzyknął Eli okropnym głosem i obu dłońmi chwytając się z kolei za głowę i piersi, przysiadł na ziemi.

Chaja usłyszała krzyk i szamotanie się męża. Zeskoczyła z łóżka i w kilka sekund była już na progu bawialni. W tej samej chwili Eli podnosił się z ziemi. Zgarbiony, jakby złamany, trzymał w trzęsących się rękach pismo syna, które czytać próbował. Długo, długo oślepienie napływem krwi oczy jego żadnego słowa wyróżnić z pomiędzy innych nie mogły. Pocięrał dłonią czoło, oczy, twarz całą, aż nakoniec z tej łuny ognistej, która obléwała przed nim stół, ścianę i wszystko na co spojrział, wynurzać się poczęły przed wzrokiem jego czarne, ponure, olbrzymie, jak mu się zdawało, wielkości litery, ręką syna jego nakreślone. Litery te składały słowa następujące:

„Tate! kiedy ty wrócisz do N., mnie już tu nie będzie. Ty, tate dał mi edukacją dlatego, żebym ja wielkim purycem był i żebym, zamiast kopiejek, jak ty, dukaty i półimperyaly zbierał. A jak ja mogę wielkim purycem zostać bez pieniędzy? a jak ja mogę pieniądze mieć w tym takim biednym kraju, gdzie człowiek długo musi bić się jak ryba w wodzie, nim sobie jakiego nędznego rubla złapie? Mnie, tate, obrzydło już to wasze miasto. Jadę do Kalifornii, tam gdzie złoto kopią. Pasportu ja nie mam, ale ty tate nie lękaj się. Już ja sobie na granicy dam radę. A pieniądze twoje biorę dlatego, żeby mieć o czem zajechać a zajechawszy, kawał ziemi z żyłą złota kupić. Jak ja tę żyłę znajdę, to powrócę, pałac sobie w stolicy kupię i tobie tate, twoje pieniądze odeszlę z procentem; bo ja nie kradnę twoich pieniędzy, tylko pożyczam. A teraz bądź zdrów, tate. Ja wiem że tobie bezemnie smutno będzie, bo ty mnie bardzo lubił. Ale niech twoje serce pocieszy się temi myślami, że ja powrócę bardzo bogatym purycem i honorów wielkich dostanę, a ty, tate, sam przecież tego chciał i na to mnie edukacją dawał.”

Eli głosem przerywanym i zdławionym list ten czytał; Chaja stała za jego plecami, drżała jak w febrze i splecione ręce co chwila do góry podnosiła. Gestem tym zdawała się ona wzywać z wysoka ratunku i pomocy; ale usta jej zbierały i trzęsące się żadnego nie wydawały dźwięku.

Z rąk Elego wypadł złowrogi papier, a dłonie jego splotły się kureczowo i tak jak ręce Chai podniosły się w górę.

— Gwałt! gwałt! krzyknął znowu i stał tak chwilę z ciałem w tył wygiętym, z twarzą ku sufitowi podniesioną,

białą jak płótno, ponuro oświeconą przytomnym już zupełnie, ale rozpaczonym wyrazem oczów. Nagle opuścił ręce i rzucił się ku drzwiom wychodzącym na ulicę.

— Policji! wołał zdławionym głosem. Niech poszłą za tym łajdakiem! niech telegrafują! niech jego na granicy złapią i w kajdany okują, a pieniądze moje niech od niego odbiorą! Ja do policmajstra, do samego gubernatora pójde!

I biegł ku drzwiom, ale dyszał, jak człowiek który się dusi, a straszna męka wewnętrzna wyprężała mu żyły na czole i ciałem jego bezładnie miotała. Tuż przy progu zachwiał się; u stóp swoich uczuł ciało jakieś, szamocące się na podłodze. Była to Chaja, która pomiędzy nim a drzwiami rzuciła się na ziemię i ramionami oplótłszy mu nogi, piersią do kolan jego przyłgnęła.

— Gej a weg! Chaja! gej a weg! krzyknął Eli, pasując się.

Ale ona, ramion swych nie roztwierając, podniosła ku niemu twarz swą, po której płynęły dwa ogromne strumienie łez.

— Eli! wołała kobiéta, Eli! Eli! ty chyba po moim trupie do tych drzwi dojdiesz! Zabij mnie, zamorduj, za-depez podeszwą buta swego, ale ja ciebie nie puszcę, ja tobie nie dam zgubić Abramka! Aj waj! aj waj! mój Abramek! mój syn, mój najmilszy bachores! On taki piękny i taki rozumny, a ty jego głowę na zgubienie chcesz dać i na jego ręce kajdany nałożyć!

— Chaja! krzyknął Eli, chwytając się za głowę, Chaja! nie gadaj ty mnie o nim! Puść mnie!

Ale ona silniiej jeszcze uczepiła się nóg jego i twarzą dotykając niemal ziemi, wołała:

— Eli! Eli! czy ja już u ciebie niczego nie warta? czy ja z tobą trzydzieści lat nie przeżyła? czy ja z tobą razem nie pracowała i o ciebie jak o oko moje nie dbała? Eli! co tobie będzie po pieniądzech, kiedy ty syna naszego, naszego pięknego, mądrego Abramka, w kajdanach zobaczysz? Czy ty już więcej pieniędzy nie masz? czy ty nie był kiedyś biedny, aj, jaki biedny! a dlatego ty żył i z wesołym sercem po świecie chodził. Ale jak ty dziecko swoje zgubisz, to już wesołego serca nigdy mieć nie będziesz, i żonę swoją ty na mogiłki wywieziesz, i oczy swoje z wielkich żalów i zgryzot wypłaczesz!

Oderwała twarz od ziemi i podnosząc ją znowu ku mężowi, wołała dalej:

— Eli! Eli! czy ty nie pamiętasz tego czasu, kiedy ty do domu mego ojca przyszedł i powiedział: Szmulu! ja chcę żenić się z twoją córką Chają. Ty był wtedy małym faktorem i u ciebie dziury w chałacie na łokciach świeciły; ale jak ja spojrzała na ciebie i dowiedziała się, że ty mię chcesz za żonę swoją wziąć, to mnie tak jasno zrobiło się w oczach, jak ślepemu kiedy zobaczy słońce. I my pobrali się, i byli bardzo biedni, i ani jednego rubla nie mieli, coby do nas należał. A czy nam źle było wtedy? Czy my wesołości w sercach nie mieli? czy my sobie kiedy złe słowo powiedzieli? Ty był dobry dla mnie, Eli, i ja dla ciebie byłam dobra. A kiedy Abramek nasz narodził się...

Tu Eli drgnął znowu i uczynił gwałtowne poruszenie. Kobięta zaś z mocą zdwojoną mówiła dalej:

— On był pierwszy nasz syn, Eli, on był nasz pierworodny! Wprzód rodziły się nam same córki, a my Pana Boga prosili, żeby dał nam syna. I Pan Bóg dał nam syna a ja go w czyste pieluszki owinęła, i do kołyski włożyła,

i ciebie zawołała i powiedziała: popatrz, Eli, jaki on ładny! Niech to wszystko teraz przed twemi oczami stanie, jak przed mojemi stoi. Niech spadnie ze mnie starość moja, jak ta znoszona suknia, i niech ja tobie pokażę się taka młoda i taka piękna, jak ja była wtedy, kiedy ty mnie z domu ojca mego za żonę brał, i wtedy, kiedy ty stał zemną koło kołyski naszego pierworodnego. Zobacz moją głowę, ile ona kłopotów na sobie nosiła, i zobacz moje ręce, ile one pracowały, i zobacz moje piersi, ile one dzieci twoich przytulały do siebie i mlekiem swoim karmiły! Eli! Eli! my z tobą byli zawsze jedno ciało, i jeden duch, i jedno oko, a ty teraz chcesz, żeby my rozdarli się na dwoje i żeby ja płakała na ciebie i przed Panem Bogiem skarżyła się?... Eli!...

Dłużej mówić nie mogła. Głos jęj ochrypł, ramiona zmęczyły się i bezwładnie ku ziemi zwisnęły. Nie wstała przecież z ziemi, a łzy jęj wielkie, palące obléwały jak obfita rosa obuwie Elego.

On stał nieruchomy i suchym, posępnym wzrokiem patrzył na nią. Z pomiędzy grubych fałd żółtej płóciennęj chusty wyglądała ku niemu pomarszczona, bolejąca, strumieniem łez oblana twarz towarzyszki całego niemal życia. I stał się cud, którego pragnęła i wzywała Chaja. Starość opadła z nięj, jak znoszona suknia, i ukazała się ona oczom swego męża taką hożą, ciemnowłosą, żwawą izraelską dziewczyną, jaką wziął ją z domu jej ojca. I szybko, niby napowietrzne latające widziadła, przesuwwały się przed oczami jego wszystkie chwile przeszłości, które ona teraz na ratunek syna swego wywoływała z grobów zapomnienia. I zobaczył ją wiecznie czynną, pilną i niezmordowaną, jak stała u domowego ogniska jego i własnymi rękami gotowa-

ła dłań strawę. I zobaczył ją jak troskliwa, niepokoju pełna, siadywała po nocach całych nad kolébkami dzieci jego. I zobaczył ją dumną, słodko zadowoloną, jak w odświętnej sukni i czepcu kwiecistym chodziła w szabasy u boku jego do bożnicy. I zobaczył ją pokorną, łagodną i cichą, ile razy spadało na niego niepowodzenie jakieś. Przypomniawszy sobie wszystkie te chwile minione, których szereg ciągnął się przez lat trzydzieści z górą, i zjęła go nad tą kobietą litość wielka. Zmiękło serce jego, zachwiały się nogi; opadł na najbliższej stojące krzesło, obie dłonie złożył na kolanach i tak już w sztywnej postawie, z oczami szklano utkwionymi w przestrzeń—pozostał.

Chaja podniosła się z ziemi i chwiejąc się a ręką wspierając o sprząty i ścianę, poszła do przyległej izby. Tam nakazawszy milczenie obudzonym dzieciom, ku bawialni wróciła i na progu jej usiadła. Płakała i wzdychała ciągle, ale tak cicho, jakby obawiała się kogoś ze snu obudzić, a oczu nie spuszczała z męża, gotowa przy najlżejszem poruszeniu jego poskoczyć i rzucić się znowu na ziemię, pomiędzy nim a drzwiami.

Ale obawa jój daremną była. Eli nie czynił poruszenia najlżejszego. Upływały kwadransy i godziny; na świecie dzień był biały, południe zbliżało się, a on siedział wciąż i siedział na jednem miejscu, w jednej postawie, jak spiorunowany, jak skamieniały. Świeca zagasła, w bawialni zaległ mrok głęboki, bo Chaja nie pozwoliła u okien mieszkania otwierać okiennic. W jednej przecież z okienic była szeroka szpara. Wdziérał się przez nią wązki smug białego światła i spływał na roztargane włosy Elego, i na twarz jego białą jak chusta, nieruchomą, jakby wyrzeźbioną z kamienia.

Pierwszém poruszeniem jego było przymknięcie powiek. Opadły one na szklane źrenice, poddając się niby ogromnemu znużeniu, czy bolesnemu jakiemuś olśnieniu. Zarazem postać zmartwiała poczęła kołysać się zwolna w jedną i drugą stronę, a z ust zsiniałych wychodziły urywane, niezrozumiałe słowa...

Chaja wstała z ziemi, bez najlżejszego szelestu przymknęła drzwi bawialni i obu dłońmi trzymając się za głowę, weszła do swój izdebki. W téj samėj chwili zapukano do drzwi. Dziewka służąca chciała otworzyć; ale Chaja, zdjeta zda się trwogą czy nadzieją jakąś, odepchnęła ją i otworzyła sama. Na ganku stał wysoki, młody mężczyzna.

— Wszakże tu mieszka Eli Makower?... zaczął.

— Tu, tu, niecierpliwie odparła Żydówka, ale jego teraz w domu niéma.

Jakkolwiek dzień był chmurny, Chaja, patrząc na stojącego w ganku młodego pana, dłonią sobie oczy, jak przed blaskiem słońca, przysłaniała. Wydalo się jej że go zna ale kimby był, nie wiedziała. Mgła gęsta zasłaniała jej oczy: nie poznałaby była w téj chwili dziecka rodzonego.

— A kto pan taki? spytała machinalnie prawie, z przyzwyczajenia.

Mężczyzna odrzekł:

— Jestem Mieczysław Orchowski. Życzyłbym sobie bardzo widzieć się z Elim. Czy pani nie wie gdzie znaleźć go mogę?

— Niech pan poszuka... on gdzieś na mieście... nie wiedząc sama co mówi, odparła Żydówka i drzwi zamknęła.

XI.

W głębi dzielnicy żydowskiej, w izbie obszernej i czysto wymiecionej, stary Judel leżał, jak zwykle, w swym długim, wielkim fotelu, nieruchomy prawie, bo mu sparaliżowane nogi poruszać się nie dozwalały, z pierśią podnoszącą się chrapliwym, astmatycznym oddechem. Pomimo jednak cierpień fizycznych, zwiększających się codziennie i coraz prędzej zdających się popychać życie starca ku ostatecznemu kresowi, na twarzy jego rozlewała się słodycz duszy zrezygnowanej, cicho i z wdzięcznością używającej miękkiego spokoju, który, dzięki synowskiej miłości Elego, napełniał późny wieczór jego żywota.

Zadumę starca przerwało ostrożne i powolne otwieranie się drzwi od sieni. Na progu stanął mężczyzna młody.

— Przepraszam, zaczął. powiedziano mi że w tym domu mieszka ojciec Elego Makowera i że jego samego tu znaleźć mogę.

Starzec pochylił się nieco naprzód, z drżącej przezroczystej dłoni uczynił sobie nad oczami zasłonę i patrzył na przybyłego.

— Niech wielmożny pan wejdzie, rzekł z uprzejmym uśmiechem na bladych ustach; pewno interes jaki do syna mego... Jego tu teraz niema, ale on może nadejść... Niech wielmożny pan będzie łaskaw wejść i powiedzieć mi jaki to interes... może ja o nim co wiem...

Mężczyzna próg przestąpił i zbliżył się ku starcowi.

— Pan więc jesteś ojcem Elego Makowera? zapytał.

— Tak, Eli Makower to mój syn.

Wyrazy te stary Judel wymówił z dumą i uszczęśliwieniem, które światło niewypowiedzianej błogości rozlało po całej jego twarzy. Zarazem wyteżonym wzrokiem patrzył na przybyłego.

— Przepraszam wielmożnego pana, zaczął, oczy moje słabe są i pamięć moja ucieka czasem odemnie... Nie mogę poznać kto pan taki, ale mnie zdaje się, że ja pana znam... Nie wiem co to takiego... pan jest młodym człowiekiem, a mnie się zdaje, że ja pana dawno kiedyś znał jak jeszcze sam młody byłem... i mnie się zdaje że pan kiedyś dawno, dawno temu wielkie dobrodziejstwo dla mnie uczynił... Ale kto pan taki, tego ja sobie przypomnieć nie mogę.

— Wątpię abyś kiedykolwiek widział mnie samego, szanowny starcze! odparł przybyły mężczyzna; ale przypuszczam że powierzchowność moja musiała ci przypomnieć ojca mego, do którego jestem bardzo podobny.

— Ojca! wymówił zwolna stary Judel, pasując się widocznie z pamięci swą. Przepraszam wielmożnego pana, a kto był pański ojciec?

— Jestem synem Kajetana...

— Wiem już, wiem! prostując się, zawołał starzec; wielmożny pan jest synem pana Kajetana Orchowskiego..

Ach! ach! jaki pan do swego ojca podobny! jak mnie miło pana widzieć! Ja stary, biedny Żyd, a pan jest wielmożnym panem.. ale niech mi pan swoją rękę poda... niech ja przed śmiercią popatrzę jeszcze długo... długo... na syna naszego dziedzica i niech ja w rękach moich rękę jego poczuje!...

I trzymając rękę Mieczysława w obu swych chudych, drżących od starości i choroby dłoniach, i okrywając twarz jego wzrokiem pełnym głębokiej radości, mówił dalej:

— Piękny to był pan i dobry, ten pański ojciec! On był nasz dziedzic; my na jego ziemi mieszkali i czynsze jemu płacili, i on mógł nam robić wiele złego albo dobrego. Ale złego on nam nic nigdy nie zrobił i nikogo nie skrzywdził. On był uczony i o wielkich rzeczach myślał, ale jemu nie udawało się... W jego duszy i w jego życiu było coś takiego, co jemu zawsze ręce wiązało, że kiedy miał zbudować wielki pałac, to zbudował małą chatę... kiedy spróbował usypać wysoką górę, to robił się z niej nizki pagórek... On nie był szczęśliwy... ale był dobry i sprawiedliwy: każdemu w biędzie dopomógł i do każdego łagodnym słowem przemówił... Ja jego znał, dobrze znał i on mnie nieraz z wielkiego nieszczęścia wyratował. A choć on wielki pan był, a stary Judel prosty biedny krawiec, choć on chrześcianin był, a ja Żydem jestem, ale jak ja tam wysoko, na innym świecie jego spotkam, to ja do Pana Boga wielkim głosem zawołam, żeby nas obydwóch jednego przy drugim posadził, bo nas jedna ziemia karmiła i my na jedno niebo patrzyli, to niech my już razem i na wielkie oblicze Boga patrzemy!

— Szlachetne masz serce i wdzięczną pamięć, panie Judel, powstrzymując rozrzewnienie swe, rzekł Mieczysław. Dlaczegoż syn twój uczuć twych nie podziela? dlaczegoż

ziemią tą, o której zgrzybiały ojciec jego z czułością wspomina, handluje jak towarem, głębokie doły i przepaście kopiąc pod stopami tych, którzy na niej mieszkają?

Judel patrzył w twarz mówiącego oczami pełnymi smutnego zadziwienia.

— Mój Eli! wymówił nakoniec, wielmożny pan o moim Elim, o tym dyamencie moich oczu, o tej koronie głowy mojej mówi? Czy moje stare uszy niedobrze usłyszały? czy mnie wydało się tylko, że pan o moim Elim z żalem w sercu mówił? Ach! ach! żeby pan znał jego, tak jak ja go znam! Żeby pan wiedział jakie jego serce i jaki rozum! On z mojej biędnej, nędznej chaty nie wyniósł, prócz podartego łapserdaka, a teraz do czego on doszedł własnym tylko rozumem swoim! On bogacz i wszyscy jego szanują a on jak tu przychodzi, to nisko przed starym ojcem głowę swoją nachyla i naokoło bystreimi oczami patrzy, czy jemu czego nie brakuje. Wielmożny pan nie zna jego chyba, jeżeli może z urazą i żalem w sercu o nim mówić.

Mieczysław stał przed mówiącym, ze skrzyżowanymi rękami i smutnie pochyloną głową.

— Znam dobrze syna twego, panie Judel, rzekł po chwili milczenia. Jesteś pan rozumnym i doświadczonym człowiekiem, pojdziesz więc znaczenie słów moich, gdy ci powiem że syn twój, Eli, jest typem plemienia waszego, skupiającym w sobie wszystko, co ma ono w naturze swój dobrego i złego. Posiada on w istocie umysł bystry, zdolny i pojętny; w sercu jego nie braknie szlachetnych popędów i uczuć. Jest on najlepszym synem i bratem, ojcem i mężem, kocha gorąco spółwyznawców swoich, a sprawy ich za własne swoje uważa... Za spokój ojca, za szczęście dziecka dałby się ukamienować; dla każdego ze *swoich* wy-

jąłby z piersi serce własne... a jednak dobrześ usłyszał, szanowny starcze, że przy wspomnieniu o nim w głosie moim zadrżały gorzka uraza i żal głęboki... Syn twój, który tak dzielnie i troskliwie ratuje *swoich*, nas do zguby popycha.. wywyższenie się jego z naszych upadków powstało... bogactwo jego, to nasze słabości, z których korzystać umiał, i nasza niedola, którą się wspomagał!..

W miarę jak Mieczysław mówił, ręce Judela podnosiły się w górę, a zciemniałe, pomarszczone powieki nad osłupiałemi źrenicami jego drżeć zaczynały.

— Czy wielmożny pan wszystko to na prawdę o moim Elim powiedział? Co on takiego zrobił, żeby syn naszego dziedzica, naszego dobroczyńcy tak o nim mówił? Niech wielmożny pan da mnie jeszcze rękę swoją i stanie tu przy mnie, blisko, aby stare oczy moje dobrze widziały, że to syn pana Kajetana Orchowskiego do mnie mówi! I niech pan mi powie wszystko... wszystko o moim Elim. Ja jego ojciec.. ja powinien wszystko wiedzieć..

Mieczysław milczał długo, wahający się, niepewny, do głębi wzruszony. Po chwili jednak zniżonym głosem, w którym powaga łączyła się z łagodnością, mówić zaczął:

— Bóg mi świadkiem, panie Judel, że do syna twego nienawiści żadnej w sercu nie chowam i że złem słowem wyrzeczonym o nim nie chciałbym ranić twego serca. Gdybym był wiedział, że przyjdzie mi podobną rozmowę toczyć z sędziwym ojcem Elego, nie przyszedłbym tu wcale. Teraz jednak milczeć nie mogę. Tak, panie Judel, przez starania i zabiegi syna twego, dziesiątki już współobywatele moich oddały dziedzictwa swe w ręce obcych i wyszły w świat z pod rodzinnego dachu na tułaczkę, która często kroć słabych i nieumiejętnych wiedzie ku nędzy materyal-

nę i moralnemu zepsuciu. Też same starania i zabiegi sprawiły, że i ja także, najdalej za dwa lub trzy tygodnie, utracę Orchów, a wraz z nim...

Tu twarz młodego mężczyzny, dotąd smutna tylko i poważna, powlekła się rumieńcem silnego wzruszenia. Pałacy żal rozpłomienił ciemne jego oczy.

— Co ja tracę wraz z Orchowem! zawołał. O! panie Judel, wy tego może i pojąć nie potraficie. Nie o majątek mi już idzie, nie o byt tylko mój i rodziny mojej. Młody jestem, mam zdrowie, siły i trochę nauki w głowie, nie dopuściłbym więc głodu i nędzy do siebie, ani do tych których kocham. Ale ja ten kawał ziemi umiłował sercem całym! Tam rodzili się i umierali praojcowie moi, tam urodziłem się sam i wzrosłem. Każde drzewo i każda ścieżka, każda niemal cegła starego dworu tego przemawia do mnie wspomnieniem jakimś, lub przypomina mi jakiś obowiązek, jakieś przyrzeczenie święte, dane sobie i innym! Podnieść z ruiny to piękne miejsce, użyźnić je, zbogacić, było zadaniem, które postawiłem przed sobą samym w pierwszym zaraz dniu, gdy dojrzałem i pojąłem, że człowiek każdy winien pełnić w swem życiu zadanie jakieś. Włożyłem już w nie pracę lat kilku, a tracąc je, tracę więcej niż owoce téj pracy, bo cel życia mego, wiarę we własne siły, najbliższą i najlepszą możliwość zapewnienia spokoju i szczęścia sobie i swoim blizkim.

Judel słuchał mówiącego z pochyloną głową. Podniósł ją potem i zwolna wymówił:

— Dlaczego pan powiedział, że ja nie rozumiem tego co pan mówi i co pan czuje? Ja rozumiem. Czy pan widział kiedy w miasteczku Orchowie tę chatę, w której stał Judel krawiec czterdzieści lat mieszkał? Mała, biedna

brudna chata! Okienka jej były jak oczy ślepe i zapłakane ściany skrzypiały i kołysały się, gdy wiatr powiał, a na dachu jej rósł żółty, zgniły mech. On tam od rana do nocy i od wieczora do rana siedział nad robotą ciężką... a jak roboty nie miał, to głodem marł i dzieci jego głodem marły. Nie było czego żałować, prawda? Tak i ja z początku myślał; ale kiedy mnie mój Eli zabierał z sobą, żebym tu w spokojności i wygodach siedział, i kiedy wóz zajechał przed moje okienka, a mnie przyszło z mojej chaty, w której ja czterdzieści lat żył, wychodzić, to ja płakał jak dziecko i ściany mojej stariej izby rękami obejmował, i na ziemię upadł, a miejsca te całował, na których moje dzieci w kołyskach spały i moja biędna żona chorowała i umarła!.

Milezał chwilę, a potem cichszym głosem zapytał:

— Czy wielmożny pan o tém swoim nieszczęściu i wielkim żalu z moim Elim gadał?

— Z synem twoim, panie Judel, rozmawiałem niedawno o wszystkim co się mnie tyczy. Trudno mi jednak było dotąd zdobyć się na słowo prośby.. Teraz chcę widzieć się z nim...

Zatrzymał się na chwilę.

— Chcę widzieć się z nim, dokończył z iskrą boleści w oku, żeby go prosić...

— Niech pan tego nie robi, zawołał Judel, niech pan jego nie prosi. Ja zrozumiał teraz wszystko. Ja teraz dowiedział się, jaki on ma grzech na sumieniu i jaka pycha w jego sercu mieszka. Jak pan jego będzie prosił, to przez to proszenie powiększy się grzech jego i wzrośnie pycha. Ja jestem jego ojciec; ja jemu powiem... W mojej głowie zbierają się teraz myśli wielkimi gromadami, i w mojej piersi podnosi się teraz wielki płomień... ja wszystkie te

myśli jemu odkryję i ten ogień, co we mnie pali się, w jego serce wrzucę!

Słowa te starzec wymówił z uniesieniem wielkiem, obie dłonie przyciskając kolejno do czoła i do piersi, jakby mu w istocie coś palącego i rozrywającego tłoczyło się pod czaszkę i ku sercu. Potem dodał spokojnięj:

— Niech wielmożny pan idzie z Bogiem i na starego Judela spuści się. Bracia pańscy nie będą już wychodzili z pod dachów swoich przez mego Elego i pan z pod swego dachu dzieci swoich nie wyprowadzi.

Umilkł, ale patrzył wciąż na Mieczysława, a usta jego otwierały się, jakby mu jeszcze coś do powiedzenia zostawało. Po chwili wyrzekł cichym, łagodnym, proszącym głosem:

— I niech wielmożny pan do mego Elego nienawiści żadnej nie ma! niech pan jemu przebaczy! Ja pana coś ważnego powiem. On prosty Żyd. On do wszystkiego doszedł własnym rozumem, co jemu go Pan Bóg dał. Jego nikt nie uczył takich rzeczy, co to tylko delikatnem uczuciem pojąć je można, i jego serce obróciło się całe do tych ludzi między którymi on żył, i do pracy która jego braci i dzieci z biedy dźwigała. Niech wielmożny pan daruje jemu jego omyłki i niech ja przed śmiercią zobaczę, że syn naszego dziedzica w takiej zgodzie z moim synem żyje, w jakiej ja zawsze z ojcem pańskim żył.

Gdy starzec domawiał słów ostatnich, szybko otworzyły się drzwi od sieni, a do izby wpadła postać kobięca, dość dziwnie wyglądająca. Była-to Żydówka, w krótkiej watowanej spódnicy i przydeptanych trzewikach. Z wielkięj, grubęj chusty, która okrywała ramiona jęj i głowę

owiniętą szmatem żółtego płótna, wychylała się twarz przełęczniona i zboląła, z czerwonymi, nabrzękłemi od płaczu oczami, z czołem pomiętém w tysiące zmarszczek. Prosto odedrzwi rzuciła się ona ku starcowi, a przypadając do kolan jego i obejmując je ramionami, zawołała:

— Gwałt! gwałt!.. tate!.. nieszczęście! wielkie nieszczęście!

Judel zatrzęsł się cały z wielkiego przestachu.

— Gwałt! krzyknął także. Eli! Eli! mój syn, czy on umarł?

— Eli żyje, tate, i on tu do ciebie idzie! Powiedz ty jemu, żeby on naszego Abramka nie gubił, żeby on za nim policyi nie posyłał, żeby jego na granicy nie łapali!.. Aj! aj! mój Abramek! mój syn! mój najmilszy bachores!

Gdy Żydówka tak lamentowała, u nóg starca leżąc i na na naglące pytania jego zaczęła mu o czemś żydowskim szwargotem i urywanym głosem opowiadać, Mieczysław domyślając się iż szło tu o sprawy rodzinne, wyszedł z izby.

Opuściwszy dom Judela, młody Orchowski uszedł kilkaset kroków zaledwie, gdy na jednej z krętych uliczek ujrzał idącego naprzeciw siebie Elego. Uliczka była tak wązka, że dwaj przechodnie otarli się niemal o siebie, a jednak Eli nie spostrzegł Mieczysława. Szedł on powolnym krokiem, z rękami w tył założonemi, z pochyloną nizko głową i wzrokiem utkwionym w ziemię. W bladej, nieruchomej twarzy jego nie można było dojrzeć żadnych gwałtownych uczuć, ale malowała się na niej ciężka jakaś, bezdenna zda się zaduma.

Minął Mieczysława, nie spostrzegając go; ale przed drzwiami ojcowskiego domu twarz w twarz spotkał się

z wybiegającą już na ulicę Chają. Na widok jego, kobieta z przelęknieniem przytuliła się do ściany domu. On stanął, popatrzył na nią i na dom w którym mieszkał jego ojciec.

— Co ty tam robiła, Chaja? zapytał smutnie lecz łagodnie. Ty memu staremu wszystko powiedziała! Oj, głupia, głupia kobieto! Ty myślała tylko o swoim synu, a nie pomyślałaś o tem, że możesz mego starego swoim gadaniem zabić!

Rzekłszy to, odwrócił się od żony i przyspieszonym krokiem wszedł do domu ojca.

Judel leżał teraz w fotelu, z głową o tylną poręcz opartą, zmieniony strasznie. Na blade, zapadłe policzki jego wystąpiły, po rozmowie z Chają, okrągłe plamy krwawych rumieńców. Oczy miał przymknięte, ręce bezwładnie złożone na poręczach fotelu; w ciężkim, chrapliwym oddechu, który podnosił wysoko zapadłą pierś jego, odzywały się głuche, przeciągłe jęki.

Eli, obrzuciwszy spojrzeniem zgorączkowaną widocznie, zesłabłą i przerażoną postać ojca, zatrzymał się przy progu i z pochyloną głową zdawał się przez chwilę namyślać nad czemś. Potem przystąpił do fotelu i dotykając lekko dłonią ramienia starca, wymówił zeicha:

— Tate! tate!

Judel otworzył zwelna oczy i spróbował wyciągnąć ku synowi ramiona. Ale siły mu zabrakło. Ręce jego opadły znowu na poręcze fotelu.

— Eli! jęknął, mój Eli! Co teraz stanie się z tobą? co stanie się z tobą?

Eli usiadł na stołku, tuż obok ojca, w zwyczajnej swjej postawie, z dłońmi złożonemi na kolanach.

— Tate! rzekł, ty o mnie nie lękaj się, mnie nie stanie się nic złego. Serce boli i przeboli! Piędędzy mnie jeszcze zostało dużo! Ja za tym łajdakiem oczu sobie nie wyplacę i z głodu dziękować Bogu, nie umrę.

Mówił to z wyraźnym zamiarem uspokojenia i pocieszenia starca; ale na dnie piersi jego drgały suche, tajone łkania.

— Ja, tate, chciałem z tego nieszczęścia sekret przed tobą zrobić. Ale kiedy tobie ta głupia kobieta o wszystkim powiedziała, to ty, tate, nie martw się, a tylko jedną rzecz mi powiedz...

Przy ostatnich słowach głos Elego zniżył się prawie do szeptu, a drgały w nim tony przerażenia pełne. Judel otworzył oczy, zwrócił je na syna i podnosząc dłoń gestem poważnym, nakazującym niemal, rzekł uroczyście:

— Mów, Eli!

Eli mówił dalej:

— Ty, tate, gadał mi kiedyś, że ja względem Abramka wielką omyłkę zrobiłem. Jaka to była omyłka? w czym ja zawiniłem? Cały świat gada, że trzeba teraz dzieciom wysoką edukacją dawać, i ja jemu edukacją dałem. Czy ja źle zrobiłem? czy on byłby lepszy, żeby ja jego w ciemności trzymałem? Oto pierwsze moje pytanie. A drugie takie: On napisał list do mnie, a w tym liście stoi, że on to tylko zrobił, czego ja sam chciałem i taki jest, jakim ja chciałem żeby on był. Gwałt! Gwałt! z kąd on takie rzeczy wziął? Czy ja chciałem żeby on Żydów zapięrał się? Czy ja chciałem żeby on rodzonemu ojcu i rodzonej matce nie lubił? Czy ja chciałem żeby on kradł i jak złodziej bez paszportu w świat uciekał? Jednak dlaczego on napisał że ja tego sam chciałem? z kąd

do jego głowy ta myśl przysła? Ot, jakie drugie moje pytanie. A dwa te pytania palą się w mojej głowie, jak dwa płomienie, i kasaają moje serce, jak dwa węże. Tate! tate! wyjm ty ze mnie te płomienie i te węże... powiedz ty mnie to, czego mój własny rozum powiedzieć mnie nie umie!

Judel milczał długo. Gorączkowe rumieńce zniknęły z jego policzków, które powlokły się znowu przezroczystą bladością. Siedział z przymkniętymi powiekami i głową odrzuconą na tylną poręcz fotelu, aż nakoniec otworzył oczy, wyprostował się i wyrzekł z powagą:

— Eli, ja tobie na pytanie twoje odpowiem. Ja przez te wszystkie lata, którem tu przeżył, nie nie robił, tylko myślał i z mądrym rabinem Boruchem rozmawiał, i słuchał jak on mnie czytał piękne, rozumne książki. Moje ciało odpoczywało, ale moja dusza pracowała i dał jej pan Bóg tę łaskę, że ona zobaczyła wiele, i zrozumiała wiele, i teraz na pytania twoje, Eli, odpowiedzieć mogę. Słuchaj mnie synu, i te słowa które ci ja powiem rozumem swoim rozważaj. Pytasz się mnie czy ty źle zrobił, żeś swemu Abramkowi edukacją dał. Otóż ja tobie powiem, Ty, Eli, dobrze pomyślał, ale ty zrobił źle, bo ta edukacja, co ty ją jemu dał—była zła!

— Ta edukacja była zła? wykrzyknął Eli. A jaka ona mogła być? On chodził do tych szkół, do których chodzili wszyscy panicze...

— A czy ty nie widział takich paniczów, których edukacja była także zła? Kiedy rozumny człowiek co robi, to on siebie samego zawsze pyta: dlaczego ja to robię? A dlaczego ty Abramkowi edukacją dawał? Ty myślał żeby z niego był puryc i wielki urzędnik—ale ty nie myślał o tém, żeby z niego był człowiek. Twój Abramek ma edu-

kacją, ale rozumu nie ma, i twarz on ma bardzo gładką, i figurę delikatną, ale serce u niego cbropowate i twarde. W jego głowie niema żadnej wiary, a w sercu żadnego kochania, i pod nogami swemi on gruntu żadnego nie ma. Jak on edukacją dostał, to on żydowski grunt stracił, a ianego ty jemu nie pokazał i nikt jemu nie pokazał; dlatego on chodził po świecie, jak człowiek który niema o co oprzeć się, aż—upadł!

— Aj! upadł! upadł! jęknął Eli.

Stary Judel przymknął znowu powieki, a kołyszając się zlekka i powoli na obie strony, mówił dalej:

— Nie jeden nasz Abramek teraz taki! Ja siedzę tu w mojej izbie, ale ja widzę wiele i słyszę, bo tu różne ludzie przychodzą, i rabin Boruch przychodzi, i opowiada mnie o wszystkich rzeczach, co się teraz na świecie dzieją. Mnie serce od wielkich boleściów ściska się, kiedy ja o naszych młodych żydkach myślę, kiedy ja na nich patrzę i o nich słucham. Przyszedł teraz taki czas, że wielka edukacya stała się jak ta szeroka rzeka, do której każdemu wolno przyjsć i napić się z niej. Nasze młode Żydki przychodzą do tej rzeki i piją. Ale w tej rzece jest taka woda, która po wierzchu pływa, i taka która aż na dnie znajduje się. Kto napije się tej wody co pływa na wierzchu robi się gładki i może zostać wielkim urzędnikiem lub doktorem. Ale kto napije się tej wody co pod spodem cicho sobie szumi, ten dobry robi się, i rozumny, i słodki względem ludzi, i sprawiedliwy, i do dobrego ochotny. Nasze młode Żydki piją tę wodę, która po wierzchu pływa, a jak oni jej napiją się, to jaknajprędzej żydowski chałat z siebie zrzucają, i tréfne mięso zaczynają jeść, i z biédnych Żydów zaczynają śmiać się, i zapierają się tego, że ich braćmi są.

Oni po francuzku i po niemiecku gadają, i czasem koczami jeżdżą i u wielkich panów w pałacach bywają. Oni przestali swoich braci lubić i swoją wiarę w sercu chować. A kogo oni na to miejsce polubili? jaką oni wiarę w swoje serce wzięli? Oni są jak chorągiewki na dachach. W którą stronę wiatr powieje, w tę oni kręcą się. Oni nie lubią gadać o tém że są Żydami, ale gadają że są Niemcy. A jak kto płacze i jęczy, i w wielkim żalu i ucisku jest, to oni od niego odwracają się tyłem, a jeśli przybliżą się, to dlatego żeby jego nogą kopnąć i żeby on w większych jeszcze przepaściach utonął. Ot, jakie oni teraz są. te nasze młode edukowane Żydki!

Umilkł starzec, zmordowany długiem mówieniem, a choć słowa z cicha i z powagą z ust mu płynęły, krwiste plamy rumieńców okryły znowu głębokie wklęsłości jego policzków, a oczy płonęły ogniem silnego wzruszenia.

Eli, z łokciami opartemi o kolana i czołem na obu dłoniach złożoném, słuchał mowy ojca, nie czyniąc poruszenia najłżejszego. Czasem tylko wargi jego drgnęły boleśnie, albo wzrok oderwał się od ziemi i utkwiał na chwilę w przestrzeni, z wyrazem głębokiego zdumienia lub namysłu.

Gdy stary Judel umilkł i dyszał ciężko a chrapliwie, Eli, nie podnosząc głowy i nie zmieniając postawy, wyrzekł krótko:

— Mów, tate, mów! Ty mi jeszcze wszystkiego nie powiedział... mów!

Stary Judel westchnął głęboko. Wzrok jego ogarniał pochyloną głowę syna z dziwném pomieszaniem uczuć: obawy i surowości, tkliwości i powagi. Otworzył parę razy usta, aby coś wymówić, ale zawahał się; wargi jego drgnę-

ły i nie wymówiły nic. Po chwili dopiero podniósł nieco ręce, widoczném drżeniem poruszane, i zawołał:

— Eli! Eli! ja tobie powiem jeszcze jedno słowo! ważne słowo! Nasze młode Żydki złe są dlatego jeszcze, że oni w domach ojców na złe rzeczy patrzą! Twój Abramek, Eli, na złe rzeczy patrzył i zrobił to samo co ty robisz, tylko innym sposobem.

Tym razem Eli wyprostował się i osłupiałemi oczami na ojca spojrzął.

— Tate! zawołał, dlaczego ty mnie tak krzywdzisz? Co ja złego robił? Czy ja ciebie nie szanował? czy ja moich braci nie lubił? czy ja szabasów nie święcił i w bożnicy nie modlił się? czy ja komu co ukradł?

Starzec wyciągnął rękę gestem nakazującym milczenie i łagodnie lecz stanowczo wyrzekł:

— Still, Sohn! ja tobie zaraz moje straszne słowo wytłumaczę.

Milczał chwilę z przymkniętymi znowu oczami, a potem otworzył je i mówił:

— U mnie dziś był pan Orchowski, syn naszego dawniejszego dziedzica, i on mnie wszystko powiedział co ty robisz i jakie to interesa są, któremi ty zajmujesz się, i zkąd twoje bogactwo.

Na twarzy Elego odmalowało się widoczne i silne zmieszanie.

— Orchowski? wyrzekł, on tu był? A zkąd on tu wziął się? a poco on tu przychodził?

— On ciebie szukał. Chciał z tobą rozmawiać. On chciał prosić ciebie, Eli, żebyś ty jego nie gubił.

Eli pochylił głowę i patrzył znowu w ziemię. Starzec mówił dalej:

— I ja od niego dowiedział się, że ty już wiele jego braci zgubił dla korzyściów, i że ty jego chcesz zgubić... Eli! Eli! dlaczego ty tak robił?

— Tate, szepnął Eli, to goimy... to nie nasze bracia!

Stary Judel drgnął cały i wyprostował się jak struna. Oczy jego zaświeciły dziwnym blaskiem, a usta długo drżały, zanim wyrzekły z mocą i uniesieniem:

— Eli! co ty powiedział? To nie twoje serce tak gadało, ale tylko twoja głowa, która nie miała nigdy czasu o takich rzeczach myśleć. Niektóre z naszych rabinów, i wszystkie nasze hasydy gadają, że niby to w talmudzie napisano jest, że Żydom wolno oszukiwać goimów, i gubić ich, i nękać. Ja w talmudzie niebardzo uczony, i tego nigdy nie czytał, i nie wiem czy to prawda; ale ja to wiem, że jeżeli te słowa tam są napisane, to one złe są i niegodne i żebym ja mógł, tobym ja tę kartę na której te słowa stoją wygryził z księgi własnymi zębami, i poszarpał palcami, i spalił ogniem moich oczów, aby już jęj więcej nie czytał Izraelita żaden!

Zatrzymał się chwilę, dla odetchnięcia, a Eli, nie odrywając oczu od ziemi, wyrzekł zniżonym i jakby nieśmiałym głosem:

— Tate! wszak to nieprzyjaciele nasi!

Bolesny uśmiech przesunął się po zbiegłych wargach starca.

— Nieprzyjaciele? powtórzył. Słuchaj, Eli! niech pamięć twoja cała zbierze się w twojej głowie i niech tobie przypomni tę straszną porę, kiedy w naszej biędnej chacie w Orchowie taka nędza była... kiedy ja roboty nie miał, a moja żona chorowała i z wielkich boleściów stękała, a wy na półkach leżeli i z głodu i chłodu jęczeli... Aż jednego

dnia twój brat Mendel, który wtedy małym bachurem był, zlął z półki i poszedł w pole, i leżał w polu między zagobami, siny cały, jak umarły... Wtedy ojciec tego młodego pana, którego ty chcesz zgubić, przyniósł twojego brata na swoich rękach do naszej chaty, a ta piękna panna, co wtedy jego narzeczoną była, oddała naszego Mendela jego matce, i cieszyła ją, i swoim oddechem moje sine dziecko rozgrzewała.... I potem my już nigdy takiego głodu i takiej nędzy nie cierpieli, bo pan Orchowski czynszu od nas nie brał, i kartofli nam dawał, i drzewa na opał; a jak twoja matka umarła, przyszedł znów sam do mojej chaty, i mówił mi dobre słowa, i w rękę mi włożył dziesięć rublów. Ot jakim nieprzyjacielem naszym był ten pan, którego syna ty chciał zgubić! Czy ja tobie o tem nie mówił? czy ty tego nie pamiętał?

Eli mileżał długo.

— Ty, tate, mówił mi kiedyś o tém, ale ja zapomniał i nigdy to wszystko przed pamięcią moją nie stanęło. Ale teraz ja przypomniał sobie... Ten pan Kajetan był dobry człowiek i wiele nam dobrego robił.. Nu, to on jeden... ale oni wszystkie? co oni wszystkie nam Żydom dobrego robią?

Starzec wstrząsał głową, w pół smutnie, w pół gniewnie.

— Gdzie to ty widział, Eli, rzekł, żeby człowiek co sam nic nie ma, mógł drugim wiele dawać? A zresztą co my Żydy dla nich robimy? My pod nimi doły kopujemy, my ustami swemi na nich plujemy, my do nich tyłem odwracamy się, my ich szukujemy!

Tym razem Eli podniósł się ze stołka i z uniesieniem wielkiem, z ogniem w oczach, zawołał:

— Ny, tate, to wszystko prawda! my im tak robim! Ale dlaczego oni takie pyszne, i takie rozrzutne i takie głupie, że ich oszukać można?

Stary Judel zatrząsł się na ten wykrzyk syna. Ozwała się w nim namiętna izraelska natura; namiętnie też zawołał:

— Dlaczego oni pyszne i rozrzutne i oszukiwać dają się? A dlaczego my zabobonne i ciemne? dlaczego my szachraje? dlaczego my takie brudne?

Uspokoił się nieco po chwili, lecz zawsze z drzeniem głębokiego zmęczenia i wzruszenia mówił dalej:

— Jeden tylko Pan trzyma w rękach swoich sądy nad ludźmi. A człowiek... kiedy bardzo mądry jest i sprawiedliwy, to on wszystko bratu swemu, człowiekowi, przebaczy i śmiać się z niego ani kamienować go nie będzie... Ale żeby człowiek mądry i sprawiedliwy był, trzeba żeby on widział daleko, bardzo daleko.. Jak on zobaczy początek wszystkiego, to zobacz także jak z różnych gruntów różne wyrastają ludzie i jak na różnych drogach różne do nich przyczepiają się grzechy... On zobaczy że z grzechów ojców wyrastają grzechy synów, jak jabłka z jabłoni a potem spadają na ich głowy...

Ostatnie słowa Judel wymówił bardzo cicho. Stérane chorobą i wiekiem sił j ego upadały i rwały się pod wpływem silnych wzruszeń, pracowitego natężenia myśli i długiego mówienia. W oczach jego, ogarniających wciąż spojrzeniem pochyloną głowę syna, zapalały się i gasły z kolei błyski dziwne, przypominające ostatnie drgania, podnoszenia się i opadania gasnącego w lampie płomienia. Po chwili jednak, głosem niższym i drżącym, mówił jeszcze:

-- Eli! Eli! ty jesteś bardzo rozumny, ale ty nie miał czasu .. i ty o tém nie myślał i tego nie rozumiał, że złe nie urodzi nigdy dobrego... że jeżeli nieszczęście wielkie nie jest synem wielkiego grzechu, to będzie ono jego wnukiem...ale zawsze będzie... Bo tak Pan Bóg w swoim prawie napisał, że pszenica rodzi tylko pszenicę, a z kąkolu wyrasta kąkol .. nie dziś to jutro.. ale wyrasta... A gdzie dwóch ludzi na jednój ziemi mieszka, tam oni sobie albo przyjaciele, albo wrogami muszą być. Jeżeli oni sobie wrogami, to jeden drugiemu w robocie przeszkadza i nieszczęście robi... a jeżeli oni przyjaciele, to jeden drugiemu pomaga i ze szczęścia jednego wyrasta szczęście drugiego... Ot, jak mój rozum gada. A teraz ty posłuchaj, jak gada moje serce.

Położył na piersi białą swą, przezroczystą dłoń i mówił znowu, ale ciszej, coraz ciszej:

— Jak mój mały Mendel wylażł z mojej nędznej chaty i leżał na po lu, pomiędzy zagonami, siny cały od głodu i prawie nieżywy – tak lud żydowski wyszedł ze swego kraju i chodził po świecie, między innymi narodami, błądzący od wielkich strachów i boleściów, trzęsący się i uciekający od prześladowań strasznych. I tak jak ten pan wielmożny podjął mego Mendela z ziemi i wyratował jego od śmierci, tak wtedy był jeden naród na świecie, który lud żydowski do swoich piersiów przycisnął, i na swojej ziemi posadził, i żyć jemu w spokojności pozwolił. Eli! Eli! czy tobie twoje serce nie gada? czy twoje sumienie nie zatrzęsło się od tego wszystkiego, co ja tobie powiedziałem?

Eli milczał. Wzrok jego tkwił w ziemi; na całej twarzy malowało się uczucie podobne do przerażenia, które

ogarnia człowieka wtedy, gdy spostrzega, że podwaliny na których budował gmach całego życia swego, kruszą się i łamają, gdy czuje że z wnętrza jego znikają bezwiednie może noszone dotąd uczucia i myśli, a wstępują doń nowe, nieznanne, i w sumienie jego i w serce zapadają głęboko. Podniósł po chwili powieki, z pod których ukazały się źrenice zwilgocone wzruszeniem.

— Tate! rzekł, powiedz ty mi jeszcze rzecz jedną. Jeżeli my Żydzi pogodzimy się z nimi i za braci swoich uważać ich będziemy, a dzieciom naszym *ich* grunt damy pod nogi, co będzie wtedy z zakonem naszym? Czy on zniknie razem z chałatami, które my z siebie pozdejmujem? Czy my pójdziem razem z nimi w ich kościołach modlić się i ich Bogu pokłon oddamy?

Judel nie odpowiedział długo. Piers jego nie pracowała już tak gwałtownie jak wprzódy, owszem, zdawało się że spadł z niej uciskający ją ciężar choroby, że wstępować w nią zaczynała głęboka jakaś, słodka cisza. Ale oczy starca wydawały się więcej zapadłemi niż przed godziną, a powieki jego w dół zwiśte i ręce na poręczach fotelu złożone uderzały martwą niemal nieruchomością. Po chwili dopiero przemówił szeptem cichym i urywanym:

— Dwóch Bogów niema, Eli. Jeden jest Bóg, Pan — dla nas i dla nich... Był u nas kiedyś mędrzec wielki... imię jego było: Hillel... Izrael zwał go słodkim Hillelem. . On dwóch pogan, co do niego przyszli, nauczał zakonu... a co on im mówił? „Kochaj brata swego, jak siebie samego!” i powiedział im: „oto cały zakon dany przez Pana... reszta z ludźmi przyszła i z ludźmi przejdzie”... I przyjdzie pora że ludzie o zakon Pana kłócić się nie będą, ani wojen ze so-

bę prowadzić i jeden drugiego oszukiwać i gubić... Przyjdzie pora....

Umilkł, ale usta jego poruszały się długo jeszcze wewnętrznym, niedosłyszalnym szeptem. Na twarz całą padł mu blask dziwny; zdawałoby się że spłynął na nią i oświecił ją łagodny srebrny promień księżyca. Po chwili ręce jego drżące podniosły się nieco w górę:

— Eli! szepnął, pójdz tu do mnie, blisko... niech ja na twojej głowie ręce moje położę... Ty był zawsze gwiazdą w mojem oku...perłą najdroższą w koronie mojej głowy... Ty rozumny i dobry!... Idź... idź do naszych braciów Żydów i wołaj do nich wielkim głosem... żeby oni szli do światłości i... żeby oni z wielkiej rzeki mądrości pili nie tylko tę wodę co pływa po wiérzchu, ale i tę co pod spodem cicho sobie szumi....

Po tych słowach milczenie zaległo w izbie. W kilkanaście sekund dopiero potem, jak lekkie szemranie w dal odlatującego wiatru, zaszeleścił wśród ciszy szept starca:

— Niech błogosławieństwo Abrahama, Izaaka i Jakuba będzie z tobą!... niech twoje ciało będzie zawsze zdrowe a twoja dusza... czysta!...

Wraz z ostatniem słowem Eli uczuł, że dłonie starca osunęły się z pochylonej głowy jego. Tknięty okropnym błyskiem prawdy, porwał się z klęczek. Judel leżał na fotelu swym... nieruchomy.

Eli z głośnym okrzykiem rzucił się na ojca, dotykał głowy i rąk jego, obejmował go ramionami, całował jego czoło i policzki. Daremnie!.. nie już głębokiego snu starego Judela przerwać nie mogło; tylko promień zachodzącego słońca, ukośnie przez okno padający, rzucił na białą jak marmur twarz umarłego Żyda blask różany i po śnieżnych

włosach igrał mu rubinową wstęgą... A dusza jego?.. O! jeżeli gdziekolwiek, po za tą ziemią kędyś wysoko i daleko, istnieje przybytek, w którym gromadzą się dusze co ztąd, jak ptaki, odleciały—to dusza izraelskiego starca tego podążyła w sfery najwyższe i połączyła się z duszami wszystkich tych, którzy wielkimi i świętymi byli nie przez panowanie nie przez blask zewnętrznych bogactw lub powierzchowności cnót, ale przez dosięgnięcie pojęciem, najwyższych, najświętszych prawd ludzkości, przez zawieszenie uczuć i wzroku na świetlistych szczytach jej ideałów!

Czy zaśmiejecie się zemnie, czytelnicy moi, jeżeli wam powiem że w Żydzie Judelu, w owym krawcu ubogim, który przez lat dziesiątki żył suchym kawałkiem chleba i w podartém obuwiu roznosił sporządzone przez się roboty po okolicznych dworkach, że w tym wyrobniku pokornym, cierpliwym, nieuczonym i nieznanym mieszkała wielka, błogosławiona dusza?

XII.

Zdała od labiryntu wązkich, krętych uliczek, składających żydowską dzielnicę, w inną zupełnie stronę miasta, wśród czystego, świeżego powietrza, wznosił się gmach wysoki i szeroki, w mnogie, wielkie, jasne okna, w obszerne dziedzińce i ogrody zaopatrzone. Był to przybytek nędzy, choroby i nieszczęścia wszelakiego, zostający pod strażą i opieką kilkudziesięciu niewiast, przybranych w czarne szaty i białe zasłony, a noszących wzniosłą nazwę sióstr miłosierdzia.

Gdy, w skutek naglących zaleceń lekarza i troskliwych starań państwa Fabianostwa, do gmachu tego wniesiono i na łożu złożono młodą kobietę, której zapadłe policzki i czarne, wklęsłe oczy rozplamienione były ogniem gorączki, z której ust wyrwały się co chwila nieprzytomne bezładne wyrazy i wykrzyki—lekarz przybyciu jej obecny stanął na progu wielkiej, widnej sali i usługującym tam kobietom zadał pytanie:

— Gdzie jest siostra Franciszka?

— Sostro Franciszko! zawołało w odpowiedzi parę głosów niewieścich.

Na wołanie to w oddalonym zakątku sali, z nad łóża boleści, przy którym klęczała, podniosła się zwolna kobieta w czarnej szacie, z twarzą ocienioną fałdami białego kwefu i przyciszonym, łagodnym głosem wyrzekła:

— Oto jestem. Czy kto mię potrzebuje?

Lekarz wskazał jej pokój sąsiadujący z salą, niewielki, lecz widny, wysoki, w którym spoczywała świeżo przybyła chora.

Stanęli oboje we drzwiach pokoju. Zakonnica badawczym, troskliwym okiem rzuciła na powierzoną opiece jej nieszczęśliwą istotę i miała już zbliżyć się do łóża cierpiącej, gdy lekarz zatrzymał ją gestem i spojrzeniem.

— Obraz zmienności losu, dziwacznych kolei przeznaczenia! rzekł, wskazując na chorą. Czy wiesz, siostró, kto jest ta pani wynędzniała, przez wszystkich opuszczona, przytułek jedyny znajdująca pod dachem, pod którym chronimy naszych biedaków, nędzarzy? Jest ona córką możnego dostojnego domu; była podobno piękna, majątną, wielbioną... potem zaś nisko, bardzo nisko upadła. Więcej może niż kto inny potrzebuje ona duszy ścdekłej, cichój i przebaczącej, która by nad nią czuwała. Dlatego też powierzamy ją twojej wyłącznej opiece, siostró Franciszko.

Kobieta, do której zwrócone były te słowa, stała milcząca i ze splecionemi na piersi rękami wpatrywała się w twarz chorój, jakby z góry już odgadnąć chciała wszystkie potrzeby jej chorego ciała i wszystkie bóle nurtujące nieprzytomnego teraz jej ducha. Chorą kobietę ogarnął był sen gorączkowy, wśród którego ręce jej białe i chude poruszały się jednak niespokojnie pomiędzy opływającemi białą pościel falami kruczych włosów, a z ust jej szeptem bezdźwięcznym lecz wyraźnym płynęły bezładne słowa.

— Orchów! szeptała — zaprowadźcie mię do Orcho-
wa!.. Tam jest Mieczysław... mój brat... Ja wiem, Ildefonsie,
że brat czy obcy, to wszystko jedno... ale zaprowadź mię
do Orchowa... do mego brata!..

Na odgłos tych wyrazów oczy zakonnicy szybko prze-
niosły się na twarz lekarza.

— Kto jest ta pani? szepnęła.

— Lila Ręczykowa, z domu Orchowska, córka Kaje-
tana Orchowskiego.

Pod czarną szatą zakwefionej kobiety przebiegło le-
dwie dostrzegalne drgnienie. Szybkim, szybszym niż zwy-
kle, a cichym bardzo krokiem przystąpiła do łoża i schy-
lona nad chorą, przeciągłe spojrzenie utopiła w jej twarzy,
jakby w tych rysach, zmienionych burzami życia, szukała
słabego choćby odbicia obrazu jakiegoś, pogrzebanego głą-
boko w uciszonym i zrezygnowanym jej sercu, lecz teraz
podnoszącego się przed wzrokiem jej pamięci w pełnym
świecie minionej dawno, choć nigdy nie zapomnianej prze-
szłości. Niema a smętna kontemplacya ta trwała przecieź
krótką tylko chwilkę, poczem miękkie, w sztuce łagodzenia
cierpień wprawne ramiona zakonnicy, otoczyły wiotką ki-
bić chorą, starannie ułożyły ją na białej pościeli i lekko,
pieszczotliwie odgarniać poczęły z rozgorzałego jej czoła
splątana gęstwinę włosów.

Lila otworzyła oczy... Przed wzrokiem jej, w któ-
rym przebiegł chwilowy błysk przytomnej myśli, jak gwiaz-
dy smutne a łagodne, świeciły szafirowe, łąką osrebrzone,
głęboko z pod bladego czoła patrzące oczy siostry Fran-
ciszki.

— Kto tu jest przy mnie? zapytała, siląc się na
przypomnienie sobie i zrozumienie wszystkiego.

— Ja jestem przy tobie! siostra twoja w Bogu i ludzkości!

— Siostra? zawołała chora z nieprzytomnym znów śmiechem — to nieprawda! niema na świecie sióstr ani braci!

Potém, wodząc oczami dokoła siebie, z nowém wysileniem zapytała:

— Gdzie ja jestem?

— Jesteś, biędne dziecię, w przybytku cierpienia i pociechy, smutku i miłości...

Przeszywający śmiech zatrzęsł piersią choréj. Oczy jéj rozgorzały.

— Miłości? zawołała. Nieprawda!.. miłości wcale na świecie niema!.. Nic niema!.. zimno... ciemno... Ratujućie!

— Gwałtowne wstrząśnienia moralne... szepnął lekarz obok zakonnicę stojący... przeziębienie... siły wycieńczone!.. Trudna, bardzo trudna będzie nam robota z tą chorą, siostró Franciszko!

W parę dni potém do szpitalnego pokoju weszła wraz z lekarzem kobiéta osłonięta czarną woalką, spływającą ze skromnego kapelusza. Szybko przystąpiła do zakonnicę, czuwającéj nad łóżem choréj, podniosła woalkę, a ukazując twarz pełną cichego wzruszenia, rzekła:

— Jestem żoną Mieczysława Orchowskiego... jéj brata... Jeżeli pani pozwoli, będę tu przepędzała jak najwięcej czasu, aby w razie powrotu choréj do przytomności ujrzeć ona mogła, że nie jest opuszczoną ni wzgardzoną przez swoich.

— Niech będą błogosławieni wszyscy, którzy w progi te wchodzą z miłosierdziem na ustach i przebaczeniem w sercu! szepnęła siostra Franciszka.

Podaly sobie ręce, a gdy lekarz badał stan choréj, usiadły jedna obok drugiéj we framudze okna. Oczy zakonnicy tkwiły długo w twarzy przybyléj kobiety; policzki jéj, na które kwef białe rzucał przejryste cienie, zabarwiły się bladym rumieńcem wzruszenia.

— Jesteś pani żoną pana Mieczysława Orchowskiego? zaczęła, mieszkasz więc—zapewne w Orchowie?

— Tak, siostró.

— Czy...

Tu pod ciężkimi fałdami czarnej sukni głos mówiącéj drgnął i zawahał się na chwilę.

— Czy byłaś pani kiedy w Białowoli?

— Nieraz... Czy znasz, siostró, to miejsce, że cię ono tak obchodzi?

— Urodziłam się tam i wzrosłam; pochowałam tam całą prawie rodzinę swoję i rozstałam się z krótkim swem życiem światowém.

Michalina zdawała się tknęta nagle przypomnieniem jakimś.

— A więc, zaczęła, jesteś, siostró, tą młodziuchną Franią, o której...

Zatrzymała się nagle i spuściła oczy, jakby żałując słów wymówionych. Ale miękka dłoń zakonnicy spoczęła na jéj ręku.

— Dokończ pani, szepnęła.

W głosie jéj był dźwięk próśby. Michalina podniosła wzrok i śmieléj już dodała:

— O której Kajetan Orchowski długo, długo... z żalem i czułością mówił w przedchwilę skonu synowi swemu...

Tym razem powieki opadły na źrenice siostry Fran-

ciszki. Dwie wielkie łzy wypłynęły z pod spuszczonej jęj powiek i upadły na ręce nieruchomo splecione.

Michalina ze zdziwieniem patrzyła na siedzącą obok nięj kobięte. Z ust męza swego znała jęj historię, wiedziała więc, że nad głowę tą, pochyloną teraz w głębszkiej zadumie, przepłynął już szereg lat długich. A jednak powierzchowność siostry Franciszki nie nosiła na sobie cech starości. Twarz jęj, o rysach ściągłych i łagodnych, gładka była, żadną zmarszczką nie zrysowana, a powlekała ją cera przejrzystej niemal bładoci. W szafirowych oczach-jęj, lekko wklęstych, płonął ogień spokojny, lecz zdradzający pełnię uczucia i myśli. Na całej powierzchowności jęj rozlęwała się dziewiczość, niewylęczająca dostojnej powagi, skupiona w sobie zaduma, niewylęczająca czujnej i gorliwej czynności. Znać było że dusza ta niewinna a silna, boleśnie zraniona niegdys, a teraz uspokocona, posiadała cudowny zdroj jakiś, w którym czerpała siłę wiecznego odmładzania się i odradzania. Zamyślenie jęj, jakkolwiek smutne znać i głębskie, bo łzy z oczu jęj wyciskające, trwało bardzo krótko. Zaledwie lekarz odwrócił się od łóża chorej, szymbkim, cichym krokiem przystąpiła ku niemu i z uwagą pełną skupienia słuchała jego zaleceń. Słuchała ich tęż pilnie i Michalina.

— Pozwolisz, siostrze, abym ci pomagała? rzekła z prosbą w głosie.

Siostra Franciszka potwierdzająco skłoniła głowę.

— Będiesz mię pani wyręczała wtedy, gdy starań moich zażądataj inni.

Odtąd dwie te kobiety nie odstępowaly ani na chwilę łóża chorej, czuwając nad niem razem lub z kolei.

Wieczorem, gdy zamykały się bramy zakładu, a rządząca w nim reguła nie dozwalała na pozostawanie w ścianach jego osób obcych, Michalina odchodziła, aby wrócić nazajutrz, o najwcześniejszej jak można było godzinie.

Lila nie odzyskiwała już ani na chwilę przytomności; umysł jej napełniony był wciąż strasznymi widziadłami, wśród których ukazywały się jej najczęściej obrazy pustyni jakichś i przepaści, przejmujące ją śmiertelną grozą. W ustach jej powtarzał się ciągle prawie wyraz: *nie!* wymawiany przez nią czasem z martwem prawie zniechęceniem, czasem z gwałtowną rozpaczą i trwogą. Uczucie i pojęcie pustki jakiejś bezgranicznej ściagało wciąż nieprzytomne jej myśli. Niekiedy, gdy wymawiała imiona brata i kochanka, w głosie jej zdawała się przez chwilę dźwięczyć tęsknota; ale nawet potem wybuchała nieprzytomnym śmiechem i niby ptak, wyuczony mechanicznego wymawiania słów pewnych, powtarzała słowo w słowo wszystkie przeczące, szyderskie zdania, przejęte z ust człowieka, który był pierwszym mistrzem uspionej niegdyś jej myśli i ostateczną przyczyną jej zguby. Raz tylko wspomniała niewyraźnie i przelotnie o swém dziecku. Siostra Franciszka pochwyciła wzmiankę tę na jej ustach.

— Czy ona ma dziecię? zapytała, zwracając się do Michaliny.

— Tak; śliczne, pięcioletnie dziecię, które od kilku miesięcy zostaje w domu naszym. Teraz jednak przywiozłam je z sobą do miasta, sądząc że przyjdzie może chwila, w której widzieć je i uścisnąć zażąda...

— Gdziez zostawiasz pani to dziecię, przychodząc tutaj?

— Zostawiam je pod opieką krewnej i przyjaciółki mojej, Róży Ręczycówny.

Na to imię twarzy siostry Franciszki zajaśniała ciepłym, przyjaznym uczuciem.

— Znam pannę Różę, rzekła. Była chwila, w której zmęczona życiem pustem i bezcelowym, jakie zmuszona była prowadzić w świecie, smutna, zniechęcona do macierzyńskiego domu, chciała wstąpić do zakonu naszego...

— A tyś jęj to odradziła, siostró Franciszko?

— Tak, bo zdawało mi się, że do naszego twardego życia dostatecznie usposobioną nie była, że zdolności jęj i skłonności wiodły ją na inną drogę. To téż udała się ona potem do pani i wiem dobrze jaki wpływ stanowczy i zbawienny wywarłaś na umysł jęj i postanowienia.

— Niemniej téż, owszem daleko więcej, Róża zawdzięcza tobie, siostró. Tyś pierwsza w serce jęj i umysł wlała to pogodne i rozumne uspokojenie, które tak konieczne jest dla dokonywania pracy wszelkiej.

— Choroby moralne równie ciężkimi i strasznemi bywają, jak choroby fizyczne. Leczyć jedne i drugie, o ile sił starczy, jest obowiązkiem naszym i jedynym celem naszego istnienia, z prostotą odparła zakonnica miłości.

Domawiała właśnie słów ostatnich, gdy do pokoju weszła dość młoda jeszcze kobięta, w skromnym ubiorze, z pięcioletniem dzieckiem, które wiodła z sobą za rękę. Była-to Róża Ręczycówna, nie owa już rumiana, hoża, wpół płocha i zalotna, wpół rozdrażniona i gniewna dziewczyna, która matce swęj, pani Malwinie, towarzyszyła w sąsiedzkich wizytach, ale kobięta dojrzała i spokojna, ze świadomą siebie myślą na twarzy, z łagodną powagą w oku. Była-to także znana w mieście całym z gorliwości swęj i wy-

sokiego ukształcenia nauczycielka, dająca się od niedawna poznać w kraju jako pracowita i utalentowana pisarka. Z wdzięcznym szacunkiem pochyliła się nad ramieniem siostry Franciszki, uścisnęła Michalinę i zbliżyła się do chorój.

— Biedna, biedna Lila! szepnęła.

Lila nie poznała ani towarzyszki młodości swój, ani swego dziecka.

Michalina tymczasem czytała we framudze okna list przez Różę jej wręczony. Było-to pismo Mieczysława, w którym donosił żonie, że w dniu poprzednim właśnie dokonał się urzędowy opis Orchowa.

„Po raz pierwszy w życiu, pisał Mieczysław, cieszyłem się z tego, żeś przy mnie nie była, żeś nie patrzyła na akt ten, mający dla nas tak smutne znaczenie. Nie rozpaczam, hamuję w sobie zbyt gwałtowne uniesienia, ale z głębokim smutkiem w przyszłość naszą patrzę. Ratunku żadnego już nie widzę. Niegodziwiec, który jest sprawcą naszego nieszczęścia, pragnie podobno jaknajprędzej strony te opuścić; przedtem jednak chce wydrzeć od nas własność nieszczęśliwej siostry mojej, którą mu ona tak lekkomyślnie odstąpiła. Przyspiesza on wszelkiemi środkami sprzedaż Orchowa, która też zapewne wkrótce nastąpi. Jedyne człowiek, który mógłby mieć nad Poryckim wpływ niejaki, a dla nas dzielną stać się pomocą, Eli Makower, odbywa po śmierci ojca swego zwykłą u Izraelitów ceremonią odsiadywania żałoby, w czasie której niewolno mu widzieć się ani rozmawiać z nikim. Tak więc, na teraz przynajmniej, żadnej niema nadziei! Bądź jednak mężną, Michasiu, i przedewszystkiem nie wracaj tu, nie odstępuj biednej Lili. Jeżeli zdołamy uratować jej życie, przygarniemy ją do

serc naszych, a w jakąkolwiek stronę świata los nas rzuci, jakiekolwiek troski i ciężary dźwigać nam odtąd przyjdzie, podzielimy się z nią chlebem naszym i ciepłem naszego rodzinnego ogniska, które, jako jedyne lecz nieocenione dobro, całym i nienaruszalnym wyniesiemy z rozbicia wszystkich najdroższych naszych zamiarów i nadziei.“

Dzień za dniem przechodził, a Lila przytomności nie odzyskiwała. Nadeszło wreszcie przez lekarza zapowiedziane przesilenie choroby. Po nocy strasznie burzliwej, w krzykach i szamotaniu się gwałtownym spędzonej, chora otworzyła oczy omglone i zupełnie prawie przytomnym wzrokiem powiódłszy dookoła, poznała stojącą u wezglowia jej Michalinę. Patrzyła na nią długo i zdawała się zbierać rozpierzchłe myśli.

— Michasiu! rzekła ledwie dosłyszalnym szeptem, a gdy przywołana kobieta pochyliła się nad nią, zapytała: Czy was już wypędzono z Orchowa? czy bardzo, bardzo mną pogardzacie?

Siostra Franciszka przystąpiła do chorój z palcem do ust przyłożonym i zaleciła jej milczenie. Lila wpatrywała się w twarz jej przez chwilę.

— Nie wiem kto jest ta pani, szepnęła, ale śniłam o niej ciągle... ciągle... Zdawało mi się że to anioł... tylko że czarną suknię ma na sobie...

Poruszyła się żywiej nieco na pościeli i znowu nawpółnieprzytomnie spytała:

— Czy widzieliście kiedy czarną lilią?..

Umilkła i zamknęła oczy. Michalinie powrót ten do pamięci i przytomności wydał się zwiastunem blizkiego wyzdrowienia. Siostra Franciszka jednak, po chwili zastanowienia, wstrząsnęła smutnie głową.

— Niezawsze tak bywał! szepnęła żonie Mieczysława na ucho, myśl jęj zgadując.

Obie kobiety z niepokojem żywym wpatrywały się w lekarza, gdy w pół godziny potém przybył dla odwiedzenia choręj. Chłodna jednak i poważna twarz człowieka nauki nie zdradzała niczém myśli jego. To téż wysunęły się one za lekarzem i przymknąwszy drzwi za sobą, rozmawiały z nim dość długo. Gdy wróciły na zwykłe swe stanowisko, ujrzały Lilię siedzącą na łóżku, z włosami w nieładzie i z twarzą zalaną łzami.

Oczy jęj pały.

— Słyszałam wszystko, rzekła słabym bardzo głosem. Doktor mówił że żyć nie będę... że siły moje wyczerpały się zupełnie... że... zgasnę jak świeca... Zresztą, dodała po chwili, opadając na poduszki, mniejsza o to! Co mi po tém pustém, straszném życiu... w którym nic niema... nic! nic!

Zamknęła znowu oczy, a z pod powiek jęj na twarz śmiertelnie bladą spływały łzy obfite.

Dwie czuwające kobiety zamieniły spojrzenia pełne boleści. Właściwa pewnym chorem delikatność słuchu i niespokojna ciekawość Lili pozwoliły jęj dostyszeć słowa lekarza, chociaż za drzwiami pokoju i bardzo cicho wymówione. Usiadły przy łożu i miały właśnie odezwać się do choręj słowami uspokojenia, gdy ona, nie otwierając oczu ozwała się nagle i dość głośno:

— Poco ja żyłam?

Potém, prze kilka godzin, nie już więcj nie powiedziała. Posłusznie, machinalnie prawie przyjmowała lekarstwa, które podawała jęj siostra Franciszka, ale nie otwierała oczów i nie podnosiła głowy z poduszek. Na czole jęj, po-

wlekającym się coraz głębszą bladością, spoczywała milcząca, nawpół posepna, nawpół apatyczna zaduma; pierś podnosiła się słabo, zaledwie dostrzegalnie.

Nad wieczorem, wezwana przez Michalinę, przybyła Róża, z małym synem Lili. Siostra Franciszka wzięła dziecko za rękę i przyprowadziła je do łóża.

— Lilo! szepnęła Michalina, spójrz na Konradka.

Otworzyła oczy i patrzyła na dziecko zrazu dość obojętnie. Potém jednak poprosiła, aby umieszczono je blisko przy niej. Z wysileniem widoczném ujęła drobną rączkę chłopczyzny, który spoglądał na nią szeroko otwartemi, zdziwionemi oczami. Widocznie nie poznawał matki zmienionój bardzo, a oddawna niewidzianój.

— Konradku, szepnęła chora, czy nie poznajesz mię?

Dzięciu na płacz się zbierało. Wystraszonym wzrokiem szukał on wciąż twarzy Michaliny.

— Konradku! żywiój już i jakby niepokojem jakimś tkniętą powtórzyła chora, popatrz na mnie... ja jestem twoją mamą!..

Na te słowa dziecko, jakby przestraszone, zeskokczyło z łóżka i wyciągając ręce ku Michalinie, zawołało:

— To moja mama!

Lila nie rzekła nic. Bolesne tylko drgnienie przebiegło po jój twarzy. Legła znowu śród bieli poduszek nieruchoma, z zamkniętymi oczami.

Około północy ocknęła się i zapuszczając wzrok w głąb sali, zdawała się z wysileniem wielkiém ściągać wzrokiem krzątającą się w przyległej sali siostrę Franciszkę.

Widać było że chciała ją przywołać, ale zabrakło jój głosu i siły. Natomiast od łóża jój pedniosła się Michalina i spełniając życzenie chorój, przywołała do niej zakonnicę.

— Chciałabym z panią pomówić, szepnęła Lila, gdy siostra Franciszka zbliżyła się do niej i usiadła na krawędzi jej łóżka.

— Nazywaj mnie siostrą, drogie dziecię, szepnęła zakonnica, przesuwając ręką po splątanej gęstwinie jej włosów.

— Niéma na świecie sióstr ani braci! opryskliwie rzuciła chora. Wszystko to przesąd!

Zakonnica nie odpowiedziała nic. Pochyliła się tylko niżej i z jednostajną łagodnością zapytała:

— O czém chciałaś mi mówić?

— Czy pani dawno tu jesteś? tu, w tym domu, gdzie sami tylko chorzy i nieszczęśliwi?

— Bardzo dawno, odparła zakonnica.

— Dlaczego pani zostałaś siostrą miłosierdzia?

Siostra Franciszka odpowiedziała spokojnie:

— Nie widziałam dla siebie szczęścia wśród świata i chciałam być, o ile mogłam, użyteczną, cierpiącym braciom moim.

Nastąpiło chwilowe milczenie. Chora przerwała je pierwsza.

— Może pani rozgniewa się na mnie... ale cóż to mnie już teraz obchodzić może? Czy pani wprzód jeszcze... dawniej... dawniej kochała kiedy kogo?

Tym razem na spokojnej twarzy siostry Franciszki wybiło się żywe wzruszenie i chwilowe wahanie się. Sądziła jednak że powinnością jej jest odpowiadać na pytania tej do dna zaniepokojonej, w przedchwilę śmierci ciężko łamiącej się z samą sobą duszy.

— Tak odparła po chwili milczenia, kiedyś... kochałam.

Oczy chorąg błysnęły. Wkrótce przecież, znużona, przymknęła je i rzuciła krótkie pytanie:

— Kogo?

— Człowieka z piękną, szlachetną duszą, ale słabą wola.

— A on kochał panią?

— Chwilę.

— A potem?

— Potem... pojął inną za żonę.

Lila otworzyła znowu oczy, które teraz jaskrawym zapaliły się blaskiem.

— O! jakże go pani nienawidzić musiałaś... jak musiałaś mu złorzeczyć!

Przerażenie nieledwie odmalowało się na twarzy siostry Franciszki.

— Ja, wyrzekła, miałabym nienawidzić? O! drogie dziecię! nienawiść jest brzydkim bardzo uczuciem i dziękuję Bogu, że nie miało ono nigdy przystępu do serca mego. Ja *jego* zawsze kochałam, tak jak za pierwszych dni młodości, błogosławiłam życiu jego i codziennie przy modlitwie każdej posyłałam do Boga jego imię...

— Kochałaś go pani?.. tyle lat.. nie widząc?..

— Tak, dziecię; i dziś jeszcze, choć on już nie żyje, wspomnienie o nim pozostało we mnie czystem i świętym.

— I nie pokochałaś już pani nigdy nikogo więcej?

— Nigdy, nikogo, dziecię!

Lila milczała znowu, a potem z gorączkową ciekawością pytała dalej:

— A gdy paui zamknęła się już w tych murach, gdy przestałaś widywać świat i ukochanego swego, a widziałaś tylko same cierpienia i słyszałaś same jęki, czy nie tęskniłaś pa ni, nie cierpiałaś?

— Tak, dziecię, cierpiałam wiele!

— A! zawołała chora i w oczach jój błysnęło dziwne jakieś wewnętrzne uradowanie, nie byłaś więc pani szczęśliwą?

— Owszem dziecię moje, bywałam i bywam nieraz bardzo szczęśliwą!

Szyderski uśmiech przebiegł po białych ustach Lili.

— Cierpiałas pani i byłaś szczęśliwą?.. nie rozumiem tego!

— Miewałam i miewam chwilę wielkiego szczęścia...

— A! teraz rozumiem! Musiałaś pani od czasu do czasu widywać człowieka, którego kochałaś.

— Od chwili której przestąpiłam te progi, nie widziałam go ani razu, a on nie wiedział nawet gdzie i czy żyje... Ale, biedne dziecię moje, bywały dnie i noce takie, w których siadywałam nad łóżami istot ludzkich nieszczęśliwych, na ciele chorych, na duszy starganych...

Przerwała sobie na chwilę. Ciężko jój było stawiać obraz wewnętrznych, świętych uciech swych przed oczy kobiety, ściganéj i dręczonéj przez mroźne widma pustki i nicości. Ale ona nalegała.

— I cóż? cóż, pani?

— Wtedy, ciągnęła dalej siostra Franciszka, gdy dłonią moją opatrzona, usypiała snem słodkim i krzepiącym zboląta głowa bliźniego, gdy słowami memi ukołysane, milkły choć na chwilę burze jego ducha, gdy skłoniłam go, aby zwątpiały i upadający pod brzemieniem sierocéj doli, wzniósł oczy ku niebu i do Boga zawołał wraz ze mną: „Ojcze mój!”—wtedy byłam szczęśliwą... i dziękowałam Bogu za tę moc pociech i ulg, którą złożył w mych

ręku tak, jakbym może nigdy Mu dziękować nie mogła za wszystkie bogactwa i uciechy świata.

Nieśmiała zrazu i wahająca się twarz siostry Franciszki zajaśniała przy ostatnich wyrazach blaskiem czystym i gorącym, a splecione ręce jej podniosły się w górę, poruszeniem pełnem radości.

Lila nie spuszczała z niej oczu.

— Dziwna rzecz! szepnęła, dziwna! dziwna!... A jednak, dodała po chwili nieměj zadumy, jest na świecie jedna tylko świątynia i jeden ołtarz—osobistego szczęścia!

Domawiała właśnie ostatnich wyrazów, gdy do mrocznego pokoju, z oddalonej strony gmachu, przypłynął dźwięk jakiś dziwny.

— Franiu! Franiu! wołał śród ciszy nocnej głos przeciągły, żaloszny.

Siostra Franciszka wyprostowała się i uczyniła poruszenie takie, jakby powstać i odejść miała.

— Kto to panią woła? zapytała Lila.

— Brat mój... obłąkany...

— Gdzież on jest?

— Tam, w przeciwległej budowli, gdzie mieszkają wszyscy nasi obłąkani...

— I to brat pani rodzony?

— Rodzony... pozbawiony rozumu od dzieciństwa.

— Czegoż on panią woła?

— Chce mię ujrzeć zapewne... woła tak zawsze, gdy mię długo nie widzi.

— I pani nie lęka się obłąkanego człowieka?

— Pielęgnuję go od najmłodszych lat moich... Wyjednałem u zwierzchności naszėj, aby go tu umieszczono przy mnie...

— Dlaczego pani to uczyniłaś?

— Jest to mój brat!

— Franiu! Franiu! powtórzyło się oddalone wołanie, ze zdwojonym teraz, żałośliwym dźwiękiem.

Zakonnica powstała i zmierzała ku drzwiom. Lila wiodła za nią wzrokiem.

— Siostro! zawołała nagle.

Po raz pierwszy imieniem tём nazwała swą opiekunkę.

— Czego chcesz? dziecię moje.

— Jesteś dobrą, siostro, bardzo dobrą!.. Czy uczynisz dla mnie to, o co cię będę prosiła?

Odpowiedzią na pytanie to był pocałunek, który siostra Franciszka złożyła na jéj czole.

— Powiedz mi, siostro... zaczęła Lila, ale nie dokończyła zrazu. Pierś jéj podnosiła się szybko i ciężko, w zmąconych oczach migotały błyskawice.

— Nie byłam szczęśliwą, ciągnęła dalej, nic nikomu dobrego nie zrobiłam... Chciałabym wiedzieć.. poco żyłam?

Usłyszawszy dziwne to pytanie, zakonnica pochyliła się nad nią i długo, łagodnie, zcicha mówiła jéj słowa uspokajające. Słowa te przecież nie trafiały znać do umysłu ni serca Lili, bo twarz jéj nie utraciła ani na chwilę wyrazu dręczącej niespokojności. Parę godzin potём przepędziła znowu w milczeniu i nieruchomości zupełnej. Nad ranem cichym głosem przywołała do siebie Michalinę.

— Michasiu! rzekła, czy ty bardzo kochasz Mieczysia?

— Lilo, odparła kobiéta, brat twój jest mi droższym nad wszystko!

— I nigdy nikogo prócz niego nie kochałaś?

— Nigdy, Lilo.

Milczała chwilę. Potem zapytała znowu, z wyraźnym drżeniem w słabym głosie:

— Michasiu! czy ty jesteś szczęśliwą?

— Bardzo, zupełnie szczęśliwą! odparła kobieta.

Chora gwałtownym ruchem zarzuciła obie ręce nad głowę.

— I ta jest szczęśliwą! szepnęła, wszystkie one szczęśliwe!.. Czemuż ja...

Umilkła i zwróciła twarz ku ścianie. Usta jej szepnęły niewyraźne słowa jakiegoś.

O bardzo wczesnej godzinie rankiem do pokoju chorej weszła Róża.

Chora zwróciła twarz ku pokojowi, a poznając Różę, zawołała na nią, aby się zbliżyła. Promyk tajemnego zadowolenia przesunął się po posępnej jej twarzy.

— Róziu! zaczęła, dlaczego ty nie zostałeś przy swojej matce.. przy cioci Malwinie?

— Mama teraz nie ma swego domu. Zresztą chciałam mieć zajęcie jakiegoś... jakiś cel życia.

Wlepiła w nią wzrok badawczy, przenikliwy.

— Czy ty, Róziu, szczęśliwą jesteś?

Dziewczyna zawahała się. Bolesnie jej było przyznawać się do szczęścia wobec tej niedoli.

— Jestem spokojną i zadowoloną, odrzekła.

Chora wypuściła rękę jej ze swjej dłoni i z głębokim westchnieniem rzuciła się na poduszki. Po chwili jednak szepnęła znowu:

— Róziu! wszyscy mówią o tobie, że jesteś bardzo rozumną, że książki piszesz... Musisz więc wiedzieć.. i powiesz mi... ale powiesz, prawda?

— Mów, mów, Lilo!

— Nachylił się ku mnie, blisko... bo sił już nie mam.

Róża pochyliła się tak, że uchem swém dotykała niemal ust chorój. Wtedy dwoje czarnych palących się źrenic wpiło się w twarz jój myślącą i łagodną, spojrzeniem pełném uporczywego, gwałtownego błagania, a drżące wargi chorój szepnęły:

— Powiedz mi... poco ja żyłam?

Całą odpowiedzią na wracające wciąż to pytanie były łzy, które błysnęły w oczach trzech obecnych kobiet.

Okolo południa Mieczysław, smutny, poważny, stanął w progu pokoju.

Lila, która od paru godzin mówić i poruszać się przestała, otworzyła oczy. Na widok brata twarz jój drgnęła, a ramiona, ostatniemu wysileniu woli posłuszne, wyciągnęły się ku niemu.

— Mieczys! wymówiła nieco głośniej. Przyszedłeś do mnie... nie pogardzasz mną... czy mi przebaczysz?

Pochylił się nad nią i gorące pocałunki złożył na czole jój i ręku. Cóż jakby uśmiech ulgi i słodczy przesunął się po drętwiejących jój ustach, które przecież wyszeptaly jeszcze:

— Ty taki dobry jesteś... Mieczysiu!.. ty mi powiesz...

I raz jeszcze wyraz błagalny, pokorny, pełen bólu przeszywającego i prośby, rozjaśnił męcące się jój źrenice. Z wysileniem wielkiém zarzuciła obie ręce na szyję pochylonego brata i ledwie dosłyszalnie rzekła:

— Powiedz mi... poco ja żyłam?

I to było już ostatnie słowo biédnego jój życia.

XIII.

Eli Makower, ubrany w bezkształtną szatę z grubego płótna, przez dziewięć dni spełniał żałobny izraelski obrządek, siedząc na niskiej ławie i posypując głowę swą popiołem. Spełniała obrządek podobny i żona jego Chaja, i starsze dzieci jego. Milczenie i smutek głęboki zalegały przez czas ten tak gwarne przedtém, wesołe, pełne ruchu mieszkanie. Chaja przecież kiedy niekiedy wydawała zniżonym głosem rozporządzenia gospodarskie, a czasem téż, przypominając sobie najulubieńszego, utraconego dziś syna zapłakała głośno.

Ale Eli, wciąż milczący, siedział z głową w obie dłonie ujętą i myślał. Po raz piérwszy przepędzał on czas tak długi w ciszy zupełnej, w oddaleniu od zewnętrznych spraw świata, w nieprzerwaném rozważaniu ubiegłych lat życia.

Gdy nakoniec dziesiątego ranka powstał z ławy, przywdział na siebie strój swój zwyczajny i wzięwszy czapkę, wyjść miał na ulicę, Chaja zatrzymała go przy drzwiach.

— Eli! rzekła, na włosach twoich pozostało jeszcze dużo popiołu. Pozwól, niech go otrząsnę!

Powiodła dłonią po włosach męża, ale to co miała być popiołem, nie spadało z jego głowy.

— Hörst! zawołała Chaja, co to jest? Ty, Eli, dużo siwych włosów na głowę swoją dostał.

Eli zbliżył się do lustra i spojrzawszy na włosy swe, które w istocie przez dziesięć dni ubiegłych z rudawych i lśniących stały się popielatemi, nie rzekł ani słowa i wyszedł na miasto.

Udał się najprzód do ustronnej kamieniczki, w której mieszkał Ildefons Porycki. Wszedłszy na schody, usłyszał w pokojach na pierwszém piętrze donośny, swarliwy głos kobiety, panujący nad chórem dziecinnych głosików.

— Kto tam mieszka? zapytał służącego, który ukazał się na schodach.

— Żona i dzieci pana agenta, odpowiedział służący.

— A gdzie podziała się ta pani, co tu wprzódy mieszkała?

— Ta pani umarła wczoraj w szpitalu sióstr miłosierdzia.

Usłyszawszy odpowiedź tę, Eli stał chwilę z pochyloną głową; potem zaczął zwolna w zamyśleniu wstępować na drugie piętro domu.

Rozmowa Elego z głównym agentem Domu pośrednictwa nie trwała dłużej nad pół godziny, poczem Żyd, chowając papier jakiś do kieszeni, opuścił kamieniczkę i udał się do jednego z hotelów miejskich.

— Czy mieszka tu pan Mieczysław Orchowski? zapytał hotelowego sługę.

Odpowiedź była twierdząca.

— A jest teraz w domu? Gdzie jego pokój?

Wskazano mu pokój Mieczysława.

Mieczysław, na widok wchodzącego Izraelity, podniósł z nad dłoni twarz bladą, zmęczoną bolesnymi wzruszeniami i powitał przybyłego z chłodną powagą. Eli laskę swą umieścił w kącie pokoju i na milczący gest gospodarza, usiadł naprzeciw niego na krześle. Usiadł, obie dłonie złożył na kolanach, pochylił nieco głowę i milczał. Rozmowa którą prowadzić miał była mu znać tak niezwykłą, że nie wiedział jak i od czego ją zacząć.

Mieczysław z lekkim zdziwieniem przypatrywał się chwilę zmienionej twarzy Elega, głębokim bruzdom które porwały czoło jego i gęstą siwiznie, przypruszającej jego włosy.

— Wydajesz mi się pan, panie Makower, zmienionym bardzo... zaczął pierwszy.

Eli podniósł na twarz jego spojrzenie.

— Pan zmienił się także bardzo... bardzo!.. rzekł. Żebym ja nie wiedział tego co wiem, to mógłbym myśleć, że pan tylko co wstał z ciężkiej choroby.

— Cóż dziwnego? odparł Mieczysław. Siostra moja wczoraj umarła.

— A pięć dni temu urzędnicy opisali panu Orchów, dokończył Eli.

Mieczysław nie na uwagę tę nie odpowiedział. Zdawało się, że odbiegła go wszelka chęć odzywiania się do serca lub sumienia człowieka, którego miał przed sobą. Po chwili jednak milczenia rzekł:

— Obaj, panie Makower, ponieśliśmy w tych czasach straty ciężkie i bolesne. Słyszałem że ojciec pana, ten sędziwy i zacny starzec, którego poznałem niedawno, żyć już przestał.

Eli podniósł ku niemu wzrok zwilgocony.

— Dziękuję panu, rzekł, że pan dobrze wspomniał o moim starym ojcu. Ja jego kochał i szanował i strzegł jak oka w głowie. On umarł... Nu, cóż robić? taka już kolęj na świecie, że starzy ludzie umierają...

Zatrzymał się chwilę, a potem mówił dalej:

— Że ja straciłem ojca i jak ja jego straciłem, o tém wszysey ludzie wiedzą. Ale ja stracił także syna mego najstarszego, którego ja najwięcej ze wszystkich dzieci moich lubił, i stracił dużo pieniędzy, a jakim sposobem, o tém ja nie powiem nikomu, bo to największy mój wstyd i największa moja boleść.

Mileczał znowu chwilę.

— Ja jestem teraz, ciągnął dalej, jak ten podróżny, co długo, długo prędkim krokiem szedł jedną drogą i myślał że to droga dobra, aż nagle zobaczył, że droga ta prowadzi do smutków i do błota....

Podniósł wzrok na twarz Mieczysława i zapytał:

— Jak pan myśli? co zrobić powinien taki podróżny który widzi że droga jego jest niedobra i że idąc nią, zrobił wielką omyłkę?

Mieczysław, który ze wzrastającym zajęciem patrzył na mówiącego tak Izraelitę, wszedł w myśl jego i odpowiedział:

— Podróżny taki, panie Eli, jeżeli ma jeszcze dość chęci i sił potem, powinien opuścić drogę, którą uznał za niedobłą, i wejść na inną.

— Tak i ja myślę zrobić, rzekł Eli z uśmiechem, który rozjaśnił pobladłą twarz jego.

Wyprostował się, oko mu błysnęło.

— Nie jestem ja jeszcze stary człowiek, rzekł, i sił mam w sobie dużo. I dzieci ja mam młodsze, o których

myśleć mi potrzeba, żeby one nie zginęły, tak jak *tamten* zginął; i sumienie ja mam, które muszę oczyścić; i ojca starego ja miał, którego muszę posłuchać!...

Mówiąc to, wyjął z kieszeni surduta arkusz papieru we czworo złożony i rozwinąwszy go, położył na stole przed Mieczysławem.

— Niech pan na to pismo okiem swoim rzuci, rzekł, i niech pan z niego wielką pociechę do serca swego weźmie.

Mieczysław przebiegł oczami podane sobie pismo, a na twarzy jego ukazało się zdumienie, zmieszane z radością. Było to własną ręką głównego agenta nakreślone formalne pokwitowanie z odbioru summy, w skutek przekazu Lili od Mieczysława mu należnej. Pokwitowanie to, przedstawione właściwym władzom, uchylić miało grożącą majątkowi Orchowskiego sprzedaż publiczną.

— Jakim sposobem zdołałeś pan uzyskać to pokwitowanie z summy, którą w każdym razie synowi Lili wypłacę kiedyś co do grosza? zapytał Mieczysław, uderzony tym niespodziewanym postępkiem Izraelity.

— Jakim sposobem ja od tego łajdaka pisanie to wydarł? uśmiechając się, przerwał Eli. Nu, już ja na niego wiele sposobów miałem. On był w mojej mocy; ja o nim różne takie rzeczy wiedział, że gdybym mu kazał przez kij skakać, to onby skakał. Ale jeżeli pan myśli że to już wszystko, z czém ja dziś do pana przyszedł, to pan się bardzo myli. Niech pan posłucha o tém, co ja panu jeszcze dziś przyniosł!...

Milczał przez chwilę, jakby myśli swe zbierał i rozjaśniał, a potem zaczął znowu:

— Pan jest dobry gospodarz i pracowity człowiek pan ma głowę uczoną i ręce nieleniwe; ale to nic nie pomo-

że... Pan w swoim Orchowie nie zaprowadzi takiego gospodarstwa, jakie tam powinno być, dopóki pan nie będzie miał gotowych pieniędzy i na postawienie nowych budynków, i na inwentarz, i na osuszenie téj wielkiej łąki, co to za lasem kępami już porasta, i na inne jeszcze rzeczy. A z kąd pan teraz może wziąć gotowych pieniędzy? Jeżeli pan ich pożyczycy od naszego Szwarca, to on od pana pięćdziesiąt procent na rok weźmie, a za rok, jak pan jemu nie odda, on poda do sądu i znowu panu Orchów opiszą.... Ale panu trzeba pieniędzy, i ja ich panu pożyczę... nie na pięćdziesiąt procent, jak Szware... Eli Makower, chwalić Boga, lichwiarzem nigdy nie był... ja ich panu na dziesięć nu, na osiem procent pożyczę... Ja pieniędzy dużo stracił, to prawda, ale zostało mi ich jeszcze niemało.

Mieczysław powstał, zdziwiony i wzruszony.

— Dziękuję panu, zaczął i ku Elemu dłoń swą chciał wyciągnąć; ale Izraelita, nie przyjmując podawanéj sobie ręki, rzekł:

— Niech mi pan ręki nie podaje, dopóki my naszéj rozmowy z panem nie skończym. I niech pan mnie nie dziękuje, dopóki pan się nie dowiéd, czego ja za to wszystko co dla pana zrobiłem i zrobię, wzajemnie żądać będę. My Żydzi, dodał z uśmíechem, nie przywykli nic darmo robić, ani dawać. A najprzód jak ja panu moje piéniądze pożyczę, to pewny będę, że pan mi je z umówionym procentem odda, bo wiem że pan jest człowiek akuradni, pracowity i liczyć umie. Względem tych pieniędzy więc, co ja ich pożyczę gadania i dziękowania być nie powinno. Ale jak pan swój Orchów dobrze zagospodaruje, jak się w nim będzie rodzić bardzo dużo żyta i pszenicy, to ja z tego wielkie także wyciągnę korzyści. Mnie się zdaje że ze wszystkiego, co ja wprzódy

powiedział, pan już ogadł, że agentem Domu pośrednictwa ja dłużej nie będę. Ja umyślił sobie do kupieckiego stanu powrócić, a jak ja kupcem znowu zostanę i w orchowskich stronach zamieszkać, to im więcej tam będzie naokoło bogaactwa i urodzajności, tém większy dla mnie handel i zarobek. Otóż ja chcę kupować wszystko co pan będzie miał do sprzedania, po takich cenach jakie wypadną, a tylko z góry pana proszę, żeby pan mnie pierwszeństwo zawsze zostawiał i żebym ja mógł nazywać się orchowskim kupcem.

Słowa powyższe Eli mówił z zupełną śmiałością i pewnością siebie. Znać było że obrachowując korzyści materialne, jakie dla stron obu wyniknąć mogły z zawieranego przezeń przymierza wzajemnej pomocy, znajdował się on na właściwym sobie, dobrze znanym i zbadanym gruncie. Trudniej mu znacznie przychodziło wyrazić swe myśli, tycające się bardziej oderwanych przedmiotów... a jednak do wyrażenia ich przywiązywał on znać wagę wielką, bo po chwili nieśmiały trochę wzrok podnosząc na Mieczysława, zaczął znowu:

— Mój stary ojciec miał zemną przed śmiercią swoją długą rozmowę. Ach! jaka to była rozmowa! A w tej rozmowie on mnie powiedział, że jak różne narody idą od początku swego stworzenia po różnych drogach, tak do nich przylepiają się różne wady i grzechy. To wielka prawda; ale ja sobie w mojej głowie to jeszcze do niej dodał, że przylepiają się do nich i różne zalety, do tych takie, a do tamtych inne. My Żydzi dalej widzimy od panów, tam gdzie idzie o pieniądze, o korzyści, i każdą robotę około tego prędzej od panów zaczniemy, a jak ją zaczniemy, to śmiesznie koło niej pilniemy. My przeciwiejszy jesteśmy i cierpliwi, my

kawałkiem chléba z główką cębuli możem żyć, byle tylko tego dobić się, czego chcemy. A dlaczego my tacy jesteśmy? Dlatego że nasze ojcowie i dziadowie tacy byli, i nas do tego przyuczili, i w krew naszą i w nasze serce to weszło. U panów z takimi rzeczami bardzo kiepsko idzie. Dlatego panowie biędne robią się i bardzo dużo tracą i cierpią. Ale panowie mają to, czego u nas niéma. Panowie mają delikatny rozum i dobrze wiedzą, co to honor, co to edukacya i jaka ona powinna być, żeby ten człowiek, co z téj rzeki pije, nie brał w siebie téj tylko wody co po wiérzchu pływa, ale napił się także téj, co pod spodem szumi. A dlaczego panowie wszystko to wiedzą i mają? dlatego że ojcowie i dziadowie panów byli ludzie honorowi i oświeceni. Otóż mnie się zdaje, że dobrzeby było gdybyśmy tém co mamy jedni z drugimi dzielili się, gdyby panowie od nas nauczyli się być przewidujące, obrotne i wytrwałe, a nas uczyli co to jest prawdziwy honor i prawdziwa edukacya. Czy pan zrozumiał co ja myślę? Może ja źle powiedział.

— Panie Makower, rzekł Mieczysław, słowa pańskie są tak jasne i zrozumiałe, jak rozumną i szlachetną jest myśl, która je podyktowała.

Na twarz Elego wybił się wyraz żywego zadowolenia.

— Nu, rzekł, ja bardzo kontent jestem z tego, że pan mię zrozumiał. Ale ja jeszcze niewszystko powiedział. Ja stracił syna... on nie umarł... on przepadł. Nu, co robić? już ja jego nie wyratuję. Ale ja nie chcę żeby inni moi synowie tak samo poprzepadali, albo żeby oni wyrosli na takich edukowanych puryców, co to żadnego gruntu pod nogami nie mają, a są jak chorągiewki na dachach i w którą stronę wiatr powieje, czy ku sprawiedliwości, czy ku niesprawiedliwości, czy ku honorowemu postępkowi, czy ku po-

dłemu — w tę oni obracają się. Ja moje dzieci Kocham i chcę im edukacją dawać, i chcę żeby z nich prawdziwe ludzie byli... Ale jak to zrobić?... tego nie wiem... i nikt z naszych Żydów nie wie. Nu, ja przychodzę już do końca mego mówienia. Ja panu dobrze zrobił i jeszcze więcej zrobię. Czy pan mnie za to nauczysz, co ja mam dla moich dzieci zrobić, żeby oni dobre, rozumne i szczęśliwe byli, nie takie jak... tamten mój syn, co przepadł?... Czy pan mnie pokaże jaki to ma być ten grunt, o którym mnie mój stary ojciec gadał, że jak kto jego pod nogami swymi nie ma, to chodzi po świecie jak pijany, aż w rów głęboki upadnie?

Wymawiając ostatnie słowa, Eli powstał. Silne wzruszenie, wzruszenie myśli i serca, aż do podstaw wstrząśnionych wielkim, przerażającym ciosem, odmalowało się na jego twarzy.

— Panie Makower... zaczął Mieczysław.

Ale Izraelita przerwał mu znowu:

— Niech pan jeszcze nie mówi. Ja jeszcze wszystkich myśli moich nie wypowiedział. Ja pana znam i wiem że pan na moje pytanie odpowie: „dobrze!” Ale to nic nie pomoże i jeżeli my dla siebie zostaniemy obcymi, my jeden od drugiego nic nie skorzystamy. Jabym chciał przyjacielem pańskim być, przyjacielem prawdziwym takim co do pańskiego domu przyjdzie, i radzić panu będzie, całym rozumem swym podzieli się z panem; takim co nie będzie u pana jak gość co przy progu siada i któremu wielki honor robią, jeżeli szklankę herbaty podadzą, ale takim przed którym serce i wszystkie myśli otwierają się. A może i pan też nie pogardzi domem Żyda i przyjdzie czasem na jego dzieci spojrzeć i zdanie swoje o nich wydać, czy one źle rosną, czy dobrze, tak jak ten Żyd znowu patrzeć będzie na

pańskie interesa i mówić czy one dobrze idą, czy źle. Ot i wszystko. Ja to wziął z ust mego starego ojca, i z tego ciężkiego doświadczenia, które ja przeżył, i z długiego, bardzo długiego myślenia. Jak panu zdaje się? czy te myśli dobre są i czy pan się na nich zgodzi.

— Myśli twoje, panie Eli, rozumne są i zacne, a w czyn zamienione, zbawić mogą od wielu nieszczęść! z gorącym uczuciem i radośnie rozjaśnionem czołem odparł Mieczysław. Przymierze wzajemnej pomocy i przyjaźni, które mi ofiarujesz, przyjmuję z radością.

Eli miał już twarz roz pogodzoną zupełnie. Na ostatnie słowa Mieczysława skinął głową potwierdzająco uśmiechnął się i rzekł:

— A czy pan wie czego trzeba, ażeby takie przymierza jak nasze zawierały się często?... Ja panu powiem. Trzeba żeby my Żydzi mogli panów szanować. Ja pana szanowałem, a z tego szacunku urodziła się w mojem sercu dla pana... wielka przyjaźń.

Podali sobie ręce i połączyli je długim uściskiem. Na twarzach ich jaśniały uczciwe, serdeczne uczucia, wiara w przyszłość i dobra nadzieja.

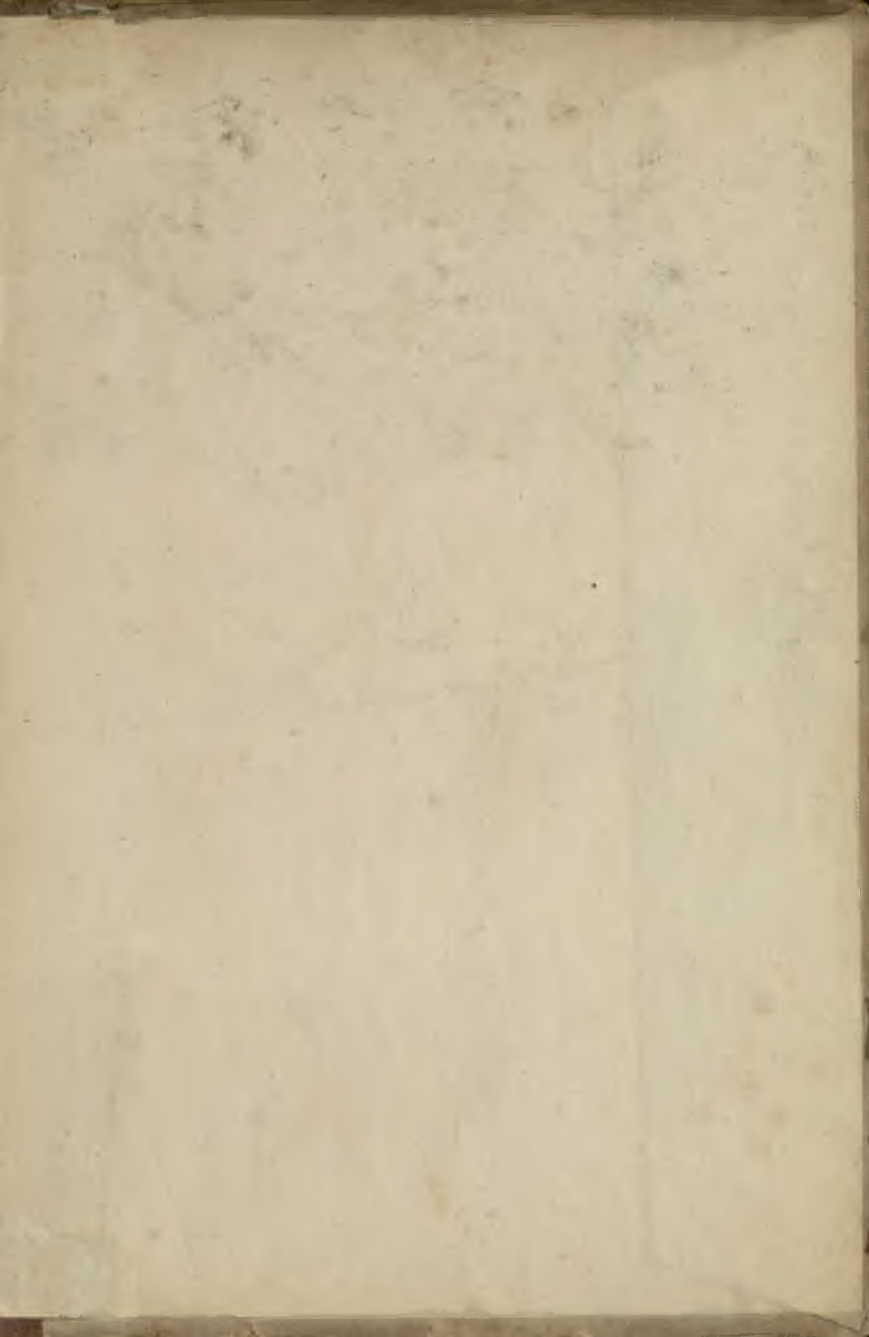
KONIEC.



INSTYTUT
BADAŃ LITERACYJNYCH PAN
BIBLIOTEKA

~~00-200~~ Warszawa, ul. Nowy Świat 72
Tel. 26-68-63





F
22.379/2

SĄ RÓWNIEŻ DO NABYCIA WE WSZYSTKI
NIACH DZIEŁA

Elizy Orzeszkowej.

Pamiętnik Wacławy ze wspomnień
młodej panny. — Warszawa 1871, 4 t. rs. 2.

Cm. tliwi, powieść. — Warszawa 16-ka str. 407
871 r. rs. 1 kop. 20.

Graba, powieść w 3-eh częściach —
Lwów 1872, rs. 2 kop. 70.

Namięcie sumienia, powieść. — Warszawa
1873, 2 t. rs. 3.

Marta, powieść. — Warszawa 1873 r. 1 t. rs. 3.

Kilka słów o kobietach Wydanie
drugie. — Warszawa 1 t. rs. 1.